

NOWA KRÓLOWA HISZPAŃSKIEGO KRYMINAŁU

MARÍA ORUÑA

Ukryty port

Ponad milion sprzedanych
egzemplarzy w Hiszpanii

MANDO

Maria Oruña

Ukryty port

tłumacz: Joanna Ostrowska

Originally published under the title *Puerto escondido*

María Oruña, 2015

All rights reserved

© Editorial Planeta, S. A., 2015

Ediciones Destino es un sello de Editorial Planeta, S. A.

Copyright for this edition © Wydawnictwo WAM, 2023

Opieka redakcyjna: Agnieszka Ćwieląg-Pieculewicz

Redakcja: Anna Pliś

Korekta: Monika Karolczuk

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © James Peacock/Unsplash

Skład: Lucyna Sterczewska

ePub e-ISBN: 978-83-277-3534-8

Mobi e-ISBN: 978-83-277-3535-5

MANDO

ul. Kopernika 26 • 31-501 Kraków

tel. 12 62 93 200

www.wydawnictwomando.pl

DZIAŁ HANDLOWY

tel. 12 62 93 254-255 • faks 12 62 93 496

e-mail: handel@wydawnictwomando.pl

*Dla Ciebie, kochanie,
choć nigdy nie przeczytasz tej książki.
I dla przesiadujących na ławkach w parku
młodych duchem staruszków,
którzy skrywają tajemnice i ciekawe historie.*

Jeśli jest coś, co wszyscy psychopaci mają wspólnego, to niezwykła zdolność udawania zwyczajnych, przeciętnych ludzi, choć za fasadą tego wspaniałego przebrania bije zimne jak lód serce bezwzględnego, twardego jak skała drapieżnika¹.

Fragment książki *Mądrość psychopatów* Kevina Duttona (1967), doktora psychologii i członka londyńskiego Royal Society of Medicine

LATO

OBECNIE

Za sprawą przesuwanego się za szybą krajobrazu powoli zanurzał się w atmosferę lata, gdzie królowały radość, lekkość i beztroska.

Niemal czuł wrzenie tętniącej życiem rybackiej miejsciny, która odżywała każdego lata, zalewana przez tłumy przybyszów z nieskąpanych słońcem morzem i słońcem miast w głębi kraju, którzy pragnęli oderwać się choćby na chwilę od pracy i rutyny. Na pocztówkowym obrazku panował chaos – zabudowania zdawały się nie podlegać żadnym planom urbanistycznym, pstrzyły zielone łąki niczym kwiaty rumianku.

Oliver poczuł, że wreszcie się odpręży, choć jazdę prawą stroną szosy trudno było uznać za relaksującą dla zmysłów londyńczyka nawykłego do ruchu lewostronnego. Powoli minął Masera de Castío, której północna ściana wznosiła się nad wioską Cortiguera, południowa zaś schodziła do miasteczka Hinojedo. Osobliwy płaskowyż wyrastał z ziemi niczym prostokątna przeszkoda, przypominał wielki, szeroki zydel jakiegoś miejscowego boga.

W miarę jak Oliver zbliżał się do miasteczka, zabudowa stawała się coraz gęstsza, domy wyrywały sobie nawzajem metry kwadratowe gruntu, walcząc o malownicze widoki i prawo do sielskiego szczęścia, jakie zapewniało zakotwiczenie się na tej ziemi.

Dokładnie w momencie, kiedy zobaczył tablicę z napisem „Witamy w Suances”, na szosie zrobił się korek. Oliver domyślił się, że w stronę plaży, niczym długa, spocona dżdżownica, sunie karawana samochodów pełnych parasoli, kremów do opalania, kolorowych ręczników oraz wiader i łopatek, spod których wyjdą koślawe zamki z piasku.

Westchnął, przewidując, że spędzi za kierownicą jeszcze trochę czasu. Przeczesał dłonią ciemne, gęste włosy i marszcząc swój rzymski nos, powiódł niebieskimi jak kobalt oczami po krajobrazie, który rozciągał się po jego prawej stronie: estuarium San Martín de la Arena – zwane przez

miejscowych Requejada – rozszerzało się w stronę morza, wijąc się łagodnymi meandrami. Z szosy widział wyraźnie, jak rzeka żłobi dolinę ciągnącą się pod łagodnym klifem. Dla zabicia czasu zaczął wciskać guziki radia w czarnym fiacie 500L, który dostał w wypożyczalni, a który wydawał mu się wybitnie babski. Nie robił sobie specjalnie nadziei, ale nagle, bez zapowiedzi prezentera, w ciszy rozbrzmiały najpierw spokojne dźwięki pianina i klasycznej gitary, a chwilę później wnętrze auta wypełnił męski, melodyjny głos.

Od razu rozpoznał tę smutną piosenkę: *Let her go* Passenera, mówiącą o tym, że doceniamy dopiero to, czego już nie mamy.

Oliver nie potrzebował żadnej piosenki, żeby wspominać Annę, jej długie rude włosy, proste jak linia horyzontu na pustyni. Chociaż jej rysy zaczęły się zacierać w jego pamięci, zawsze miał ją w sobie, stała się częścią jego ciała, niewidoczną raną w piersi, która nie chce się zabiścić. Muzyka przeniosła go do tamtych ostatnich dni, odległych, pustych, ujętych w nawias.

– Chodź tu. Dobrze się czujesz?

– Tak, oczywiście. Co za pytanie. Powiedz mi lepiej, czy ty się dobrze czujesz – odparł ze skrywaną troską.

– Musimy porozmawiać. – Patrzyła na niego z wyższością osoby przekonanej, że nie ma już nic do stracenia. – Chcę, żebyś się trochę rozerwał, poznał nowych ludzi, znalazł sobie kogoś. Nie przeszkadza mi, jeżeli to będzie tydzień albo godzinę po tym, jak... Nie przeszkadza mi to, rozumiesz?

– Nie opowiadaj głupot. Gdyby cię nie było, nie umawiałbym się z jedną dziewczyną, ale z dwudziestoma tygodniowo – odpowiedział. – Poza tym wszystko będzie dobrze, koniec kropka. A jak nie, idę balować, więc wybieraj – dodał, puszczając do niej oko.

Odpowiedziała uśmiechem, ale w jej spojrzeniu malowała się już pustka.

– Oliverze, oboje wiemy... – Westchnęła zmęczona, niemal parsknęła i popatrzyła mu w oczy. – Oliverze – powtórzyła – szczęście pełne, prawdziwe, to szczęście, które się z kimś dzieli.

– Nie rób mi tego.

– Nie robić ci...? – zaczęła, ale wszedł jej w słowo.

– Nie żegnaj się.

STOP. W samą porę, chociaż posuwał się naprzód tak wolno, że biały napis „stop” na czerwonym ośmiokącie, który wyrósł na prawym poboczu, wydawał się splątany przez szosę psikusem. Powrócił z przeszłości, z meandrów własnego umysłu, przywołany przez drogę, krajobraz i namolne pikanie komórki.

– Halo? Tak? Słucham? – odebrał, marszcząc brwi i starając się wyostrzyć wzrok, jakby w ten sposób mógł poprawić zasięg.

– Oliver Gordon? – zapytał męski głos. Wydawał się dobiegać z bardzo daleka, w tle huczała orkiestra młotków, wiertarek i czegoś, co brzmiało jak piła tarczowa.

– Tak, to ja. Kto mówi?

– Rafael Bernárdez, wspólnik Antonia z firmy budowlanej... Pamięta mnie pan? Kilka tygodni temu rozmawialiśmy przez telefon.

– Ach, faktycznie. Oczywiście, że pamiętam, pan jest majstrem, prawda? Jak wam idzie? – zapytał Oliver.

Po drugiej stronie linii przez moment panowała cisza.

– Dobrze... – Znowu cisza. – Akurat jestem w pańskiej willi z ekipą murarzy i ze stolarzem. Muszę panu coś powiedzieć... to pilne. Może pan teraz rozmawiać?

– Prowadzę, ale chwilowo stoję w korku, więc tak, mogę rozmawiać.

Ze słuchawki dobiegło chrząknięcie, jakby rozmówca zastanawiał się nad doborem słów.

– Eeeee... Zamierza pan szybko wrócić z Anglii?

Oliver zaczął się niecierpliwić, mimo to odpowiedział z uśmiechem:

– Zależy, co pan rozumie przez „szybko”. Dzisiaj rano wylądowałem w Bilbao i mam jakieś piętnaście minut drogi do Suances. Więc tak, wrócę szybko, o ile pozwoli mi na to karawana letników. Można wiedzieć, co się dzieje? Jakiś problem z remontem?

– Co za ulga, że już pan przyleciał. Spodziewałem się pana dopiero za jakiś tydzień czy dwa.

– Wiem. Ale do rzeczy, panie Rafaelu: co się stało?

– Stało się to, że znaleźliśmy coś między ściankami działowymi w piwnicy... No wie pan, tam, gdzie mieliśmy zrobić salę zabaw dla dzieci.

Oliver westchnął, unosząc brwi. Zredukował bieg do jedyńki, żeby dopasować prędkość do reszty samochodów, które teraz wlokły się w ślimaczym tempie.

– Okej, cóż to takiego? Skała nie do przewiercenia, zardzewiałe rury, sekretny pokój...? Dlaczego to taka pilna sprawa?

„I taka tajemnica”, pomyślał, uśmiechając się z rezygnacją. Jakiej to absurdałnej odpowiedzi udzieli mu majster? Wolna nostalgiczna piosenka lecąca z radia kontrastowała z niepokojem, który zaczynała budzić w nim ta rozmowa.

– Widzi pan, w takich sprawach należy postępować ostrożnie, bo mogą nam wstrzymać prace, ale oczywiście do pana należy decyzja, co robimy i czy mamy poinformować władze. Ja tam nie wiem.

Oliver był coraz bardziej poirytowany.

– Powie mi pan wreszcie, do cholery, co było zamurowane w tej ścianie? Jeżeli rzymskie amfory, to je sobie zatrzymamy – zakpił. – A może drzemie tam kuzyn Draculi? – dodał ironicznym tonem, unosząc brwi.

– Nie. – Majster postanowił zignorować sarkazm Olivera. Po drugiej stronie znów zapadło milczenie, zakłócanie jedynie przez nieustające stukanie młotka. – To... zwłoki niemowlaka, panie Gordon. Kurwa, zwłoki niemowlaka! – powtórzył i wypuścił powietrze, jakby pozbył się informacji, która mu fizycznie ciążyła.

W tym momencie prezenter radiowy przerwał piosenkę i zaczął omawiać nowości z list przebojów. Ale Oliver już go nie słyszał. Kiedy skończył rozmawiać z majstrem, poleciwszy mu, żeby na niego zaczekał, otoczyła go głucha cisza. Prowadził samochód niczym lunatyk, mechanicznie, wsłuchany w walenie swojego serca. Wreszcie po piętnastu minutach agonii za kierownicą dotarł do willi i prowadzony przez Rafaela znalazł się w miejscu spoczynku małej istotki. Schodząc do piwnicy, zdał sobie sprawę, że oto wstępuje do grobowca.

Od czasu do czasu warto zboczyć z drogi i zagłębić się w las. Znajdziesz tam rzeczy, jakich nigdy nie widziałeś.

Alexander Graham Bell (1847–1922)

Sierżant Riveiro zaparkował nieoznakowany radiowóz Gwardii Cywilnej przed wejściem do domu, na fasadzie którego widniała mała tabliczka z nazwą „Villa Marina”.

Dziwiło go, że akurat tu znaleziono zwłoki – w domu, który codziennie miały dziesiątki osób udających się do latarni morskiej lub na plażę Los Locos, dwóch spośród atrakcji tej wąskiej odnogi lądu wcinającej się w morze. Willa znajdowała się przy samym wejściu na cypel, na ostatnim zakręcie plaży La Concha.

Sam mnóstwo razy przechodził tędy z żoną i dwójką małych dzieci, przekonany, że budynek jest opuszczony, że właściciele pomarli, a cena willi znacznie przekracza możliwości finansowe większości śmiertelników. Tymczasem okazało się, że posesja jednak do kogoś należy – kogoś, kto próbując tchnąć w nią życie dzięki gruntownemu remontowi, natknął się na śmierć.

Riveiro pracował w wydziale śledczym policji sądowej kantabryjskiej komendantury Gwardii Cywilnej w Santanderze. Kiedy zgłoszono znalezienie zwłok, szefowa wydziału, porucznik Redondo, postanowiła wysłać tu jego, jako że miał duże doświadczenie w sprawach o zabójstwo, a poza tym dobrze znał okolicę, bo kilka lat wcześniej pracował na posterunku w Suances.

Riveiro wysiadł z samochodu i przez chwilę przyglądał się mężczyźnie, który nie zauważywszy jego przybycia, krążył nerwowo po ogrodzie imponującej willi, obsadzonym hortensjami, figowcami, krzewami mirtu i tropikalnymi drzewami.

Podszedł do kaprała Antonia Mazy z posterunku w Suances, który wraz z innym gwardzistą jako pierwszy zjawił się na miejscu zdarzenia. Maza w zamyśleniu obserwował plażę La Concha, usianą kolorowymi parasolami nawet w środku tygodnia. Chudy, rudowłosy trzydziestolatek o oczach dziecka z uśmiechem wodził wzrokiem za jakimś konkretnym bikini.

– Maza, pobudka.

– Pan wybaczy, sierżancie, zapatrzyłem się. Niektórzy to mają dobrze. Proszę spojrzeć, z willi wychodzi się prosto na plażę – powiedział, wskazując schodzącą w dół ścieżkę zasłoniętą przez chwasty, krzaki i drzewa, od lat nieprzycinane.

Riveiro powiódł wzrokiem za palcem kaprała i dostrzegł na końcu tej zaniedbanej dżungli wąską czarną furtkę z żelaza, przez którą wychodziło się na drobny, żółty piasek plaży La Concha.

Nieco niżej, na prawo od ścieżki, stał spory budynek z kamienia i bali o trudnej do zdefiniowania architekturze, coś pomiędzy kanadyjską stodołą a zabudową charakterystyczną dla gór Kantabrii. Riveiro pomyślał, że ta dziwna konstrukcja tu nie pasuje – musiała powstać w innym czasie niż dom, w którym znaleziono zwłoki. Przez kilka sekund przyglądał się imponującej willi wzniesionej na szczycie pagórka: brązowe framugi wielkich okien kontrastowały ze śnieżnobiałymi ścianami, łączyła w sobie style kolonialny i francuski i na oko została wybudowana co najmniej pół wieku temu.

Roztaczał się stąd wspaniały widok na plażę La Concha, estuarium i skalistą, trudno dostępną Wyspę Królików.

– Powiedz mi lepiej, co tu mamy – poprosił Riveiro kaprała Mazę.

– To, co mówiłem przez radio, sierżancie. Zwłoki, prawdopodobnie niemowlaka, owinięte jak mumia w stare poźółkle prześcieradła. Muszą tam leżeć od wieków.

– No tak. – Riveiro pokiwał głową. – Rozumiem, że zabezpieczyłeś teren i przykazałeś, żeby niczego nie dotykać – upewnił się, patrząc kapralowi w oczy.

– Oczywiście. Kiedy zadzwoniłem z informacją na komendę w Santanderze, od razu poprosiłem, żeby przysłali nam SECRIM.

– Technicy kryminalistyki są już w drodze? Wspaniale, dobra robota. A co z sędzią i patologiem?

– Zawiadomieni, zaraz tu będą. Potwierdziłem – odparł Maza, próbując ukryć pełen zadowolenia uśmiech.

– Nieźle, Maza, należy ci się dziś medal za zasługi. Kto jest w środku...? Martín? – zapytał Riveiro, mając na myśli znajomego gwardzistę, który

tak jak kapral pracował na posterunku w Suances.

– Tak, pilnuje robotników, rozmawia z tymi, którzy znaleźli zwłoki.

– Co tam robili? Pewnie remontowali willę. – Riveiro odpowiedział sam sobie, omiatając wzrokiem rusztowania, betoniarkę i złożone przy jednej ze ścian materiały budowlane.

– Zaczęli roboty dwa miesiące temu. Właścicielem jest ten gość, co łązi w kółko – powiedział Maza i wskazał dłonią Olivera, który spojrzał w ich stronę, jakby go usłyszał.

– Przesłuchałeś go już? – zapytał Riveiro, ruszając w stronę domu.

– Nie, zadałem mu tylko kilka podstawowych pytań. Czekałem na pana.

– W porządku. Idę obejrzeć zwłoki, a ty powiedz temu tutaj, że zaraz przyjdę z nim porozmawiać. Słuchaj, Maza... może byś tak łaskawie zaczął mówić mi na ty? Znamy się chyba już jakieś osiem lat.

– Tak jest, sierzancie. Odtąd będę mówił do pana na ty.

Riveiro się uśmiechnął.

– Dobra, idź już.

Kapral Maza skinął głową i ruszył w stronę Olivera, Riveiro tymczasem wszedł do willi. W środku przywitał go Martín, który pilnował miejsca zbrodni, o ile do takowej doszło.

Wnętrze willi rozczarowało Riveira. Spodziewał się nawiedzonego domu pełnego antycznych mebli przykrytych pożółkłym płótnem, a zamiast tego ujrzał rozmaite materiały budowlane i białe przestronne pomieszczenia zalane jasnym światłem.

Martín pokazał mu wejście do piwnicy. Szybko pokonali schody. Na dole, pośród sprzętu stolarskiego, worków z cementem i mnóstwa rur leżał gruz ze ścian działowych, które tego ranka wyburzyli robotnicy, żeby powiększyć pomieszczenie. Między tymi ścianami znaleźli obleczone w całun zwłoki.

Riveiro poczuł się jak intruz naruszający prywatną przestrzeń przodków. Powietrze było gęste, pełne drobinek kurzu widocznych nawet w słabym świetle. Znad całunu spowijającego zwłoki spoglądały na niego puste oczodoły wyblakłej jasnobrązowej czaszki. Wyglądała jak wyrzeźbiona z kości słoniowej.

– To same kości, sierżancie – powiedział Martín, wskazując miejsce niezastłonięte przez poźółkły, wytarty całun.

– Na to wygląda. Mam nadzieję, że niczego nie dotykaliście? – Riveiro nawet nie odwrócił się w stronę gwardzisty, zapatrzony w wyblakłe zawiniątko, jakim stała się istota spoczywająca teraz na szerokiej desce położonej na gruzie po ścianie, która była jej grobem.

– Oczywiście, że nie.

– Dobrze. Będziemy potrzebowali antropologa sądowego, bo patolog niewiele tu zdoła.

– Tak.

– I biologa sądowego.

– Do pobrania DNA? – zapytał Martín, zaskoczony. – To mogą być zwłoki z czasów wojny domowej. Licho wie.

Riveiro spojrział na mierzącego metr dziewięćdziesiąt gwardzistę o czarnej jak smoła brodzie i westchnął.

– Któż to wie, Martín, któż to wie. Chociaż szczątki wyglądają na ludzkie, może wcale takie nie są.

– Myśli pan, że to zwierzę? – odpowiedział gwardzista, ponownie spoglądając na zawiniątko. – Dla mnie to jest ludzka czaszka. Ale zczekajmy, co powie patolog.

– Tak, zczekajmy, co powie – przytaknął Riveiro. – Wyjdę porozmawiać z właścicielem domu. Znasz go albo kojarzysz z miasteczka?

– Nie, to raczej nikt stąd. Jakiś modniś. Markowe ciuchy, ładna buźka, fryzura jak u włoskiego modela. Widział pan samochód?

– Który? Tego czarnego fiata zaparkowanego przed domem?

– Tak. Facet na bank jest gejem, z takim autem i z takim wyglądem...

– Nie zapędzaj się tak. Przemawia przez ciebie zazdrość. Jeszcze się okaże, że ci się podoba – zażartował Riveiro.

Nie dając Martínowi szansy na ripostę, odwrócił się na pięcie i wszedł na parter, żeby porozmawiać z Oliverem. Gwardzista udał się za nim.

Chociaż na zewnątrz panował upał, świeże powietrze przyniosło sierżantowi ulgę, jakby wyszedł z grobowca po pogrzebie, w którym uczestniczył wyłącznie z obowiązku. Zdziwił się, kiedy na lewo od domu, na skraju wyżej położonej części posiadłości odkrył kort tenisowy,

z kępkami trawy wyrastającymi z pęknięć na nawierzchni. Pochyły teren schodzący do morza został dobrze wykorzystany: na górnym tarasie kort, na kolejnym dom, a niżej basen w kształcie nerki, który okrążała ukryta w gąszczu wybujałej roślinności ścieżka schodząca do kamiennego domku i do plaży.

Oliver czekał przy basenie bez wody i chloru, od dawna nieczyszczonym, sądząc po zielonym osadzie i chwastach wyrastających z wyschniętego dna. Riveiro ruszył w jego stronę, bezceremonialnie taksując go wzrokiem. Facet był przystojny, dobrze zbudowany, ale bez obsesji na punkcie mięśni i wyglądu. Należał do osób, które nie wiedząc czemu zawsze prezentują się dobrze, choć nie wkładają w to żadnego wysiłku; w zwykłych dżinsach i T-shircie wyglądają równie elegancko, co umundurowany Richard Gere w *Oficerze i dżentelmenie*. Chociaż Riveiro był w doskonałej formie, już dawno przekroczył czterdziestkę i na widok Olivera mimowolnie zatęsknił za energią i prezencją, jakie zapewnia młodość.

– Dzień dobry, sierżant Jacobo Riveiro z wydziału śledczego Gwardii Cywilnej – przedstawił się, wyciągając rękę.

– Oliver Gordon, właściciel domu.

– Jest pan Anglikiem? – zapytał Riveiro, słysząc jego nazwisko.

– Tak, ale też Hiszpanem. Mam podwójną narodowość. Ojciec jest Anglikiem, a matka Hiszpanką – wyrecytował Oliver, jakby przywykł do udzielania tych wyjaśnień.

– No proszę – stwierdził Riveiro, wyciągając z marynarki notatnik. – A na co dzień mieszka pan tutaj czy gdzie indziej? Gdzie indziej to znaczy w Anglii.

Oliver uśmiechnął się z sympatią, wbijając w sierżanta spojrzenie swoich niebieskich oczu.

– Spędziłem tu niejedne wakacje, niektóre w tym domu – odparł, wskazując głową willę. – Ale urodziłem się i mieszkam w Londynie. Trochę czasu spędziłem w Szkocji. Teraz zamierzałem się przenieść tutaj.

– Mówi pan bez akcentu, jak Hiszpan. To znaczy jak rodowity Hiszpan.

Oliver skinął głową, mile polechtany.

– Tak, mama od zawsze mówiła do mnie po hiszpańsku. Studiowałem też filologię hiszpańską na University College w Londynie.

– Aha – bąknął Riveiro.

Był pod wrażeniem, jak zmieniła się intonacja i akcent Olivera, kiedy wypowiedział po angielsku nazwę uczelni. Zdziwiło go jego opanowanie, to, że patrzy mu prosto w oczy. Facet wydawał się sympatyczny.

– W porządku, przejdźmy do tego, co nas interesuje... Pańscy robotnicy znaleźli na dole zwłoki i jak się pan zapewne domyśla, musimy zbadać ich pochodzenie i ustalić przyczynę śmierci. Od kiedy ta willa należy do pana? To znaczy do pana albo pańskiej rodziny – uściślił, uświadomiwszy sobie, że Oliver ma góra trzydzieści pięć lat.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. Odziedziczyła ją moja matka, a po jej śmierci ja. Dlatego postanowiłem ją wyremontować i przerobić na hotelik przy plaży.

– A zatem... planuje pan przenieść się do Suances? Chodzi mi o to, czy... opuści pan Anglię, żeby tu pracować? – zapytał z niedowierzaniem Riveiro.

Oliver westchnął.

– Postanowiłem skorzystać z tego, że mama zostawiła mi dom, wyjechać do Hiszpanii i zacząć nowy etap.

Riveiro domyślił się, że w życiu Olivera doszło do jakichś zawirowań. Do tego nie trzeba było być detektywem. Nowy etap? Jeżeli facet nie miał żony i dzieci, przeprowadzka tak daleko od domu stanowiła dość radykalne rozwiązanie. „Każdy ma własne demony”, pomyślał.

– W porządku. Jest pan żonaty? Ma pan tu rodzinę?

– Nie. Nie jestem żonaty. Wydaje mi się, że w Suances mieszka mój daleki kuzyn, ale nie utrzymujemy kontaktu.

– Aha... Rozumiem, że pana rodzina mieszka w Anglii.

– Tak, mój ojciec, wujostwo i brat. Chociaż nie mam pojęcia, gdzie on teraz przebywa.

– On? Kto? Pański brat?

– Tak, Guillermo.

– Zaginął? – zdziwił się Riveiro. Sprawa zaczynała nabierać rumieńców.

– Nie do końca. Od czasu do czasu znika. Niekiedy na bardzo długo. Udział w Operacji Telic wywołał u niego... traumę – wyjaśnił Oliver, spuszczając głowę, jakby nie potrafił znaleźć właściwego słowa.

– Operacji Telic? – zapytał Riveiro. Nie przestając notować, podniósł wzrok i zaskoczony spojrział na Olivera.

Mężczyzna także przez moment patrzył zdziwiony na gwardzistę. W końcu zrozumiał jego pytanie i odpowiedział z uśmiechem:

– No tak, przepraszam. Tu pewnie nazwano ją inaczej. Chodziło mi o wojnę w Iraku. No wie pan.

– Oczywiście – odpowiedział Riveiro, obiecując sobie w duchu, że wieczorem poszuka informacji w internecie. – A od jak dawna nie ma pan wieści o bracie? – zapytał szczerze zaciekawiony, chociaż ta sprawa najprawdopodobniej nie miała żadnego związku z jego śledztwem.

– Od półtora roku – odparł Oliver bez zastanowienia, z powagą, nie podnosząc wzroku.

– O kurczę, bardzo mi przykro. I naprawdę nie mają państwo pojęcia, gdzie może przebywać?

Oliver uśmiechnął się ze zmęczeniem.

– Z moim bratem nigdy nic nie wiadomo: Ibiza, Australia, Ameryka Południowa... Zależy, do jakiej organizacji pozarządowej akurat dołączy. Albo wspólnoty duchowej. Stawaliśmy na głowie, żeby go namierzyć. Ostatnim razem zniknął na dziewięć miesięcy, a potem pojawił się jak gdyby nigdy nic na Wigilii u naszej babci w Stirling.

– Wyobrażam sobie, jak muszą to przeżywać pańscy rodzice.

– Mama zmarła rok temu.

Riveiro miał ochotę dać sobie w twarz. Facet powiedział przecież, że odziedziczył willę po matce.

– Rzeczywiście, powiedział mi to pan już wcześniej, najmocniej przepraszam. – Sierżant przez moment się wahał. – Czy to znaczy, że... pański brat nie wie o śmierci matki?

– Przypuszczam, że nie. Nie udało nam się go zlokalizować, a on nie kontaktował się ani ze mną, ani z naszym ojcem. Ale to chyba nie ma nic

wspólnego z tym, co znaleziono w willi? – stwierdził Oliver znużonym głosem.

– Nigdy nie wiadomo, chłopcze – odparł protekcyjnie Riveiro. Ale facet miał rację, powinien skoncentrować się na tym, co widział w piwnicy. – Proszę mi w takim razie powiedzieć, dlaczego postanowił pan wyburzyć ścianki działowe.

– Chciałem tam urządzić pokój zabaw dla gości, którzy przyjeżdżają z dziećmi. Wie pan, maluchy trzeba czymś zająć. Przynajmniej kiedy pada – odparł Oliver uprzejmym tonem.

– To dobry pomysł – stwierdził Riveiro, w zamyśleniu bawiąc się notatnikiem. – Nie chcę uprzedzać wydarzeń, ale kiedy już dostaniemy raport od antropologa sądowego, będę potrzebował aktu nieruchomości, żeby ustalić, do kogo należał dom w okresie, kiedy zamurowano zwłoki – dodał, wskazując willę, po czym uściślił: – Oczywiście będziemy badali tę sprawę na własną rękę, ale bardzo by nam pomogło, gdyby udostępnił nam pan dokumenty będące w pana posiadaniu.

– Naturalnie, z tym że będzie pan musiał poczekać kilka dni, bo całą dokumentację ma mój prawnik, a zdaje się, że chwilowo przebywa poza miastem. Zadzwońię do niego jeszcze dzisiaj i gdy tylko dostanę kopie dokumentów, natychmiast je panu przekażę.

– W porządku. Chciałbym pana jeszcze uprzedzić, że na dziś i prawdopodobnie także na najbliższe dni każemy wstrzymać prace, żeby przeszukać willę i sprawdzić, czy ściany nie kryją czegoś więcej. Jak możemy się z panem skontaktować? Zakładam, że zatrzymał się pan gdzieś w okolicy.

– Tutaj.

– Tutaj? – zdziwił się Riveiro; willa była teraz miejscem pracy murarzy, stolarzy, hydraulików i elektryków.

Oliver uśmiechnął się rozbawiony.

– A dokładnie tam – powiedział, wskazując kamienny domek.

– To nadaje się do mieszkania?

– Owszem. Niech się pan nie da zwieść tej dżungli. Prace ogrodowe zostawiłem na koniec.

– Właśnie widzę. Ma pan przed sobą mnóstwo roboty.

– Na to wygląda. – Oliver znów się uśmiechnął, wodząc wzrokiem po terenie posiadłości. – Do tego jeszcze basen, garaż, wzmocnienia ścian... Dlatego w pierwszej kolejności zleciłem remont domku – powiedział, wskazując budynek – bo to tam będę mieszkał. Willę przerobię na typowy nadmorski hotelik, mam nadzieję, że urokliwy. Chciałbym też organizować tu pobyty dla osób uczących się hiszpańskiego albo angielskiego. Zobaczymy, jak będzie mi szło. Zrobiłem rozpoznanie lokalnego rynku i perspektywy są obiecujące. Zacząłem już przygotowywać kampanię reklamową, pracować nad stroną internetową i nawiązywać kontakty w sprawie ewentualnych wymian studentów. Chciałbym zacząć jak najszybciej.

Riveiro był szczerze zdumiony. Facet wszystko przewidział, co do milimetra. Poza jednym szczegółem: zwłokami.

– To znaczy, że mieszka pan w tej chacie? – zapytał, jakby chciał się upewnić, że dobrze zrozumiał.

Oliver znów odpowiedział swoim znużonym uśmiechem.

– Nie nazwałbym tego chatą... Dom jest całkiem spory, piętrowy. Nie widać tego, bo stoi w dole zbocza. W środku przypomina olbrzymią ekspozycję z Ikei. Chce pan zobaczyć?

Riveiro zamierzał przytaknąć, ale w tym momencie nadjechały trzy samochody. Od razu rozpoznał pasażerów. Z pierwszego auta wysiedli poczciwy korpulentny pięćdziesięciolatek – sędzia Jorge Talavera – oraz płowowłosa kobietka, tak drobna, że wydawało się, że zaraz porwie ją wiatr – patolog sądowa Clara Múgica. Drugim przyjechał sekretarz sądowy, który często działał w terenie i był trzecim członkiem komisji mającej dokonać oględzin miejsca zdarzenia przed zabraniem zwłok. Ostatni samochód przywiózł techników kryminalistyki z Santanderu. Riveiro ruszył im na spotkanie, przykazawszy Mazie, żeby spisał dane Olivera.

Przystąpili do znużonej, niezwykle precyzyjnej procedury: fotografowania, nagrywania kamerą, pobierania odcisków palców i próbek oraz wstępnego badania małego, zimnego zawiniątka. Riveiro nie odstępował na krok patolożki. Chciał wiedzieć, ile czasu minęło od śmierci tej istoty. Miał niepokojące przeczucie, że te ludzkie szczątki

tchnące bezgraniczną samotnością kryją w sobie tajemnicę owiniętą w zeszywniałe, postrzępione przez upływ czasu prześcieradła.

DZIENNIK (1)

Na wypadek gdyby czas w końcu zatarł echa przeszłości, jej energię i jej światło, rozmywając twarze tych, którzy wywarli wpływ na nasze życie, pozostawię pisemne świadectwo tego, co się wydarzyło. I co nadal się dzieje. Wiem, że znaleźli w Villa Marina tamto zawiniątko. Zdążyło mi już wypaść z pamięci, że je tam ukryto, by zagłuszyć sumienie. Ale każda historia ma swój początek; będziemy musieli trochę poźgłować po czasie, aby odkryć, jak się zaczęła ta i co stworzyło bestię.

Żeby zrozumieć jej istotę, wrócisz ze mną za rękę do przeszłości.

Czujesz? Zapach słonego powietrza, radosnej beztroski. Jest lato roku 1936.

Fale obmywają plażę na północy Hiszpanii, w ówczesnej prowincji Santander. Niestrudzenie liżą palony przez słońce piasek, na którym bawi się wesoło jakieś dwadzieścioro dzieci.

Plaża La Concha w nadmorskim miasteczku Suances po matczynemu przygarnia całe rodziny. Chroni je przed potężnymi, wzburzonymi falami Morza Kantabryjskiego, ukrywając się za wielkim kamienistym cyplem odgradzającym ją od otwartego morza. Stawia mu czoła inna plaża, bardziej dzika i śmielsza, którą miejscowi nazywają Los Locos – plażą szaleńców. Najwyższym punktem tego wąskiego, długiego półwyspu wrzynającego się w wodę jest Punta del Torco. Stoi tam stara latarnia, która co noc składa morzu przerywane świetlne pocałunki.

Suances odcina się na tle krajobrazu jako dwa oddzielne miasteczka. To na schodzącym do morza zboczu płaskowyżu jest gęsto zabudowane, ma swój ratusz, swój rynek, swój posterunek Gwardii Cywilnej. W tym na dole, przy estuarium, ciągnącym się wzdłuż portu i długiej plaży La Concha, panuje zupełnie inna atmosfera, bardziej wakacyjna. W pobliżu hali rybnej, łodzi i plaż wciąż wyrastają nowe hotele i letnie rezydencje.

Suances... Z zamkniętymi oczami mogę w myślach naszkicować mapę tej okolicy. Na północy Morze Kantabryjskie, na południu Torrelavega, na wschodzie Miengo, na zachodzie Santillana del Mar. Historię

pobliskich miejscowości – Hinojedo, Cortiguery, Ongayo, Puente Avíos i Tagle – ubarwiają dziesiątki legend.

Spójrz na dzieci, na nieruchomy piasek, na niskie wydmy porośnięte kępami trawy.

Rozpoznasz ją po tym, jak się porusza, jak patrzy. Ma prawie osiem lat. Jest taka niepozorna, taka drobna, taka szczupła. Kasztanowe włosy, długie, pofalowane, błyszczące. Ludzie zawsze się za nią oglądają, jakby wносиła ze sobą coś więcej niż samą fizyczną obecność. Nie jest olśniewająco piękna, ale jej uśmiech i jej spojrzenie uwodzą, hipnotyzują.

Ma na imię Jana. Wiem, że go nie zapomnisz.

Pochodzi z ubogiej rodziny. Skacze przez fale z trójką rodzeństwa, słońce złoci jej skórę. Ma w sobie wrodzoną elegancję, ukryte piękno, które inni podziwiają w milczeniu, próbując odczytać jej myśli z ogromnych zielonych kocich oczu.

To wyjątkowy dzień: dzień wakacji, prezent od ojca. Prawie przez godzinę wiosłował po estuarium San Martín de la Arena, w którym mieszają się wody rzek Saja i Besaya, żeby zabrać ich na plażę La Concha. Za kilka godzin będą musieli wracać do Hinojedo, do pracy w pocie czoła, do rolniczej i robotniczej rutyny.

Nagle dzieje się coś dziwnego. Na plaży zapanowało poruszenie, które się szybko rozprzestrzenia. Przekazywane z ust do ust słowa za chwilę zamieniają ją w pustynię cierpliwie czekającą na lepsze czasy.

– Dzieciaki! Chodźcie tu! Natychmiast! – krzyczy rozpaczliwie jakiś mężczyzna.

To ojciec Jany – wysoki, szczupły, umięśniony, o orlim nosie i brązowych oczach, w których maluje się duma. Ma na imię Benigno. Dzieci bawią się w morzu, spoglądają na linię horyzontu, którą przerywa jedynie szara, skalista Wyspa Królików. Zaskoczone odwracają głowy. Jest za wcześnie na posiłek. Poza tym takim tonem nie woła się na obiad; nawet głupiec by się zorientował. Nieruchomieją wystraszone.

– Powiedziałem, że macie przyjść! David, Clara, Antonio... Jana! W tej chwili wyłaźcie z wody! – Mężczyzna krzyczy, idąc w stronę morza, czerwony, zmieniony na twarzy. – Wracamy do domu, natychmiast! No już! Szybko! Ubierajcie się! – woła, pokazując miejsce, gdzie rozłożyli

ręczniki. I gdzie pośpiesznie zbiera ubrania ich matka, Carmen, niskiego wzrostu, płowowłosa, o oczach w kolorze intensywnego błękitu i nieufnym spojrzeniu płochliwej myszki.

– Co się dzieje, tato? Co takiego zrobiliśmy? – pyta David, najstarszy z rodzeństwa. Wychodzi z wody i wystraszony podbiega do ojca.

– Nic. Nie zrobiliście nic złego. Do domu, bez gadania.

– Ale tatusiu! – odważa się wtrącić Jana. – Przecież dopiero co przyплыliśmy!

– Wracamy. No już!

Ojciec kończy dyskusję, pośpiesznie łapiąc za rękę Antonia i Janę. Lodowatym spojrzeniem nakazuje Davidowi i Clarze, żeby poszli za nim. Wystraszone dzieci przyglądają się niewytłumaczalnemu exodusowi: wszystkie rodziny opuszczają plażę.

– Tato, ale co...?

– Wojskowi przeprowadzili zamach stanu. Upadła republika. Mamy wojnę. Rozumiecie? Wojnę. Pierdoloną wojnę domową. Niech szlag trafi Boga i wszystkie zastępy niebieskie – odpowiada mężczyzna, powstrzymując jęk rozpacz.

Z tamtego ranka 18 lipca 1936 roku Jana nie zapamięta skakania przez fale ani słonego zapachu zimnej, lekkiej morskiej piany, ale przerażenie i panikę malujące się na twarzach rodziców i pośpieszny powrót do domu pożyczoną łodzią, której już nigdy więcej nie zobaczy.

Tamtego dnia wszystko, absolutnie wszystko, zalały milczenie, bieda i strach.

Kiedy przyglądam się zmarłemu, śmierć wydaje mi się wyruszeniem w drogę. Zwłoki robią na mnie wrażenie porzuconego ubrania. Ktoś sobie poszedł i nie był mu już potrzebny ten szczególny strój, który dotychczas nosił.

Fernando Pessoa (1888–1935)

Clara Múgica, patolożka sądowa ze specjalizacją z antropologii, była dosłownie zachwycona, kiedy dowiedziała się, że w Suances znaleziono ludzkie szczątki. Nie dlatego, że przestała odczuwać empatię wobec ofiar zbrodni i innych tragicznych wydarzeń – po prostu już dawno nauczyła się oddzielać pracę od uczuć.

Rzadko miała okazję wykorzystywać w praktyce swoją wiedzę z zakresu antropologii, jako że zazwyczaj trafiały do niej świeże zwłoki o dość prozaicznym pochodzeniu: ofiary przemocy domowej, narkotyków lub ulicznych bójek. Wiedziała, że chociaż będzie musiała wysłać wszystkie próbki do Instytutu Toksykologii i Ekspertyz Sądowych w Madrycie, wreszcie miała możliwość zbadania szczątków kostnych, najprawdopodobniej ludzkich.

Po ponad godzinie spędzonej w pustej, niezamieszkannej willi sędzia pozwolił zabrać zwłoki. Clara unikała odpowiedzi na pytania sierżanta Riveiro o przybliżony czas zgonu, bawiąc się z nim w kotka i myszkę. Wiedziała, że w takich przypadkach łatwo o pomyłkę, a ona była do bólu dokładna – stawiała tylko rzetelne diagnozy, które mogła poprzeć naukowymi dowodami.

W drodze powrotnej z Suances do Santanderu obmyślała, co zrobi krok po kroku po przyjeździe do laboratorium w Kantabryjskim Instytucie Medycyny Sądowej. Wreszcie będzie mogła wykorzystać wiedzę, którą zdobyła rok wcześniej podczas pięciodniowej wizyty w jej zdaniem najlepszym na świecie zakładzie antropologii sądowej, argentyńskim EAAF. Miała wrażenie, że w ciągu tygodnia spędzonego w Buenos Aires nauczyła się znacznie więcej niż podczas całego roku studiów.

Przy okazji tego krótkiego seminarium zrobili sobie z mężem miesięczne wakacje. Zwiedzili Argentynę, a potem polecili do Nowego Jorku i Waszyngtonu. Po drodze zatrzymali się w Knoxville,

w południowym stanie Tennessee, żeby odwiedzić ośrodek badań antropologicznych zwany potocznie trupią farmą. Clara wybrała się tam bardziej z ciekawości niż dlatego, że mogłoby jej to jakoś pomóc w pracy.

– Co tam knujesz? Jesteś podejrzanie milcząca – stwierdził sędzia Talavera, który odwoził ją do Santanderu.

W oczach Clary, brązowych i ruchliwych jak u wiewiórki, pojawił się uśmiech.

– My, kobiety, jesteśmy z natury makiaweliczne.

– Tak, wiem coś o tym. Mam w domu aż trzy – odparł Talavera, mając na myśli żonę i dwie prawie nastoletnie córki.

– Biedactwa, tylu facetów na świecie, a trafiłeś im się właśnie ty – zażartowała Clara. Znali się z sędzią od siedmiu lat i byli przyjaciółmi; od czasu do czasu razem z partnerami bywali u siebie w domach na kolacji.

– Ależ dowcipna ta nasza pani archeolog.

– Jeśli już, to antropolog.

– Jasne, jasne. Archeolog czy antropolog, spędzasz dni, grając w karty z umarlakami. Powiedz, o czym tak intensywnie myślałaś? O wieku szczątek? Pochodzą z czasów wojny domowej?

Clara z wahaniem pokręciła głową.

– Nie wiem, raczej nie są aż takie stare... Trzeba będzie poczekać na wyniki z laboratorium, ale wygląda na to, że leżały w ścianie przez kilkadziesiąt lat. Mam nadzieję, że robotnicy niczego nie zniszczyli, kiedy zaczęli rozwijać tłumok.

– Tłumok?

– Tak, nie widziałaś? Szkielet był szczelnie owinięty starymi prześcieradłami, robotnicy zaczęli je odwijać, przestali dopiero, kiedy wyłoniła się twarz.

– Chciałaś powiedzieć: czaszka – sprostował Talavera tonem nauczyciela poprawiającego uczennicę.

Wnętrze samochodu wypełnił perlisty śmiech Clary.

– Racja, wysoki sędzie: czaszka.

– I co, będziesz mogła dokładnie ustalić czas zgonu? To znaczy z jakim marginesem błędu? Miesiąca, roku, pięciu lat?

– To nie takie proste. Zawsze to samo. Jesteś jak gliniarze. Kiedy pojawiają się zwłoki, w pierwszej kolejności pytają: „od jak dawna tu są?”. Nie kto to jest, jaka jest jego historia. Ciekawe.

Talavera przez moment się zastanawiał.

– To kolejny etap.

– Wiem. No więc myślałam o notatkach, które zrobiłam w zeszłym roku podczas wizyty na trupiej farmie w Knoxville.

– Gdzie? Na trupiej farmie? Nic mi o tym nie opowiadałaś. To tak spędzasz urlop? O rany, nie wiem, jak ten Lucas z tobą wytrzymuje. Biedny facet pewnie myśli, że któregoś dnia zanurzysz go w formalinie – powiedział Talavera.

W odpowiedzi na docinki sędziego Clara z uśmiechem pokręciła głową.

– Przypominam ci, że Lucas też jest lekarzem.

– Tak, ale od żywych, tych, co chodzą i tak dalej.

Clara wykrzywiła twarz w grymasie.

– Odpowiadając na twoje pytanie: tak, zatrzymaliśmy się na parę dni w Knoxville, a trupa farma to ośrodek antropologiczny specjalizujący się w badaniach nad procesem niszczenia i rozkładu ludzkich zwłok w zależności od ich pozycji.

– Na przykład? Zwłoki stojące na rękach? Zwłoki popijające pod ziemią przedpołudniową kawkę?

– Widzę, że dopisuje ci dziś humor. Otóż dokładnie tak. Zwłoki umieszczane są w najprzeróżniejszych pozycjach i środowiskach: w sadzawce, w samochodzie, pod ziemią, na ziemi, nagie, ubrane... Zdobyte w ten sposób informacje są niezwykle cenne dla kryminalistyki. Dzięki nim wiadomo, po jakim czasie zwłoki zaczynają się rozkładać w zależności od środowiska. Zdziwiłyby cię wyniki tych badań i to, ile błędnych diagnoz udało się sprostować dzięki eksperymentom prowadzonym na trupiej farmie podlegającej Uniwersytetowi Tennessee.

– Uniwersytetowi?

– Owszem. Działka o powierzchni hektara, na której pracują antropolodzy, należy do Uniwersytetu Tennessee.

– Kurde, nieźle. Kto w ogóle na coś takiego wpadł? Na pewno jakiś twój kuzyn.

– Na pewno nie. Mój kuzyn chyba nigdy nie wyjechał z Palencii. Wpadł na to pewien patolog sądowy, który w latach osiemdziesiątych pomylił się przy ustalaniu wieku kości. O jakieś sto lat. Zwłoki pochodziły z czasów wojny secesyjnej. Wtedy doszedł do wniosku, że jeżeli chcą mieć wiarygodne dane, powinni przestać eksperymentować ze świniami i przerzucić się na ludzi.

– Nie wierzę! Jak to ze świniami?

– Bo z fizjologicznego punktu widzenia one najbardziej przypominają człowieka. Wystarczy spojrzeć na ciebie – powiedziała Clara, bezczelnie patrząc na brzuszysko Talavery.

Sędzia z uśmiechem zmarszczył czoło.

– Zgoda, ogłaszam zawieszenie broni, pani doktor. Za pięć minut będziemy w twoim laboratorium. Na pewno w drzwiach czeka na ciebie Frankenstein – dodał, skręcając na rondzie. – I co, odkryli coś na tej farmie czy porzucają tam zwłoki w stylu *Teksańskiej masakry piłą mechaniczną*?

Clara westchnęła, kolejny raz ignorując sarkastyczną uwagę sędziego.

– Odkryli bardzo dużo i wciąż odkrywają. Dzięki nim wiemy na przykład, że zwłoki rozkładają się szybciej latem niż zimą i że ich rozpad przebiega inaczej w zależności od tego, czy są ubrane, czy nagie.

– Wielkie mi odkrycie. Nawet ja bym się tego domyślił.

Clara ciągnęła dalej, niezrażona komentarzem Talavery:

– Wiemy też, że można codziennie przechodzić w pobliżu trupa i nawet się nie zorientować, bo odór zwłok rozchodzi się w promieniu zaledwie dziesięciu metrów.

Talavera otworzył usta, żeby rzucić kolejną uwagę, ale Clara nie dała mu dojść do słowa.

– Wiemy, wysoki sędzie, że im głębiej zakopane jest ciało, tym dłużej się rozkłada; że zwłoki osoby otyłej – znów spojrzała na brzuch sędziego – ulegają zeszkieletowaniu szybciej niż zwłoki osoby szczupłej, tracąc do osiemnastu kilo dziennie; że ciało może przetrwać w niemal nienaruszonym stanie całą zimę i wiosnę, po czym ulec zeszkieletowaniu w ciągu tygodnia upałów... Wyobraź sobie te wszystkie robaki. Pierwsze pojawiają się...

Sędzia wszedł jej w słowo:

– Dobrze, już dobrze, na dziś mi wystarczy. Kurna, przez ciebie zaraz się porzygam. Spójrz, już dojechaliśmy – powiedział, parkując na drugiego, żeby wysadzić koleżankę przed instytutem medycyny sądowej.

– Mięczak z ciebie – odparła Clara z uśmiechem, otwierając drzwi auta.

– Wiem. Zadzwoń, kiedy będziesz coś miała, dobra?

– Dobra, dam ci znać.

Clara pospiesznie zamknęła drzwi samochodu i popędziła do biura. Szczątki małej istotki wkrótce miały dotrzeć do laboratorium, a ona musiała jeszcze dokończyć dwa sprawozdania dla sądu. Wszyscy wyobrażali sobie, że całymi dniami rozcina zwłoki jak w serialu *CSI*, ale prawda była taka, że większość czasu spędzała w gabinecie, pisząc raporty, zatwierdzając materiały dowodowe i nadzorując pracę laboratorium.

Dwie godziny później, dojadając kanapkę z tuńczykiem i jakimś niezidentyfikowanym sosem – uprzejmość baru szpitala uniwersyteckiego Marquésa de Valdecilli – Clara Múgica weszła do zakładu patologii sądowej mieszczącego się na parterze dawnej przyszpitalnej kostnicy, żeby zbadać zwłoki znalezione w Suances. Idąc korytarzami, jak zwykle pomyślała z żalem, że jej kuchnia mogłaby być chociaż w połowie tak czysta i sterylna jak pomieszczenia laboratoryjne zastawione regałami pełnymi kości udowych, piszczeli, szczęk i innych ludzkich szczątków. Niektóre znajdowały się w słoikach, inne leżały luzem. Stanowiły materiał badawczy albo dowody w sprawach sądowych.

Wreszcie stanęła przy stole sekcyjnym, na którym leżało niemowlę. Było tak maleńkie, jakby nie przeżyło na świecie nawet chwili. Na Clare czekali asystenci, którzy mieli pomagać jej tego popołudnia: Pedro Míguez i Almudena Cardona. Był też Ulloa, gwardzista z laboratorium kryminalistycznego, nieruchomy, niemy cień. Zawsze stał z boku i praktycznie się nie odzywał, niczym duch przysłany do pilnowania zwłok, mogli więc pracować tak, jakby go nie było. Clara przywitała się

ze wszystkimi i poprosiła Mígueza o przygotowanie pojemnika z wrzącą wodą, do którego wrzuca kości, żeby usunąć miękkie tkanki przylegające do szkieletu, zanim przystąpią do badania.

Patolożki zabrały się za rozwijanie pozólkłych, zeszywniałych, poprzecieranych prześcieradeł, którymi obleczono malutkie zwłoki. Usunęły pierwszy kawałek płótna, a kiedy przystąpiły do odwijania kolejnego, nagle znieruchomiały. Nie spodziewały się czegoś takiego. Jako pierwsza zareagowała Cardona.

– Widzisz to, co ja?

– Nie do wiary – odparła zdumiona Clara.

– Co to jest? Jakaś figurka Majów? – zapytała Cardona, z niedowierzaniem marszcząc czoło.

Clara trzymała w dłoniach dziwną figurkę w odcieniu wyblakłej zieleni. Ulloa, który zazwyczaj nie ruszał się z kąta sali, podszedł, żeby ją obejrzeć. Była wielkości kciuka, przedstawiała ciało tubylca z piórami na głowie i przy pasie, o nieproporcjonalnie wielkich, otwartych ustach, z których wychodziły albo do których wchodziły dwa wijące się węże.

– Tak... – zaczęła Clara. – Rzeczywiście wygląda na aztecką czy inkaską, ale to niemożliwe. Zwyczajnie niemożliwe. Dom przy plaży La Concha w Suances, w którym zamurowano zwłoki, ma jakieś osiemdziesiąt lat. Góra sto. Trzeba będzie to wysłać do konserwatora zabytków – powiedziała, spoglądając najpierw na Ulloę, na twarzy którego nie malowały się żadne emocje, a potem na Cardonę. W końcu ponownie skierowała wzrok na groteskową figurkę, która zdawała się z nich kpić.

– Wygląda jak pamiątki z Riviera Maya, które sprzedawali w Tulum albo przy plaży Carmen, już dokładnie nie pamiętam – odpowiedziała Cardona, która dwa lata wcześniej była ze swoim chłopakiem na tygodniowych wczasach w Meksyku.

Clara Múgica w milczeniu skinęła głową, przyglądając się z uwagą niepokojącej figurce przypominającej jakiś pradawny, telluryczny symbol.

– Spójrz – wskazała koleżance – wygląda na to, że był przywiązany do nitki, która wypadła z prześcieradła. Może to jakiś wisiorek.

– Dość paskudny wisiołek – odparła z uśmiechem Cardona, marszcząc brwi.

Clara także się uśmiechnęła.

– Owszem, ten zielony smerf nie jest zbyt urodziwy – powiedziała, z namysłem przyglądając się figurce. – Będzie też trzeba sprawdzić, z czego jest zrobiony... bo to chyba raczej nie szmaragd. Zielona barwa... Czyżby oliwiny? Powinien go obejrzeć jakiś ekspert. – Clara rozmawiała sama ze sobą. Nie potrafiła stwierdzić, co trzyma w rękach, z jakiego okresu pochodzi figurka, z czego jest zrobiona, a tym bardziej dlaczego umieszczono ją przy zwłokach. Jediną rzeczą, której była pewna, to fakt, że ma ona związek ze szczątkami.

Ulloa, jak zwykle bez słowa, z uwagą wpatrywał się w tajemniczy zielony przedmiot. Stwierdził, że to dziwny pomysł wsadzać coś takiego do całunu. Świat jest pełen wariatów.

Tymczasem patolożki dalej ostrożnie rozwijały prześcieradła. Nie natknęły się już na więcej niespodzianek. W środku znajdowały się małe zwłoki, które zanim zamieniły się w szkielet, ważyły góra dwa i pół kilograma. Nadal były obleczone skórą, twardą, suchą i popękaną.

– Zauważyłaś? – zapytała szefową Cardona. – Zwłoki są zmumifikowane!

– Tak – przytaknęła w zamyśleniu Clara. – Co skłania mnie do wniosku...

– ...że zostały wystawione na działanie wysokiej temperatury, prawda? – pośpiesznie dokończyła Cardona, chociaż w przeciwieństwie do koleżanki nie była specjalistką od antropologii sądowej.

Clara uśmiechnęła się, słysząc jej komentarz.

– Niewykluczone. Ale myślałam raczej o tym, że zwłoki należą do noworodka, który urodził się martwy albo któremu ktoś pozwolił umrzeć z głodu i z zimna.

– Skąd taki wniosek?

– Bo ciała noworodków to jeden z nielicznych wyjątków od zwykłego procesu rozkładu. Nie mają w środku flory bakteryjnej napędzającej proces gnilny. Ciało, które nigdy nie przyjmowało pokarmów, w sposób

naturalny się zmumifikuje, jeżeli pozostanie we względnie suchym środowisku.

– Aha – bąknęła Cardona, zła, że sama na to nie wpadła.

– Oczywiście najprawdopodobniej było tak, jak mówisz, i zwłoki zostały wystawione na działanie wysokiej temperatury – wsparła ją Clara. – Może w pobliżu ścianki, w której zostały zamurowane, znajdował się kominek albo kocioł, chociaż nie zauważyłam niczego takiego w piwnicy. – Patolożka przerwała, spoglądając na zwłoki. – Biedne maleństwo – dodała szeptem.

Czterdziestoosmioletnia Clara Múgica nie miała dzieci. Nie mogła ich mieć z powodu mięśniaków usuniętych już prawie dwadzieścia lat temu podczas dwóch operacji, które zniszczyły jej macicę. Uznała, że jest szczęśliwa sama ze sobą, ze swoim mężem i jego trzema stukniętymi siostrzenicami. Instynkt macierzyński dał o sobie znać tylko raz, przelotnie i niezbyt natarczywie, w momencie, kiedy dowiedziała się, że jest bezpłodna. Ale tamtego popołudnia w laboratorium, stojąc przy stole sekcyjnym, na którym spoczywały zwłoki noworodka obojętne na tajemnicę dziwnej zielonej figurki, poczuła ostry, przenikliwy ból i zajęła się małym ciałkiem tak czule i delikatnie, jakby kołysała je w ramionach.

DZIENNIK (2)

Podręczniki do historii mówią, że hiszpańska wojna domowa trwała trzy lata: od dnia, w którym wybuchła dla Jany na plaży w Suances, zasypując wszystko piaskiem, do początku kwietnia 1939 roku. Nie wierz im – to jedno z tych kłamstw, które unoszą się na falach naszych głosów i przemilczeń i kryją się za niepełnymi prawdami poświadczonymi podpisem na dokumentach. Podręczniki do historii nie zawsze przekazują dokładne informacje. O pełnym obrazie rzeczywistości decydują niuanse. Ale tamte czasy były szare i niemiło się je wspomina.

Ubierz się ciepło – mamy październik 1936 roku. Od wybuchu wojny minęły trzy miesiące. Jest wczesnie rano, na zewnątrz jest zimno.

– Weź tylko koce i te dwa bochenki, a resztę zostaw – mówi mężczyzna do żony, ponaglająco, nie kryjąc zdenerwowania.

– Już.

Kobieta nawet na niego nie patrzy, jej niebieskie oczy omiatają pomieszczenie i ubrania, które trzyma w dłoniach. Bierze koce i chleb kukurydziany, jak przykazał jej mąż. Nie odrywając wzroku od tego, co wkłada do płóciennej torby, woła głośno swojego najstarszego syna:

– Davidzie, no już, załóż Antoniowi kurtkę.

David ma dwanaście lat, ciemne spojrzenie w kolorze jesiennego liścia dębu i proporcjonalne, szczupłe ciało. Zaczyna kształtować się jego charakter: silny i zdecydowany. Posłusznie wykonuje polecenie matki i zakłada kurtkę Antoniowi. Chociaż chłopczyk ma już trzy i pół roku, zachował dziecięcy wyraz twarzy o zaokrąglonych rysach i niewinnych oczach barwy zielonej łąki i pszczelego miodu. Oczach błyszczących, a od kilku tygodni – wystraszonych.

Jana i Clara są już gotowe. Ciepło się ubrały. Ale tam na górze nie wystarczają nawet najcieplejsze ubrania, nie chronią przed wilgocią, zimnem i wstrzymywanymi oddechami.

Clara ma dziesięć lat, chorobliwie bladą cerę i jasnoszare oczy. Ich spojrzenie często wzbudza niepokój tych, na których zawiesza wzrok. Jej uroda jest charyzmatyczna, niecodzienna, dziwna. Ojciec mówi,

że przypomina księżniczkę z porcelany – białą, kruchą i delikatną. Ma takie same kasztanowe falowane włosy jak Jana – pełna energii, ciepła i marzeń, tak bardzo różna od siostry.

Ciemnowłose piękności siedzą w nogach łóżka, które dzielą z braćmi. Stoi na wprost sypialni rodziców, Benigna i Carmen. Domek nie jest duży: dwa pokoje, korytarzyk prowadzący do kuchni i kurnik, gdzie załatwiają swoje potrzeby. Skromny budynek znajduje się nieopodal huty cynku Asturiana de Zinc, w której pracuje Benigno. Otaczają go płatany strzegące wejścia do ogródka, gdzie rodzice uprawiają warzywa.

– Boisz się? – pyta Clara młodszą siostrę.

– Nie. Dlaczego? – odpowiada Jana, nie odrywając wzroku od butów.

– Bo nic nie mówisz.

– Ty też nic nie mówisz.

– Ale zwykle to ty całymi dniami trajkoczesz. Ja się nie boję. Ani trochę.

Nic a nic.

– Naprawdę? – pyta Jana, podnosząc wzrok na siostrę.

– Oczywiście. Nic złego się nie stanie. Wiesz dlaczego?

– Nie. Dlaczego?

– Bo mamy siebie. Najważniejsza jest nasza rodzina, żebyśmy byli razem. Zresztą nie martw się, ja się tobą zaopiekuję. Jestem najstarsza – mówi Clara, po czym prostuje plecy i wyciąga szyję, żeby dodać sobie wzrostu.

– Najstarszy jest David – odpowiada Jana z lekkim uśmiechem.

– Chłopaki są do niczego. Mam prawie tyle samo lat, co on. Niedługo będę już kobietą. – Clara na moment przerywa. – Zawsze będę się tobą opiekowała, nie bój się. Będę jak Tata Lis – dodaje, obejmując siostrę ramieniem.

Jana znów spuszcza wzrok na buty.

– Tata Lis? – pyta ze zmarszczonym czołem.

– No przecież, głuptasie. Nie wiesz, że Tata Lis opiekuje się szczeniętami, kiedy mama szuka jedzenia?

– Kłamczucha. Szczeniętami zajmuje się Mama Lis, kiedy Tata Lis pracuje. Jak nasz tata.

– Wcale nie. Często to właśnie Tata Lis opiekuje się młodymi. Wiem to od babci. Samca można rozpoznać po uszach, lisy mężczyźni mają uszy jak nietoperze – mówi Clara, wykrzywiając twarz na myśl o nietoperzach. Jej mina rozśmiesza Janę.

– Wszyscy gotowi? – Benigno przerywa rozmowę córek, chociaż jego pytanie jest czysto retoryczne. – W takim razie idziemy.

Jeszcze nie wzeszło słońce. Cała rodzina w milczeniu wspina się na wzgórze Maser de Castío, które przytuli ich jak matka i ukołysz w ramionach, uspokajająco szepcząc im do ucha.

– Stop! Czekać! – Zatrzymuje ich dobiegający z tyłu krzyk jakiegoś mężczyzny.

Głos brzmi znajomo. Benigno odwraca głowę. Bada wzrokiem ciemność, próbując ustalić, skąd dochodzi.

– Braulio! Niech cię cholera, ale mnie wystraszyłeś. Następnym razem się pokaż. Co się dzieje?

– Nic takiego. Miałem powiedzieć ci wczoraj, ale przez moją Juanę zupełnie wyleciało mi z głowy.

– Gratulacje, Carmen mówiła, że dziecko urodziło się zdrowe. Nie miałem czasu, żeby do was zajrzeć, fabryka, sam rozumiesz. No ale mów, co się dzieje?

– Dzieje się to, że wydeptujemy na zboczu ścieżkę. Niedługo stanie się widoczna z powietrza. Dlatego złapałem cię tak wcześniej, żebyście poszli z dziećmi inną trasą, łatwą, którą pokazał nam Lucho – mówi. Kładzie nacisk na słowo „łatwą”, spoglądając na czwórkę rodzeństwa.

– A reszta? Też wejdzie tamtędy czy starą trasą? Jest jeszcze jedna wydeptana ścieżka przy domu Castru, tyle że dłuższa.

– Wiem. Co parę dni będziemy zmieniali trasę. Dzisiaj młodzi wchodzi od południa, my ścieżką przy starych murach, a Casetowie drogą dla bydła. Moja Juana już jest na górze.

Benigno kiwa głową.

– Wobec tego chodźmy – mówi. Ufa swojemu sąsiadowi Brauliovi, z którym łączy go wola przetrwania.

Za późno.

Z góry dobiega odległe buczenie samolotu. Ryk silnika nie jest zbyt głośny – to tylko jeden myśliwiec. A jednak nie. Jest ich kilka.

Rodzina nie traci czasu na zbędne słowa. Braulio także. Wystarczy mu jeden rzut oka na Benigna trwający zaledwie dwie sekundy. Puszczają się biegiem. Pędzą. Tylko Antonio jest niesiony przez ojca. Pozostali walczą o życie własnymi siłami.

W rekordowym tempie docierają do jaskiń. Dwóch małych jaskiń, które w czasach bez wojny i pocisków zamieszkiwały lisy i nietoperze.

Pierwsza dobiega Jana – zawsze była najszybsza. Pozostali dołączają do niej kilka sekund później. Pochyleni wchodzą do groty. Siedzą tam już inni mieszkańcy miasteczka, jak widać bardziej przezorni od nich. Jest z nimi żona Braulia, z maleńkim noworodkiem owiniętym w koce. Przystawia go do obnażonej piersi, która zapewnia mu ciepłe śniadanie i zamyka buzię, żeby nie płakał.

W milczeniu wciskają się do jaskini, bez słowa powitania. Strach dławi im struny głosowe i ściska ich między żołądkiem a sercem, które wali szybko i głośno.

Ogłuszający ryk silników. Coraz bliżej. Widzieli ich? Prawie na pewno. Wygląda na to, że mieli szczęście. Lot rozpoznawczy. Nad Masera de Castío przelatują dwa jednopłatowe sowieckie myśliwce Polikarpow I-16 należące do republikanów. W ciemnościach nie zawsze można odróżnić, po której stronie walczą metalowe ptaki. Z jednopłatowców w wojskowych barwach korzystają zarówno nacjoniści, jak i republikanie. Ci pierwsi nazywają myśliwce wroga *ratas* – szczurami, ci drudzy zaś *moscas* – muchami. Karabiny maszynowe zdobiące skrzydła oddają tysiąc sześćset strzałów na minutę. Jednak tego ranka oba samoloty chowają swoje cenne SzKAS-y.

W jaskini panuje milczenie. Wibrowanie powietrza i strach podpowiadają jej tymczasowym mieszkańcom, że niebo pruje jeszcze jedno metalowe zagrożenie. Mają rację. Trzeci samolot z rykiem przesywa powietrze. Jana wstrzymuje oddech. Za jednopłatami podąża angielski myśliwiec Fairey Fantôme wyposażony w cztery karabiny maszynowe MG Browning i cztery dziesięciokilowe bomby. Oddalają się. To wszystko republikańskie samoloty.

W jaskini rozlegają się pierwsze szepty.

– Wcześniej wstają, skurczybyki – stwierdza Braulio, kiedy myśliwce zamieniają się w punkciki na niebie rozjaśnionym blaskiem wschodzącego słońca.

– No – odpowiada ojciec Jany i wypuszcza ustami powietrze.

– Widzieliście, czy to były szczury? – pyta Pedro, krzepki, szeroki w barach szesnastolatek z sąsiedniego Hinojedo, który ukrył się w tej samej jaskini.

– A kto jak nie czerwoni? – dziwi się Benigno.

– Oczywiście – stwierdza Braulio, wchodząc w słowo Pedrowi, który otwiera usta, żeby odpowiedzieć. – Czerwoni, bez dwóch zdań. Zaznaczają teren, jak psy. Powinni jeszcze go oszczać.

– Za to tamci to pierdolone muchy – dodaje ochrypłym głosem Pedro, zdradzając swoje republikańskie sympatie.

– Natrętne muchy – poprawia z uśmiechem Braulio, który ma takie same poglądy jak chłopak.

Benigno kiwa głową. Popiera rząd republikański, bo został demokratycznie wybrany, ale podobnie jak reszta chłopów nie sympatyzuje z żadną partią polityczną ani grupą wojskowych. Interesuje go głównie przetrwanie.

Tego ranka republikańskie szczury i nacjonalistyczne muchy przecinały inne nieba. Kiedy po trzech godzinach spędzonych w kucki Jana wyszła wreszcie z jaskini, odkryła, że zsikała się w majtki.

Kolejne miesiące i lata na zawsze naznaczyły Janę i jej rodzinę. Dusza kobiety niczym studnia wypełniła się bliznami, gniewem, żądzą władzy. I ambicją. Nie zapominaj, że w każdym z nas drzemie ukryta bestia.

Jeśli ktoś chciałby nam przekazać jakąś prawdę, to niech jej nie wypowiada [...]. Niech nas ku niej nakieruje, abyśmy mogli sami ją odkryć.

José Ortega y Gasset (1883–1955)

Oliver czekał na swojego prawnika w jego kancelarii w Santanderze, w przestronnym gabinecie, do którego sekretarka poprowadziła go labiryntem pokrytych wykładziną korytarzy. Intrygowało go, czy facet rzeczywiście przeczytał te wszystkie książki wypełniające masywne regały, czy umieścił je tam dla ozdoby. Ledwo się powstrzymał, żeby nie podejść do jednego z nich i nie sprawdzić, czy co najmniej stutomowa kolekcja w twardych okładkach składa się z prawdziwych książek, czy są to kartonowe atrapy jak w sklepie z meblami. Iluzja mająca zrobić wrażenie na naiwnych klientach.

Ale jego prawnik, San Román, nie dał mu czasu na dokładne obejrzenie klasycznie urządzonego gabinetu pełnego książek, dyplomów i obrazów w barokowych złotych ramach przedstawiających niezidentyfikowane bitwy morskie; wewnątrz załatywało starzyzną, ale było czyste i przytulne. Mężczyzna dobrze się trzymał, chociaż wydawało się, że już dawno powinien był przejść na emeryturę. Wszedł do gabinetu bocznymi drzwiami, nie tymi, co Oliver. Podszedł do swojego klienta i ku jego zaskoczeniu uściskał go na powitanie.

– Nawet nie wiesz, chłopcze, jak się cieszę, że cię widzę, świetnie wyglądasz – powiedział zaskakująco młodzieńczym, pełnym wigoru głosem.

– Dziękuję, pan też.

Prawnik machnął ręką, podchodząc do fotela za biurkiem.

– Dobra, dobra, nie musisz się silić na komplementy dla takiego ramola, co ma już wszystko sztuczne. I mów mi na ty, znamy się tak długo, że nie musimy się bawić w formalności.

Kiedy San Román siadał za biurkiem, Oliver zastanawiał się, co prawnik może mieć sztucznego. Na pewno uzębienie, wyglądało zbyt idealnie. Nosił tupecik? A to za uchem...? Czyżby nowoczesny aparat

słuchowy? Brytyjskie wychowanie nakazało mu jednak powstrzymać się od zadawania pytań i ograniczyć do potaknięcia.

– No dobrze, chłopcze, do rzeczy. Przykro mi z powodu tego, co się wydarzyło w Villa Marina, to musiało być bardzo nieprzyjemne przeżycie – powiedział prawnik, odnosząc się do zwłok noworodka znalezionych w willi.

– Tak, i dość nieoczekiwane.

– Wiadomo już coś o szczątkach?

– Nie mam pojęcia. Ale raczej nie, minęło pięć dni, a Gwardia Cywilna jeszcze się ze mną nie skontaktowała. Pewnie mają na głowie pilniejsze sprawy. Siedzieli w domu dwa dni, a nawet szukali georadarem innych dziecięcych zwłok czy licho wie czego. Zupełnie jak w filmie. Byli bardzo profesjonalni i dyskretni, ale na pewno widziałeś, jaką sensację zrobiły z tego gazety.

– Tak, widziałem. Piszą o sprawie „mumii z Villa Marina”.

– Wiem. W jednej z gazet użyli określenia „anioł z Villa Marina”, bo to zwłoki dziecka. A raczej noworodka, sądząc po wielkości. Od razu znalazły się osoby, które rzekomo zaobserwowały w okolicach domu dziwne zjawiska: słyszały jakieś dźwięki, widziały światła i oczywiście ducha dziecka. Mam nadzieję, że te informacje się nie rozniosą, bo mogłyby zaszkodzić mojemu przyszłemu biznesowi.

– Albo pomóc.

– Jak to?

– Chodzi mi o reklamę. Ludzie uwielbiają historie o duchach. Pomyśl, czy nie warto oprzeć na tym całego interesu – zasugerował prawnik z uśmiechem, który nieznacznie wygładził liczne zmarszczki żłobiące jego dostojną, dobrotliwą twarz. – A jak się miewa twój ojciec?

– Dziękuję, dobrze. Jest teraz w Szkocji, pojechał do Highlands, do swojego brata.

– Aha. A twój brat? Coś już wiadomo?

– Nic – odpowiedział Oliver, kręcąc głową. W jego oczach malowało się niezadowolenie.

– Rozumiem. Twoja mama próbowała namierzyć go z moją pomocą, ale nam się nie udało. Wynajęliśmy nawet detektywa i też nic. Na pewno

wiesz, że przyleciała tu na krótko przed... śmiercią. Była przekonana, że Guillermo jest w Hiszpanii.

– Tak, wiem.

– Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy, Oliverze. Darzyłem ją ogromnym szacunkiem. Pracowałem dla niej przez długie lata. Odkąd stąd wyjechała, większość spraw załatwiał wasz londyński prawnik, ale ja nadal zajmowałem się wszystkim, co miało związek z Hiszpanią. Znaliśmy się od ponad trzydziestu lat.

– Wiem. Bardzo liczyła się z twoim zdaniem, miała do ciebie pełne zaufanie.

Na kilka sekund zapadło milczenie. Twarz San Romána spochmurniała.

– Trudno uwierzyć, że jej zabójca jest już na wolności.

– Tak... Ale to był wypadek. Codziennie zdarzają się ich setki, po prostu nie spodziewamy się, że coś takiego spotka nas albo kogoś z naszych bliskich – odparł Oliver. Chociaż jego twarz przybrała poważny wyraz, w jego oczach malował się spokój.

– Był pijany. Powinien siedzieć w więzieniu, a nie odrabiać prace społeczne. Wiem, że skazano go za nieumyślne spowodowanie śmierci, ale jeżeli wsiadasz do samochodu w takim stanie... Posłuchaj, Oliverze, od wielu lat pracuję w tym zawodzie i wiem, że tchórze i mordercy wykorzystują przepisy prawa, dopasowując je do swoich potrzeb.

– Myślałem, że to działka prawników – odpowiedział z ironią Oliver, próbując rozładować napięcie. Chciał zmienić temat, bo nie miał ochoty rozmawiać o pijanym dwudziestolatku, który zabił jego matkę na przejściu dla pieszych w Southfields, na południu Londynu, kiedy w sobotnie popołudnie wracała do domu z zakupami.

San Román zrozumiał, że Oliver woli nie poruszać tak osobistych tematów. Jego klient nie spodziewał się jednak, że dokumenty, po które przyszedł, odkryją przed nim rodzinną tajemnicę. Prawnik zamierzał przekazać mu informacje w sposób możliwie taktowny i pozwolić, żeby Oliver sam wyciągnął wnioski. Wiedział, że to inteligentny mężczyzna.

– Dam ci dokumentację związaną z Villa Marina, o którą mnie prosiłeś, ale jest kilka kwestii, które jako ekspert w dziedzinie prawa czuję się w obowiązku wyjaśnić.

Oliver ze zdziwieniem uniósł brwi. Tylko tego mu brakowało: kolejnej niespodzianki. Co takiego szykuje dla niego ten stary lis? Westchnął zrezygnowany.

– Mów.

San Román bezzwłocznie otworzył brązową teczkę leżącą na biurku i wyjął z niej kilka kserówek. Przesunął je po blacie w stronę Olivera i wyjaśnił:

– Jak wiesz, twoja matka, jako osoba na stałe zameldowana w Wielkiej Brytanii, z brytyjskim obywatelstwem, pozostająca w ustroju rozdzielności majątkowej, sporządziła testament zgodnie z prawem anglosaskim, które nie przewiduje automatycznego dziedziczenia majątku przez dzieci, w przeciwieństwie do prawa hiszpańskiego...

– Wiem – przerwał mu Oliver. – Mimo to pamiętała o swoich dzieciach i raczej po równo je obdzieliła.

– Rzeczywiście – odparł San Román. – Tobie zostawiła w spadku Villa Marina, bo wiedziała, że chętnie przyjeżdżasz do Suances i Santanderu. Chociaż dom wymaga gruntownego remontu, ma sporą wartość, choćby ze względu na bliskość plaży.

– Nie rozumiem, do czego zmierzasz.

– Cierpliwości. Pokazuję ci fragmenty obrazu, które stopniowo złożysz w całość. Idźmy dalej. Guillermowi zapisała w spadku małe mieszkanie w Chelsea...

Oliver ponownie wszedł prawnikowi w słowo:

– Jak mówiłem, obdzieliła nas sprawiedliwie, po pierwsze dlatego, że Guillermo ma w dupie Suances i Kantabrię, a po drugie mieszkanie w centrum Londynu jest warte więcej niż największa willa w Suances.

San Román odpowiedział uśmiechem.

– Nie zaperzaj się tak. Wiem, że wasza matka sprawiedliwie podzieliła majątek. Testament sporządziła wiele lat temu. Kopie podpisanych przez nią dokumentów masz przed sobą. Zgodnie z jej życzeniem ani wasz prawnik w Londynie, ani ja nigdy wam ich nie pokazaliśmy. Chciała, żebyśmy po prostu poinformowali was o podziale nieruchomości i oszczędzili wam wszelkich formalności.

– No dobrze, i...? – zapytał z niecierpliwością Oliver, niechętnie rzucając okiem na papiery.

– I... – Prawnik, nieporuszony, ciągnął swój wywód: – Zostawiła okazałe kwoty w funtach tobie i twojemu bratu. Jego część została oddana do depozytu. Ale zapisała też coś stronie trzeciej.

– Stronie trzeciej? – Oliver próbował szybko przetworzyć tę informację. – Jak to stronie trzeciej? Chodzi ci o mojego ojca.

– Nie – odparł natychmiast prawnik.

Oliver westchnął.

– Wybacz, ale jeżeli zaraz się dowiem, że moja prawie sześćdziesięcioletnia matka miała kochankę, to po wyjściu od ciebie wypiję szota cykuty.

San Román wybuchnął gromkim śmiechem.

– Nie, chłopcze, za daleko się zagalopowałeś. Nigdy nie spotkałem drugiej równie uczciwej kobiety, która tak bardzo kochałaby swojego męża. Spokojnie, nie chcę marnować twojego czasu. Od razu przejdę do rzeczy: twoja matka przekazała resztę pieniędzy klaryskom z klasztoru w Santillanie del Mar, tutaj, w Kantabrii.

– Klaryskom? Przecież mama nie była religijna! – wykrzyknął z niedowierzaniem Oliver.

– Nie, nie była. Ale była wdzięczna.

– Wdzięczna?

– Za moment zrozumiesz. Powiedziałem ci o klaryskach, bo mają one bezpośredni związek z dokumentacją willi, po którą przyszedłeś. Proszę cię jeszcze o chwilę cierpliwości. Po lewej masz testament, którego zapis już ci streściłem, poza fragmentem dotyczącym twojego ojca, który odziedziczył okazałą sumę pieniędzy oraz kolekcjonerski samochód. Po prawej leży akt własności Villa Marina z załącznikami. Kiedy je przejrzysz, przekonasz się, że nieruchomość nie została nabyta w wyniku transakcji kupna-sprzedaży.

– Jak to nie? Dziadkowie kupili dom, umarli i dostała go mama, ona umarła i dostałem go ja, koniec historii.

– Początek tej historii przedstawia się inaczej, niż zakładasz. Twoi dziadkowie nie kupili Villa Marina. Ani jej nie odziedziczyli. Nabyli

ją poprzez *usucapio*.

– Usu co? – zapytał zdumiony Oliver.

– *Usucapio*, czyli zasiedzenie.

– Co to dokładnie oznacza?

– Oznacza, że zgodnie z artykułami od tysiąc dziewięćset trzydziestego do tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego hiszpańskiego Kodeksu cywilnego z tysiąc osiemset osiemdziesiątego dziewiątego roku twoi dziadkowie nabyli prawa do nieruchomości poprzez jej nieprzerwane posiadanie przez wymagany prawem okres.

– Co chcesz mi powiedzieć? Że moi dziadkowie byli skłotersami?

Zmarszczki na twarzy San Romána wygładził uśmiech.

– Nie, chcę ci powiedzieć, że nabyli prawo do nieruchomości wskutek jej nieprzerwanego posiadania, bez żadnych przeszkód ani żądania zwrotu ze strony prawowitego właściciela. Kodeks cywilny wymaga upływu co najmniej dziesięciu lat przy zasiedzeniu w dobrej wierze z tytułem prawnym i trzydziestu lat przy zasiedzeniu w złej wierze bez tytułu prawnego.

Oliver przez moment milczał.

– Krótko mówiąc, ten prawowity właściciel podarował dom moim dziadkom. O to ci chodzi?

– W uproszczeniu tak. Na własny użytek spisali umowę, zgodnie z którą termin zasiedzenia upływał po dziesięciu latach posiadania, pod warunkiem że twoi dziadkowie nie sprzedadzą domu i przekażą go swoim prawowitym spadkobiercom.

– No dobrze. Domyślam się, że wiesz, skąd ta niezwykła szczodrość. Bo nikt nie daje w prezencie willi nad morzem ot tak sobie. Z tego, co mi wiadomo, dziadkowie nie mieli innych nieruchomości ani nie znali żadnego milionera. Skoro sprezentowano im Villa Marina, musiał istnieć ku temu jakiś ważny powód – wnioskowałam Oliver, spoglądając pytająco na prawnika.

– Masz rację, musiał. Za tą niezwykłą hojnością na pewno kryła się jakaś ważna przyczyna, ale nie jest mi ona znana. Twoja matka także dowiedziała się o trybie nabycia willi dopiero po śmierci twojego dziadka.

– To znaczy, że mama wiedziała? – zapytał Oliver szczerze zdumiony, przesadnie wytrzeszczając oczy.

– Dowiedziała się jakieś dziesięć lat temu, kiedy po śmierci jej ojca trzeba było przejrzeć całą dokumentację majątku. Pamiętasz, że doña Úrsula, twoja babcia, miała problemy z głową, chorowała na alzheimera. Twoja mama została ustanowiona jej opiekunem prawnym, sam załatwiałem w sądzie wszystkie formalności. Czasami wydawało się, że doña Úrsula rozumuje przytomnie, ale miewała też okresy zaćmienia, kiedy wymyślała różne niestworzone historie. Bez przerwy rozpamiętywała przeszłość. Kiedyś wyznała twojej matce, że nie jest jej biologiczną córką.

– Że co? Co chcesz mi powiedzieć? – odpowiedział Oliver podniesionym głosem. – Że mama została adoptowana? Kurna, jeszcze tylko tego brakowało. A to nie było przypadkiem bredzenie schorowanej staruszki? – Kręcił głową, przytłoczony informacjami, które zachwiały jego światem. Nagle poczuł się zagubiony i samotny.

Prawnik dał mu zaledwie kilka sekund na ochłonięcie. Było mu żal chłopaka, któremu ostatnio zwałił się na głowę cały świat.

– Oliverze, rozumiem, że to dużo informacji naraz. Gdyby nie to, że w Villa Marina pojawiły się te... zwłoki i muszę przekazać ci dokumenty, nigdy byś się o tym wszystkim nie dowiedział. Wasza mama nie chciała, żebyście poznali prawdę. Nie wiem nawet, czy po powrocie do Londynu powiedziała o tym waszemu ojcu. Wolą oszczędzić wam zmartwień.

Oliver odpowiedział bez wahania:

– Tata na pewno wie. Zawsze przylatywał tu z nią.

– Nie zawsze, Oliverze. Twoja mama wielokrotnie przylatywała sama, zostawała parę dni i wracała... Na pewno pamiętasz. To były ostatnie miesiące przed śmiercią doñi Úrsuli, twoja mama sprowadziła do Villa Marina pielęgniarkę, która opiekowała się nią przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zresztą to, czy twój ojciec zna prawdę, nie ma żadnego znaczenia. Twoja mama poznała ten fakt ze swojej przeszłości i żyła dalej. Była silna. I wydaje mi się, że również szczęśliwa.

Oliver przez moment się zastanawiał.

– Wiem. Ale co mają z tym wspólnego klaryski? Jeżeli powiesz mi, że mama jest nieślubnym dzieckiem zakonnicy, zaraz tu coś rozwalę.

Prawnik wybuchnął śmiechem.

– Te meble są tak samo zramolałe jak ja, tylko uprzedzam, lepiej nie wal pięścią w biurko, bo blat jest z litego dębu i złamiesz sobie rękę. Możesz być spokojny. Z tego, co wiem, sprawa adopcji twojej mamy to nie żadna pokrętna telenowela. Twoja babcia powiedziała, że wzięła ją z klasztoru, kiedy mama miała dwa lata.

– Dwa lata? O kurde, nie wierzę. I nie wiadomo, kim byli jej rodzice?

– Raczej nie. Jeżeli twoja mama się czegoś dowiedziała, nie podzieliła się tym ze mną. Pomyśl jednak, że kiedy przyszła na świat, w Hiszpanii panowała wielka bieda, mieliśmy kartki na żywność. Ludzie dość często porzucali dzieci przy bramach klasztorów. Co prawda w Santanderze był sierociniec, ale rodzice woleli, żeby ich dzieci wychowywały zakonnice. To były trudne czasy.

Oliver w osłupieniu słuchał San Romána, próbując przyswoić sobie usłyszane informacje. Westchnął.

– No dobrze. Czyli mama się o wszystkim dowiedziała... To znaczy o tym, że została adoptowana i że jej rodzice praktycznie dostali dom w prezencie... I co zrobiła?

– Udała się do klasztoru klarysek. Niełatwo się tam dostać, bo to zakon klauzurowy. Zakładam, że zakonnice dobrze ją potraktowały, skoro zapisała im w testamencie dziesięć tysięcy funtów. Zapewne na cele charytatywne. Koniec końców, opiekowały się nią przez pierwsze dwa lata życia.

– No tak. A dom? Do kogo należał? I jak trafili tam moi dziadkowie?

– Villa Marina należała do wpływowej rodziny z Torrelavegi. Byli tak bogaci, że mogliby wytapetować pesetami nawet łazienkę. Wyemigrowali do Ameryki, zdaje się, że do Urugwaju, tam się dorobili, po czym wrócili do Hiszpanii. Nazywali się Ongayo. O ile się nie mylę, rozpoczęli budowę willi w czterdziestym siódmym, a twoi dziadkowie zaczęli tam służyć w latach pięćdziesiątych. Z tego, co się udało wyciągnąć od twojej babci, wynika, że niedługo potem postanowili adoptować dziecko z klasztoru. Tylko tyle wiem.

Oliver nie przestawał kręcić głową.

– Co to znaczy, że moi dziadkowie zaczęli służyć w latach pięćdziesiątych? Nie byli służącymi! Dziadek pracował w Solvayu jako operator dźwigu – odparł stanowczo Oliver, mając na myśli zakłady chemiczne, które od kilkudziesięciu lat działały w Torrelavedze.

Tym razem westchnął San Román.

– To było później. Wcześniej twoi dziadkowie służyli w Villa Marina. Wtedy często przyjmowano na służbę małżeństwa. Opiekowali się domem w ciągu roku. Zważ, że właściciele bywali tam tylko latem i może w niektóre weekendy wiosną. Twoja babcia gotowała i sprzątała, dziadek był kierowcą, ogrodnikiem i złotą rączką. Standard.

Oliver skulił się na krześle, przytłoczony. Przez chwilę się nie odzywał.

– Okej. Ale znam mamę, skoro odwiedziła klaryski, na pewno chciała też podziękować Ongayom. Oczywiście o ile ci, którzy sprezentowali dom jej rodzicom, jeszcze żyją. Taki podarek musiał nieźle wkurzyć prawowitych spadkobierców.

– Tak, ja też myślę, że nie byli zachwyceni. Wiem, że twoja mama wybrała się z wizytą do Ongayów, ale nie zdradziła mi jej przebiegu. To była jej prywatna sprawa. Minęło tyle czasu. Wydaje mi się, że wówczas żyła już tylko pani Ongayo. Była i nadal jest znaną postacią w Comillas. Bogata kobieta biznesu, organizatorka gali charytatywnych. Musi mieć jakieś osiemdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt lat.

– W Comillas?

– Tak, z tego, co wiem, tam właśnie mieszka, jeśli nadal żyje. Ma też inne nieruchomości w okolicy, ale na co dzień rezyduje w Comillas. Tam właśnie pojechała twoja mama, żeby się z nią spotkać.

Oliver wstał, kręcąc głową.

– Nie rozumiem, dlaczego o niczym nam nie powiedziała.

– Kobiety zawsze mają jakieś tajemnice, chłopcze.

– Może. Ale ja już nie zadam jej tych wszystkich pytań, od których eksploduje mi głowa. Muszę wiedzieć, dlaczego Ongayowie oddali dom moim dziadkom i skąd wzięły się zwłoki, które znaleźli w piwnicy murarze.

Leciwy prawnik także wstał zza biurka.

– Ja powiedziałem ci już wszystko, co wiem o Villa Marina. Jeżeli potrzebujesz więcej informacji, będziesz musiał poszukać ich na własną rękę. Oczywiście służę ci pomocą.

Oliver przytaknął.

– Dziękuję. Spróbuję poukładać to sobie w głowie i znaleźć w tym wszystkim jakiś sens. Zadzwońię do taty. I skontaktuję się z Gwardią Cywilną, muszę przekazać im dokumenty. – Oliver na moment przerwał, po czym dodał: – Niewykluczone, że będą chcieli, żebyś wyjaśnił im jakieś prawne zawiłości. To z usu... Jak to szło?

– *Usucapio* – odparł z uśmiechem San Román. – Nie przejmuj się, oczywiście pomogę, w czym tylko będzie trzeba. A ty powinienes trochę odpocząć, jesteś strasznie blady.

– Nic dziwnego. W ciągu tej pół godziny odpłynęła ze mnie cała krew.

– Bądź spokojny, zobaczysz, że wszystko się wyjaśni. Zadzwoń do mnie, jeżeli będziesz potrzebował pomocy z formalnościami przy przeprowadzce. Już tu zostajesz czy musisz jeszcze wrócić do Londynu? – zapytał prawnik, podchodząc do Olivera.

– Przyleciałem na parę dni, żeby sprawdzić, jak idzie remont, ale w tej sytuacji będę musiał przełożyć powrót do Londynu. Planowałem przenieść się do Villa Marina pod koniec lata i spędzić zimę już tutaj.

– Rozumiem. Ale nie powinienes być sam w święta.

Oliver się uśmiechnął.

– Jak to mówią, lepiej być samemu niż w złym towarzystwie. Ale pewnie wpadną do mnie na kilka dni kumple. Nie wiem. Powoli uczę się nie robić żadnych planów. Zwłaszcza tych związanych z rodziną.

– Masz rację – przytaknął San Román – czasami tak jest lepiej. A właśnie... przykro mi z powodu Anny. Wiem od twojego taty.

Spojrzenie Olivera stwardniało, mimo to odpowiedział niezmiennym głosem:

– Dziękuję.

– Na pewno ci ciężko, ale jesteś jeszcze młody. Uprzedzam, że tutejsze kobiety potrafią pokazać pazurki, choć są wśród nich prawdziwe piękności – dodał prawnik, próbując łobuzersko unieść brew. Z marnym skutkiem.

– Jasne. Dziękuję za wszystko – odparł Oliver i wyciągnął rękę, żeby się pożegnać. – Zadzwoń, jeżeli dowiem się czegoś nowego.

– Zadzwoń. Będę czekał. Nie zapomnij dokumentów – dodał San Román, po czym jednym ruchem zgarnął z biurka fotokopie i włożył je do brązowej teczki.

Po wyjściu od prawnika Oliver postanowił pojechać prosto do Villa Marina. Potrzebował mocnej kawy. Musiał na spokojnie przeczytać dokumenty i przekonać się, co z nich wynika. Potem zamierzał zadzwonić na komendę i poszukać w internecie informacji o Ongayach. A przy okazji o klaryskach. Jego matkę przez dwa lata wychowywały zakonnice. Pomyślał, że powinien porozmawiać z ojcem – może on wie coś więcej o tej sprawie.

Zmuszony był jednak zmienić plany.

Kiedy wsiadł do wypożyczonego fiata i wyjął komórkę, którą nieopatrznie zostawił w schowku, zobaczył, że ma trzy nieodebrane połączenia z komendy Gwardii Cywilnej w Santanderze. Natychmiast oddzwonił. Jakiś kapral połączył go z sierżantem Riveiro. Ciężki dzień jeszcze się nie skończył. To, co Oliver usłyszał przez telefon, dosłownie odebrało mu mowę. W chwili, w której podjął decyzję o wyburzeniu ścianek w piwnicy Villa Marina, nieświadomie otworzył drzwi do królestwa strachu, śmierci i chaosu.

DZIENNIK (3)

Znad morza nadpływa gęsta masa białych, kłębiastych chmur, wspinają się na płaskowyż Maserade de Castío od strony Cortiguery i przepływają na drugą stronę, groźnie zawisając nad Hinojedo. Wyglądają jak piana na piwie, która zaraz zacznie skapywać na dolinę.

Jest styczeń 1937 roku. Niebo zasnuwa jeszcze cień nocy. Jana i jej rodzeństwo szykują się do wyjścia do jaskini. Początkowo chodzili tam od czasu do czasu, kiedy samoloty sondowały okolicę w blasku poranka. Teraz często wspinają się do kryjówki, spędzają tam cały dzień i wracają dopiero o zmierzchu. Nacjoniści latają nad nimi o każdej porze, strzelając z karabinów maszynowych i spuszczać bomby. Samoloty republikańskie praktycznie zniknęły. Stało się oczywiste, że rebelianci zaczynają odnosić sukcesy.

Matka robi tortillę na drogę: ziemniaki, jajko, trochę mąki i mleka do zagęszczenia. W jasnym świetle karbidówki – takiej jak te używane w kopalniach – przypomina dobrego ducha. Bez przerwy się krząta, ze spuszczonego wzrokiem, pokornym, ale twardym.

Strach sprawia, że Carmen, która nigdy nie była specjalnie gadatliwa, stała się jeszcze bardziej oszczędna w słowach. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej nacjoniści zbombardowali Santander. Nad miastem przeleciało osiemnaście trzysilnikowych samolotów, zostawiając za sobą dziesiątki rannych i co najmniej siedemdziesięciu zabitych. W odpowiedzi republikanie zamordowali stu pięćdziesięciu siedmiu więźniów przetrzymywanych na stojącym w Santanderze statku Alfonso Pérez, który służył za więzienie pomocnicze zakładu karnego El Dueso. Rzezi towarzyszyły anarchia i chaos. Wojna rozbewiała, znieczuliła i zamrocyła wielu mężczyzn i wiele kobiet.

Tego zimnego ranka 1937 roku Carmen uświadamia sobie, że zwolennicy każdej ze stron zaczynają przekraczać granice wpojonej im moralności, granice honoru, sprawiedliwości i tego, co rozumiemy przez człowieczeństwo. Po pokonaniu bariery zdrowego rozsądku i równowagi moralnej ludzie zaczynają być niebezpieczni, bo stają się

nieprzewidywalni. Carmen boi się, co będzie z jej dziećmi, jaka przyszłość je czeka, czy doświadczy je ten upadek moralności, który rozprzestrzenia się niczym wirus. Spogląda na Janę; przytula ją i zarzuca jej na ramiona dodatkowy szal. Całuje ją w głowę, głaszcze po włosach. Antonio też domaga się pieśczoł, czepia się matczynej spódnicy.

Wychodzą z domu wszyscy razem i ruszają w stronę wzgórza. Benigno nie zawsze chodzi z nimi do jaskini, bo musi pracować w hucie, ale tego ranka towarzyszy rodzinie niczym anioł stróż. Po drodze Jana i Clara pośród chichotów i kuksańców podśpiewują dziecięcą wyliczankę:

Zamiast ziemniaka
Zjemy kurczaka
Jak bogacze
Słodkie kołaczki
Hola, hola
Taka nasza wola.

– Zamknijcie się, do cholery! – karci je szeptem Benigno. Dziewczynki bledną i natychmiast milkną. – Idziemy. I ani słowa więcej – dodaje, przykładając palec do ust.

David spogląda na siostry i robi głupią minę. Już prawie doszli do jaskiń. Znają wszystkie drogi na pamięć. Antonio idzie za rękę ze starszym bratem, wspina się ścieżką rażnym, zdecydowanym krokiem, jakby robił to przez całe życie. Niewiele mówi, komunikuje się za pomocą gestów i spojrzeń i tak przyciąga uwagę. Nie sposób się nie uśmiechnąć, kiedy wykrzywia usta w podkówkę albo stroi miny.

Rodzina siedzi w jaskini już od godziny razem z innymi mieszkańcami Hinojedo i Cortiguery, kiedy z oddali dobiega buczenie samolotu. Poważne twarze, cisza, lekko przechylone głowy, szeroko otwarte oczy – jakby dzięki temu mogli lepiej słyszeć.

Pierwszy pojawia się niemiecki dwupłatowiec Arado Ar 68 należący do nacjonalistów, który w niedalekiej przyszłości znajdzie się na wyposażeniu Legionu Condor. Wygląda to na lot rozpoznawczy. A może jednak nie? Bo za nim lecą w szyku dwa myśliwce Heinkel He 51. Jana i jej rodzina wiedzą, że niezależnie od tego, czy zostaną ostrzelani

z myśliwców, i tak zaraz zjawią się następne samoloty. Już je słyszą. Już prawie tu są.

Tym razem ryk jest głośniejszy. Rozpoznają go po warkocie silnika – to bombowiec. Włoski Savoia-Marchetti SM.81, ciemny, wielki, potężny, z ośmioma członkami załogi, wyposażony w sześć karabinów maszynowych Breda-Safat i bomby o łącznej masie przekraczającej dwa tysiące kilo. Zbliża się. To dziwne, bo zazwyczaj nie latają tak blisko huty, a w okolicy nie ma innych zabudowań.

Tego mroźnego styczniowego poranka na Hinojedo spadają trzy bomby. Ich świst przeszywa uszy mieszkańców. Już zawsze będą go słyszeć.

Pierwsza bomba omal nie obraca w ruinę huty Asturiana de Zinc. Błąd w obliczeniach. Blisko, ale niewystarczająco.

Druga spada przy ujściu rzeki. Woda opryskuje fragmenty pocisku i ziemię rozrzucone w promieniu kilkudziesięciu metrów wokół dymiącego krateru.

Trzecia zbacza z kursu i uderza w wejście do jaskini, w której siedzi Jana. Ona, David i Clara dosłownie wylatują w górę, podrzuceni siłą wybuchu. Odbijają się plecami od stropu kryjówki. Są cali czarni, oślepiają ich unoszące się wokół dym i pył. Wrzaski i płacz stępiają zmysły. Niemal nie da się oddychać. Krzepki Pedro, zgięty w pół, na oślepie krąży po jaskini i wreszcie udaje mu się wyjść na zewnątrz. Nie zauważa, że oderwało mu lewą dłoń. Jeszcze się nie zorientowali, że znaczna część pocisku wybuchła w środku.

Benigno woła swoje dzieci. W jego głosie słyszą autentyczną rozpacz. Na oślepie maca ciała. Nasłuchuje jęków, które brzmiałyby znajomo, stara się je wyłowić spośród innych.

– Carmen! Carmen! David! Clara...! Jezu Chryste... Carmen! Jana! Toñín! – wrzeszczy jak opętany z ustami pełnymi pyłu. Wygląda na to, że nie jest ranny. Nie, jednak jest. Obficie krwawi mu prawa noga.

– Tato! Tu jesteśmy! – krzyczy David, któremu w uniemożliwiającym oddychanie pyłe udaje się dostrzec i usłyszeć ojca. Wypluwa słowa powoli, z trudem. Leży na ziemi obok Clary i Jany. Niżej powietrze jest czystsze. Prawie da się tu oddychać.

– Dzięki ci, Boże, dzięki, dzięki... – szlocha Benigno, zaczynając zdanie od krzyku, a kończąc na szepcie zdławionym przez płacz.

Ściska Davida. Clara się nie odzywa, jest w szoku. Maca wokół siebie ręką i wreszcie przywiera do ojca. Jana niemal nic nie widzi, ale wszystkiego się domyśla. Wybucho rozdzierającym, histerycznym płaczem w nadziei, że i ją przytulą. Ramiona ojca natychmiast zamykają ją w uścisku: miażdżącym, czułym, impulsywnym.

– A mama? Tato, gdzie jest mama? I Antonio? Antonio! Toñín! – David przeczuwa tragedię, jakby coś uciskało mu płuca.

Przechołguje się za ojca i zaczyna rozpaczliwe poszukiwania. Fragmenty ciał paraliżują jego zmysły i ruchy. Nie sposób wiedzieć, czyje to zwłoki. Kawałki istnień oblepiają ściany i dno tej wielkiej nory oraz jej wylot ukryty za krzakami i kępami kopru włoskiego, teraz zabryzgane krwią i wnętrznościami, wypełnione słodkim, metalicznym odorem połączonym ze swędem dymu.

Dopiero po kilku minutach udaje im się zorientować w sytuacji: kto został zabity, kto ranny, gdzie można by się schronić, jeżeli to jeszcze nie koniec ataków. Dym się rozrzedza, światło zbiera się na odwagę i nieśmiało zagląda do jaskini.

Z dziewiętnastu osób, które tego zimowego ranka ukrywały się w wielkiej lisiej norze, nie przeżyło siedem. Cztery giną na miejscu, rozerwane na strzępy, nie do rozpoznania. Dwie umierają jeszcze tego samego dnia w szpitalu polowym urządzonym w centrum Hinojedo. Jedna – trzy dni później, w ramionach rodziców, Juany i Braulia, których oczy na zawsze tracą jasny, radosny blask.

Nie wiedzieć czemu, po zrzuconiu trzeciej bomby myśliwce i bombowiec odleciały. Może z powody mgły, która pojawiła się o świcie i zaczęła zalewać dolinę. Do końca wojny już więcej nie zaatakowano huty. Wyglądało na to, że był to absurdalny manewr, pomyłka.

Kiedy Jana wyszła z jaskini, nie poczuła lodowatego zimna, które przenikało na wskroś wszystkie istoty żyjące w tej krainie. Wręcz przeciwnie. Płonął w niej ogień, palił ją od wewnątrz. Wsłuchana w rozdzierające, nieludzkie krzyki ojca przytrzymywanego przez innych

mężczyzn, nawet się nie zorientowała, że jakieś przyjazne dłonie odciągają ją, Clare i Davida z dala od tamtego miejsca.

Z Carmen i Antonia, który do ostatniej sekundy wtulał się w matkę, zostały jedynie rozrzucone szczątki, niektóre makabrycznie stopione i przemieszane.

Jana była świadkiem masakry; dotknęła jej, poczuła jej zapach, usłyszała jej odgłosy. Zrozumiała, że Antonia i mamy już nie ma. Trudno było w to uwierzyć. Ale prawda dotarła w końcu do jej świadomości, obiegła ją, po czym uderzyła w Janę z taką siłą, że pierwszy raz w życiu straciła przytomność i runęła na ziemię. Zasnęła tak głęboko, że dobudzili ją dopiero po trzech godzinach. Jana wiedziała jednak, że nie spała. Po prostu zstąpiła do piekła.

Akt sprawiedliwości kończy książkę na występku; akt zemsty pisze nową.

Marilyn vos Savant (1946)

Notatka z „El Diario Montañés”, 9 lipca 2013 r.

W poniedziałek rano znalezione zostały zwłoki mężczyzny. Wyłynęły w pobliżu jednego z falochronów w estuarium San Martín de la Arena w Suances.

Ofiarą jest sześćdziesięcioletni P.S.D., mieszkaniec Suances. Przyczynę śmierci wykaże sekcja zwłok.

Ciało odkrył wczoraj rano rybak. Wypływając z portu, dostrzegł zwłoki unoszące się przy małym falochronie. Natychmiast zawiadomił przez radio władze portowe. Ciało zostało wyciągnięte na brzeg przez funkcjonariuszy Gwardii Cywilnej z Suances i patrol ratownictwa morskiego, wspomaganych przez członków miejscowego Czerwonego Krzyża i obrony cywilnej.

– Skończył pan? – zapytał Olivera sierżant Riveiro, wskazując gazetę leżącą na biurku w jego gabinecie na komendzie Gwardii Cywilnej w Santanderze.

– Tak. Ale nie rozumiem... – zdziwił się Oliver. – Ta gazeta jest... dzisiejsza, prawda?

– Tak, dzisiejsza. O niczym pan nie słyszał? W miasteczku panuje duże poruszenie. Podobno od wczoraj o niczym innym się nie mówi.

– Nie, nie słyszałem. Naprawdę o niczym nie wiem. Ostatnio wychodziłem tylko pobiegać i po zakupy, a dzisiaj przyjechałem do Santanderu, żeby odebrać od prawnika dokumenty, o które mnie państwo prosili.

– Przez cały tydzień siedział pan w domu? – zapytał zdumiony Riveiro. Oliver westchnął znużony.

– Chyba to pana nie dziwi. Najpierw robotnicy znajdują w mojej willi zwłoki. Okupujecie ją prawie cały dzień, przeprowadzacie oględziny, przeszukujecie pomieszczenia i tak dalej. Potem na dwa dni wstrzymujecie remont, akurat był weekend, więc w porządku, nie ma sprawy, ale potem przysyłacie mi grupę gwardzistów z georadarami,

jakby mój dom był cmentarzem z horroru. Jak może pan sobie wyobrazić, rozmowy z majstrem i ekipą remontową w celu wznowienia prac, unikanie dziennikarzy, którzy nie wiedzieć skąd mają mój numer telefonu, i załatwianie formalności z hiszpańskim prawnikiem zabrały mi trochę czasu.

– Nie oglądał pan telewizji?

– Oglądałem, ale nie wspominali o tym w wiadomościach. Szczerze mówiąc, nie wiem, jaka jest tutejsza stacja. Oglądałem tylko kanał ogólnokrajowy i czytałem w internecie to, co napisano o Villa Marina. Jeśli pan chce, może pan to sprawdzić na moim laptopie.

– Nie. Nie ma takiej potrzeby... Na razie – uściślił pojednawczym tonem sierżant. Nie był już jednak tak wyluzowany i koleżeński jak podczas pierwszego spotkania, raczej spięty i oficjalny. – Jak się pan zapewne domyśla, dzwoniłem do pana nie tylko w sprawie zwłok, które znaleziono na terenie pana posesji, ale również z powodu ciała, które wypłynęło przy falochronie.

– Jak to? Przyjechałem na komendę tak szybko, jak mogłem. Przez telefon wspomniał pan tylko o jakimś azteckim symbolu znalezionym przy zwłokach z Villa Marina, to rzeczywiście zdumiewające odkrycie. Ale co ma ze mną wspólnego ta wiadomość z gazety?

– Mam nadzieję, że nic. Ale z Villa Marina prawdopodobnie tak i dlatego wezwaliśmy pana w trybie pilnym. Żeby przekazać panu nowe informacje w sprawie i zadać kilka pytań.

– W porządku. Jestem do pańskiej dyspozycji, ale będę wdzięczny, jeśli najpierw mi pan to wszystko wyjaśni. Sam przed chwilą dowiedziałem się niezwykle ciekawych rzeczy o tym domu i o swojej rodzinie. Miałem do pana zadzwonić, żeby się umówić na dostarczenie dokumentacji.

– Doskonale – przytaknął Riveiro. – Otóż jeśli mam być szczery, sprawa Villa Marina nie była dla nas priorytetem, bo nawet jeżeli doszło do przestępstwa, to uległo ono przedawnieniu, a w tej chwili mamy na głowie pilniejsze śledztwa. Nie otrzymaliśmy też jeszcze pełnych wyników sekcji, ale zważywszy na rozwój wydarzeń, postaramy się wszystko przyspieszyć.

Sierżant przerwał. Oliver czuł się tak samo jak wtedy, kiedy siedział w gabinecie swojego prawnika, przekonany, że to, co za moment usłyszy, jeszcze bardziej skomplikuje mu życie.

– Zanim przejdę dalej, zaproszę pana do gabinetu mojej przełożonej, porucznik Redondo, która na pewno będzie chciała osobiście wysłuchać, co ma nam pan do powiedzenia.

– Wszystko to brzmi bardzo oficjalnie. Powinienem zadzwonić po adwokata? – zapytał Oliver z nutą kpiny w głosie.

– Jeżeli pan sobie życzy, proszę bardzo – odparł z powagą Riveiro.

Oliver westchnął. Pomyślał, że to będzie naprawdę długi dzień.

– Nie, nie będę po nikogo dzwonił. Nie mówiłem tego poważnie. Mnie najbardziej zależy na wyjaśnieniu tej sprawy. Wy potrzebujecie moich zeznań, a ja potrzebuję waszego śledztwa.

Riveiro skinął głową. Czuł sympatię do tego faceta. Miał nadzieję, że nie ma nic wspólnego z trupem z falochronu. Sprawa przedstawiała się coraz bardziej nieciekawie.

– Zapraszam.

Riveiro bez pukania otworzył drzwi sąsiedniego gabinetu. Mimo piętrzących się w rogu kartonów z aktami panował tu wzorowy porządek.

Przy niewielkim okrągłym stole czekał beczynn timer niski, niemal otyły mężczyzna z zaniedbaną bródką. Wyraz jego ponurej twarzy świadczył o koncentracji.

Jakaś młoda, szczupła, skromnie ubrana kobieta o bystrym spojrzeniu pracowała w skupieniu przy komputerze stojącym na wypolerowanym, starannie uporządkowanym biurku. Mimo kanciastych rysów jej twarz miała łagodny wyraz. Kobieta natychmiast podniosła wzrok. Kiedy poruszyła głowę, wpadające przez okno światło odbiło się od jej niesfornych, kasztanowych włosów układających się w fale. Oliver poczuł się nieswojo. W jej twarzy było coś, co kazało mu wytrzymać jej wzrok, co przyciągało go jak magnes.

– Przedstawiam panu podporucznika Santiaga Sabadelle... – Sierżant Riveiro przerwał rozmyślenia Olivera, zaczynając prezentację od siedzącego przy stole mężczyzny. – ...szefa naszego wydziału ochrony

zabytków. Absolwent historii sztuki ze specjalizacją z archeologii i kultury klasycznej – dodał, po czym odwrócił się do podporucznika i zapytał: – Dobrze mówię?

– Doskonale, sierżancie – przytaknął Sabadelle. Uścisnął Oliverowi rękę, mierząc go zimnym, nieufnym spojrzeniem.

– A to porucznik Valentina Redondo – ciągnął Riveiro, zwracając się do kobiety, która wstała od biurka i szła w ich stronę. – Absolwentka psychologii na Uniwersytecie w Santiago de Compostela, doktorantka psychologii sądowej.

– Jeżeli chcieli państwo zrobić na mnie wrażenie, to się wam udało. FBI się do was nie umywa – zażartował Oliver, żeby rozładować napięcie, które zaczynało ścisnąć mu żołądek.

Riveiro jako jedyny zareagował przyjacielskim, wyrozumiałym uśmiechem. Porucznik bez słowa uścisnęła mu dłoń. Podczas powitania Oliver spojrzał jej w oczy, szukając w nich tego, co zrobiło na nim takie wrażenie. Kobieta była ładna, ale nie piękna. Nie chodziło też o jej ciało, pozbawione krągłości, które mogłyby przyciągnąć jego uwagę. Nagle zrozumiał, co tak bardzo zaintrygowało go na mapie jej twarzy: prawe oko miała intensywnie zielone, błyszczące, jakby kryło sztuczny księżyc, lewe zaś kruczoczarne, mniej połyskliwe, ale też nie matowe. Nie wyglądało na zrobione ze szkła, było nadzwyczaj ruchliwe. Oczy w różnych kolorach i jej sposób patrzenia – jak u odpoczywającego drapieżnika – sprawiły, że kiedy Oliver puścił dłoń porucznik, poczuł w piersiach rosnący niepokój, niczym kopnięcie prądu.

– Panie Gordon, do tej pory to ja prowadziłem dochodzenie w sprawie Villa Marina – kontynuował Riveiro, nie zwracając uwagi na skołowanie Olivera – ale zważywszy na nowe okoliczności i oczywisty związek pomiędzy zwłokami znalezionymi przy falochronie w Suances z pana sprawą, śledztwo przejmie porucznik Valentina Redondo.

Oczywisty związek? Jak to związek? Co jakiś topielec miał wspólnego z noworodkiem z Villa Marina? Przytłoczony Oliver jedynie skinął głową. Jak automat usiadł przy okrągłym stole, idąc w ślady funkcjonariuszy. Porucznik Redondo zaczęła odprawę od powitania.

– Dzień dobry, panie Gordon.

– Dzień dobry, pani porucznik.
– Zadam panu teraz kilka pytań, może uda nam się rzucić nieco światła na tę sytuację i oszczędzić panu problemów – wyjaśniła uprzejmie swoim stanowczym, beznamiętnym tonem. – Mówią coś panu inicjały P.S.D.?

– Zasadniczo nie.
– W porządku. A nazwisko Pedro Salas Díaz?
– Też nie. Nigdy go nie słyszałem. Domyślam się, że chodzi o zwłoki topielca?

– Dobrze się pan domyśla. Mieszkaniec Suances, rybak, wdowiec, dwójka dzieci, z tego, co wiemy, nie miał żadnych wrogów. Ta informacja jeszcze nie przeciekła do prasy, ale to kwestia czasu: chociaż zwłoki znaleziono tuż przy falochronie, przyczyną śmierci nie było utonięcie podczas połowu ryb ani nic w tym rodzaju, tylko postrzał w brzuch.

W gabinecie zapadło milczenie. Oliver zaniemówił. Redondo położyła przed nim jakieś zdjęcie, po czym wbiła w niego swoje dwukolorowe spojrzenie.

– Oto ofiara. Nie kojarzy pan tego mężczyzny?
Oliver uważnie przyjrzał się fotografii, niemal przeszywając ją wzrokiem. Było to powiększone zdjęcie z dowodu osobistego. Niewyraźny uśmiech, pucołowate policzki, rzadkie siwe włosy, zaokrąglona sympatyczna twarz.

– Nie. W ogóle. Naprawdę ani trochę. Nie rozumiem. Co to ma wspólnego ze mną i z Villa Marina?

– Na razie nic, ale istnieją pewne poszlaki łączące zabójstwo tego mężczyzny ze zwłokami znalezionymi w pańskim domu.

– Jak to? Przepraszam, mam za sobą ciężki dzień. Będę wdzięczny, jeżeli od razu przejdą państwo do rzeczy, bo jestem wykończony. Pewnie chcą państwo przyrzeć się moim reakcjom i tak dalej, jak robią w filmach kryminalnych, ale przysięgam, że nie mam zielonego pojęcia, o czym państwo mówią.

Redondo wykrzywiła twarz w grymasie, próbując powstrzymać uśmiech. Koledzy spojrzeli na przełożoną. Sierżant Riveiro także silił się na powagę.

– Ofiara miała w kieszeni kurtki wycinki z gazet dotyczące odkrycia zwłok w Villa Marina.

Zapadła cisza. Oliver nawet nie próbował ukryć zdumienia.

– To mnie pani zastrzeliła. Nie wiem, co mam powiedzieć. Może interesował się dziwnymi rzeczami: duchami... albo zabójstwami.

– To możliwe, ale mało prawdopodobne. Nawet najbliższa rodzina ofiary nie potrafi wytłumaczyć jej nagłego zainteresowania tym, co znaleziono w pańskim domu. Badamy tę sprawę.

– Hmm... Jedno pytanie...

– Słucham?

– Zwłoki zostały znalezione w wodzie, prawda? W takim razie... jak to możliwe, że wycinki nie zamokły?

Tym razem porucznik Redondo z trudem powstrzymała uśmiech – facet był niegłupi.

– Jak tak dalej pójdzie, panie Oliverze, chyba przyjmimy pana do zespołu – odpowiedziała uprzejmie, ale z poważną miną. – Wycinki znajdowały się w foliowych koszulkach i były włożone do plastikowej teczuszki, uporządkowane, jakby miały zostać wyeksponowane na wystawie.

– Aha – bąknął Oliver, zdumiony takim obrotem wydarzeń. Kiedy Valentina Redondo przysunęła się bliżej, poczuł kwiatowy zapach jej perfum, delikatny, niemal nieuchwytny.

– Może zrobmy tak: proszę opowiedzieć nam, czego się pan dzisiaj dowiedział, a potem my udostępnimy panu resztę informacji.

Oliver westchnął z ulgą i w uporządkowany, klarowny sposób wyłożył to, czym po południu podzielił się z nim San Román. Idąc w ślady prawnika, w trakcie relacji wyciągał z teczki poszczególne dokumenty i rozkładał je na sosnowym stole.

Riveiro i Sabadelle słuchali go w milczeniu, z zainteresowaniem przeglądając dokumenty. Tylko porucznik Redondo przerwała mu kilkakrotnie, prosząc o uściślenie niektórych kwestii. Oliver zauważył, że z przesadną starannością wyrównuje kartki, żeby na siebie nie zachodziły, i układa je chronologicznie w linii prostej. „Super –

pomyślał. – Śledztwo prowadzi maniaczka porządku”. Kiedy skończył, Redondo spojrzała na podporucznika, oddając mu głos.

– Wisiołek znaleziony przy zwłokach zamurowanych w pańskim domu przedstawia Tlaloca, jednego z najważniejszych bogów azteckich i mezoamerykańskich. To tylko prymitywna kopia sprzed około stu lat, posiada jednak pewną wartość historyczną.

– Niesamowite. Powiedział pan Tlaloc? Cała ta sprawa zaczyna przypominać łamigłówkę – odparł Oliver, kręcąc głową. – Mogę go zobaczyć?

– Wisiołek? Obawiam się, że nie, w tej chwili jest w laboratorium, ale jeżeli pan chce, proszę zerknąć na te zdjęcia. I tak zresztą mieliśmy je panu pokazać i zapytać, czy widział pan coś takiego podczas któregoś z pobytów w Villa Marina – odpowiedział oschle Sabadelle, rozkładając przed Oliverem fotografie figurki azteckiego bóstwa.

Oliver myślał na głos, z uwagą przyglądając się zdjęciom.

– Powiedział pan, że to bóg mezoamerykański? Otóż pierwsi właściciele domu, Ongayowie, dorobili się fortuny w Urugwaju. Może to byłby jakiś trop.

Sabadelle cmoknął językiem i z politowaniem spojrzał na Olivera.

– Panie Gordon, wiara w bóstwo, o którym mówię, ograniczała się do konkretnego obszaru geograficznego. Mezoameryka obejmuje kraje środkowoamerykańskie: Meksyk, Gwatemalę, Honduras, Nikaragę, Kostarykę... Fakt, to całkiem spora część kontynentu, ale nie sięga aż do Urugwaju, oddalonego o prawie osiem tysięcy kilometrów od Meksyku.

Oliver pobladł; poczuł się ośmieszony przez podporucznika.

– To tak, jakby mi pan powiedział, że gulasz kantabryjski jest typowy dla Las Vegas w stanie Nevada, które leży osiem tysięcy kilometrów od Santanderu – ciągnął Sabadelle.

Oliver nie zamierzał pozwolić, żeby dalej się z niego nabijano.

– Kurczę, ale z pana Google Maps. Dziękuję za wskazówkę: jeżeli kiedykolwiek wybiorę się do Las Vegas, będę zamawiał tylko typowe amerykańskie potrawy – odpowiedział.

Po jego słowach w gabinecie zapadło niezręczne milczenie. Oliver kątem oka dostrzegł, że porucznik Redondo wymienia spojrzenia z sierżantem

Riveiro i kolejny raz powstrzymuje uśmiech.

– Ale proszę mi powiedzieć – dodał pojednawczo. – Co może oznaczać obecność wizerunku azteckiego boga przy zwłokach? Muszę to sobie choć trochę poukładać w głowie. Proszę – powtórzył, stawiając na szczerość i bezpośredniość. Nie miał ochoty się licytować, który z nich ma bardziej cięty język.

Wyraz twarzy podporucznika nieco złagodniał. Spojrzał na przełożoną, po czym przystąpił do wyjaśnień.

– Tak naprawdę to nie jest bóg, bo w kulturach prekolumbijskich nie istniało pojęcie bóstwa w naszym rozumieniu. Był raczej władcą zjawisk atmosferycznych i górskich duchów, „dostawcą”, przede wszystkim deszczu. Przedstawiają go kodeksy, malowidła ścienne, płaskorzeźby, rzeźby... ale nie wisioriki. Jeżeli przyjrzy się pan zdjęciom – Sabadelle wskazał leżące na stole fotografie – dostrzeże pan, że postać ma pióropusz z piór kwezala i czapli i że do jej ust wślizgują się dwa węże splecione ogonami z tyłu głowy.

– Tak, to dość groteskowe.

– To symbole, panie Gordon – odpowiedział Sabadelle. – Jeden z węży symbolizuje wodę ziemską, która już zrasza Ziemię, drugi zaś wodę niebiańską, która dopiero ma spaść.

– Czyli... w naszej kulturze to byłby taki bóg deszczu?

– Tak, można tak powiedzieć – zgodził się Sabadelle. – Figurka jest zrobiona z jadeitu, który w kulturze mezoamerykańskiej symbolizuje wodę. Majowie mieli podobne bóstwo, Kukulkana, ale to, które znaleźliśmy, to na pewno aztecki Tlaloc.

– Aha – powiedział Oliver, wodząc wzrokiem po funkcjonariuszach. – Ale nadal czegoś nie rozumiem. Z tego, co pan mówi, wynika, że Tlaloc nie ma nic wspólnego z rytuałami pogrzebowymi, opieką nad dziecięcymi duszami ani niczym w tym rodzaju.

– Zgadza się – przytaknął Sabadelle. – W zasadzie nie ma związku ze sferą religii i duchowości, ale czasami przyzywano go, kiedy śmierć nastąpiła w wyniku utonięcia.

– To znaczy, że noworodek z mojego domu...?

– Nie sędzę, panie Gordon. Nie sędzę, żeby utonął. Musimy jednak zczekać na ostateczne wyniki sekcji. Tlaloc był także traktowany jako talizman szczęścia, symbol urodzaju, źródło życia. Rozumie pan?

– Tak, rozumiem. Ale nadal nie widzę związku ze zwłokami, z Kantabrią i w ogóle z Hiszpanią. Nie mówiąc już o Villa Marina.

– Tego właśnie będziemy musieli się dowiedzieć, panie Gordon.

– No tak. A w czym ja mogę pomóc? Powiedziałem już wszystko, co wiem.

Porucznik Redondo przez moment zdawała się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Jakie ma pan plany na jutro rano?

– Hmm... Zamierzałem uporządkować to, czego się dzisiaj dowiedziałem, to znaczy zadzwonić do ojca, złożyć wizytę klaryskom i Ongayom... Jeśli zdążę. Chciałem też poszperać trochę w internecie.

Funkcjonariusze wydziału śledczego wymienili porozumiewawcze spojrzenia, było jednak oczywiste, że decyzja należy do porucznik Redondo.

– Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, rano będzie pan towarzyszył mnie i podporucznikowi Sabadelle podczas wizyty u klarysek, a po południu wybierzemy się do Ongayów.

– Będę towarzyszył? Ja państwu? Raczej państwo mnie. Nie ma takiej konieczności. W prywatnych sprawach niepotrzebna mi pomoc Gwardii Cywilnej – odpowiedział Oliver niemal agresywnie. Nie miał ochoty spędzać całego dnia z neurotyczką o kocich oczach i z antypatycznym podporucznikiem.

– Panie Oliverze, tu nie chodzi o pańskie prywatne sprawy, ale o działanie we wspólnym interesie, dla dobra śledztwa. Może pan nie wie, ale klaryski, chociaż są zakonem klauzurowym, zajmują się konserwacją dzieł sztuki sakralnej. Ich pracownia jest najlepsza w całej prowincji, a może nawet w całej północnej Hiszpanii. Z racji tego znają tajemnice i ciekawostki dotyczące rzeźb i obrazów z naszego regionu, zatem jeżeli istnieje jakiś związek między bogiem Tlalokiem i Kantabrią, niewykluczone, że będą mogły nam pomóc.

– Dokładnie – wtrącił Sabadelle z kolejnym cmoknięciem. – Zresztą matka przełożona klasztoru w Santillanie del Mar, siostra Mercedes, już nieraz pomogła nam w sprawach dotyczących zabytków.

Oliver zaniemówił ze zdumienia.

– Potem razem złożymy wizytę Ongayom, może dzięki temu i pan, i my osiągniemy optymalne wyniki – zakończyła porucznik stanowczym tonem niedopuszczającym sprzeciwu.

Oliver ograniczył się do skinienia głową. Przytłoczony, dał się porwać wirowi wydarzeń, tak jak piasek z plaży La Concha poddawał się w tym momencie łagodnym falom.

Zważywszy na napięcie, jakie towarzyszy popełnianiu przestępstwa, przestępca zawsze pozostawi jakieś ślady swojej obecności.

Zasada wymiany sformułowana przez Edmonda Locarda (1877–1966), zgodnie z którą każda osoba przechodząca przez dane miejsce coś w nim zostawia i coś z niego zabiera

Sierżant Riveiro czekał cierpliwie w gabinecie Clary Múgiki. Chciał mieć jak najszybciej z głowy tę rozmowę. Bliskość sali sekcyjnej i sterylnych korytarzy wypełnionych ciszą – jego zdaniem ciężką i lepłą – napawała go przerażeniem.

– Dzień dobry, ranny z ciebie ptaszek! – przywitała go Clara, zamykając za sobą drzwi. Nie zdążyła jeszcze założyć fartucha; była ubrana w dżinsy i cienką marynarkę z kolorowym motylem w kłapie.

– Dzień dobry. Tak, ostatnio mamy sporo pracy, chociaż liczyliśmy na to, że latem będzie spokojniej.

– No tak. Dużo ludzi od was powyjeżdżało na urlopy?

– Nie, na razie to nie problem. Mamy normalne zmiany. Ale w związku z tym, co wydarzyło się w Suances, doszła nam kupa roboty. Dochodzenie przejęła porucznik Redondo z wydziału śledczego, wygląda na to, że sprawa się komplikuje... No wiesz, oprócz noworodka z Villa Marina jest teraz jeszcze ten facet z falochronu.

– Te dwie sprawy są ze sobą powiązane? – zdziwiła się Clara. – No tak, pewnie dlatego tu jesteś. – Złapała się pod boki, marszcząc czoło. – Żeby mnie pogonić, jak zwykle. Wiesz, że w sali sekcyjnej czekają na mnie ofiara przemocy domowej i dziecko?

– Dziecko?

– Owszem – odparła z powagą Clara, po czym westchnęła, zamykając oczy. – Przysłali mi je z onkologii, rzecz jasna chodzi o sekcję naukową, nie sądową.

– Oczywiście. Jak się zapewne domyślasz, przysłała mnie porucznik Redondo – oznajmił sierżant, kładąc nacisk na ostatnie słowa.

– Ale z ciebie szuja – roześmiała się Clara. – To, że jesteśmy przyjaciółkami, nie ma tu nic do rzeczy... Chociaż nie wątpię, że to ona cię tu przysłała. Kiedy angażuje się w śledztwo, nic jej nie powstrzyma. Ale zrozum, mam masę roboty.

Sierżant nadał policzki i przez chwilę w zamyśleniu przepuszczał powietrze z jednego do drugiego.

– Wiem, rozumiem, że jesteście zawałeni robotą, że jest lato i że u was też część osób jest na urloпах. Nie proszę cię o kompletny raport, nawet o nic na piśmie, po prostu powiedz mi, co już wiesz.

– Co już wiem? Wiem tylko, że muszę opierać się na dowodach, a nie snuć domysły, i że bez końcowych wyników nie powinnam udzielać ci informacji, które mogłyby się okazać błędne i skierować cię na niewłaściwy trop.

– Kurde, przecież ja to wszystko rozumiem, ale na razie niczego nie mamy, poza dokumentami, które znaleźliśmy przy facecie z falochronu i które łączą go ze zwłokami z Villa Marina i jej obecnym właścicielem.

– Obecnym właścicielem?

– Tak. Ofiara miała przy sobie wycinki z gazet dotyczące zwłok noworodka, a także chyba wszystkie informacje, jakie można znaleźć w internecie na temat Olivera Gordona.

– No proszę. Powiedzieliście mu o tym?

– Jeszcze nie. Dzisiaj ma go na oku porucznik Redondo, zabiera go do Santillany i do Comillas.

– Aha. Podejrzewacie go?

– Na razie nie. Porucznik chce go raczej ochraniać, niż pilnować jako podejrzanego.

– Rozumiem – powiedziała Clara. Wyraz jej twarzy złagodniał. – Jak podejrzewam, sędzia Talavera też delikatnie was ciśnie, żebyście wyjaśnili, o co w tym wszystkim chodzi.

– Jak zawsze – odparł z uśmiechem Riveiro. – Dlatego potrzebujemy na cito informacji o czasie i przyczynie zgonu... Żeby zacząć sprawdzać alibi, także Olivera Gordona.

– Dobra, siadaj. Powiem ci, co wiem i czego się domyślam. Zadowolony? Twarz sierżanta rozjaśnił szeroki uśmiech, szczery jak u dziecka.

– Zadowolony.

– Okej, zacznijmy od zwłok z Villa Marina – powiedziała Clara. Wyjęła z szafy na dokumenty teczkę, po czym sięgnęła po drugą, leżącą na jej

biurku. – Podczas wstępnych oględzin nie stwierdziliśmy złamań *perimortem* ani w obrębie czaszki, ani w...

– Zaczekaj, zaczekaj. Nie wyskakuj mi z tymi medycznymi terminami, wiesz przecież, że się w tym nie łąpię. Jeżeli możesz, wyjaśnij mi to najprościej, jak się da, jakbym...

– ...miała trzy latka – dokończyła z uśmiechem Clara. Nie pierwszy raz prowadzili taką rozmowę. – Pozwól mi mówić, proszę.

Riveiro w milczeniu skinął głową, czekając na ciąg dalszy.

– Jak mówiłam, nie stwierdziliśmy żadnych obrażeń doznanych przed śmiercią; przynajmniej takich, które naruszyłyby układ kostny, jak złamania czy uszkodzenia powstałe w wyniku użycia broni białej. Nie odkryliśmy też żadnych obrażeń ani złamań powstałych *post mortem*. Zwłoki są częściowo zmumifikowane, co każe przypuszczać, że przebywały w stosunkowo suchym, przewiewnym miejscu i że to najprawdopodobniej szczątki noworodka. Niewykluczone, że zmarł w trakcie porodu; nie zaobserwowaliśmy załazków zębów, rozmiary i waga także potwierdzają tę teorię. Ponieważ nie zachowały się żadne organy, nie mogliśmy ustalić pozycji, w jakiej znajdowało się ciało od chwili zgonu do zakończenia mumifikacji. Jednak na podstawie próbek pobranych ze ścianki, w której zamurowano osobnika, możemy wstępnie wnioskować, że cały proces zaszedł w tym samym miejscu, czyli że zwłoki nie były przenoszone. – Clara przerwała i spojrzała na sierżanta, unosząc brwi. – Chciałabym zauważyć, że wciąż czekamy na wyniki z laboratorium.

– Tak, tak, oczywiście. Proszę, mów dalej.

– Czaszka osobnika jest odmiany kaukaskiej, co wskazywałoby na przedstawiciela rasy białej pochodzenia europejskiego. Nie udało nam się jeszcze ustalić płci, aczkolwiek na podstawie analizy kości miednicy ewentualnie, podkreślam: ewentualnie, moglibyśmy założyć, z dużym marginesem błędu, że mamy do czynienia z osobnikiem płci żeńskiej.

– Dziewczynka? – zdziwił się sierżant. – Nie wiem dlaczego, ale przez cały czas myślałem o chłopcu.

– Ja w pracy myślę wyłącznie o osobnikach. Mam mówić dalej?

– Tak, proszę.

– Wstępnie oszacowaliśmy, że zgon nastąpił od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat temu, będziemy mogli to doprecyzować, kiedy otrzymamy wyniki z laboratorium – zakończyła Clara.

– To wszystko? Nowonarodzona dziewczynka, która prawdopodobnie zmarła podczas porodu ponad pięćdziesiąt lat temu?

Clary nie przestawało zadziwiać, że sierżant potrafi uprościć i streścić w kilku słowach coś, czego ona nie była w stanie uogólnić, odrzucając niuanse i informacje uzupełniające.

– Tak, można powiedzieć, że to wszystko – przyznała z westchnieniem. – Czekamy jeszcze na wyniki z laboratorium w kwestii czasu zgonu i DNA, wysłaliśmy próbki do Madrytu.

– To by znaczyło, że prawdopodobnie mamy do czynienia z ukryciem zwłok, ale nie z morderstwem.

– Prawdopodobnie – potwierdziła z uśmiechem Clara. – Teoretycznie śmierć mogła nastąpić w wyniku uduszenia... – zasugerowała. – No i musicie jeszcze odkryć, co robił przy zwłokach ten zielony smerf.

– Pracujemy nad tym. Na razie wychodzi na to, że ten smerf to mezoamerykański bóg deszczu i szczęścia. Co ty na to? Kumple wołają na niego Tlaloc.

– Tlaloc? Uroczo, a do tego ma węże w gardle – stwierdziła Clara, otwierając drugą teczkę. – Mówiłam, że mam dziś dużo pracy, więc może przejdźmy do osobnika P.S.D., którego znaleźliście przy falochronie.

– Świetnie. Dawaj.

– Będę się streszczać. Postrzał w brzuch z krótkiej broni palnej, prawdopodobnie kaliber trzydzieści osiem, ale znowu, żeby mieć pewność, będziemy musieli poczekać na wyniki badań balistycznych. Próbki pewnie trafiły do laboratorium w Logroño, są dość szybcy.

– Do Riojy? Nawet jeśli są szybcy...

– Są szybcy i dobrzy. Więcej cierpliwości. Wracając do tematu, w ciele był tylko jeden otwór, pocisk utkwiał w żołądku. Strzał został oddany od przodu, z bliska. Co do tego nie mamy żadnych wątpliwości: drobiny prochu wbite w skórę utworzyły wokół rany wlotowej gęsty czarny tatuaż. Do dokładnego określenia odległości niezbędny będzie test Walkera.

– Test kogo?

– Test Walkera, Riveiro, pytasz, jakbyś był nowicjuszem – odpowiedziała z wyrzutem Clara. – Wykonuje się go w celu analizy ilości i gęstości azotynów wokół rany wlotowej i na ubraniu ofiary... Niestety znaleziono ją w wodzie, a to skomplikuje badanie. Jak zapewne wiesz, przy każdym strzale oddanym z broni palnej wydzielany jest azotyn potasu.

Riveiro nie wyłapał sarkazmu; skinął głową, zapisując wszystko w swoim nieodłącznym notesiku. Wydawało się, że nie tylko przyswaja informacje, ale nadaje im kształt i przekształca je w hipotezy.

– To znaczy, że ofiara prawdopodobnie знаła napastnika.

– To ty jesteś detektywem – odparła z uśmiechem Clara. – Będziesz musiał to ustalić.

Riveiro odwzajemnił jej uśmiech.

– Na to wychodzi. Czyli mężczyzna zginął od postrzału, tak?

– Nie.

– A jak?

– Został postrzelony, ale przeżyłby, gdyby w porę udzielono mu pomocy medycznej. Gdyby go nie popchnięto albo gdyby nie wpadł do wody.

– Czyli?

– Osobnik zmarł w wyniku utonięcia. Możemy to łatwo wywnioskować na podstawie kilku ustaleń. Błyszczące oczy, jak u żyjącego człowieka, typowe dla topielców. Zielona plama pojawiająca się na powłokach brzusznych od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin po śmierci na skutek działania bakterii z grupy clostridium i coli odpowiedzialnych za proces gnilny, w wyniku którego wydziela się siarkowódór barwiący na zielono hemoglobinę...

– Zaczekaj – przerwał sierżant. – Kurde, strasznie wszystko komplikujesz: azotyny, zielone plamy... Nie da się w tym połapać.

Clara westchnęła, zerkając kątem oka na wiszący na ścianie zegar.

– Dobrze, wyjaśnię to prościej: ta zielona plama, która pojawia się na brzuchu od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin po śmierci i którą widywałeś dziesiątki razy na zwłokach, tym razem była usytuowana pomiędzy szyją i klatką piersiową. To miejsce, gdzie

gromadzi się krew u topielców. Na wpeł embrionalne ułożenie osobnika oraz woda i plankton w jego żołądku i płucach przesądzają, że zgon nastąpił na skutek utonięcia.

Riveiro otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale Clara nie dała mu dojść do słowa.

– A teraz zapytasz mnie o czas zgonu. Zważywszy na to, że zwłoki wyłowione z wody rozkładają się wolniej, a także na temperaturę wątroby, wygląd skóry i inne ustalenia, powiedziałabym, że zgon nastąpił od dwudziestu czterech do trzydziestu sześciu godzin temu. Bliżej dwudziestu czterech, zaryzykowałabym stwierdzenie, że dwadzieścia sześć, ale nadal czekam na wyniki z laboratorium, jak wspominałam ci już ze sto razy – podsumowała Clara, zakładając ręce na znak, że skończyła sprawozdanie.

Sierżant na moment się zamyślił.

– To by pasowało do wycinków, które miała przy sobie ofiara. Najnowszy pochodził z gazety z poprzedniego dnia. Ale nie rozumiem jednej rzeczy: dlaczego zwłoki nie poszły na dno? Zazwyczaj ciała, które wyławialiśmy z morza, wypływały na powierzchnię dwa, trzy dni po śmierci, rozdęte z powodu gazów gnilnych, bla, bla, bla.

– Bla, bla, bla? – odpowiedziała z ironią Clara. – Podejrzewam, że zwłoki musiały utknąć między wielkimi kamieniami falochronu, a odsłonił je odpływ. Na ciele widnieje zresztą kilka stłuczeń i zadrapań powstałych *post mortem*, najprawdopodobniej w wyniku obijania się o skały.

– Tak, muszę przejrzeć zeznania rybaka, który znalazł zwłoki... Dziwne, że przez cały dzień nikt ich nie zauważył... Unosiły się przy małym falochronie, przy samej plaży La Concha, ktoś musiał je widzieć, mimo że były w wodzie... A właśnie, czy na ciele są jakieś obrażenia powstałe przed śmiercią?

– Wstępne oględziny wskazują, że nie. Oddaliśmy do laboratorium ubranie, ale nie wiem, czy coś znajdą, ciało za długo leżało w wodzie. Było praktycznie oblepione glonami, powinniście sprawdzić godziny przyływów i odpływów, bo może zakryły je wodorosty. Nic nie wskazuje na to, że doszło do szarpaniny, pod paznokciami też nie znaleźliśmy

niczego podejrzanego. Jeżeli osobnik został wepchnięty do wody, to nie stawiał oporu, przypuszczam, że po strzale w brzuch był zgięty w pół. Albo nawet zemdłał, bo ani na dłoniach, ani na paznokciach nie ma śladów, które wskazywałyby, że próbował się czepiać kamieni albo wspinać na falochron. Wiem, że technicy sprawdzili miejsce zdarzenia i na razie niczego nie znaleźli, nawet śladów krwi, więc jeżeli to tam postrzelono ofiarę, musiała od razu wpaść do wody.

– No tak. Ale mogli postrzelić ją gdzie indziej, wsadzić do samochodu i zrzucić z falochronu. Albo z łódki.

– Mogli. Jednak ze wstępnego badania narządów wynika, że od postrzału do momentu śmierci minęło niewiele czasu. Maksimum dziesięć, piętnaście minut.

– Rozumiem. Reasumując... W niedzielę między siódmą a dziewiątą rano mężczyzna zostaje postrzelony w brzuch, na falochronie albo gdzieś w pobliżu, po czym wpada albo zostaje zepchnięty do wody i tonie. Co robił tam o tej porze? Łowił ryby? W dniu, kiedy wszyscy rybacy mają wolne, ten idzie na falochron łowić? – myślał na głos Riveiro. – Masz coś jeszcze?

– Na razie nie. Ale wiem, że jutro na bank zadzwonisz i będziesz znowu suszył mi głowę. Mam rację?

– Zawsze byłaś bardzo bystra – odparł Riveiro, zamykając notes i podchodząc do drzwi. – Wielkie dzięki, naprawdę. Wiszę ci przysługę.

– Kilka.

Kiedy sierżant zamknął drzwi, Clara z westchnieniem usiadła przy biurku. Zawładnęło ją ciężkie jak ołów przecucie, że ta sprawa ledwo się zaczyna, że dopiero dała o sobie znać, że to zaledwie pierwsze krople potężnego strumienia brudnej czarnej wody.

DZIENNIK (4)

Rebelianci, nazywani też nacjonalistami, a później frankistami, rozpoczynają w kwietniu 1937 roku kampanię północną, rezygnując z oblężenia Madrytu. Zamierzają połączyć fronty i wykorzystać przemysłowy potencjał Kantabrii, Kraju Basków i Asturii.

W czerwcu upada żelazny pas Bilbao, ponad sto pięćdziesiąt tysięcy Basków ucieka do prowincji Santander. Wiele osób przygarnia pod swój dach nieznanym spod czerwonego sztandaru, republikanów. Stolica Kantabrii wrze. Nie starcza dla wszystkich żywności, frankistowska armada blokuje dostęp do morza, uniemożliwiając zaopatrzenie. Na wsi panuje większa nędza, ale mniejszy głód – zagony i przyroda pomagają wypełnić puste brzuchy.

Benigno nie poszedł już więcej do jaskini. Clara, David i Jana też nie. Zrozpaczony ojciec postanowił, że o losie jego rodziny zdecydują przeznaczenie i przeklęty Bóg. Kiedy słyszą nadlatujące samoloty, kryją się w domu. Jeżeli są w warzywniku albo z bydłem i wiedzą, że nie zdążą, musi wystarczyć im rów czy kanał. Co ma być, to będzie. W jego prostym świecie nie ma schronienia przed śmiercią, która przychodzi z nieba; już się tego nauczył.

Benigno jest psychicznie załamany. Do bólu po stracie żony i synka dochodzi brak jakiegokolwiek pomocy. Poza sąsiadami nie ma nikogo, kto zająłby się dziećmi. Jana zaczęła naukę dopiero w zeszłym roku. Benigno nie wie, czy po wakacjach będzie mógł pozwolić sobie na posłanie do szkoły Clary i Davida – w obojętności, na polu i w oborze jest tyle roboty. On sam całymi dniami pracuje w hucie... Od poniedziałku do soboty jest robotnikiem, nie ma czasu na szczęście.

Jego rodzice i jedna z sióstr mieszkają w Galicji, od stycznia nie ma od nich żadnych wiadomości, nie wie, czy dostali jego dwa listy. Pozostaje mu tylko matka Carmen, babcia Julia, która pracuje w Torrelavedze jako kucharka w wielkopańskiej rezydencji, ale ona może odwiedzać ich wyłącznie w poniedziałki (i to nie zawsze), kiedy ma wychodne. Dwaj bracia jego zmarłej żony, jeszcze młode chłopaki, zagorzali republikanie,

poszli walczyć i Benigno nie wie, co się z nimi dzieje. Może nie żyją albo czekają na egzekucję. Może są we Francji albo w Anglii. Może w Wenezueli.

Teraz, pokonując barierę czasu, przenosimy się na koniec lipca 1937 roku. Jesteśmy w Hinojedo. Benigno kłóci się w kuchni z Brauliem, sąsiadem, z którym przyjaźni się od zawsze.

– To jedźcie sobie do Francji, jak wszyscy! No już! Ułóżcie sobie tam, kurwa, życie! Ale ja się stąd nie ruszę. Tu mam robotę, tu są moje dzieci i moi zmarli. To długo nie potrwa, wojna jest już praktycznie przegrana – gorączkuje się Benigno. Krąży wokół stołu, wymachując rękami.

– Nie sposób przemówić ci do rozsądku. – Braulio kręci głową. – Nie wiadomo, jak to się dla nas skończy, jeżeli zostaniemy. Nacjonałści posuwają się naprzód, przecież jeśli zdobędą Santander, nie zostawią nas na gospodarstwie, żebyśmy paśli krowy. Co ty sobie myślałeś? Wyślą nas na front, żeby spacyfikować Asturię, czytałem o tym w „La República”.

– Gdzie?

– W gazecie, kurwa, a gdzie? To ty nie wiesz? Nie ma już „El Diario Montañés” ani „El Cantábrico”, ani nic... Zabrakło tuszu, zablokowano dostawy. Drukują tylko „La República”. Ja pierdolę, z huty do domu, z domu na pole, nie masz o niczym pojęcia.

Benigno milczy, ale tylko przez moment.

– Mnie nigdzie nie wyślą. Mam na utrzymaniu trójkę dzieci, jestem samotnym ojcem.

– Nie wiesz, co mówisz. Wyślą, kogo będą chcieli! – wykrzykuje Braulio. Nagle spostrzega, że w drzwiach stoją Clara i Jana.

Benigno podąża za jego spojrzeniem. Nieporuszony, odpowiada ściszym głosem, patrząc na dziewczynki:

– Zostajemy.

Braulio w milczeniu kręci głową. Wzdycha, kiwa na pożegnanie ręką i wychodzi bez słowa. Czuje żal, bo jest przekonany, że już nigdy nie zobaczy Benigna ani jego dzieci.

DZIENNIK (5)

W Kantabrii wojna dobiega końca po ponad roku walk. Jest koniec sierpnia 1937 roku i inne części Hiszpanii nadal są rozdzielane przez bitwy z powodu politycznych rozgrywek; to odcienie i wersje tej samej wojny domowej.

Może to przypadek, że tamtego popołudnia właśnie Jana i David pędzili krowy z Masera de Castío – dwie własne i pięć należących do sąsiadów, które wypasali na zmianę. Jeden z tych makabrycznych przypadków, sprawiających, że chłodne wody duszy stają w płomieniach.

Najpierw dostrzegli czerwonych. Było ich co najmniej dziesięciu. Biegli jak wystraszone króliki, desperacko, ostatkiem sił. Przeskakiwali przez krzaki, wymijali drzewa, kucali, łapali oddech, oglądali się za siebie, patrzyli w niebo i biegli dalej, bez zatrzymywania, bez tchu, bez nadziei.

Chwilę później nadleciały myśliwce. Dwa heinkele He 51 przesyły niebo jak kilka dni wcześniej. Warkotowi silników towarzyszył inny dźwięk: tym razem karabiny maszynowe nie spały, nacjonaliści strzelali bez litości, bez ustanku. Clara obserwowała je z domu, skamieniała. Jana i David stali na łące sparaliżowani strachem. Nie poszukali kryjówki, jedynie się schylili, jakby ten absurdalny ruch mógł osłonić ich przed ostrzałem. Patrzyli. Na ich dziecięcych siatkówkach wyrzył się obraz dusz opuszczających ciała.

Republikanie padali jak czereśnie, które spadają na ziemię, kiedy potrząsasz gałęzią. Większość ciał stoczyła się do zimnego estuarium, przyjazne prądy poniosły ich krew do morza.

Nazajutrz dowiedzieli się, że Torrelavega jest już w rękach nacjonalistów. Sąsiad z Hinojedo, skrajny prawicowiec, chodził od domu do domu, informując, że „zwycięskie oddziały” wkraczą od strony Barredy i wszyscy powinni wyjść, żeby powitać żołnierzy. Przenieś się myślą do tamtego dnia – 25 sierpnia 1937 roku. Właśnie poddał się Santander. Jana na długo zapamięta, jak ona i jej rodzeństwo musieli się szybko ubrać i pobiec do Barredy, żeby okłaskiwać oddziały nacjonalistów.

Nacjonalistów, którzy pewnego lodowatego poranka zabili z nieba jej matkę i brata.

– Otwórz oczy, Jano – mówi Benigno do córki i szturcha ją łokciem, widząc, że klaszcze z zamkniętymi oczami.

– Tak, tato. – Jana nigdy nie odważyła się sprzeciwić ojcu. – Ale ja nie chcę ich widzieć, nie chcę... Tam jest trup... – mówi, wbijając wzrok w leżące na chodniku zwłoki republikanina, częściowo zakryte brązowym kocem. Jedna jego ręka zwisa nad ulicą.

– W takim razie nie patrz w dół – odpowiada ojciec. – Ale uśmiechaj się i klaszcz, córeczko. Uśmiechaj się i klaszcz – powtarza przez zęby, spoglądając na Davida i Clare, którzy potakują, podnoszą wzrok i szczerzą zęby w uśmiechach urągających stanowi ich ducha.

Jeden ze zwycięskich żołnierzy potyka się o zwisającą rękę republikanina. Jednym kopnięciem umieszcza ją na tułowi trupa.

– Oj, czerwoniutki, czerwoniutki! – mówi z uśmiechem i idzie dalej, nie patrząc na zwłoki.

W tym momencie coś odwraca uwagę Jany. Przestaje klaskać i odruchowo łapie się siostrzanej spódnicy, miętosi w palcach materiał.

Obok nich zatrzymał się żołnierz. Ojciec nagle zniknął. Jana już o niczym nie myśli. Widzi tylko lalkę. Prześliczną lalkę. Ma włosy, oczy, tułów, ręce i nogi. Nawet się uśmiecha. Przedziwne odkrycie: bezpłciowa lalka wisząca przy pasie żołnierza. Jana czasem się bawiła, ale nigdy nie miała lalki, w ogóle żadnej zabawki. Odważa się pociągnąć żołnierza za nogawkę.

– Przepraszam... dasz mi tę lalkę? – pyta z miną aniołka. Bardzo ładna z niej dziewczynka.

Żołnierz spuszcza wzrok. Nie od razu rozumie, w czym rzecz. Nagle jego spojrzenie staje się lodowate, wściekłe.

– Ja pierdolę, puszczaj mnie, dzieciaku. To nie jest lalka. Nie widzisz? To Azaña, założyłem mu stryczek. – Żołnierz odwraca się i kontynuuje triumfalny przemarsz z resztą wojska, które zatrzymuje się od czasu do czasu, żeby wygłosić polityczne przemówienie do cywili.

Jana nieruchomieje, wystraszona. Nie ma pojęcia, że Azaña jest prezydentem republiki. Clara sztorcuje siostrę. Skąd ci przyszło do głowy,

żeby zagadywać żołnierza? David jak urzeczony ogląda wojskowy ekwipunek. Dopiero kiedy nacjonaści zaczynają się rozpraszać, żeby kontynuować przemarsz innymi drogami, zdaje sobie sprawę, że ich ojciec gdzieś zniknął.

Rodzeństwo wraca pieszo do domu. Okazuje się, że ojciec uciekł z parady w stronę torów kolejowych łączących Roecín z Hinojedo, chowając się przed nacjonalistami, którzy wyłapywali z tłumu mężczyzn do walki na froncie w Asturii.

Pomyślał, że ten skurczybyk Braulio miał jednak rację.

Dlatego też Benigno przez kilka dni ukrywał się w domu; niewidoczny strażnik zdziesiątkowanej rodziny. W pierwszej połowie września 1937 roku nacjonaści zdobyli ostatnie kantabryjskie doliny, Tudankę i Liébanę. Działania wojskowe na terenie Kantabrii ustały. Walka zbrojna już się tutaj skończyła.

Jednak koniec wojny nie oznaczał początku nowego rozdziału. Zakiełkowało coś, co się z niej zrodziło. Coś, co trudno zrozumieć zwykłemu człowiekowi, który nigdy nie poczuł zapachu obficie przelewanej krwi. Gęstej, słodkiej, żelazistej woni.

Coś przebranego za zło wykute ze strachu – strachu, który zagnieżdża się w tym, kto widział, jak jego matka i brat rozpadają się na dziesiątki kawałeczków.

Jakiś czarny punkt, co wziął się z zimna – zimna, które przenika do twojego wnętrza, kiedy umierający żołnierz patrzy na ciebie jak na ostatnią więź łączącą go z życiem.

Jakaś lodowatość, która mogła pozostać jedynie lewo zauważalną zimną studnią na dnie duszy, ale rozrosła się, pochłaniając dobroć, optymizm i spokój wyjątkowej kobiety. Bo niektórych zadowala życie w czasach pokoju, ale te obfitują zarówno w mędrców, jak i w tchórzy.

Nikt nie będzie błagał o wybaczenie za jej czyny, nikt nie będzie jej usprawiedliwiał, bo będzie napawała przerażeniem. Ile kolorów ma prawda?

Nie ściągaaj na siebie uwagi, to błąd. Musisz być skromny. Nieszkodliwy. Niepozorny. Naiwniak. Odludek. Szaraczek. Spójrz na mnie... Na pierwszy rzut oka przeciętniak4.

AL PACINO w roli diabła, zwracając się do szefa kancelarii adwokackiej (*Adwokat diabła*, 1997)

Domek przy Villa Marina wypełniały dźwięki muzyki. Oliver siedział na malutkim ganku, trzymając nogi na niskim stoliku z drewna tekowego, powoli dopijał kawę i wpatrywał się w plażę La Concha spowitą nieruchomą mgiełką. Kantabria opierała się letnim upałam, szukając wytchnienia w postaci mżawki lub mgły. Muzyka wymykała się przez drzwi na ganek. Oliver puścił płytę amerykańskiego zespołu Imagine Dragons, który – traf chciał – pochodził z Las Vegas, wspomnianego w sarkastycznej uwadze podporucznika Sabadelle.

Leciała akurat piosenka *Demons*. Oliver odnajdował się w jej słowach: też miał podziurawioną duszę. Czuł się tak, jakby w głowę uderzyła go gigantyczna kula wyburzeniowa, równając z ziemią wszystko, co brał za pewnik, co do tej pory nie podlegało dyskusji, bezlitośnie niszcząc punkty odniesienia, więzi rodzinne, wyuczoną prawdę. Mimo wielu prób nie udało mu się dodzwonić do ojca. Czy słowa Arthura Gordona wystarczą, żeby przywrócić mu spokój, ufność i siłę? Nie byli ze sobą specjalnie zżyci, ale utrzymywali na tyle serdeczne relacje, że co roku spędzali razem Wigilię i od czasu do czasu dzwoniли do siebie z pytaniem, co słyhać. Pozwalali, by życie toczyło się swoim zwykłym rytmem.

Jednak odkąd jego brat Guillermo zaczął znikać i na coraz dłużej tracili z nim kontakt, ojciec jakby się skurczył, stał się bardziej mrukliwy, zamknął się w sobie, posmutniał. Śmierć żony potrąconej przez jakiegoś głupiego pijanego chłystka zadała Arthurowi Gordonowi ostateczny cios – wjechał na ostatnią prostą i stopniowo zwalniał, czekając, aż wypadnie z drogi.

Słowa ojca często raniły serce Olivera niczym kamienie – nie był tak inteligentny ani tak ambitny, ani tak charyzmatyczny jak Guillermo. Wyglądało na to, że lepiej być synem marnotrawnym niż dżentelmenem.

Oliver uznał, że ojciec pewnie nie ma zasięgu w Highlands, gdzie jeździł coraz częściej, żeby łowić ryby i popijać przy kominku dobrą whisky ze swoim starszym bratem i jego żoną. Zresztą co innego miał do roboty? Już od dwóch lat był na emeryturze, a dzięki wysokim dochodom z inwestycji mieszkaniowych nie musiał się martwić o pieniądze. Oliver miał nadzieję, że ojciec skontaktuje się z nim, gdy tylko zauważy nieodebrane połączenia.

Oliver miał trzydzieści pięć lat. Sięgnął dna? Tak wcześnie? A może właśnie za późno – powinien był zmierzyć się ze swoimi demonami już dawno temu. Samotność, która zadomowiła się w jego duszy, przypominała twardą bryłę lodu. Anny już nie było, odeszła. Takie jest życie. Brat dryfował pośród własnych obsesji. Oliver czuł, że go stracił, stał się obcy, jakby pękła nić porozumienia, która łączyła ich w dzieciństwie. Pragnął jedynie, żeby ten pieprzony skurczybyk przynajmniej żył. Ojciec powoli gasł, z matki zostały tylko prochy w ohydnej urnie. A teraz, kiedy wreszcie postanowił zacząć od nowa, oprzeć swoją przyszłość na solidnych, jasnych i obiecujących podstawach, okazało się, że napotyka same trudności: sekrety, trupy, ciemne studnie.

Z willi wyszli podporucznik Sabadelle i porucznik Redondo. Oliver wpuścił ich do środka, żeby obejrzeni miejsce spoczynku „aniołka z Villa Marina”. Nie towarzyszył im, do piwnicy zaprowadził ich majster. Była dziewiąta rano, chciał w spokoju dokończyć późne śniadanie. Wiedział, że czeka go długi dzień. Zastanawiał się, w jakim nastroju będzie jutro o tej samej porze, siedząc w tym samym miejscu na ganku: jakie sekrety dziś odkryje, jakie przemilczane nieszczęścia wyjdą na jaw? A może wszystko pozostanie ukryte za zasłoną tajemnicy i milczenia, a jego demony dalej będą się nad nim pastwić? I tak należał już do królestwa tych, którzy czołgają się przez życie.

Przeklął się za ten przyływ współczucia dla samego siebie. Wziął głęboki oddech i spojrzał na osoby zmierzające w jego stronę. Sabadelle został z tyłu, rozmawiał z majstrem, porucznik Redondo szła przodem, pewnym krokiem. Nie miała na sobie munduru, neutralny strój nadawał jej niemal androgyniczny wygląd. Nie była też chyba umalowana.

Uwadze Olivera nie umknęła jej prosta, wprawiająca w konsternację uroda.

Kiedy stanęła przed gankiem, wymienili spojrzenia i przez chwilę w milczeniu taksowali się wzrokiem. Porucznik zdawała sobie sprawę, że wkracza do królestwa Olivera.

Jego spojrzenie wydawało się szczere, pozbawione obłudy, nie próbowało lukrować zamieszkujących go demonów. Jedynym rozlegającym się dźwiękiem była muzyka, jakby nawet wiatr postanowił zrobić sobie chwilę przerwy.

Nadejście podporucznika przerwało to wzajemnie rozpoznanie, tę kalibrację dusz, której celem było ustalenie, kim tak naprawdę jest każde z nich. Porucznik Redondo nie odwróciła wzroku, kiedy odezwała się do Olivera.

– Skończyliśmy, jeżeli jest pan gotowy, możemy ruszać do Santillany.
– Oczywiście – odparł Oliver, dopijając kawę. – Wezmę tylko kurtkę i w drogę.

Sabadelle, Redondo i Oliver od kilku minut jechali w milczeniu przez rozległe łąki. Po prawej stronie roztaczał się wspaniały widok na strome klify wznoszące się nad Morzem Kantabryjskim. Wreszcie Oliver zdecydował się przerwać ciszę.

– Czyli jedziemy tam incognito.
– Dlaczego pan tak sądzi? – zapytała Redondo.
– Bo nie włożyliście państwo mundurów, a na samochodzie nie ma napisu „Gwardia Cywilna”.

Porucznik się uśmiechnęła.

– Funkcjonariusze wydziału śledczego nie noszą mundurów, panie Gordon, chyba że podczas oficjalnych uroczystości. Zresztą nawet gdybyśmy to nie my prowadzili tę sprawę, lepiej nie zjawiać się w klasztorze w mundurach i w radiowozie, nie uważa pan? – odpowiedziała zza kierownicy zielonej alfy romeo 159, zerkając na siedzącego obok niej podporucznika. – Na razie będziemy działać dyskretnie, niemniej uprzedziliśmy klaryski o naszej wizycie.

– No tak... Jedno pytanie – dodał Oliver, ignorując znużone westchnienie podporucznika, który tego ranka nie był zbyt rozmowny. – Co zrobimy, jeżeli klaryski nie pomogą nam z Tlalokiem? Zapytamy w meksykańskim konsulacie, czy nie brakuje im jakiegoś noworodka z epoki jaskiniowej?

Porucznik Redondo z uśmiechem pokręciła głową.

– Obawiam się, że ponosi pana wyobraźnia. Poza tym przypominam panu, że technicy z laboratorium nie skończyli jeszcze ustalać czasu zgonu. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, ale jeżeli nie uda nam się uzyskać żadnych informacji, będziemy musieli skorzystać z pomocy ekspertów z uniwersytetu i z Muzeum Prehistorii i Archeologii Kantabrii w Santanderze.

– Aha – odparł w zamyśleniu Oliver.

Świadomy, że to zadanie spadłoby na niego, Sabadelle cmoknęła językiem, powstrzymując się od komentarza, chociaż jego sceptyczna, wyrażająca powątpiewanie mina mówiła sama za siebie. Oliver zaczął się zastanawiać, czy te suche cmoknięcia to odruchowy tik, czy też podporucznik robi to celowo, żeby doprowadzić do szału rozmówcę.

– Proszę mi powiedzieć – zagadnęła go porucznik Redondo – czy pański plan nie jest zbyt ryzykowny? Chodzi mi o to, że porzuca pan swoje życie w Anglii, przyjeżdża w miejsce, gdzie nikogo nie zna, i od zera rozkręca biznes.

– Bez ryzyka nie ma szansy na sukces.

– Możliwe. Ale to zbyt duże ryzyko, żeby ponosić je samotnie.

– Proszę uważać – wtrącił Sabadelle. – Jeżeli pan jej na to pozwoli, porucznik w minutę zrobi panu psychoanalizę.

Valentina Redondo posłała podwładnemu swoje dwukolorowe spojrzenie, twarde, lodowate, karcące. Tyle wystarczyło, żeby narzucić autorytet – Sabadelle natychmiast spuścił wzrok. Nietrudno było odgadnąć, że porucznik hamuje wybuch gniewu. Przed oczami stały jej zwłoki męczyzny znalezione przy falochronie w Suances. Czy Sabadelle nie zdaje sobie sprawy, że usiłuje wyciągnąć informacje od potencjalnego mordercy? Co za pech, że też musiał się jej trafić w zespole akurat ten idiota. Nie podobało mu się, że to ona rządzi, ale rządziła i nie

zamierzała pozwolić na najmniejsze potknięcie, najmniejszą rysę na swoim autorytecie. Pomyślała, że będzie musiała porozmawiać z podwładnym.

Mimo napiętego milczenia, które niczym morską falą zalało wnętrze samochodu, Oliver uśmiechnął się z nostalgią na myśl o tym, co zamierzał odpowiedzieć funkcjonariuszce.

– Ojciec powiedział mi kiedyś, żebym nie liczył na to, że pospieszy mi z pomocą, jeżeli coś mi nie wyjdzie. Żeby nie robił ciągle tego samego, jeżeli nie chcę osiągać zawsze tego samego rezultatu. Dlatego robię coś innego. Sprawdzam, czy to właściwa droga, by znaleźć szczęście.

– Na razie na tej drodze pojawiły się dwa trupy – odparł Sabadelle i znów cmoknął językiem, tym razem mniej ostentacyjnie.

Redondo nadludzkim wysiłkiem zapanowała nad gniewem, pominęła milczeniem uwagę podporucznika i ze zrozumieniem spojrzała na Olivera.

– Tak czy inaczej mam plan B – dorzucił.

– Plan B?

– Uprzejma rada mojego ojca – odparł z uśmiechem Oliver. – Twierdzi, że wszyscy ludzie ulepiani są z tej samej gliny i że jeżeli nie chcemy czuć się zagubieni, powinniśmy poszukać sobie do towarzystwa istoty należącej do innego gatunku, bezinteresownej i obojętnej na nasze śmieszne problemy.

Redondo rzuciła mu pytające spojrzenie.

– Innymi słowy – dodał Oliver, lekko się uśmiechając – człowiek, który znajdzie się w takiej sytuacji, powinien sprawić sobie psa.

Sabadelle wybuchnął donośnym śmiechem.

– Pański ojciec zna się na rzeczy. Brytyjski humor, co? Sprawić sobie psa!

Porucznik także się roześmiała. Była zaskoczona. Ciekawy człowiek z tego starego Gordona. Dalsza rozmowa musiała poczekać – dotarli na miejsce. Chociaż nie było jeszcze dziesiątej, przy wjeździe do Santillany stała kolejka samochodów. Pewnie pochmurna pogoda zachęciła plażowiczów do zwiedzania. Valentina Redondo musiała

przyznać, że miasteczko ma klimat. Było jednym z tych miejsc, gdzie kamienie i stare domy skrywają tajemnice minionych wieków, dawnych mieszkańców, innych stylów życia. Zachowało swój urok, choć partery kamienic były upstrzone sklepikami sprzedającymi często absurdalne pamiątki i lokalami gastronomicznymi serwującymi dania nie zawsze związane z miejscową kuchnią. Jednak sporo samochodów tylko mijało centrum miasteczka, oddalając się w stronę pobliskiej jaskini Altamira, żeby obejrzeć jej replikę z papier mâché. Świat jest osobliwym miejscem, pełnym dziwactw.

– Idziemy – powiedziała porucznik, zatrzasnąwszy drzwi samochodu. – Sabadelle, ty prowadzisz, byłeś tu już parę razy i wiesz, co i jak.

Sabadelle skinął głową, zadowolony, że na chwilę może przejąć pałeczkę w śledztwie.

– Musimy wejść od tyłu, od strony okienka.

Ponieważ znał klasztor, teraz to on przewodniczył wyprawie. Długa uliczka przypominająca odkryty korytarz zdawała się prowadzić do przeszłości – po obu stronach wznosiły się kamienne mury wysokie na prawie trzy metry, zaskakująco jasne i czyste. Wyglądały na świeżo odrestaurowane.

– Niesamowite – stwierdził Oliver. – Wszystko jest tu takie nieskazitelne.

– Fakt – odparł Sabadelle. – Klaryski mieszkały wcześniej obok, w klasztorze Regina Coeli, gdzie obecnie mieści się Muzeum Diecezjalne. Teraz są tutaj – wyjaśnił, wskazując głową kamienne mury po prawej stronie – w klasztorze Świętego Ildefonsa, uprzednio zajmowanym przez dominikanki. Przy okazji przeprowadzki, jakieś pięć lat temu, zrobiły remont i oczyściły fasady.

Oliver i Valentina – która też nigdy wcześniej tu nie była – z uwagą słuchali podporucznika.

– Matka przełożona, siostra Mercedes, wyświadczyła nam uprzejmość i zgodziła się przyjąć nas bezzwłocznie, do tego trzy osoby naraz, bo proszę pamiętać, że klaryski żyją w klauzurze – powiedział podporucznik, spoglądając na Olivera. – Dlatego umówmy się, że ja

zaczę – dodał, szukając wzrokiem aprobaty przełożonej – a kiedy zamkniemy temat sztuki, będzie pan mógł zapytać ją o swoją rodzinę.

– W porządku – odparł Oliver, nie patrząc na podporucznika, zafascynowany drogą wiodącą do klasztoru.

Dotarli do łukowatej bramy w kamiennym murze. Brązowe drewniane wrota z czarnymi okrągłymi ćwiekami wyglądały na szesnastowieczne. Nad kamiennym łukiem znajdował się prosty daszek z desek przykrytych dachówką. Po prawej stronie bramy wisiała czarna żelazna tablica imitująca pergamin, na której napisano białymi literami stylizowanymi na pismo średniowieczne: Wypieki Zakonu Świętej Klary. Ciastka. Biskopie. Sprzedaż bezpośrednia.

– Sprzedają słodczyce? – zdziwił się Oliver.

– Chyba pan nie myślał, że mniszki utrzymują się wyłącznie dzięki sztuce sakralnej i boskiej opatrności – odparł Sabadelle, po czym znowu cmoknął językiem.

Wyszli na olbrzymi wybrukowany kamieniami dziedziniec. Z lewej strony budynku znajdowała się imponująca wieża, z prawej zwieńczone łukiem wejście, które zdawało się prowadzić do jaskini przeszłości. Po drodze minęli wielką kamienną donicę pełną sezonowych, różowych, czerwonych i białych kwiatów.

Znaleźli się w sali o podłodze i ścianach z kamienia, miejscami pobielonych wapnem. Wisiało na nich kilka tabliczek informacyjnych wskazujących na znajdujące się za wąskimi drzwiczkami rozmównice oraz prosta wywieszka z napisem „Koło” umieszczona nad starannie wypolerowanym drewnianym bębniem obrotowym, za pomocą którego mniszki, niewidziane przez kupujących, sprzedawały swoje wypieki. Jediną ozdobą sali był starodawny wąski stół, niemniej uwagę najbardziej przyciągała zamknięta, podświetlona witryna zajmująca prawie całą ścianę po prawej stronie koła, gdzie wystawiano świeże wypieki.

– Ależ smakowicie wyglądają, może coś kupię – powiedział Sabadelle, wciskając dzwonek, także opatrzony tabliczką. Był to jedyny sposób komunikacji z mniszkami, czy to w celu rozmowy, czy zakupu ich słynnych ciastek.

Z aparatu przypominającego domofon natychmiast dobiegł głos furtianki. Sabadelle pokrótce wyjaśnił cel ich wizyty. Przez prawie pół godziny czekali w przestronnej sali pachnącej schowanymi za szybą wypiekami. Wreszcie przez jedne z bocznych drzwi wyszła młoda, pulchna mniszka i z szerokim uśmiechem zaprosiła ich do środka. Przedstawiła się jako siostra Pilar. Przekazywała im tylko niezbędne informacje, ale jej twarz i oczy wprost promieniały uśmiechem. Olivera zdziwiły jej latynoamerykański akcent i tradycyjny habit, czarny z białymi dodatkami – odwieczny, ponadczasowy uniform. Miał wrażenie, że znalazł się w jakimś innym świecie. Siostra Pilar oznajmiła, że matka przełożona już na nich czeka i że pozostałe zakonnice zostały uprzedzone i przebywają w innych pomieszczeniach. Poprowadziła ich krużgankiem z niskimi arkadami, nad którymi zbudowano wyższe piętro; poza prostymi oknami na ścianach nie było żadnych ozdób. Weszli do chłodnego kamiennego korytarza z rzędami drewnianych drzwi. Mniszka poprowadziła gości do tych na samym końcu; kiedy je otworzyła, ze środka wylał się strumień światła. Znaleźli się w dużej słonecznej sali, w której woń farby, rozpuszczalnika i akrylu mieszała się z zapachem starzyzny, wilgoci i upływu czasu. Byli w pracowni konserwatorskiej sióstr klarysek.

Czekała na nich tylko jedna kobieta: przełożona klasztoru, siostra Mercedes. Przerwała pracę nad olbrzymim obrazem, na którym królowały kolory niebieski i bordowy, i odwróciła się, żeby powitać gości. Mimo że była już w podeszłym wieku, z jej jasnych, niemal przezroczystych oczu biła siła, opanowanie i pewność siebie.

– Witam, panie Sabadelle – powiedziała z uśmiechem. – Czekałam na państwa.

Kiedy podporucznik dokonywał prezentacji, siostra Pilar stanęła za matką przełożoną, niczym pies pasterski strzegący swego pana – posłuszny, pełen podziwu, czujny. Sabadelle rzucił kilka banalnych uwag o pogodzie i wysiłkach, jakie – podkreślił – wkłada Gwardia Cywilna w utrzymanie porządku na obszarach wiejskich, po czym pokrótce wyjaśnił cel ich wizyty i pokazał przełożonej powiększone zdjęcia Tlaloca. Nie wspomniał natomiast, że figurka została znaleziona

w posiadłości w Suances przy zwłokach noworodka ani że prawdopodobnie ma związek z zabójstwem, w sprawie którego toczy się równoległe śledztwo. Siostra Mercedes była jednak nie tylko mniszka, ale też inteligentną, sprytną kobietą.

– Jak panu wiadomo, nasz zakon chętnie współpracuje z organami ochrony porządku publicznego, ale żebym mogła panu pomóc, muszę wiedzieć, gdzie znaleźliście to mezoamerykańskie bóstwo.

– To znaczy, że je siostra kojarzy? – zdziwił się podporucznik.

– Znam oczywiście wizerunki niektórych pogańskich bóstw. Współczesnych i dawnych. Niech pan nie zapomina, że jesteśmy zakonnicami i chociaż poświęcamy życie kontemplacji Jezusa Chrystusa, ubogiego i ukrzyżowanego, posiadamy wiedzę na temat różnych aspektów duchowości, w tym wierzeń innych kultur.

– Przykro mi, siostrze, ale śledztwo jest na razie objęte tajemnicą, więc nie mogę ujawnić informacji o pochodzeniu figurki.

– Podczas wcześniejszych konsultacji było to możliwe.

– Tamte sprawy dotyczyły dziedzictwa kulturowego, a tym razem niewykluczone, że mamy do czynienia z zabójstwem. – Sabadelle zaczął się pocić, szukając właściwych słów, które przełamałyby obiekcje mniszki. – Nie zapomnieliśmy, jak bardzo pomogły nam siostry w odzyskaniu kodeksu – dodał, nawiązując do dochodzenia sprzed kilku miesięcy. – Nie chcemy zakłócać wam spokoju, zależy nam jedynie na informacji, czy domyślają się siostry, jaki związek może mieć ta figurka z Kantabrią albo przynajmniej z Hiszpanią.

Siostra Mercedes uśmiechnęła się, chociaż jej spojrzenie pozostało poważne i nieufne.

– Wolalabym oszczędzić klasztorowi nieprzyjemności, a sprawa musi być poważna, skoro ta konsultacja wymaga obecności aż trzech osób.

Przez moment nikt się nie odzywał. Sabadelle cmoknął językiem, po czym odpowiedział, siląc się na uprzejmość:

– Jak wspomniałem, pan Gordon przyszedł tu w sprawie osobistej, związanej ze śledztwem. Powtarzam: nie chcemy zakłócać siostrze spokoju...

– Ależ skąd, synu, niczego nam nie zakłóćcie – odparła natychmiast siostra Mercedes. Chociaż zwracała się do podporucznika, nie spuszczała wzroku z Olivera. – Mówi pan, sprawa osobista... To znaczy, że znaleźliście figurkę w Villa Marina.

– Skąd...? Proszę wybaczyć, ale... skąd siostra wie? – zapytał ze zdumieniem Sabadelle.

Oliver i porucznik Redondo także oniemieli ze zdziwienia. Matka przełożona uśmiechnęła się drwiąco.

– Obawiam się, że gazety już poinformowały o tym, co starał się pan objąć tajemnicą śledztwa.

– Gazety? Przecież siostry nie mają... To zakon klauzurowy.

– Owszem. Ale klauzura nie jest celem, a środkiem służącym ochronie naszego stylu życia. Nie zamykamy uszu na zewnętrzną rzeczywistość, chociaż w niej nie uczestniczymy. Klauzura to nie więzienie, panie Sabadelle. Wychodzimy z klasztoru, żeby głosować, brać udział w szkoleniach... prowadzimy nawet dom rekolekcyjny dla osób szukających samotności i wyciszenia. – Siostra Mercedes na moment przerwała. Chociaż siedziała, można było odnieść wrażenie, że spogląda na swoich rozmówców z góry. – Ja wychodzę tylko do lekarza, choć czuję się doskonale jak na moje prawie dziewięćdziesiąt lat. Właśnie w tym celu opuściłam klasztor w tych dniach. – Znowu przerwała, po czym dodała gwoli wyjaśnienia: – Choroba zwyrodnieniowa stawów.

– Przykro mi, mam nadzieję, że dobrze się siostra czuje... – zaczął Sabadelle, ale matka przełożona przerwała mu lekceważącym machnięciem dłoni, po czym wstała na dowód, że nic jej nie dolega.

– Reumatolog dobrze się mną opiekuje – dodała, puszczając oko do Olivera. – Ma w poczekalni gazety, to tam zobaczyłam pana zdjęcie – ponownie spojrzała na swojego gościa – przed willą, która według prasy jest pańską własnością i w której znaleziono maleńkie zwłoki.

Sabadelle i Redondo na moment zaniemówili. Oliver spojrzał na nich zaskoczony. Przypomniawszy sobie tłum dziennikarzy i fotografów, którzy w ostatnich dniach dobijali się do Villa Marina. Siostra Pilar uśmiechała się, z nabożeństwem wpatrzona w przełożoną. Podporucznik ponownie zabrał głos.

– A więc wywnioskowała siostra...
– Każdy by wywnioskował, synu.
– Wobec tego błagam siostrę o dyskrecję.
– *Ex nihilo nihil fit* – odparła staruszka z przebiegłym uśmiechem, po czym przetłumaczyła: – Z niczego nic nie powstaje.

Porucznik Redondo zaczęło irytować, że zakonnica traktuje ich jak uczniów. Ponieważ Sabadelle niczego nie wskórał, postanowiła wtrącić się do rozmowy.

– Nie będziemy zabierać siostrze czasu, wiemy, że ma siostra mnóstwo pracy – oznajmiła, wskazując wzrokiem olbrzymie płótno, przy którym siedziała mniszka. – Chcemy jedynie wiedzieć, czy jako znawczyni kultury, sztuki i historii północnych regionów Hiszpanii potrafiłaby siostra w jakikolwiek sposób powiązać to mezoamerykańskie bóstwo z Kantabrią – dodała łagodnym tonem, żeby przypochlebić się zakonnicy.

– W całej Kantabrii tylko my zajmujemy się odnawianiem dzieł sztuki – odparła matka przełożona, z uwagą patrząc porucznik w oczy; jeżeli dwukolorowe spojrzenie funkcjonariuszki zrobiło na niej wrażenie, to nie dała tego po sobie poznać. – Od ponad pięćdziesięciu lat mam do czynienia z obrazami, rzeźbami i tekstami traktującymi o sztuce kantabryjskiej – ciągnęła ożywionym głosem. – Zapewniam panią, że na pewno bym zapamiętała, gdybym kiedykolwiek natknęła się na figurkę z dwoma węzami w ustach. Jak państwo wiedzą, w chrześcijaństwie i islamie węź kojarzony jest z diabłem. Natomiast w hinduizmie kobra jest atrybutem boga Śiwy... Ale nigdy nie widziałam wizerunku bóstwa, któremu węże wychodziłyby z ust. – Siostra Mercedes przerwała, by zaczerpnąć powietrza, po czym dodała, spoglądając na podporucznika. – Przykro mi, ale obawiam się, że tym razem nie będę umiała państwu pomóc.

Na twarzy funkcjonariusza odmalowało się rozczarowanie. Wrócili do punktu wyjścia. Pomyślał, że nie ominie go wizyta w Muzeum Prehistorii i Archeologii Kantabrii w Santanderze, gdzie może wyjaśni mu związek Tlaloca z Suances.

– Wobec tego nie będziemy zabierali siostrze więcej czasu – powiedziała porucznik Redondo. – Dziękujemy, że tak szybko nas siostra przyjęła

i okazała gotowość do pomocy.

Przełożona lekko skinęła głową. Valentina Redondo mówiła dalej, wskazując ręką Olivera:

– Pan Gordon jest tu z nami nie tylko ze względu na związek ze śledztwem. Chciałby wyjaśnić wątpliwość dotyczącą pochodzenia kogoś ze swojej rodziny. Dziesięć lat temu w tym samym celu zjawiała się tutaj jego matka, pani Gordon. Wychowywała się w klasztorze klarysek przez pierwsze dwa lata życia, zanim została adoptowana przez rodzinę Pereirów, która mieszkała i pracowała w Villa Marina w Suances.

– Ach tak, pamiętam. Lucía Pereiro. Oczywiście przedstawiła się jako Lucía Gordon, używając nazwiska męża. Proszę przyjąć nasze kondolencje. Jak państwo wiedzą, przekazała na rzecz klasztoru hojną darowiznę. – Przełożona spojrzała na Olivera. – Obawiam się, że dziś nie będę za bardzo pomocna, ani dla państwa, ani dla pana. Przejrzeliśmy archiwa przy okazji wizyty pani Gordon, ale wynika z nich tylko, że w pierwszych dniach tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku ktoś zostawił w klasztorze Regina Coeli kilkutygodniową dziewczynkę i że Pereirowie adoptowali ją na początku pięćdziesiątego pierwszego, nie pamiętam, w którym dokładnie miesiącu. Do tego czasu opiekowałyśmy się nią najlepiej, jak potrafiłyśmy. Miałyśmy na wychowaniu także inne maluchy porzucone w kole. W tamtych latach przez klasztor przewinęło się kilkadziesiąt dzieciaków.

Oliver nie mógł się powstrzymać od zapytania:

– Czy to znaczy, że znała siostra moją mamę, kiedy była dzieckiem?

– Tak, znałam, chociaż krótko. Wstąpiłam do klasztoru kilka tygodni po tym, jak została przygarnięta przez moje siostry, choć już od paru miesięcy odbywałam postulat i starałam się o przyjęcie u matki przełożonej. Powiedziałam pani Gordon to samo, co państwu: ktoś zostawił ją w klasztorze i już.

– I nie było przy niej żadnej wiadomości, niczego, co wskazywałoby na jej pochodzenie, na przykład ubranka? – dopytywał Oliver.

– Obawiam się, że nie, panie Gordon. Jeżeli nawet była jakaś wiadomość, to już dawno zaginęła. Proszę pamiętać, że od tamtej pory minęło bardzo dużo czasu... sześćdziesiąt pięć lat. Pana mama

zrozumiała, że nie jesteśmy w stanie udzielić jej więcej informacji. Koniec końców, rodzenie to tylko ból, a wychowywanie to miłość. Ci, którzy ją wychowali, byli jej prawdziwymi rodzicami, nieważne, że nie biologicznymi.

– Rozumiem, tak czy inaczej dziękuję – odpowiedział rozczarowany Oliver, błędząc wzrokiem po olbrzymim obrazie ustawionym za plecami zakonnicy.

Sabadelle i Redondo zaczęli się żegnać i składać szablonowe podziękowania, chociaż spotkanie okazało się całkowicie bezowocne. Siostra Pilar podeszła do drzwi, żeby odprowadzić ich do wyjścia.

Oliver jeszcze raz zwrócił się do przełożonej.

– Przepraszam... Dlaczego ten mężczyzna z obrazu ma wydrapane oczy? Siostra wybaczy moje pytanie, ten szczegół po prostu zwrócił moją uwagę.

Siostra Mercedes uśmiechnęła się zadowolona i spojrzała na czternastowieczny obraz przedstawiający śmierć Franciszka. Wstępował do nieba w otoczeniu zawieszonych w powietrzu aniołów, obserwowany z ziemi przez kilkudziesięciu zakonników, rycerzy i chłopów. Jeden z rycerzy miał wymazane oczy, jakby ktoś tarł je gumką, dopóki nie przebił się do płótna.

– Najwyraźniej ktoś uznał, że ten rycerz to diabeł. Dawniej wydrapywano oczy niektórym postaciom z obrazów, żeby uniknąć ich spojrzenia i ustrzec się przed złym okiem.

– No proszę, nie wiedziałem – odparł Oliver ze zdziwieniem i wyciągnął rękę, żeby pożegnać się z mniszką.

– To jeden z fragmentów, które naprawimy przy okazji restauracji obrazu. *Ex umbra in solem.*

Oliver pytająco spojrzał na zakonnice. Siostra Mercedes odpowiedziała, odwracając się plecami do gości i siadając przy płótnie:

– Z cienia ku światłu, panie Gordon. Z cienia ku światłu.

DZIENNIK (6)

Dnia 20 października 1937 roku nacjonałiści zdobywają Gijón. Upada ostatni bastion republikański w Asturii i całej północnej części kraju. Po bitwie przegranej na ziemiach bojowników światowa prasa pisze, że zwycięstwo frankistów nad resztą półwyspu to już tylko kwestia czasu.

Jest pora kolacji. Jana, Clara i David siedzą z ojcem przy kuchennym stole, nieświadomi tego, co się wydarzyło w Gijónie. Dziś centrum świata znajduje się dla nich w Hinojedo, w małej kuchni oświetlonej karbidówką.

Tego wieczoru Jana po raz drugi upada nieprzytomna na ziemię, z poczuciem, że ma w żołądku bryłę lodu. Benigno nie miał innego wyjścia. Na dłuższą metę tak będzie najlepiej. Pęka mu serce, ale robi to dla nich. Chce dać im szansę. Tylko skąd wiadomo, że się uda? Skąd wiadomo, że szkoda nie jest nieodwracalna? Czy może być dobre coś, co pali mu sumienie? Zrozumiał, że jego miłość do dzieci nie ma granic, kiedy postanowił pozwolić im odejść.

David w przyszłym tygodniu zacznie pracę w gospodarstwie hodowlanym w La Tablii. Chociaż pastwiska ciągną się aż do Tagle, wioska należy do Suances. Zajmą się nim dalszy kuzyn Benigna – Jorge – i jego żona. Rano David będzie chodził do szkoły w Suances, a popołudniami pomagał przy bydle. To dobre rozwiązanie, poza tym będzie blisko domu.

Clara pojedzie do babci Julii do Torrelavegi. Po lekcjach będzie pomagała w kuchni i w innych domowych obowiązkach. Chlebodawcy wykazali wyrozumiałość, jednak zgodzili się tylko na starszą siostrę, na tyle dużą, żeby „asystować” przy domowych pracach. Nie mogą przecież przyjmować pod swój dach i karmić wszystkich krewnych służby. Filantropia i miłosierdzie przykazywane przez Kościół mają jednak pewne granice, nie sposób udzielić pomocy każdemu wieśniakowi dotkniętemu skutkami wojny.

Jana jest najmłodsza z rodzeństwa. Ta wyjątkowa osóbką rozjaśnia swoim zielonym spojrzeniem wszystko, co miało to szczęście, że zwróciło

jej uwagę. Mimo tego, co przeżyła, jej oczy zachowały blask, któremu nie sposób się oprzeć. Przywodzi na myśl błyszczący nieoszlifowany diament z krainy snów. Jana jest jeszcze mała, uległa. Łatwo się zaadaptuje. Jej poszczęściło się chyba najbardziej. Babka cioteczna dzieci mieszka w Comillas, wówczas jednym z najbardziej wielkopańskich miasteczek Kantabrii. To siostra babci Julii. Ma na imię Amparo. Jeden z jej synów walczy na froncie po stronie nacjonalistów, drugi jest księdzem na parafii w Madrycie. Amparo prowadzi razem z mężem rybakiem gospodę. Mimo trudnych czasów całkiem nieźle im się powodzi – godzą się wykarmić jeszcze jedną gębę. Jana będzie mogła chodzić do szkoły, nie musi nawet pomagać w gospodarstwie ani w ciężkich pracach domowych. Można powiedzieć, że będzie miastową panienką.

Kiedy Jana dowiedziała się, co ją czeka, mocno zacisnęła powieki. Jeszcze zanim to zrobiła, poczuła, że wszystko staje się rozmazane, mroczne, niezrozumiałe. Przeprowadzka do sympatycznej staruszki, którą widziała zaledwie kilka razy w życiu, oznaczała rozstanie z tym, co znała: z ojcem, z rodzeństwem, ze zwierzętami, z łąkami, z błękitnym niebem. David i Clara będą mieszkali godzinę drogi piechotą od Hinojedo, choć każde z innej strony wioski, podczas gdy ona... Gdzie, do diabła, leży Comillas? Trzy godziny drogi piechotą? Może więcej? Łatwo będzie stamtąd uciec i wrócić do domu?

David jako jedyny się nie rozplakał. Wreszcie potraktowano go jak mężczyznę. Cieszył się na tę przygodę, choć gardło ścisnął mu strach przed rozstaniem. Był zaledwie trzynastoletnim chłopcem, który udawał silnego, naśladowując słowa i gesty mężczyzny.

Clara płakała, ale na spokojnie, jak dorosła osoba pozbawiona złudzeń. Błagała ojca, żeby pozwolił jej opiekować się rodzeństwem i prowadzić dom. Ponieważ Benigno nie był skłonny do negocjacji, otarła łzy i rzeczowo objaśniła ojcu, co potrafi zrobić w kuchni, w domu i przy krowach. Miała już jedenaście lat, mogła się wszystkim zająć. Niczego jednak nie wskórała.

Benigno płakał w sposób opanowany, bez hysterii, na trzeźwo. Wy tłumaczył dzieciom, że to tymczasowe rozwiązanie – dopóki nie

skończy się wojna i „sprawy” się nie ustabilizują, sam będzie mieszkał w tym domu pozbawionym kobiecej ręki.

Ale Jana nie rozumiała, co oznacza owo „tymczasowe rozwiązanie” ani ile ono potrwa. Jana nie rozumiała, dlaczego ona i jej rodzeństwo, będący jak jedna istota, mają zostać rozerwani na kawałki i rozrzućeni po świecie, podczas gdy ojciec będzie siedział w domu sam, otoczony wspomnieniami. Kiedy zemdląca, uderzyła głową w drewnianą podłogę kuchni, ale nic nie poczuła. Zanurzenie się w ołowianych chmurach i błędzenie w mroku snów przyniosło jej niespodziewaną ulgę. Dało czas, żeby wszystko sobie poukładać. Obudziła się w objęciach ojca, który lekko ją kołysał. Obok na łóżku leżeli Clara i David, wydawało się, że śpią. Jana spojrzała na Benigna swoimi ogromnymi jasnymi oczami, jakby spała od bardzo, bardzo dawna.

– Tatusiu...

– Wreszcie się obudziłaś, moja śliczna dziewczynko – szepce z ulgą Benigno. Twarz córki wydaje mu się nagle znacznie bardziej dorosła, ze zdziwieniem odkrywa, że bije od niej milczący spokój.

– Tatusiu... Zobaczymy się jeszcze kiedyś, będziemy znowu razem?

– Oczywiście, że tak, ślicznotko. Będę cię odwiedzał co kilka tygodni. A kiedy nastaną lepsze czasy, znowu będziemy w domu, całą rodziną.

– Czyli to takie jakby wakacje?

– Tak, to takie jakby wakacje – odpowiada z uśmiechem Benigno, zachwycony tym wyjaśnieniem, które ucisza jego sumienie, ale nie dręczący go niepokój. – Pójdiesz do szkoły, będziesz miała nowe koleżanki, a po powrocie wszystko nam opowiesz. Ciocia i wujek są bardzo mili, zobaczysz.

– Ale ja nie chcę nigdzie iść.

– Ja też nie chcę, żebyście gdziekolwiek szli, ale jesteście już duzi. Poza tym pamiętaj: to wakacje. Spróbujesz czegoś nowego, poznasz ładne miejsca... będziesz pracowała o wiele mniej niż tutaj – dodaje Benigno ze smutnym westchnięciem, chociaż sili się na uśmiech.

– Ale mnie wcale nie przeszkadza, że muszę pracować, tatusiu! Zostanę i będę wcześniej wstawać!

– Nie, ślicznotko. I tak już za wcześnie wstajesz. Pojedziesz do Comillas. Spodoba ci się tam, to bardzo ładne miejsce, ciocia i wujek mieszkają w domku niedaleko portu, z widokiem na morze, będziesz mogła patrzeć, jak rybacy wracają z połowu sardynek otoczeni chmarą mew.

– Nie lubię mew.

– Wiem. Wiedziałaś, że kiedy byłem mały, wujek Pepe parę razy zabrał mnie ze sobą na połów?

– Wujek Pepe?

– No przecież, głuptasku, mąż cioci Amparo. Nie jest zbyt rozmowny, ale to dobry człowiek, sama się przekonasz. Może też weźmie cię kiedyś na łódkę. Trzeba umieć nią sterować, bo jest płytko i pełno tam skał.

Jana przez chwilę się zastanawia.

– Czyli to tylko wakacje. David i Clara będą mnie często odwiedzać. I ty też. Będziesz do mnie przyjeżdżał, tatusiu?

– Oczywiście, ślicznotko. Sama widzisz, że to tylko wakacje – odpowiada Benigno.

Jeszcze mocniej przyciska do siebie Janę i znów zaczyna delikatnie kołysać ją w ramionach w nadziei, że zaśnie i przestanie go pytać o prawdy gęste i lekkie jak dym. Jana daje się utulić, ale wcześniej przez moment patrzy ojcu w oczy i pierwszy raz dociera do niej, że ją okłamuje.

Przyszłość będzie nieodwracalna. Bębny duszy obudziły chory umysł i maleńkie serce; wszystkie czyny, te drobne i te wielkie, te bez znaczenia i te decydujące, mają konsekwencje. Zaczęła kształtować się osobowość radykalna, przebiegła i groźna.

Wiesz, gdzie tkwi prawdziwe zagrożenie?

W tym, co nieprzewidywalne.

To nie jest człowiek chory psychicznie. Wie, co robi. Rzecz w tym, że nie żałuje tego, co robi. Podejmuje decyzje na zimno, bez emocji i bez wyrzutów sumienia. Jego zachowanie nie jest ludzkie, kiedy zabija. Tak naprawdę zabija jak drapieżnik, który eliminuje ofiarę należącą do innego gatunku.

Definicja psychopaty według profesora Joségo Sanmartína (1948), dyrektora dawnego Ośrodka Badań nad Przemocą imienia królowej Zofii

Sierżant Riveiro miał ciężki poranek. Zresztą nie spodziewał się, że będzie spokojnie – prowadzili dwa śledztwa, w sprawach, które prawdopodobnie były ze sobą powiązane: zwłok z Villa Marina i topielca z falochronu. Porucznik Redondo zmobilizowała w związku z tym cały wydział śledczy policji sądowej kantabryjskiej komendantury Gwardii Cywilnej w Santanderze.

Riveiro dobrze ją znał, chociaż kierowała wydziałem śledczym od niespełna roku. Była szybka, wręcz obsesyjnie skuteczna i tego samego wymagała od swojego zespołu. Żadnych błędów, żadnych wymówek, żadnych opóźnień. Wszystko musiało być jasne, uporządkowane, dopowiedziane. Sama świeciła przykładem – przychodziła do pracy pierwsza, wychodziła ostatnia. Nie była przy tym zimną suką narzucającą wojskowy dryl. Wręcz przeciwnie. Sympatyczna i koleżeńska, podchodziła do życia z sarkazmem i czarnym humorem, ale w sprawach o zabójstwo wymagała skrajnej subordynacji i skrupulatności. Jej gabinet był wizytówką osoby mającej niemal chorobliwą obsesję na punkcie kontroli, czystości i porządku. Riveiro przywykł do perfekcjonizmu szefowej, do tego, że ciągle myła ręce, do jej drobnych natręctw. Kompensowały je przytomny, bystry umysł, etyka zawodowa i prostolinijność, która sprawiała, że mimo wysokiej pozycji zajmowanej na komendzie traktowała innych jak równych sobie, nieraz także z empatią. Z zawodowego punktu widzenia można jej było zarzucić tylko to, że była na bakier z informatyką, oraz zbyt rygorystyczne podejście do spóźnień. To chyba normalne, że jeżeli poprzedniego wieczoru skończył pracę dwie godziny później, nazajutrz rano trochę się spóźni? Czy ona nie ma rodziny? Faktem jest, że Riveiro niewiele wiedział

o życiu prywatnym porucznik Redondo. Mieszkała w Santanderze, praktycznie na wprost plaży Camello, i z kimś się spotykała. Z kimś, o kim wspomina się mimochodem, ale kogo nikt nigdy nie poznał. Valentina Redondo pilnie strzegła swojej prywatności.

Razem z podporucznikiem pojechała do Santillany del Mar i do Comillas. Przy okazji dyskretnie pilnowali Gordona. Na wszelki wypadek lepiej było mieć go na oku. Kolega z wydziału śledczego – kapral Roberto Camargo – zadzwonił do sierżanta Riveiro po wizycie w biurze ewidencji nieruchomości w Torrelavedze i potwierdził to, czego dowiedzieli się od Olivera o właścicielach Villa Marina. Ponieważ wszystkie informacje należało sprawdzić, porucznik Redondo postanowiła wysłać Camarga do Santanderu, żeby porozmawiał jeszcze z prawnikiem San Románem i z radcą prawnym Gwardii Cywilnej. Dzień wcześniej poleciła dwójce funkcjonariuszy – Marcie Torres i Albertowi Zubizarrecie – żeby wybrali się do Suances i dowiedzieli, jak żył i z kim zadawał się Pedro Salas Díaz, którego zwłoki znaleziono zaklinowane przy falochronie. Mieli porozmawiać z marynarzami, rybakami, znajomymi ofiary oraz właścicielem baru La Chalana, gdzie denat podobno codziennie jadał śniadanie.

Porucznik nie zapomniała oczywiście o sierżancie Riveiro, którego traktowała jako swoją prawą rękę i z którym najlepiej się rozumiała. Dlatego najważniejsze zadania przydzieliła właśnie jemu. Zlecił już technikom przeszukanie komputera ofiary, miał dostać raport około południa. Ponieważ telefon Pedra Salasa nie dostarczył żadnych istotnych informacji, sierżant poprosił sędziego Talaverę o wydanie nakazu, który natychmiast przekazał operatorowi telefonii komórkowej. Chodziło o ustalenie właściciela numeru, z którym ostatnio kontaktował się denat, niefigurującego w książce adresowej i obecnie niedostępnego. Trzeba też było odzyskać wykasowane wiadomości. Powinni sprawdzić wszystko, absolutnie wszystko. Na szczęście sędzia Talavera był skory do współpracy, pragmatyczny i uczynny. Riveiro wiedział, że jego pomoc znacznie usprawni śledztwo.

Wpół do jedenastej.

Sierżant pilnie potrzebował kolejnej dawki kofeiny. Wstał dziś wyjątkowo wcześnie. Kiedy wychodził z domu, jego żona Ruth jeszcze spała, mrużąc przez sen coś, czego nie zrozumiał. Pojechał nad zatokę w Suances i przed siódmą był już przy falochronie. Zabrał ze sobą termos kawy z mlekiem i dwa sobaos, biszkopty, które jego żona kupowała w cukierni Casa Borona w Torrelavedze. Jego zdaniem najlepsze sobaos na świecie. Przypominały mu dzieciństwo, kiedy jeździł do dziadków do Vega de Pas i chodzili po wypieki na śniadania i podwieczorki do tej samej rzemieślniczej cukierni. Brukowane uliczki zalewał zapach świeżo upieczonego sernika, quesada pasiega, który kojarzył się sierżantowi z objęciami matki i połaciami pagórkowatych łąk Vega de Pas.

Jednak tego ranka jedzone w radiowozie śniadanie nie przeniosło go do czasów dzieciństwa. Riveiro z uwagą obserwował wszystko, co działo się w okolicach długiego falochronu wychodzącego z plaży La Ribera, ciągnącego się wzdłuż brzegu aż do plaży La Concha i kończącego w miejscu, gdzie estuarium San Martín de la Arena otwierało się na Morze Kantabryjskie. Riveiro i porucznik Redondo wiedzieli z doświadczenia, że ludzie mają codzienne nawyki, które są gwarancją ładu, dają im poczucie bezpieczeństwa i pewność siebie. Nie wykluczali, że w dniu zabójstwa Pedra Salasa, w godzinach między siódmą a dziewiątą rano ktoś widział albo słyszał coś podejrzanego i że ten ktoś nie powiadomił o tym Gwardii Cywilnej. Często tak się działo – nikt nie chce komplikować sobie życia ani bez powodu pakować się w kłopoty. Porucznik Redondo była przekonana, że ktoś na pewno regularnie pokonywał tę trasę w kluczowych dla nich godzinach: biegał, rozwoził pieczywo, spacerował z psem. Riveiro sam zgłosił się na ochotnika, żeby sprawdzić ten trop.

Do ósmej rano przy falochronie nie było jednak żadnego ruchu, nie licząc łodzi rybackich wypływających w morze i grupy nastolatków, którzy wracali pijani od strony promenady przy plaży La Concha. Riveiro zadał sobie pytanie, gdzie są ich rodzice. Był środek tygodnia, a dzieciaki wyglądały na bardzo młode. Pomyślał, że może się starzeje i nie nadąża za światem, który zaczął kręcić się zbyt szybko. Sam miał dzieci w wieku siedmiu i dziewięciu lat. Po plecach przeszedł mu lekki dreszcz. Jego

starszy syn niedługo pójdzie do Pierwszej Komunii. Czy wartości, które próbował wpajać mu w domu, wystarczą? A religia – przyda mu się do czegokolwiek? Podręcznik do religii, z którego uczył się jego syn i który z ciekawości przejrzał, raczej nie przygotowywał do życia we współczesnym świecie.

Riveiro odsunął na bok te myśli i skupił się na śledztwie, z powodu którego zerwał się o świecie. Szkoda, że falochron znajdował się tak daleko od wakacyjnych apartamentów. W pobliżu były tylko hotele i restauracje, o tej wczesnej godzinie jeszcze zamknięte.

Sierzanta niepokoił jeden drobiazg: jak to możliwe, że nikt nie słyszał wystrzału? O tej porze panowały taki spokój i cisza, że hałas na pewno zwróciłby uwagę jakiegoś rannego ptaszka. Czyżby morderca użył tłumika? Na razie nie zdołali tego ustalić.

Z uwagą lustrował okolicę. Przeszklona ściana najbliższej restauracji La Cabaña wychodziła wprost na falochron. Tyle że w niedzielę między siódmą a dziewiątą rano lokal na pewno był zamknięty na cztery spusty.

W pobliżu znajdowały się także hotelik Concha de Suances w kolorze limonki i znacznie większy hotel Soraya pomalowany na biało i niebiesko. Riveiro postanowił, że po dziewiątej pójdzie zapytać, czy któryś z gości widział albo słyszał coś dziwnego, chociaż miał świadomość, że turyści nie zwykli wstawać wcześniej rano. Pomyślał, że na wszelki wypadek wybierze się też do hoteli położonych nieco dalej, jak Sydney czy Muelle de Suances. Później osobiście porozmawia z dziećmi ofiary, chociaż zostały już oficjalnie przesłuchane. Musi znaleźć jakiś związek, cokolwiek, co pozwoliłoby połączyć Pedra Salasa z Villa Marina.

Po rozmowie z emerytem, który podobno codziennie punkt 8:15 wychodził ze swoim golden retrieverem na plażę La Concha, umięśnioną dziewczyną, która niestrudzenie biegała wzdłuż brzegu, oraz miejscowym rozwozicielem croissantów i churros Riveiro stracił nadzieję, że ktokolwiek widział coś podejrzanego. Wtedy okazało się, że jeden z leciwych rybaków siedzących na pomoście znał Pedra Salasa. Mężczyzna, który przedstawił się jako Antonio Rúa, utrzymywał, że denat często przychodził tu w niedzielę na ryby. Sierzanta zdziwiło,

że rybak spędzał wolny dzień z wędką, ale widać takie miał hobby. W dniu zabójstwa Antonio Rúa nie pojawił się na pomoście, bo miał inne zajęcia, zresztą tamtego ranka morze było zbyt spokojne, żeby dało się cokolwiek złowić. Ta informacja zaciekała sierżanta: dlaczego w takim razie Pedro Salas udał się tamtej niedzieli na pomost? Żeby łowić? Niewykluczone. Ale po co? Przecież jako doświadczony rybak musiał wiedzieć, że wróci z pustym koszem. Informacja, którą przekazał mu Antonio Rúa, była cenna także z innego powodu – wyjaśniała, dlaczego przez całą dobę nikt nie dostrzegł w wodzie zwłok. Morze było spokojne, prawie nieruchome, przy falochronie zebrały się glony, które mogły zamaskować ciało, łatwo było je pomylić z konarem drzewa. Na zakończenie Antonio Rúa zapowiedział, że zbliża się sztorm – słona woda morska wedrze się do estuarium i wzburzy jej wody. Ta ciężka mgła i bezruch powietrza to typowa niepokojąca cisza przed burzą. Kiedy morze przy Wyspie Królików i ujściu rzeki znów się rozkołysze, na pomost przybiegną surferzy, żeby skorzystać ze wzburzonych fal, które od strony falochronu są mniej groźne niż przy plaży Los Locos.

Riveiro westchnął. Porozmawiał jeszcze z dwoma innymi rybakami, ale nie udało mu się dowiedzieć niczego nowego. Nie dając za wygraną, udał się do pobliskich hoteli, gdzie o tej wczesnej porze zastał jedynie recepcjonistów. Pokazał im swoją odznakę i polecił, żeby sporządzili listy gości, którzy nocowali w hotelu z soboty na niedzielę. Mieli je przesłać faksem. Zawsze to samo – zbieranie informacji, oczekiwanie. Wreszcie pojechał na posterunek Gwardii Cywilnej w Suances, gdzie na polecenie porucznik Redondo umówił się z dziećmi ofiary.

Podczas ponownego przesłuchania potwierdził, że w niektóre niedziele Pedro Salas rzeczywiście chodził z wędką na pomost. Odkrył też, że choć prowadził skromne życie, jak na rybaka tuż przed emeryturą dysponował całkiem sporymi pieniędzmi. Jego niepracująca córka mająca na utrzymaniu dwójkę dzieci powiedziała, zanosząc się szlochem, że biedny ojciec co miesiąc dawał jej do ręki dwieście, a czasami nawet trzysta euro. To samo wyznał syn ofiary, chwilowo bezrobotny mechanik bez obciążeń wynikających z posiadania rodziny.

Córka Pedra Salasa, Rebeca, była znacznie bardziej rozmowna od brata.

– Pomyślałam sobie: Rebeco, tata na pewno zaciska pasa, żeby ci pomóc. Ja nie chciałam pieniędzy, wie pan? Ale biedaczek tak nalegał!

– Nigdy nie powiedział, skąd je bierze? Nigdy go pani o to nie pytała?

– Oczywiście, że pytałam, panie sierzancie. W końcu to mój ojciec. Pomyślałam sobie: Rebeco, coś tu nie gra. Pytałam, jak to możliwe, że na wszystko mu starcza, i czy niczego mu nie potrzeba. Mówił, że ma schowane oszczędności, że wydaje tylko na czynsz, prąd i wodę, że to małe sumy.

– Rozumiem. A nie zauważyła pani ostatnio jakiejś zmiany w jego zachowaniu, w jego nawykach? Może kogoś poznał?

– Oj, na pewno nie, panie sierzancie. Ojciec miał swoje dziwactwa, ale biedaczek chodził tylko do portu i z powrotem, czasami jeszcze do baru na śniadanie po powrocie z połowu. Ostatni raz widziałam go w sobotę... – Kobieta zanosła się szlochem, który wydał się sierżantowi szczery. – ...i wyglądał na wyjątkowo zadowolonego. Pomyślałam sobie: Rebeco, tata kogoś sobie przygruchał. Zapytałam go o to, ale powiedział, że nie, że nie w głowie mu takie głupstwa. Trochę go nawet przycisnęłam, bo wiedziałam, że ma w domu internet, może poznał tam jakąś Latynoskę czy coś, ale nie, powiedział, że nawet z niego nie korzysta.

– To ciekawe, że pani ojciec miał w domu komputer i internet. Sześćdziesięcioletni rybak... Zrobił jakiś kurs?

– A skąd, panie sierzancie! Mają w bloku wi-fi, nic za to nie płacił. A komputer był po moim Pedrito. – Wyraz twarzy kobiety złagodniał, kiedy wspomniała o synu. – Zostawiłam go tam, żeby dzieciak nie nudził się u dziadka. Pograł sobie w te gry komputerowe... albo odrobił lekcje, rozumie pan. Syn nauczył mojego ojca, jak zapisać się przez internet do lekarza, wejść na konto w banku, sprawdzić rozkład przyprawów i odpływów... Co za nieszczęście. Już nigdy nie będzie jak dawniej.

Riveiro analizował w myślach słowa Rebeki, szukając w nich odpowiedzi. Wydawała się kobietą prostą, transparentną. Mieli wydać jej ciało ojca, żeby mogła załatwić formalności pogrzebowe. Po jej wyjściu poczuł, że teraz ma jeszcze więcej pytań niż wcześniej. Uporządkował w głowie informacje, którymi dysponował. Poczciwina Pedro Salas

co miesiąc wysupływał dla swoich dzieci pięćset, sześćset euro. Regularnie. Tak po prostu. Funkcjonariusze, którzy rozpytywali o niego w barze La Chalana w Suances, donieśli, że Salas był sympatycznym gościem – albo za takiego chciał uchodzić. Nie tylko skrupulatnie płacił rachunki, ale od czasu do czasu stawiał pracownikom kolejkę. Podczas przeszukania Riveiro naocznie stwierdził, że w mieszkaniu ofiary niczego nie brakowało – miał telewizor z płaskim ekranem, nowoczesne meble, nowy kocioł gazowy... Przy pensji tysiąc dwieście euro miesięcznie. Ewidentnie coś tu nie pasowało. Salas nie afiszował się z pieniędzmi, ale żył w dostatku. Oczywiście sierżant nie był głupi, wiedział, że rybacy mogą brać część wynagrodzenia pod stołem albo dorabiać, sprzedając towar sąsiadom i miejscowym restauracjom, ale nie były to przychody aż tak wysokie, a tym bardziej tak regularne. Nie. Stary Salas musiał mieć jakieś inne źródło dochodów, o którym nikt nie wiedział. Riveiro był pewien, że właśnie w tym kierunku należy skierować śledztwo. Za przyzwoleniem porucznik Redondo poprosił sędziego Talaverę o nakaz wydania wyciągów bankowych, chociaż wiedział, że nie będą w nich figurowały żadne nieoficjalne wpływy gotówki.

Czy Pedro Salas mógł być zamieszany w przemyt? Całkiem możliwe. Przerzut narkotyków drogą morską, historia stara jak świat. Tyle że Salas nie był nigdy notowany, nie dostał nawet mandatu, nic. Informatorzy policyjni z Torrelavegi i Santanderu związani z narkotykami, gangami i przestępczością zapewniali, że nie wiedzą, kim jest Pedro Salas Díaz. „Jaki sekret skrywasz, przyjacielu?”, zastanawiał się sierżant.

Dwunasta w południe.

Chociaż słońce zaczęło się przebijać przez mgłę, zapowiadał się jeden z tych dni, kiedy idzie się na plażę wyłącznie po to, żeby pospacerować brzegiem morza albo pograć w rakiety, letni sport równie popularny w Kantabrii, jak regaty tradycyjnych łodzi i lokalna odmiana kręgli. Może rybak, z którym rozmawiał rano Riveiro, miał rację i rzeczywiście nadciągał sztorm. Sierżant ruszył w stronę radiowozu, żeby skontaktować się przez radio z porucznik, opowiedzieć jej, co ustalił, i zapytać o dalsze instrukcje, choć przypuszczał, że będzie musiał

zaczekać na raporty informatyka, patolożki sądowej i operatora telefonii komórkowej. Kiedy wszedł do samochodu, z radia dobiegł szum.

– Kapral Maza do sierżanta Riveiro, odbiór?

– Sierżant do kaprała, słucham.

– Mamy ofiarę wypadku samochodowego, ulica General, przy wjeździe do La Tablías.

Riveiro nie odpowiedział. Jego milczenie można było przetłumaczyć jako: „i po co mi o tym mówisz?”. Kapral Maza ciągnął dalej:

– David Viesgo, emerytowany lekarz z Santanderu, siedemdziesiąt dwa lata. Jego żona wczoraj w nocy zgłosiła zaginięcie, bo mąż nie wrócił na kolację, chociaż umówili się, że będzie o siódmej, i nie miała z nim kontaktu od południa... Wygląda na to, że samochód wypadł z zakrętu i stoczył się po stromym trawiastym zboczu, zatrzymał go dopiero gigantyczny figowiec. Auto odkrył dzisiaj rano gospodarz, który wypasa tam krowy.

– Do rzeczy, Maza, przecież wiesz, że wydział śledczy prowadzi inną sprawę. – Ton Riveira zdradzał zmęczenie i zniecierpliwienie.

– Wiem, sierżancie, właśnie dlatego dzwonię, na wypadek, gdyby to miało związek ze śledztwem. Próbowałem się skontaktować z porucznik Redondo, ale nie odbiera ani radia, ani komórki.

– Pojechała do klarysek, pewnie wyciszyła telefon.

– Aha, no tak. A więc żona ofiary powiedziała, że ostatnią rzeczą, którą miał zaplanowaną na wczoraj jej mąż, była wizyta w rezydencji Ongayów w Comillas. Dlatego dzwonię... Pomyślałem, że może to ważne. Czy Ongayowie nie byli kiedyś właścicielami Villa Marina? – zapytał kapral niemal przeproszającym tonem. Bał się, że niepotrzebnie dzwoni do przełożonego z komendy w sprawie zwykłego wypadku drogowego.

Riveiro na moment zaniemówił, po czym odpowiedział:

– Dziękuję, że mnie zawiadomiłeś. Bardzo dobrze zrobiłeś. Przyjechali już technicy i zabrano zwłoki?

– Tak, sierżancie, są już w instytucie medycyny sądowej. Dopiero podczas rozmowy z wdową dowiedzieliśmy się o wizycie u Ongayów. Tak czy inaczej wszystko wskazuje na nieszczęśliwy wypadek. Lekarz mógł

dostać zawału za kierownicą, bo na szosie nie ma śladów hamowania ani odłamków wskazujących na zderzenie z innym autem.

– Dzięki, Maza. Jeżeli dowiesz się czegoś więcej, co mogłoby nas zainteresować, natychmiast mnie powiadom. I prześlij protokół z przesłuchania wdowy, to pilne. Niewykluczone, że porozmawiam z nią osobiście, ale wolałbym przejrzeć wcześniejsze zeznania. Pojadę teraz do instytutu medycyny sądowej, zobaczymy, co nam powiedzą.

– Tak jest, sierżancie.

– Aha, Maza...

– Słucham, sierżancie?

– Dobra robota.

– Tak, sierżancie.

Riveiro mógłby przysiąc, że kapral Maza się uśmiechnął. Był dobrym gwardzistą. To cholerne śledztwo komplikowało się w zawrotnym tempie. Jeżeli ofiara wypadku była jakoś związana z Villa Marina, mieli do czynienia z grubą medialną sprawą. Co, jeżeli lekarz został zamordowany? Za dużo tych zbiegów okoliczności. Za dużo trupów jak na jeden tydzień. Riveiro nie sądził, żeby chodziło o seryjnego mordercę – okresy wyciszenia między zbrodniami były zbyt krótkie i nie zabijał według jednego schematu. Chyba że w tym przypadku powtarzalność dotyczyła nie *modus operandi*, ale ofiar, połączonych niewidzialną więzią.

Uznał, że musi jak najszybciej skontaktować się z porucznik Redondo. Włączył silnik i ruszył w stronę instytutu medycyny sądowej, żeby porozmawiać z Clarą Múgicą i dowiedzieć się, jak zginął sędziwy lekarz. Był pewien, że przełożona pochwaliłaby tę decyzję; nie lubiła tracić czasu, zresztą dawała mu pewną swobodę działania podczas śledztwa.

Kiedy około pierwszej wreszcie dodzwonił się do niej na komórkę, okazało się, że oboje mają nowe informacje. Porucznik jechała z Oliverem Gordonem do Comillas. Ponieważ wizyta u klarysek okazała się bezowocna, wysłała podporucznika Sabadelle do Muzeum Prehistorii i Archeologii Kantabrii oraz na wydział filozofii i nauk humanistycznych, licząc na to, że dowie się czegoś od historyków. Nie zamierzała tracić czasu – chciała, żeby Sabadelle dalej badał Tlaloca i jego związek z Villa Marina. Riveiro uśmiechnął się, wiedząc, że przełożona ledwo toleruje

podporucznika. Byli niczym woda i ogień. Ona – powściągliwa perfekcjonistka oddana pracy. On – grubiański obibok marzący o tym, żeby jak najwcześniej skończyć robotę i pójść na próbę amatorskiego zespołu teatralnego, w którym się udzielał. Kiedy Riveiro poznał Santiaga Sabadelle, już od ładnych paru lat pracował jako śledczy, mimo to nigdy by się nie domyślił, że skrytym marzeniem jego gburowatego kolegi jest zostać aktorem. Świat potrafi zaskakiwać.

Porucznik Redondo pochwaliła jego decyzję, żeby od razu udać się do instytutu medycyny sądowej. Miał wypytać o ofiarę wypadku, a przy okazji sprawdzić, czy wiadomo coś nowego o wcześniejszych zwłokach. Zarządziła, że pod koniec dnia wymienią się informacjami, a nazajutrz o ósmej rano cały wydział śledczy spotka się na komendzie w Santanderze w celu przedyskutowania odkryć, tropów i domysłów.

„Odkrycia, tropy, domysły?”, pomyślał Riveiro. Tych ostatnich miał kilka. Przypomniawszy sobie partie domina, które w mroźne zimowe wieczory rozgrywał w Vega de Pas z dziadkiem. Nie lubił grać w domino, wolał ustawiać jedna za drugą dwadzieścia osiem płytek, na czele tą bez oczek. Popychał je palcem i patrzył zahipnotyzowany, jak kamienie stopniowo się przewracają, upadają jeden po drugim niczym stojący w szyku żołnierze, lądując czarną stroną na stole i odsłaniając białe oczka. Kiedy parkował przed instytutem medycyny sądowej, pomyślał, że jeżeli lekarz nie zginął przypadkowo, mają do czynienia z dominem, którego kolejne płytki będą się przewracały szybko i nieuchronnie. Wiedział, że początkiem wszystkiego, detonatorem, gładkim kamieniem, który popchnął pozostałe, był anioł z Villa Marina.

DZIENNIK (7)

Luis siedzi na kamiennym murku w porcie w Comillas i jak urzeczony wpatruje się w Janę. Ma piętnaście lat – jest już mężczyzną. Szczupłe, silne, umięśnione ciało ukształtowane ciężką pracą fizyczną, szczególny rodzaj opalenizny będący wynikiem połączonego działania promieni słonecznych i słonego morskiego powietrza, gęste, kręcone ciemne włosy, kanciaste rysy, wąskie usta. Wrócił z połowu wczesnym rankiem, teraz naprawia sieci w łagodnym kwietniowym słońcu. Nie sposób oderwać od niego wzroku.

Jana jest piękna. Ma już prawie jedenaście lat, udaje kobietę, rozwieszając pranie, żeby wybieliło się w chłodnym słońcu, jakie świeci tylko na północy półwyspu. Wygląda tak, jakby tańczyła bosą na trawie, na rozległej łące sięgającej pobliskich pionowych klifów, zabójczej przepaści. Los obdarzył ją niezwykłą urodą, ale ona chyba nie jest jej jeszcze świadoma, bo raczy swoją subtelną obecnością otaczających ją nieokrzesanych śmiertelników. Kończy rozwieszać bieliznę, którą uprała ręcznie i wyzęła ze sto razy. Wydaje się taka dorosła, taka dojrzała. Luis obserwuje ją dzikimi granatowymi oczami. Ma wrażenie, że czas się zatrzymał – zapomina o tym, co było i co zaraz będzie, potrafi jedynie wpatrywać się w Janę, oczarowany jej naturalną kobiecością.

Nigdy nie widział, żeby robiła sobie choć chwilę przerwy, a nigdy to mnóstwo czasu. W sposobie, w jaki się porusza, i w jej spojrzeniu – uciekającym, nieufnym, mądrym – jest coś niepokojącego, co sprawia, że Luis czuje się mały i niepewny. Zakochał się, niezłomną miłością nastolatka.

Luis nie jest głupi – wie, że jest jeszcze za wcześnie. Ale wie również, że nie da się zatrzymać koła czasu i że nadejdzie jego moment. I że Jana rzuca mu przeciągłe spojrzenia, że kiedy udaje im się porozmawiać, uśmiecha się do niego szerzej niż do innych.

Luis – prosty rybak mieszkający z owdowiałą matką – śni na jawie. Śni, że poprosi Janę o rękę, śni, że jeżeli zechce dzielić z nim życie, pozwoli jej tańczyć na trawie do końca świata, jeśli nie przeszkodzą im w tym

toczone na Ziemi wojny. Chociaż Jana może wcale nie potrzebuje ratunku, on przytuli ją najmocniej ze wszystkich, da jej coś, w co będzie mogła wierzyć, coś namacalnego, coś, czego nie dała jej rodzina ani Bóg. Jest przekonany, że jego miłość i jego obecność wystarczą – przyszłość jest niezmierną.

Chociaż Luis jak zwykle z walącym sercem śledzi Janę, wcale się z tym nie kryjąc, to nie jest zwykły dzień – 1 kwietnia 1939 roku przejdzie do historii jako dzień, w którym skończyła się wojna. Dzień, w którym radio rebeliantów – Radio Nacional de España – nadało ostatni komunikat hiszpańskiej wojny domowej.

„W dniu dzisiejszym, po wzięciu do niewoli i rozbrojeniu oddziałów czerwonych, wojska nacjonalistów osiągnęły ostatnie cele militarne. Wojna się skończyła. Burgos, pierwszy kwietnia, rok zwycięstwa. Generalissimus Francisco Franco Bahamonde”.

Po nadaniu komunikatu gospoda ciotki Amparo pęka w szwach. Wszyscy świętują zakończenie konfliktu, także Luis i czerwoni, którzy w ostatnich miesiącach oficjalnie przestali nimi być. Koniec oznacza nowy początek. Ale nie dla wszystkich: republikanie, którzy jeszcze nie uciekli z kraju, nie zostali rozstrzelani i nie siedzą w więzieniach, przyczaili się w oczekiwaniu na pomoc międzynarodową, na reakcję już bezpiecznych towarzyszy, na przegrupowanie sił. Ratunek nie nadejdzie, za to w górach Kantabrii zaroi się od bohaterów, coraz bardziej osamotnionych, walczących w coraz bardziej zimnej wojnie.

Ocenzurowana prasa pisze wyłącznie o pokoju, który wreszcie zapanował w kraju, niemal ignorując istnienie imponującego zbrojnego ruchu oporu, którego liczne akcje traktowane są jako akty bandytyzmu. David, starszy brat Jany, w końcu także poszedł w góry torować sobie własną drogę do sprawiedliwości podczas długiej wojny, której oficjalnie nie było. Ukrywał się w skalnych szczelinach, w rowach, na rzecznych mokradłach, ścigany przez Gwardię Cywilną. Ale to będzie później, na razie tę historię malują inne pociągnięcia pędzla.

Musisz mi wybaczyć; obawiam się, że moja pamięć nie zawsze przywołuje wydarzenia w porządku chronologicznym. Zatrzymaliśmy się

na kwietniu 1939 roku. Och, szkoda, że go nie widzisz, na pewno olśniłaby cię jego uroda – Comillas to niesamowite miejsce. Celtycka nazwa zdradza, że to nadmorskie miasteczko otoczone trzema łagodnymi wzgórzami. Na jednym z nich – wzgórzu La Cardosa – wznosi się imponująca budowla w kolorze cegły – seminarium Świętego Antoniego Padewskiego kształcące księży, kolebka kapłaństwa, która z czasem przekształci się w słynny Papieski Uniwersytet Comillas. Nazwa drugiego wzgórza pochodzi od znajdującego się na szczycie pałacu Sobrellano, którego potężna bryła góruje nad Comillas i jego mieszkańcami. Cegły są tu ciemniejsze, bardziej poszarzałe, neogotycki styl łączy w sobie elementy gotyku weneckiego i romantyzmu. Pobliska Villa Quijano – teraz znana jako Kaprys Gaudiego – obala wszelkie architektoniczne stereotypy, mieszanka stylów arabskiego, perskiego i modernistycznego zapada w pamięć każdemu, kto zapaści się tu, żeby obejrzeć dom. Ostatnie wzgórze nie wyszło cało z wojny. Pałac Coteruca, który wznosił się na nim jeszcze kilka miesięcy wcześniej – kwadratowy, ascetyczny, wręcz nudny – jest już tylko wspomnieniem. Z bombardowań ocalała zaledwie część bocznych ścian i dwie wieże, które wkrótce runą.

Te trzy wzgórza górują nad miasteczkiem, które mimo wojny nadal uchodzi za zamożne. Dobrobyt zawdzięcza nie tylko mieszkańcom, którzy dorobili się majątków w Ameryce, ale i władcom – Alfonsowi XII i Alfonsowi XIII, którzy spędzali w Comillas lato, przyciągając jak magnes bogatych mieszczan i przedsiębiorców. Ci budowali swoje modernistyczne pałacyki w sąsiedztwie tradycyjnych kantabryjskich domów, bo można było stąd poczuć słony zapach morza i słodki aromat zielonych łąk.

Jana jest szczęśliwa, że mieszka w Comillas u cioci Amparo i wujka Pepe. Wiedzie spokojne życie. Rano chodzi do szkoły, gdzie trzy razy w tygodniu ma lekcje szycia. Przez większość wolnego czasu pomaga w domu albo sprząta w gospodzie. Oddycha tutejszym powietrzem od półtora roku i już nie tęskni za życiem w Hinojedo. Ojciec odwiedził ją tylko trzy razy; tłumaczy, że musi pogodzić wizyty u trójki dzieci z pracą w hucie, przy krowach i w warzywniku. Jana postanowiła mu uwierzyć; dzięki temu świat wydaje się bardziej przyjazny. Od czasu

do czasu wymienia listy ze swoim bratem Davidem, który nadal dobrze nie opanował sztuki pisania. Wie tylko, że zmęźniał, że dużo pracuje i że trzyma się ze starszymi chłopakami. Podobno chodzi na tajne spotkania republikanów, ale nie zdradził więcej szczegółów. Za to z Clarą piszą do siebie co najmniej raz na dwa miesiące, chociaż w latach wojny listy nie zawsze przychodziły na czas. Zdarzało się, że nie miały od siebie wiadomości nawet przez trzy miesiące, nie licząc pozdrowień przekazywanych przez znajomych. Ale słowa są ulotne, żyją tylko w momencie, kiedy są wypowiedane.

Clara pisze Janie za pośrednictwem babci – chociaż mogłaby sama – o tym, jak dużo pracuje i czego uczy się gotować, o zamożnych panach i damach przewijających się przez dom, o sukienkach i beztroskim życiu dobrze urodzonych dziewczynek. Pisze jej o świecie ciastek z kremem, lalek z porcelany, drewnianych koników i resztek biszkopta, które zostały na talerzyku i których nikt nie chce. Pisze jej, że kiedy dorośnie, zawsze będzie przy niej, jak Tata Lis, który opiekuje się w norze swoimi dziećmi, że uwolni ją z lochów zamku. Słowa dwunastoletniej dziewczynki.

Ciocia Amparo koresponduje ze swoją siostrą Julią, a przy okazji w imieniu Jany – chociaż ona też już dobrze pisze – odpowiada na listy Clary. Jana przekazuje Clarze, że chce, aby po tych długich wakacjach znów byli wszyscy razem, chociaż woli mieszkać w Comillas, że lubi atmosferę rybackiego miasteczka, krzątanie w porcie i pracę w gospodzie, a nawet zapach ryb, który początkowo ją brzydził, a teraz z przyjemnością wdycha go podczas każdego przypływu. Ciocia Amparo rozpląwa się z radości. Jana jest dla niej córką, której nie miała, spóźnionym darem, chociaż na początku o mały włos nie odesłali jej do ojca, bo bez przerwy mdlała i miała koszmary. Traciła przytomność na kilka godzin, na moment się budziła, po czym znowu mdlała. Dziwna dziewczynka. Jej spojrzenie czasami budziło niepokój, wydawało się nieobecne, zimne, pozbawione wyrazu. Powoli jednak przyzwyczajała się do nowego miejsca, do własnego pokoju, do domowych obowiązków, do zapachu morza. Kupili jej dwie sukienki; Jana tańczyła w nich w przedpokoju i mówiła, że jest księżniczką, a jeżeli nią nie jest, to musi znaleźć sobie księcia z bajki, który na pewno gdzieś tam na nią czeka.

Tego ranka, kiedy oficjalnie zakończyła się wojna, na Janę czeka nie książę, ale młody rybak Luis. Biegnie brzegiem morza z innymi dzieciakami z miasteczka, krzyczą, że już nie ma wojny. Ciocia pozwala Janie, żeby do nich dołączyła. Dzisiaj chłopcy i dziewczynki mogą razem obwieszczać koniec.

Kiedy docierają do złotej plaży w Comillas, zatrzymują się, żeby odpocząć. Chłopcy wyciągają tytoń. Luis podchodzi do Jany.

– Ładnie dziś wyglądasz.

– Bezwstydnik – karci go Jana z uśmiechem.

– Jesteś już małą kobietką – ciągnie Luis, niezrażony.

– Ale z ciebie natręt. Oczywiście, że jestem już prawie kobietą. Ty nie skręcasz sobie papierosa? – pyta i wskazuje głową innych chłopców.

Dziewczynki obserwują ich, szepcząc i chichocząc. Wygląda na to, że dziś wszystkim dopisują humory.

– Nie, wolę rozmawiać z tobą. Może uda mi się cię rozzłościć. Kiedy się gniewasz, jesteś jeszcze ładniejsza.

– Głupek... Śmierdzisz rybami.

– No przecież. Wracam z pracy – odpowiada Luis.

Jana zraniła jego dumę. Nie widzi, że jest mężczyzną, który na siebie zarabia? Z jego twarzy znika zadziorna mina; poważnieje. Jana zdaje sobie sprawę, że go uraziła. Żeby to naprawić, przysuwa się bliżej do Luisa. Mimo młodego wieku wie, jak używać kobiecego oręża.

– Wiesz, że dzisiaj o tym śniłam? – pyta, wskazując głową pałacyk w angielskim stylu stojący na trawiastym pagórku nieopodal plaży, z którego roztacza się wspaniały widok na morze.

– O czym? O Casa del Duque? – Luis podąża za spojrzeniem Jany, ze zdziwieniem unosząc brwi.

– Tak. Śniło mi się, że tam mieszkam. Byłam panią domu.

– Wyrafinowane ma panienska gusta. Casa del Duque! Gdybyś zamieszkała w pałacu Sobrellano, nazywalibyśmy cię księżniczką – nabija się Luis.

Jana udaje, że nie słyszała, nie spuszcza wzroku z rezydencji.

– We śnie widziałam dom od środka. Jest ogromny. Mają tam prześliczną chińską porcelanę, służących, ogrody, biszkopty i torty

czekoladowe.

– Jasne, i do tego bogate dziewczynki. A nie widziałaś tam jednego z tych książąt z bajki, którzy tak ci się podobają, obżerającego się ciastkami? Bo tylko to potrafią robić głupkowate dzieciaki z domów takich jak ten – mówi Luis, spoglądając z pogardą na wiktoriański pałacyk, który nawet w świetle dnia wygląda tajemniczo.

– Co ty możesz o tym wiedzieć? Znasz się tylko na rybach.

– Tak, na tych, które się je i za które dostaje się pieniądze. Ale jak widać na snach głupich dziewczynek, które uważają się za księżniczki, nie za bardzo się znam.

Jana się złości, wykrzywia buzię w grymasie zarówno dziecinnym, jak i kobiecym.

– Sam jesteś głupi. Nie będę już z tobą nigdy rozmawiać.

– Widzisz, jaka jesteś ładna, kiedy się gniewasz? – odpowiada wesoło Luis. – Jeżeli będziesz grzeczna, może kiedyś kupię ci taki dom – dodaje, próbując wywołać na jej twarzy uśmiech.

– Ja nie chcę mieć takiego domu. Chcę mieć ten dom.

Luis wybucha gromkim śmiechem.

– Dużo musiałbym się nałowić dla księżnej pani.

Jana bezskutecznie próbuje ukryć uśmiech. Odwraca się do Luisa plecami i idzie do innych dziewczynek. Czysta kokieteria. Po drodze odważa się obejrzeć do tyłu i rozbawiona pokazuje język swojemu Romeo, wyraźnie zachwyconemu tą prowokacją.

Te dni są dla Jany wyjątkowo szczęśliwe. Chowa je na jedną z nietykalnych półek pamięci; od czasu do czasu będzie je stamtąd wydobywać, głaskać niczym ciepły, miękki plusz, po czym odkładać w to samo bezpieczne miejsce. Jednakże radość z zakończenia wojny to tylko złudzenie. Mrok końca zawsze jest rozjaśniony światłem nowego początku, ale niespodziewane początki nie zawsze nas cieszą.

Koniec wojny. Początek długiego, nędznego, mrocznego powojnia, z setkami republikanów zbiegłych w góry albo ukrywających się za atrapami ścianek działowych, w piwnicach, na strychach. Cena za przegraną w tej wojnie śmiertelników walczących pod tym samym

sztandarem jest bardzo wysoka. Ci, którzy uciekli z kraju, zaznają zaledwie odrobinę więcej spokoju. Wielu z nich stanie do walki z nazistami w drugiej wojnie światowej, która wybuchnie za kilka miesięcy. Nie będę ci opowiadać o hiszpańskiej pierwszej kompanii złożonej z republikanów, która wylądowała w Normandii, ani o dziewiątej, też hiszpańskiej i czerwonej, która weszła w skład jednej z najwaleczniejszych dywizji pancernych tej następnej wojny, bo to historia z za drugiej strony szyby.

Koniec wojny domowej, otwartej, oficjalnej, krwawej.

Koniec wakacji. Czeka ją na ciebie. Wracasz do domu, Jano.

Kobiety z przeszłością i mężczyźni z przyszłością są najbardziej interesującymi ludźmi.

Chavela Vargas (1919–2012)

Valentina Redondo poczuła wibrowanie komórki. Dzwonił sierżant Riveiro. Siedziała w ogródku kawiarni Rosalía, przy wejściu na starówkę, praktycznie na wprost klasztoru klarysek; postanowiła, że zjedzą coś naprędce, zanim udadzą się do Comillas. Podporucznika Sabadelle zabrał przed chwilą radiowóz miejscowej Gwardii Cywilnej. Valentina bardzo liczyła na to, że uda mu się ustalić związek między Tlalokiem i Villa Marina.

Wyłączyła wyciszenie i odebrała telefon od sierżanta. Kolejne zwłoki, tym razem stary lekarz zginął na drodze, wracając ze spotkania z panią Ongayo. Nie było jeszcze wiadomo, czy chodziło o zwykły wypadek. Riveiro miał zadzwonić do niej po wizycie w instytucie medycyny sądowej. Valentina pomyślała, że również o to będzie musiała zapytać leciwą damę. Poprzedniego wieczoru zapoznała się ze wszystkimi dostępnymi informacjami na jej temat: osiemdziesiąt pięć lat i życie jak z filmu.

– Wydaje się pani zamyślona – zagadnął uprzejmie Oliver, siadając przy stoliku. Zamówił przy barze dwie kanapki na ciepło.

Valentina odpowiedziała uśmiechem na tę oznakę serdeczności. Zaraz jednak przypomniała sobie, że jest w pracy, i przybrała poważną minę. Postanowiła na razie nie wspominać Oliverowi o kolejnej ofierze – istniała szansa, że to tylko przykry zbieg okoliczności.

– Myślałam o pani Ongayowej. Z naszych archiwów i informacji, które przekazali mi koledzy z Comillas, wynika, że przez całe życie była niezwykle hojna. Organizowała kolacje i gale dobroczynne, zakładała jadłodajnie dla ubogich, roztaczała opiekę nad dziećmi z biednych domów i obejmowała mecenatem artystów.

– Matka Teresa północy – odparł z namysłem Oliver. – Mimo wszystko to dziwne; mam na myśli oddanie domu moim dziadkom. Za duża szczodrość, nie sądzi pani?

– Jestem tego samego zdania, chociaż czasami rzeczywistość przekracza nasze najśmielsze oczekiwania. Proszę mi wierzyć, codziennie dochodzi do takich absurdalnych zdarzeń. Ze względu na naszą pracę jesteśmy świadkami skrajnej bezmyślności i głupoty, sytuacji, które wydawałyby się naciągane nawet w filmie science fiction.

– Wyobrażam sobie – stwierdził z uśmiechem Oliver. – Pani praca musi być pasjonująca.

– Myli się pan. Większość czasu pochłaniają nam nie azteckie bożki i zmumifikowane zwłoki noworodków – powiedziała Valentina, ustawiając równo serwetnik – ale przestępstwa innego rodzaju, w większości odrażające i okrutne, w które musimy włożyć tyle samo, a nawet więcej wysiłku, zabezpieczając ślady, pilnując łańcucha dowodowego, zlecając analizy i sporządzając protokoły.

Oliver z podziwem patrzył na porucznik. Opowiadała o tym wszystkim spokojnie, rzeczowo, z opanowaniem. Ciekawie się z nią rozmawiało, mimo że obsesyjnie porządkowała wszystko, co znalazło się w zasięgu jej ręki. Wbrew jego obawom dzień spędzony w towarzystwie neurotyczki okazał się nie taki straszny. Nawet jej dwukolorowe spojrzenie nie budziło już w nim niepokoju.

– Niech mi pani opowie coś więcej o tej Ongayo. To znaczy tyle, ile pani może. Ostatnio nasłuchałem się o swojej rodzinie mnóstwa dziwnych i niedorzecznych historii, potrzebuję faktów. Proszę mnie zrozumieć: muszę wiedzieć.

– Rozumiem pana. Moje informacje na temat pani Ongayo nie są poufne, mogę się nimi z panem podzielić.

– W takim razie słucham – odpowiedział zaciekawiony Oliver.

– Na razie nie wiemy zbyt wiele o jej młodości. Wychowała się w małej wiosce niedaleko Suances. Jej dzieciństwo nie wyróżniało się niczym szczególnym. Służyła w kilku domach, zanim trafiła do Villa Marina.

– Była służącą? Pracowała w Villa Marina? Jak to możliwe? Nie była bogata? – zdumiał się Oliver.

Kelner przyniósł im kanapki. Valentina uśmiechnęła się rozbawiona. Czuła się tak, jakby opowiadała bajkę dziecku, które ciągle się czemuś dziwi.

– Pracowała tam tylko przez rok albo dwa lata, jeszcze tego nie potwierdziłam. Potem wyszła za najstarszego syna Ongayów, którzy, jak pan wie, dorobili się większości majątku w Urugwaju. Po ślubie zrezygnowała z panińskiego nazwiska, Fernández, i przyjęła nazwisko męża. Razem stworzyli imperium Bocartes Ongayo, na pewno widział pan ich logo na billboardach.

– Anchois Ongayo są jej? Nie skojarzyłem! Myślałem, że to tutaj popularne nazwisko.

– Owszem, ale nie aż tak. W każdym razie, jak pan powiedział, anchois Ongayo są produkowane przez imperium handlowe stworzone przez Ongayową i jej męża. Mają kilka fabryk na wybrzeżu Kantabrii, eksportują swoje produkty nawet do krajów Wschodu. Czytałam o tym wczoraj w internecie – wyjaśniła Valentina. Nie zamierzała udawać, że zdobycie tych informacji wymagało dużo zachodu.

– To rzeczywiście muszą być bogaci.

– Są. Ale nie tylko dzięki Bocartes Ongayo. Ongayowa prowadzi też interesy w Urugwaju i Chile.

– Ongayowa?

– Owdowiała niedługo po ślubie, z czego wnoszę, że to ona miała żyłkę do interesów. Po jakimś czasie ponownie wyszła za mąż za innego potentata z branży sardeli, Bocartes Ongayo wchłonęło jego firmę. To prawie tak, jakby wżeniła się w rodzinę królewską. Osiedli w Comillas, w domu, do którego teraz jedziemy. O ile urząd meldunkowy ma właściwe dane, Ongayowa mieszka w nim od ponad czterdziestu lat.

Oliver przez moment nad czymś się zastanawiał.

– A dlaczego nadal nazywają ją panią Ongayo? Skoro powtórnie wyszła za mąż...

– Zapewne z powodu sardeli, panie Oliverze. Przyjęła nazwisko pierwszego męża, z nazwiska drugiego zrezygnowała być może dlatego, że wszędzie znali ją już jako Ongayową. Tak czy inaczej jakieś cztery, pięć lat później ponownie owdowiała.

– No pięknie. Na pewno wszyscy biją się o jej rękę. Chyba niezłe z niej ziółko. Musi być kuta na cztery nogi.

– Owszem, jest. Po Comillas krążą plotki, że w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych utrzymywała bliskie relacje z Mariną de la Vereda Bárceną, ale nie udało mi się tego potwierdzić.

– Mariną de la Vereda? Kto to taki?

– Francuska szpieg urodzona w Torrelavedze. Po zakończeniu drugiej wojny światowej w czterdziestym piątym została kimś w rodzaju łowczyni nazistów i kolaborantów, z których wielu w pośpiechu uciekło do Ameryki Południowej, na Wyspy Kanaryjskie i na Costa del Sol. Ponieważ Ongayową łączyły z Ameryką Południową interesy, faktycznie mogła pomagać Marinie de la Vereda w namierzaniu zbiegłych po wojnie Niemców, ale to tylko moje domysły.

– O cholera – szepnął zdumiony Oliver.

Valentina znów się uśmiechnęła.

– Mówiłam już panu, że niekiedy rzeczywistość przekracza nasze najśmielsze marzenia. Często patrzymy, nie widząc. Trzeba dociekać, panie Gordon, drapać powierzchnię.

Zamyślona Valentina wzięła przez papierową serwetkę połówkę swojej kanapki i odgryzła pierwszy kęs. Oliver poszedł w jej ślady. Zjedli lekki lunch w milczeniu.

W drodze do Comillas zachwycali się krajobrazem urzekającym zielenią pól, szarością skał i błękitem morza, w którym odbijało się intensywnie niebieskie niebo ze strzępkami wiszącej w powietrzu mgły. Cóbreces, które mijali po lewej stronie szosy, skojarzyło się Oliverowi z urokliwym szwajcarskim miasteczkiem, może z powodu wystającej ponad zabudowania dzwonnicy. Wpatrzony w przesuwany się za szybą krajobraz, przypomniał sobie sekretne miejsce, do którego zabierali go czasami dziadkowie, kiedy był dzieckiem. Podzielił się tym wspomnieniem z porucznik Redondo. Razem z bratem kąpali się w morskim basenie, owalnym, niemal okrągłym, otoczonym bujną łąką. Nieopodal była mała jaskinia... Jak się nazywało to miejsce? Pamiętał, że dziadkowie spotykali się tam ze znajomymi, podczas gdy on i Guillermo biegali, chowali się i skakali do morza, do którego schodziło się po wykutych w skale schodkach. Przychodzili tam

wyłącznie miejscowi, nigdy nie widział żadnego turysty. Po latach próbował odszukać to miejsce w internecie, ale nie udało mu się go znaleźć, nawet na mapach turystycznych. Udawali z Guillermem, że są piratami i że ten skrawek lądu i morza położony z dala od tłumów wczasowiczów to ich ukryty port, miejsce, w którym byli bezpieczni i w którym zatrzymał się czas. Porucznik Redondo próbowała pogrzebać w pamięci, w końcu jednak wyznała Oliverowi, że pracuje w Santanderze dopiero od pięciu lat i że nie zwiedziła zbyt wielu miejscowych atrakcji, tym bardziej niezaznaczonych na mapach, schowanych zatoczek. Czy to możliwe, żeby w dobie informatyzacji, zaawansowanych systemów nawigacji i śledzenia przesyłek istniał ukryty przed światem port? Porucznik uważała, że raczej nie, nie znała jednak dobrze okolic, bo w wakacje wracała do swojego rodzinnego miasta, Santiago de Compostela. Galicia – kraina kamieni i prastarych legend – była piękna, magnetyczna, ale przywoływała gorzkie wspomnienia. Valentina też chciałaby mieć swój ukryty port, miejsce, w którym mogłaby odpocząć i ochłonać, wyciszyć zmysły i obniżyć wymagania względem samej siebie; miejsce, w którym mogłaby leżeć na trawie i z dziecięcą beztrąską patrzeć w niebo.

Koniec rozmowy.

Dotarli do Comillas. Od strony, z której nadjechali, wjazd do miasteczka nie wyróżniał się niczym szczególnym. Po prawej stronie drogi falowało morze, tego dnia najwyraźniej spokojne, obmywając plażę, przy której znajdowały się kemping i deptak. Po lewej stronie leżało miasteczko, strzeżone przez trzy wzgórza, które dumnie górowały nad szosą i jadącymi nią turystami, nad plażą i morzem. Samo Comillas pozostawało jednak niewidoczne z drogi, ukryte niczym skarb. Można było stąd dostrzec zaledwie jego zarys – aby zobaczyć je w pełnej okazałości, należało wspiąć się na jedno ze wzgórz.

Chociaż Oliver bywał tu jako dziecko, niemal niczego nie pamiętał. Kiedy droga zaczęła się piąć pod górę, jego oczom ukazały się niektóre spośród urzekających zakątków miasteczka. Zobaczył położony na uboczu cmentarz z wielkim posągami skrzydlatego anioła dzierżącego miecz. Romantyczna sceneria robiła duże wrażenie nawet z daleka.

Na pagórku położonym najbliżej morza stała wysoka kolumna z bazą w formie dzioba statku, na której wznosił się pomnik markiza Comillas.

– Właśnie tam jedziemy. – Porucznik Redondo wskazała głową kamienną kolumnę.

– Tam? Jak to...? Do pomnika? Wygląda jak młodszy brat admirała Nelsona z Trafalgar Square.

Redondo odpowiedziała uśmiechem.

– Nie do pomnika. Za pomnik. Do tamtego domu.

Wjeżdżali zboczem wzgórza. Oliver spojrzał na budynek, który wskazywała porucznik, i na moment odebrało mu mowę. To był nie tyle dom, co okazała neogotycka rezydencja. Coś pomiędzy romantycznym pałacykiem a zamkiem wziętym z powieści gotyckiej. Z daleka widać było spadziste daszki pokryte czarnym łupkiem i drewniane wykończenia skrywające rynny. Dom był piętrowy, z poddaszem i piwnicą. Z wychodzących na wszystkie strony świata olbrzymich okien w jasnobrązowych drewnianych framugach musiał się roztaczać przepiękny widok na wybrzeże.

Część fasady pokrywał starannie przycięty bluszcz. Posiadłość była tak ogromna, że nie dało się jej objąć wzrokiem, można się było jedynie domyślać, że całość otacza mur. Na teren posesji prowadziła żelazna, nieco przerdzewiała brama, na której wisiała mała tabliczka z napisem „Łąka San José”.

– O kurde, wygląda jak dom z *Psychozy* – powiedział z podziwem Oliver, kiedy porucznik parkowała samochód. – Zaraz wyjdzie nam naprzeciw Alfred Hitchcock.

Redondo uśmiechnęła się, nie spuszczać wzroku z bramy.

– Coś nie tak? – zapytał Oliver i podążył za jej spojrzeniem.

– Za bardzo tu spokojnie... – Porucznik przerwała, szukając właściwego słowa. – Za mało ruchu – dodała, po czym podeszła do bramy, otwartej niemal na oścież.

Oliver podreptał za nią zdziwiony.

– Niech pani posłucha... muzyka! – wykrzyknął, kiedy onieśmielony szedł za funkcjonariuszką w stronę pałacyku. Główne drzwi także były

otwarte, ze środka dolatywała jakaś spokojna melodia i głos śpiewającej po francusku piosenkarki.

Stanęli przed wejściem. Słyszeć było tylko piosenkę, nie dochodziły do nich żadne inne dźwięki, ani z zewnątrz, ani ze środka. Żadne szepty, nawet oddechy. Porucznik Redondo odruchowo przyłożyła dłoń do pistoletu, Sig Sauera P229 kaliber dziewięć milimetrów. Doświadczenie podpowiadało jej, że powinna zachować czujność. Odsunęła ręką Olivera, wskazała mu wzrokiem, żeby został na zewnątrz, po czym weszła do środka, powoli, ostrożnie, oglądając się za siebie.

– Halo? Halo! Porucznik Redondo z komendy Gwardii Cywilnej w Santanderze. Wydział dochodzeniowy! Halo?

Odpowiedziała jej cisza przepojona muzyką.

Piosenka mówiła o nieuchronnym upływie czasu, utraconej miłości i wciąż żywym wspomnieniu romansu sprzed lat.

Oliver niespokojnie czekał przed domem. Stracił z oczu porucznik Redondo, dobiegał go jedynie odgłos jej kroków i trzeszczenie desek. Z miejsca, w którym stał, widział tylko część holu pełnego antycznych mebli, luster i starych, ale dobrze utrzymanych dywanów. Nagle kroki funkcjonariuszki stały się szybsze, nie starała się już nie robić hałasu. Skierowały się na prawo od wejścia. Coś upadło na podłogę. Coś szklanego rozprysło się na drobne kawałki. Oliver odruchowo wbiegł do środka. Nie mógł stać beczynnym przed tymi drzwiami, za którymi kryło się ponad sto lat odwiedzin, domowej krzątaniny, przemilczeń.

Wróciła cisza, zakłócana jedynie przez piosenkę, która spowijała wszystko niemal namacalną nostalgią. Nagle znowu rozległy się kroki, szybkie i zdecydowane. Oliver poszedł w stronę dużych dwuskrzydłowych drzwi po prawej stronie holu prowadzących do olbrzymiego salonu. To stamtąd dobiegały muzyka i odgłos kroków porucznik Redondo, która od razu wyczuła jego obecność.

– Panie Oliverze, proszę podać mi wodę, szybko!

– Już – odpowiedział posłusznie Oliver, lokalizując na stoliku szklanekę i porządkując w myślach scenę, którą zastał w salonie: Valentina Redondo próbowała reanimować staruszkę leżącą nieruchomo na dużej

różowej sofie obitej jedwabiem i aksamitem, przy wielkim oknie, przez które widać było bramę i zaparkowany przed nią samochód porucznik.

– Co...? Co jej jest? – wybąkał.

– Chyba nic poważnego, prawdopodobnie zemdląca. Nie rozumiem tylko, gdzie jest służba, w tym domu na pewno pracuje kilka osób – odparła Redondo, delikatnie zwilżając wodą twarz i kark staruszki.

– Proszę spojrzeć, już się ocknęła – powiedział Oliver, widząc, że kobieta mruga oczami i wraca do świata żywych.

Jej jasne, zielone, zmęczone oczy spojrzały najpierw na Olivera, potem na Valentine. Szybko usiadła i przez moment w milczeniu przyglądała się gościom.

– Proszę mi wybaczyć. Wygląda na to, że zemdlalam. Niekiedy mi się to przytrafia. Od dziecka. Widziałam, jak państwo przyjechali, i nagle zapadłam w ten mroczny sen, z którego nigdy nie wiem, kiedy się obudzę.

Valentina przyglądała się staruszce: szczupłej, niskiej, drobnej, o eleganckich ruchach i spokojnym kocim spojrzeniu.

– Już dobrze się pani czuje? – zapytała, wstając z kucek.

– Tak, moja droga. Doskonale. Dziękuję. Zdaje się, że przyszła mi pani na ratunek.

– A przy okazji stłukłam wazonik, bardzo przepraszam. Bałam się, że spadnie pani z kanapy, zahaczyłam o niego, kiedy do pani podbiegałam.

– Proszę się nie przejmować. To szkło weneckie. I tak mi się już znudził – odparła z uprzejmym uśmiechem staruszka. – A z kim mam przyjemność?

– Porucznik Valentina Redondo z wydziału śledczego Gwardii Cywilnej w Santanderze. A to Oliver Gordon – powiedziała funkcjonariuszka. Wskazała Olivera i odsunęła się na bok, żeby mógł się włączyć do rozmowy.

– Aha – odparła beznamiętnie staruszka. – Za moment wyjaśnię mi państwo szczegółowo powód tej wizyty, ale wcześniej proszę pozwolić, że poproszę służbę, żeby zaparzyła kawę. Mam nadzieję, że się państwo ze mną napiją. A może wolą państwo herbatę?

Valentina spojrzała na Olivera, który skinął głową.

– Dziękuję, chętnie napijemy się kawy. Jak rozumiem, mam przyjemność rozmawiać z panią Ongayo, tak?

– Oczywiście, moja droga. Proszę wybaczyć mi brak manier. Nie przedstawiłam się. Chyba przywykłam do tego, że wszyscy mnie znają, jeżeli nie osobiście, to z krążących na mój temat anegdotek – powiedziała staruszka, na moment spuszczając wzrok, po czym zwróciła się do Olivera: – Mój drogi, czy mógłby pan wyłączyć muzykę? Wybrałam dziś sobie na poobiednie towarzystwo Carlę Bruni, ale to chyba nie był najlepszy pomysł. Jej *Quelqu'un m'a dit* wprawia mnie w melancholię, sami państwo widzieli. Proszę ją wyłączyć. Będziemy mogli spokojniej porozmawiać.

Oliver poszukał wzrokiem odtwarzacza. Zobaczył nowoczesną wieżę stojącą na antycznym meblu, który mógłby należeć do Mozarta.

– Pani Ongayo – zaczęła porucznik Redondo – zdziwiło mnie, że brama i drzwi były otwarte, nie widziałam też nikogo ze służby. Powinna pani bardziej uważać, kiedy jest pani sama, każdy mógł wejść do domu.

– Moja droga, to bardzo miłe, że się pani martwi o moje bezpieczeństwo, ale nigdy nie jestem sama. Dzisiejsza sytuacja jest wyjątkowa, doszło po prostu do niefortunnego zbiegu okoliczności. Ogrodnik zajmuje się hortensjami w ogrodzie za domem, a że zwykle pracuje w słuchawkach, zagłuszany przez tę swoją muzykę z piekła rodem, najprawdopodobniej nie usłyszał, że państwo przyjechali. Moje dwie pomoce akurat poszły zanieść słodycze do schroniska dla pielgrzymów La Piedra przy tylnym wyjściu z posesji. Władze miasta organizują tam jakąś uroczystość, chcieliśmy wnieść skromny wkład... Natomiast nie mam pojęcia, gdzie może być Marta, moja kucharka. – Staruszka przez chwilę się zastanawiała. – No tak, pewnie zeszła do piwnicy z praniem. Za chwilę wróci.

W tym momencie kucharka wyrosła jak spod ziemi w drzwiach salonu, zaalarmowana odgłosami rozmowy. Ongayo zleciła jej przygotowanie kawy, której intensywny smakowity zapach dotarł do pokoju, podczas gdy pani domu zabawiała gości rozmową o gastronomii, pogodzie i miasteczku Comillas. Kucharka podała kawę w filiżankach z angielskiej porcelany, przyniosła także świeżo upieczoną quesadę, która wypełniła

pokój swojskim aromatem tworzącym przytulną, domową atmosferę. Oliver i Valentina zdążyli już poznać kilka ciekawostek dotyczących domu – dowiedzieli się między innymi, że cała stolarka została wykonana z różnych gatunków szlachetnego drewna, sprowadzonych na specjalne zamówienie z Fernando Poo, dawnej hiszpańskiej kolonii w Afryce. Nie sposób było przerwać ciekawego wywodu staruszki, która zręcznie przeskakiwała z tematu na temat. Goście zaliczyli intensywny kurs z zakresu miejscowej gastronomii i historii powiatu. Dowiedzieli się, że Comillas było pierwszym hiszpańskim miastem, w którym – z racji wizyty panującego wówczas króla – postawiono elektryczne latarnie, choć od wynalezienia żarówki przez Thomasa Edisona minął niespełna rok. Staruszka opowiedziała z dumą, że w 1881 roku Comillas przez jeden dzień było stolicą Hiszpanii – co prawda tylko symbolicznie – kiedy Alfons XII zwołał tu posiedzenie swoich ministrów. Podzieliła się też z gośćmi innymi ciekawostkami: o tym, że pierwszy telefon w Kantabrii został zainstalowany w pałacu Sobrellano i że w Comillas powstało pierwsze na Półwyspie Iberyjskim pole golfowe. Nie ulegało wątpliwości, że jest zakochana w tym miasteczku. Jednak kiedy wypili kawę, zrozumiała, że przyszła pora na interesy – na przesłuchanie, główny punkt i powód wizyty. W momencie gdy zniecierpliwiona Valentina szykowała się, żeby jej przerwać, sama przekierowała rozmowę na temat, który przywiódł tu jej gości.

– No dobrze, moi drodzy, proszę mi w takim razie powiedzieć, czemu zawdzięczam tę wizytę. Domyślałam się, że przyjechali państwo w związku z aniołkiem z Villa Marina.

Valentina i Oliver oniemieli ze zdumienia, podobnie jak podczas spotkania z siostrą Mercedes. Tym razem jednak porucznik nie okazała zdziwienia i z pewnym siebie uśmiechem odpowiedziała staruszce:

– A ja domyślałam się, że o naszej wizycie uprzedziły panią brukowce, publikując zdjęcia pana Gordona. Skoro już pani wie, co nas tu sprowadza, wyjaśnię jeszcze kilka rzeczy, a potem, jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, zadam parę pytań.

– Policyjne przesłuchanie? Oczywiście, że nie mam nic przeciwko temu. W moim wieku liczy się już tylko przeszłość. Skłamię jedynie w razie

absolutnej konieczności – zażartowała z uśmiechem Ongayo.

Valentina cicho westchnęła. Jej przeciwniczka lubiła się bawić w kotka i myszkę, a do tego była inteligentna. Ale ona nie miała nastroju do żartów – poza zwłokami noworodka w kostnicy czekał na nią jeszcze jeden trup, a może i dwa, gdyby się potwierdziło, że lekarz nie zginął w wypadku.

– Jak pani wiadomo, w Villa Marina, w domu, który kiedyś był pani własnością, znaleziono zwłoki, prawdopodobnie noworodka. Nadal je badamy w celu ustalenia czasu i przyczyny zgonu. Wiemy, że budowę willi rozpoczęto na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku i zakończono latem czterdziestego dziewiątego. Zwłoki mogły zostać zamurowane w ścianie podczas budowy domu, ale jak już mówiłam, będziemy mogli to potwierdzić dopiero po otrzymaniu ostatecznych wyników sekcji. W związku z tym chciałabym zapytać, kiedy zaczęła pani pracować u Ongayów jako pomoc domowa?

– Pomoc domowa? Bardzo pani miła. Byłam zwykłą służącą. Harowaliśmy jak woły, w naszych domach i w rezydencjach naszych chlebodawców. Takie było wtedy życie, nie to co teraz... Służyłam u Ongayów sporadycznie już jako młodziutka dziewczyna, kiedy miałam jakieś siedemnaście, osiemnaście lat, a pod koniec lata tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego przyjęli mnie na stałe na służbę, tyle że nie w Suances, a w Torrelavedze. W Villa Marina pracowałam tylko podczas wakacji. Spędziłam tam następne lato, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego. Przed końcem roku, w listopadzie, wyszłam za Eladia... najstarszego syna państwa – dodała staruszka, wypowiadając z pogardą słowo „państwo” – i dostaliśmy Villa Marina w prezencie ślubnym. Teściowie mieli kilka nieruchomości, a sami woleli spędzać lato w Santanderze.

– Rozumiem. Ma pani jakiś pomysł, skąd w willi wzięły się zwłoki?

– Obawiam się, że nie, moja droga. Gdybym miała, sama skontaktowałabym się z Gwardią Cywilną. Kto wie, ile czasu mieszkaliśmy pod jednym dachem z tym aniołkiem.

– Zdaje się, że nie namieszkała się pani długo w Villa Marina. Zastanawia nas, dlaczego postanowiła pani sprezentować dom małżeństwu, które opiekowało się nim w ciągu roku.

Staruszka przez moment milczała, po czym spojrzała na Olivera.

– Wie pan, że znałam pana mamę, kiedy była dzieckiem? Chciała, żebyśmy ją nazywali księżniczka Lucía. Uroczą dziewczynką.

Valentina powtórzyła pytanie:

– Może mi pani wyjaśnić, dlaczego oddała pani dom, jak pani wspomniała, swój prezent ślubny, parze obcych ludzi?

Ongayo odwróciła wzrok w jej stronę.

– Ma pani dzieci?

– Nie – odpowiedziała Valentina, siląc się na cierpliwość.

– Szkoda. Powinna pani mieć, moja droga, dzieci są esencją życia, nadają wszystkiemu sens. Jest pani młodą kobietą z charakterem. Proszę posłuchać mojej rady, nie ma co tracić czasu. – Staruszka na moment przerwała, świadoma, że nadużywa cierpliwości funkcjonariuszki. – Wtedy, w latach pięćdziesiątych, byłam przekonana, że nie mogę mieć dzieci. Leczyłam się na bezpłodność u młodego lekarza z Santanderu, który nie bał się stosować nowoczesnych metod. Bez rezultatów. Małżeństwo, które zamieszkało w Villa Marina i opiekowało się posiadłością, było nieco starsze wiekiem i też nie mogło mieć dzieci. Adoptowali Lucię, wzięli ją z zakonu w Santillanie del Mar. To musiało być jakoś w pięćdziesiątym pierwszym. Ta dziewczynka tchnęła we mnie życie, każdy pobyt w Villa Marina nappełniał mnie radością. Stali się dla mnie rodziną, byli ubodzy, prości, ale uczciwi i pracowici, przypominali mi o moim pochodzeniu. A odkąd pojawiła się ta śliczna dziewczynka... Po śmierci pierwszego męża musiałam sama zająć się firmą, dużo podróżowałam, przez kilka miesięcy mieszkałam w Ameryce Południowej, prowadziłam interesy w całej Europie, także w Rosji i na Wschodzie. Praktycznie nie miałam czasu na zajmowanie się nieruchomościami. A tyle ich miałam! Wiele z nich zachowałam do dziś, choć teraz nie przynoszą już takich zysków. Oczywiście przestałam inwestować w nieruchomości – stwierdziła, stanowczo kręcąc głową. – Postanowiłam więc, że jeżeli nic się nie zmieni, oddam willę Pereirom, pod warunkiem, że jej nie sprzedadzą i przejdzie w ręce Lucii, która będzie mogła zrobić z nią to, co uzna za stosowne. Chciałam przynajmniej zabezpieczyć dziewczynce przyszłość. Przyszłość

z przeszłością nie tak szarą i pełną wyrzeczeń jak moja. Może był to absurdalny i romantyczny pomysł, ale tylko ta rodzina łączyła mnie z moimi korzeniami. Darzyłam ich dużym szacunkiem.

– Proszę mi wybaczyć, ale nie przypominam sobie, żeby moja mama kiedykolwiek o pani wspominała – wtrącił Oliver, łagodząc ton, żeby nie urazić staruszki.

Ongayo odwróciła się do niego z uśmiechem na ustach.

– Przypuszczam, że dla Lucii byłam po prostu jedną ze starych przyjaciółek jej matki, z tych, co to wyparowują z pamięci, by stać się odległym wspomnieniem. Normalna kolej rzeczy. Zresztą wyjechała do Anglii jako młoda dziewczyna, kiedy poznała twojego ojca i wyszła za niego za mąż. – Staruszka nieoczekiwanie przeszła na ty, choć Oliver nadal zwracał się do niej per pani. – Mnie zresztą też zaprzętały wtedy interesy i własne życie. Bóg chciał, że wbrew medycznym diagnozom mieliśmy z drugim mężem córkę i to jej poświęciłam uwagę, choć niestety nie w takim stopniu, w jakim bym chciała, bo po śmierci jej ojca musiałam stanąć na czele przedsiębiorstwa, które razem stworzyliśmy. Dużo pracy i mało czasu na przyjemności. Trudno osiągnąć równowagę, orzec, czy naprawdę warto. Ambicja to potężna siła, mój drogi.

Porucznik Redondo spoglądała na staruszkę, nie kryjąc sceptycyzmu.

– A czy zanim oddała pani Villa Marina praktycznie obcym ludziom, nie pomyślała pani o kimś z rodziny? Nie wołała pani wykorzystać swojej pozycji, żeby pomóc rodzicom, rodzeństwu czy kuzynom?

– Oczywiście, moja droga. Mój majątek wystarczyłby na obdzielenie dziesięciu rodzin takich jak moja. Ale ojciec zmarł w latach sześćdziesiątych, a ja nigdy nie miałam dobrych relacji z jego żoną i swoim przyrodnim bratem.

– Przyrodnim bratem?

– Tak. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, co się stało z tym biedaczyną. Ostatnią rzeczą, jakiej się o nim dowiedziałam, było to, że się przeprowadził do Cartageny, już jakieś trzydzieści lat temu. Ale ten czas leci! Nie byliśmy ze sobą zżyci. Poszłam na służbę niedługo po tym, jak się urodził.

– A pani matka?

– Moja matka? – Staruszka westchnęła. – Moja matka zginęła podczas wojny domowej.

– Nie miała pani rodzeństwa?

– Oczywiście, że miałam, moja droga. W tamtych czasach prawie każdy miał rodzeństwo. Mój starszy brat, czerwieńszy od wiśni, zbiegł do Francji i tam ułożył sobie życie. Dziewięć lat temu zmarł w Paryżu na raka okrężnicy. A moja siostra... – Staruszka na moment zawiesiła głos. – ...odeszła już dawno temu. Niedługo po tym, jak ponownie wyszłam za mąż. Nie mam siostrzeńców ani bratanków, więc...

– Rozumiem. A pani córka? Utrzymuje z nią pani kontakt? I z wnukami?

– Moja córka mieszka i pracuje w Santanderze, ale bardzo rzadko się widzimy. Przypuszczam, że nigdy nie wybaczy mi życia, jakie wiodłam, dzielącego nas dystansu... tego, że wysłałam ją do szkoły z internatem w Szwajcarii, a potem do Oksfordu... Nie rozumie, że robiłam to dla jej dobra. Że i tak nigdy nie było mnie w domu, bo pracowałam na sukces firmy, na finansowe zabezpieczenie naszej rodziny. – Żal pobrzmiewający w głosie staruszki wydawał się szczery. – Od czasu do czasu mnie odwiedza, przez chwilę spacerujemy po ogrodzie albo wypijamy kawę. Cierpię na zwyrodnienie stawów, mogę przejść góra dwadzieścia metrów, potem muszę się zatrzymać i odpocząć. Niestety nie dała mi wnuków. – Ongayo ponownie przerwała. – Nie była u mnie już od kilku tygodni... Biedactwo nie ma na nic czasu, jest lekarką, pracuje w szpitalu... Coś pani powiem, moja droga... przynajmniej odejdę z tego świata ze świadomością, że kobietom żyje się lepiej niż wtedy, kiedy na niego przyszłam.

– No cóż... Zna pani Pedra Salasa?

– Pedra Salasa? Raczej nie. To ktoś z Comillas?

– Nie. Mieszkał w Suances. Zginął w tym tygodniu, jego ciało wypłynęło przy falochronie w estuarium.

– O mój Boże. Czyli nazywał się Pedro Salas? Czytałam o tym, ale nie zwróciłam uwagi na nazwisko, zazwyczaj podają tylko inicjały... Dlaczego miałabym znać tego pana, moja droga?

– Bo może mieć związek ze zwłokami z Villa Marina, więc poniekąd także z panią.

– Ale dlaczego...?

– Proszę wybaczyć, ale w tym momencie nie mogę udzielić pani więcej informacji – przerwała Valentina. – Proszę się zastanowić: na pewno nie znała pani tego mężczyzny? – zapytała, pokazując staruszce zdjęcie Pedra Salasa, a kiedy ta pokręciła głową, dodała: – W porządku. Proszę mi jeszcze powiedzieć, czy wczoraj był u pani doktor David Viesgo.

– Doktor Viesgo? – zdziwiła się pani Ongayo i na moment straciła opanowanie oraz niewzruszoną pewność siebie. – Tak, wpadł na kawę wczesnym popołudniem, mniej więcej o tej samej porze co państwo. Od dawna się przyjaźnimy. To właśnie on leczył mnie na bezpłodność. Nie rozumiem, moja droga, dlaczego mnie pani o niego pyta.

– Pytam panią o niego, bo wczoraj doktor Viesgo miał wypadek samochodowy, prawdopodobnie kiedy wracał od pani.

– Mój Boże! Mam nadzieję, że nie stało mu się nic poważnego – odparła staruszka.

Jej niepokój wydał się Oliverowi szczerzy. Sam też był zaskoczony. Nigdy wcześniej nie słyszał o tym lekarzu.

– Niestety – odpowiedziała porucznik powoli, zastanawiając się nad doborem słów. – Zginął na miejscu. Zwłoki znaleziono dopiero przed paroma godzinami, bo samochód zjechał z szosy i stoczył się po łące. Przykro mi, że dowiaduje się pani o tym w ten sposób.

– To... To niemożliwe. – Ongayo pokręciła głową, wyraźnie poruszona. – Nie, to niemożliwe... Mój Boże, muszę zadzwonić do jego żony, biedna Elena.

– Pani Ongayo – ciągnęła porucznik – rozumiem, że to dla pani szok, ale musimy wiedzieć, w jakim celu przyjechał tu wczoraj doktor Viesgo.

Staruszka, która jeszcze przed chwilą wydawała się mieć wszystko pod kontrolą, teraz sprawiała wrażenie zagubionej i zdezorientowanej.

– W jakim celu przyjechał? Z... kurtuazyjną wizytą. Na Boga, przecież się przyjaźniliśmy.

– I nie wydarzyło się nic szczególnego? Nie pokłócili się państwo?

– Co pani insynuuje? Że go zdenerwowałam i to przeze mnie się zabił? Pani porucznik, naprawdę nie czuję się na siłach, żeby kontynuować tę rozmowę.

– Rozumiem. Ale niech pani też zrozumie: to rutynowe pytania, które musimy zadać każdemu – odparła Valentina zdecydowanym tonem. – Może zauważyła pani, że czymś się martwił... – dodała, dając do zrozumienia, że nie podejrzewa o nic staruszki.

Oliver był zdumiony takim obrotem spraw. Kolejne zwłoki. Zrozumiał, że porucznik dozuje mu informacje; ukrywała je przed nim, a potem przekazywała jak gdyby nigdy nic.

– Nie, nie – zaprzeczyła Ongayo. – Rozmawialiśmy o osobistych sprawach, jak zwykle. Zresztą wpadł na krótko, posiedział góra pół godziny. Wypił kawę, chwilę pogadaliśmy i odjechał. Potwierdzi to służba. Wyszedł przed piątą.

– W porządku. Jeżeli nie ma pani nic przeciwko, porozmawiam z personelem.

– Nie, oczywiście, że nie. Mój Boże, nie mogę w to uwierzyć, nie... – Staruszka pokręciła głową, zamykając oczy.

Porucznik Redondo nie zamierzała odpuścić.

– Skoro doktor Viesgo przyjechał aż z Santanderu, żeby wyjść po zaledwie pół godzinie, to albo ta wizyta była dla niego bardzo ważna, albo miał jeszcze coś do załatwienia w okolicy. Powiedział, dokąd zamierza się udać, kiedy od pani wyjdzie?

– Obawiam się, że nie. Po prostu wyszedł. Jak zwykle.

– Rozumiem. Niewykluczone, że będziemy musieli zadać pani jeszcze parę pytań. Jeśli tak, skontaktujemy się z panią...

– Oczywiście. – Staruszka przerwała porucznik ruchem ręki. – Pomogę, w czym tylko będzie trzeba. Ale proszę zrozumieć, że w tej chwili nie czuję się najlepiej.... Nie mogę mówić, moja droga. To straszne... Biedny David.

Porucznik Redondo wstała. Oliver zrozumiał, że w tej sytuacji nie będzie miał szansy zadać żadnych pytań, dlatego odważył się wtrącić:

– Jeżeli pani pozwoli, przyjadę innego dnia, żeby z panią porozmawiać, teraz chyba nie jest odpowiedni moment. Chciałem podziękować za to, co zrobiła pani dla mojej rodziny, oddając jej Villa Marina.

– To bardzo miłe, Oliverze. Chętnie się z tobą ponownie zobaczę – odpowiedziała Ongayo, wyraźnie zmęczona. Jakby nagle się postarzała,

skurczyła. Jednak starczyło jej jeszcze sił, żeby zainteresować się planami Olivera. – Opowiesz mi o swoim projekcie. Czytałam, że zamierzasz otworzyć hotel, to prawda?

– Tak, proszę pani.

Staruszka spojrzała mu w oczy z nieskrywaną czułością i głębokim smutkiem, po czym odwróciła twarz w stronę olbrzymiego okna Casa del Duque i utkwiała nieobecny wzrok w roztaczający się z niego widok. Na pożegnanie szepnęła jeszcze:

– Proszę, mów do mnie Jana.

DZIENNIK (8)

We wrześniu 1939 roku w Hiszpanii nie toczy się już wojna domowa, za to Niemcy dokonują inwazji na Polskę i wybucha druga wojna światowa. Cały świat ściera się pośród huku armat i karabinów maszynowych. Hiszpania teoretycznie nie bierze udziału w tej partii szachów, ale w 1940 roku Franco wysłał na front rosyjski Błękitną Dywizję. Pięć tysięcy błękitnych poległych. Osiem tysięcy rannych. Kogo to teraz obchodzi? Został z nich tylko proch.

Znów zaczynam się gubić w przeszłości. Wiesz już, że Jana musiała wrócić na łąki u podnóża odwiecznej Masera de Castío? Oczywiście. A było to tak.

Półtora miesiąca po zakończeniu wojny domowej Jana dowiedziała się, że przyjedzie po nią ojciec. List był krótki, ale stanowczy. Benigno poznał kobietę, mieli się pobrać za kilka tygodni, chciał, żeby dzieci wróciły do domu przed początkiem roku szkolnego. Żadnych targów, żadnych ustępstw, mimo błagań cioci Amparo. Jana jest jego córką, tak czy nie? Zresztą umawiali się, że to tymczasowe rozwiązanie. Pierdolona wojna. Pierdolona bomba zabijająca matki i dzieci. Tak czy nie? No więc właśnie. Każdy mógł obstawiać w tej ponurej grze, w nadziei na odrobinę szczęścia.

Jana wybuchnęła płaczem i przeczołgała swoją nastoletnią godność przez bagno błagań. Bo łatwo żyć w ciemnościach, jeżeli nigdy nie widziałeś blasku światła. Ale kiedy raz spróbuje się kryształka cukru, trudno nie pragnąć słodczy. A dla Jany nędza była najczarniejszymi, najbardziej odrażającymi ciemnościami, zaś życie w Comillas światłem, kryształkiem cukru ze świata bajek. Ale nie będę snuć dalej tej smutnej opowieści, chcę ci jedynie wyjaśnić, jak narodził się potwór.

Jana niechcący prawie osiąga cel – omdlenia zaczęły przytrafiać jej się coraz częściej, regularnie powracały koszmary i nocne poty. We śnie wołała matkę. Ojciec jest bliski ustąpienia w obawie o stan zdrowia córki. Ale ostatecznie to jej opiekunowie, przede wszystkim ciocia Amparo, zmusili Janę do powrotu. Ona była ewidentnie chora, a oni mieli już

swoje lata. Najprawdopodobniej osierociliby ją, zanim znalazłaby sobie męża. Niepokoiły ich jej omdlenia, jej twarde, zagubione spojrzenie. Były dla nich czymś mrocznym, nieznanym.

Jana spotkała się z całą rodziną w komplecie tylko na weselu ojca. Uroczystość była bardzo skromna: dwanaścioro gości łącznie z księdzem i kurczak z ryżem do podziału. David zmężniał, stał się niezależny, jakby nie obchodziły go rodzinne dramaty, i twardy, jakby zdążyło go już zahartować życie. On nie wracał do Hinojedo. Był praktycznie mężczyzną, miał prawie piętnaście lat. Skończył szkołę, nie pozostawało mu więc nic poza pracą na fermie bydła, gdzie podobno czekali na niego z otwartymi rękami.

Clara i Jana wracały. Do domu, który wyglądał teraz zupełnie inaczej, do życia, które nie będzie już takie samo jak dawniej, do przyszywanej matki, która nie była ich matką. Żona Benigna miała zaledwie dwadzieścia pięć lat. Była drobna, miała ciemne oczy i długie czarne włosy będące zaprzeczeniem jej imienia: Aurora, jutrzenka. Powitała je z miłym uśmiechem, próbując się przypodobać pasierbicom, ale okazało się to niełatwym zadaniem – od początku ścierały się w najdrobniejszych sprawach związanych z prowadzeniem domu.

We wrześniu Jana zaczęła nowe życie. Z każdym dniem coraz bardziej go nienawdziła. Nie miała już własnego pokoju i świeżych ryb co ranka, skończyły się beztraskie przechadzki po Comillas. W zamian zaoferowano jej dom, w którym rządziła obca kobieta, ciężką harówkę w warzywniku, zrywanie się o świcie do bydła i długie wyprawy po reglamentowane ziemniaki do górniczego miasteczka Reocín. Wsiadały z Clarą do pustych wagonów, które jechały po piryt i sfaleryt dla huty Asturiana de Zinc w Hinojedo – osiem kilometrów w górę zbocza – i schodziły pieszo, dźwigając cenne bulwy, bo wagony wracały wypełnione minerałami. Tak hartowały się kobiety na północy półwyspu.

Powojnie przyniosło więcej nędzy i okrucieństwa niż sama wojna. Przykładem są choćby kartki żywnościowe, za które co miesiąc potrącano Benignowi z pensji. Na kartki kupowało się po urzędowej cenie artykuły pierwszej potrzeby, ale ich jakość była tak podła, że rozkwitły przemyt i czarny rynek windujące ceny. Reglamentacja utrzymywała się ponad

dziesięć lat, do 1951 roku. Ciemny chleb był niejadalny, w soczewicy trafiały się małe, czarne jak bezgwiezdna noc robaki, a ryż doprawiano białymi larwami.

Rodziny Jany nie stać było na żywność z czarnego rynku, ale mieli przynajmniej własne warzywa i mleko od krów, więc bieda nie dała się im we znaki tak jak ludziom w miastach. Kobiety wszystko znosiły, ze wszystkim się godziły, zajmowały się warzywnikami i bydłem, bez przerwy gotowały, prały i szyły, żeby zarobić dodatkowe pieniądze. Nie pyskowały mężom, nie przeklinały. Mężczyźni wstawali przed pianiem koguta, a ci, którym się poszczęściło – jak Benigno – pracowali w fabrykach za dniówkę.

Clara i Jana nie zamierzały wpasować się w ten szablon. Może to wczesna niezależność otworzyła im oczy i wznieciła w nich bunt.

Albo niezliczone godziny spędzone na planowaniu bajkowej przyszłości, podążaniu za nierealnym marzeniem, które mimo wszystko może udałoby się spełnić.

Albo młody wiek macochy, która nie budziła w nich wystarczającego respektu, chociaż czasem przyłożyła im miotłą lub wymierzyła policzek, żeby wymusić posłuch. Była to zresztą dość powszechna praktyka w owych czasach, nie będziemy się teraz rozwodzić nad manierami i modelami wychowawczymi w tamtej ponurej Hiszpanii.

Czas płynął nieubłaganie, praktycznie bez powodów do radości. Takie było życie: długa ciemna noc.

W maju 1940, rok po oficjalnym zakończeniu wojny domowej, Benigno i Aurora poinformowali dyskretnie, że w listopadzie urodzi się im dziecko. Dwie małe kobietki przyjęły tę wiadomość z zaskakującą obojętnością, ukrytą za paroma życzliwymi słowami i niezbyt entuzjastycznymi gratulacjami.

Pewnego popołudnia tamtej chłodnej wiosny do Jany przyszedł list. Była akurat w kuchni z Clarą i Aurorą.

Uwaga: dudnią bębny duszy.

– Można wiedzieć, co to za Luis? – pyta Aurora, otwierając list.

– Jak to Luis? Ten list jest do mnie? – Jana nagle oblewa się rumieńcem, pospiesznie wstaje i podchodzi do macochy.

– Owszem, panienko. Stoi tu czarno na białym: Jana Fernández. Widzę, że ktoś nie tracił czasu w Comillas. Ciekawe, co powie na to twój ojciec! – wykrzykuje Aurora, podnosząc rękę z listem, żeby Jana nie mogła go dosięgnąć.

– Pozwól mi go przeczytać, proszę, jest do mnie!

– Ty mała bezwstydnico, nie masz jeszcze dwunastu lat! Pytałaś ojca, czy możesz korespondować z kawalerami? Co? Najpierw przeczyta go twój ojciec, a potem zobaczymy, ciekawe, czego chce od ciebie ten Luis, bo zaczyna od „droga księżniczko” – naśmiewa się Aurora, odpychając Janę, która próbuje wyrwać jej list.

Clara staje w obronie siostry. Mówi powoli, opanowanym głosem, bezwzględny i lodowaty, niepasującym do trzynastoletniej dziewczynki.

– Połóż ten list na stole. Nie jesteś naszą matką. Ten list nie jest do ciebie. I nie waż się więcej dotknąć mojej siostry – oznajmia stanowczo, wypowiadając powoli każdą sylabę.

Aurorze na moment odbiera mowę. Przekłęta smarkula, jak śmie tak się do niej odzywać? Co za bezczelne dziewczuchy. Podnosi wzrok na Clarę, zamierza wyrzucić z siebie mocne słowa, które zamkną jej usta, ale nagle zastyga w bezruchu. Niemal przezroczyście spojrzenie Clary nie pozostawia miejsca na wątpliwości: nie żartuje. Jedną dłoń oparła na stole, w drugiej trzyma nóż, którym obierała ziemniaki. Ścisza go mocno, jakby próbowała powstrzymać ogromny gniew.

Jana znów podchodzi do Aurory, wyrywa jej z ręki list i mówi bardzo, bardzo wolno:

– Ten list jest do mnie. A ty nie jesteś moją matką. – Wbija zielone spojrzenie w czarne oczy Aurory, dzieli je zaledwie kilka centymetrów. Milczenie. Dwie, trzy, cztery sekundy. Do Jany dociera, że jeżeli ma przywrócić normalność, musi uspić bestię. – Jeśli chcesz – ciągnie, nie odrywając oczu od macochy – kiedy wróci tata, damy mu do przeczytania list, a wtedy zdecyduje, czy mogę na niego odpisać. – Spuszcza wzrok, jej spojrzenie na moment krzyżuje się ze spojrzeniem Clary. Postanawia

jeszcze bardziej rozluźnić atmosferę, gęstą jak skrzepnięta krew. – Luis to jeden z chłopców, którzy przychodzili do gospody cioci Amparo, pewnie pisze w imieniu całej paczki, żeby zapytać, czy przyjedziemy na festyn w lipcu...

– Tak, z okazji procesji ku czci patrona rybaków. Będzie słupek szczęścia, znasz to? – wtrąca Clara, podchodząc do Aurory. Wyraz jej twarzy kompletnie się zmienia, teraz jest anielski, niewinny. Stoi jakieś trzydzieści centymetrów od macochy. Nadal trzyma w dłoni nóż.

– Tak, tak, znam. – Aurora odzyskuje mowę i cofa się z duszą na ramieniu, serce wali jej jak oszalałe. – Kiedy wróci wasz ojciec, wyjaśnicie mu to wszystko, a ty, Jano, oddasz mu list, jesteś jeszcze za młoda, żeby korespondować z kawalerami – rzuca. Moduluje głos, starając się odzyskać autorytet. – Niech on zdecyduje, ja mam za dużo pracy, żeby zajmować się takimi szczeniackimi sprawami – dodaje na zakończenie, po czym wychodzi do warzywnika, uciekając przed dwiema dziewczynkami, przez które o mało nie wyskoczyło jej z piersi serce.

Aurora jest zdenerwowana, zastanawia się gorączkowo, jej myśli ścigają się jak szalone. Clara i Jana szybko dorastają, są już dojrzałe, niż mogłoby się wydawać. W wieku czternastu lat skończą szkołę. W drodze do warzywnika postanawia, że zrobi wszystko, żeby jak najszybciej wyniosły się z domu i ułożyły sobie życie z dala od niej i maleństwa, którego się spodziewa. Dzieci wojny mają nierówno pod sufitem.

Od zajścia w kuchni minęły dwa dni. Jana już ze sto razy przeczytała list od Luisa. Ojciec, który nie ma siły na kolejne wojny, pozwala, żeby z nim korespondowała, pod warunkiem, że każdy list przejdzie przed wysłaniem przez ojcowską cenzurę. W końcu ten kawaler to jeszcze dzieciak, w dodatku mieszka dwadzieścia pięć kilometrów stąd. Szosa jest dziurawa i pełna zakrętów, nie będzie urządził sobie czterogodzinnych spacerów, żeby pokręcić się koło dziewczyny. To tylko szczeniackie fantazje.

Ta konkretna fantazja, zapisana niezbyt staranną kaligrafią, brzmiała następująco:

Droga księżniczko,

poprosiłem Twoją ciotkę o adres w Hinojedo, żeby do Ciebie napisać. Nie masz nic przeciwko temu, prawda? Ona nie miała.

Często wspominam, jak popołudniami rozmawialiśmy w gospodzie i jak nabijałaś się z dzieciaków, kiedy przewracały się na ziemię w porcie podczas zabawy w kozła. Raz opatrzyłyście z ciotką Dieguitowi kolano, pamiętasz? Niedawno wysłali go do wujostwa do San Sebastián, ma się tam uczyć.

Myślę o Tobie za każdym razem, kiedy przepływam łódką przed Casa del Duque. A właśnie, państwo znowu wyjechali do Wenezueli.

Ja dalej łowię z panem Marcialem, pozwala mi nawet sterować łodzią. Mamy dobre połowy. Minęło dużo czasu, odkąd wyjechałaś, szkoda, że już nie można Cię spotkać w gospodzie i w porcie. Dziewczyny z Twojej klasy pytały o Ciebie panią Amparo, powiedziała im, że może przyjedziesz na festyn z siostrą. Jest taka ładna jak Ty? Pytam, żeby wiedzieć. I żeby Cię trochę rozzłościć, bo jesteś jeszcze ładniejsza, kiedy się gniewasz.

Zanim wyjechałaś, poprosiłem Cię o całusa, ale chyba źle mnie zrozumiałaś. Policzek był bardzo bolesny, następnego dnia wypłynąłem w morze z zaczerwienioną twarzą.

Mogę do Ciebie pisać? Przyjedziesz na festyn? Pytam, żeby coś odpowiedzieć dziewczynom z Twojej klasy, bo strasznie mnie męczą.

Całusy od przyjaciela,

Luis

Clara i Jana leżą u stóp wzgórza Masera de Castío, które stało się częścią ich życia, ich dusz, ich punktem odniesienia. Zaczyna się robić gorąco. Ledwo je widać, ukryte pośród kęp kopru i zielonej trawy. Widzi je całe tylko bezkresne błękitne niebo, przygląda się im, spokojne i milczące.

– Jeżeli chcesz, możemy jechać do Comillas – mówi Clara. Nie patrzy na Janę, obserwuje obłoczki, które szybko suną po niebie, żeby zaraz się rozpląnąć.

– Tata nas nie puści.

– Puści. Nie będzie już szkoły, możemy pojechać autobusem z Marią. Nie wiesz, że mieszka tam cała jej rodzina?

– Jaką Marią? Panią nauczycielką? – pyta zdziwiona Jana.

Clara odpowiada ze śmiechem:

– Panią nauczycielką? Przysłali ją, żeby nas uczyła, ale żadna z niej nauczycielka. Nie umie nawet szyc, nie zauważyłaś?

– Nie.

– Najwyższa pora się ocknąć, Jano. Jak mówiłam: jeżeli chcesz, możemy pojechać do Comillas, ale nie zadurz się w rybaku.

– Nie jestem w nikim zadurzona.

– Jasne. A ten list, który nosisz w medalionie?

– Chodzi o to, że po prostu mi zazdrościsz.

– Nie, Jano. Chodzi o to, że nie możesz lecieć na pierwszego oberwańca, który ci się nawinie. Chcesz skończyć z kimś takim jak tata?

– Co ty mówisz? Co jest nie tak z tatą?

– Co jest nie tak? Tata niczego nie ma. Ni-cze-go – podkreśla Clara niemal ze złością. – Poza pracą, problemami i dziećmi, które rozsyła po okolicy.

– Claro! Co ty opowiadasz! To przez wojnę, to, co spotkało mamę, Toñina... to przez wojnę. Jesteś podła, jak możesz tak mówić?

– Jaką znowu wojnę? Czy teraz mamy wojnę? Bo pracujemy tyle samo, a nawet ciężiej. Widziałam, jak żyje się w mieście. Tutaj są same biedne wsioki. Co tak na mnie patrzysz? Nazywają nas wsiokami. Mówię ci to, żebyś wiedziała.

– Może i jesteśmy wsiokami, ale uczciwymi. Jesteś podła, że mówisz tak o tacie.

– Nie jestem podła. Nie zaopiekował się nami, chociaż powinien. Nie pozwolił, żebym ja się wszystkim zajęła. Przecież dbałabym o dom i o was. Ale nie. Wiesz, co musimy zrobić?

– Co?

– Wyjść za mąż.

– Jak to wyjść za mąż? Przecież nie mamy jeszcze szesnastu lat!

– Wiem, głuptasie. Nie teraz, ale niedługo. Wyjść za mąż za hodowcę bydła albo za panicza.

– Za hodowcę bydła?

– Tak, ale nie takiego, co się chwali swoimi pięcioma krowami i ma w chlewie dwie świnie. W żadnym razie. Za takiego, co ma porządne stado, co najmniej czterdzieści sztuk. A do tego świnie na ubój, które zapewnią dobre solone mięso na zimę.

Jana wybucha śmiechem, przekonana, że to żart. Przypomina sobie o swoim bracie Davidzie.

– W takim razie musimy iść do La Tablói!

– Być może – odpowiada z powagą Clara. – Albo znaleźć jakiegoś panicza.

– Tak, najlepiej panicza w kamizelce. I niby czym chcesz go uwieść? Chodakami, zapachem gnoju i spódnicą uszytą z worka po mące? Ja też widziałam w Comillas paniczów i nawet nie miałam odwagi na nich spojrzeć, bałam się, że pobrudzę ich wzrokiem. Zresztą panicze nie przychodzą na nasze zabawy.

– Ale ty jesteś głupia. Nie wiesz, że wszystkie dziewczyny, które wyjeżdżają do stolicy na służbę, polują na paniczów? Kuzynka Tensia ma dopiero siedemnaście lat, a w przyszłym miesiącu wychodzi za syna Condów, tych od fabryki materacy.

– Na pewno się w sobie zakochali.

– Zrobił jej dziecko, głuptasie. Nie masz o niczym pojęcia, teraz już wiadomo, dlaczego nosi te luźne bluzki. Bezwstydnicą, pewnie jest w jakimś w piątym miesiącu.

Zgorszona Jana zatyka dłonią usta, jakby chciała zatrzymać w nich sekret, który nie ona zdradziła. Clara śmieje się rozbawiona.

– Tak więc sama widzisz, zapomnij o ubogich rybakach. Musimy mierzyć jak najwyżej: albo hodowca bydła, albo panicz. Ja pójdę na służbę, kiedy tylko skończę szkołę, już za rok. Nauczyłam się fachu, babcia wystawi mi referencje. Potem spróbuję znaleźć coś dla ciebie. Nawet jeżeli nie uda się nam upolować męża, będziemy mniej pracowały i lepiej jadły. To pewne.

– Masz źle w głowie – stwierdza z uśmiechem Jana.

– Nie, ja po prostu mam głowę na karku, a to co innego. Udzielam ci lekcji – odpowiada z powagą Clara. Po chwili milczenia szeroko się

uśmiecha. – Niech przynajmniej ten cały Luis okaże się przystojny – nabija się, podszczypując Janę.

Siostry się śmieją i z rozbawieniem poszturchują łokciami. Wreszcie cichną wpatrzone w bezkresne niebo, które w milczeniu wszystkiemu się przysłuchuje, które je okrywa i otwiera przed nimi pełną obietnic przyszłość.

Kobięcy umysł to kręty labirynt, może bez problemu stukrotnie przewyższyć męską podłość. Wiesz, co sprawia, że kobieta staje się zimna i bezwzględna?

Ambicja.

*Żywot trzech krzaków jeżyn, żywot psa.
Żywot trzech psów, żywot konia.
Żywot trzech koni, żywot człowieka.
Żywot trzech ludzi, żywot orła.
Żywot trzech orłów, żywot cisu.
Żywot trzech cisów, czas trwania epoki.
Siedem epok od stworzenia do dnia sądu.*

Angielskie powiedzenie ludowe

Otrucie.

Valentina Redondo nabrała powietrza w płuca i powoli je wypuściła, porządkując w myślach zgromadzone dotąd informacje. Odprawa zaczynała się już za pół godziny. Wszyscy funkcjonariusze wydziału śledczego mieli się spotkać o ósmej rano na komendzie w Santanderze.

Poprzedniego wieczora, kiedy już odwiozła Olivera Gordona do Villa Marina, zadzwonił do niej sierżant Riveiro. Doktor Viesgo zginął w wyniku otrucia, nie ustalono jeszcze jaką substancją. Najprawdopodobniej pochodzenia roślinnego, trudną do wykrycia. Mogło chodzić o białuń, wilczą jagodę, nawet mak. Wypadek samochodowy był skutkiem ubocznym, konsekwencją utraty przytomności. Niewykluczone, że kiedy auto wpadło na stuletniego figowca, lekarz już nie żył. Valentina pomyślała, że jeżeli informacja o kolejnym zabójstwie przecieknie do prasy, wybuchnie panika. Śledztwo przejmie Centralna Jednostka Operacyjna z Madrytu. Albo przynajmniej padnie taka sugestia. „Nie, kurwa, nie, tę sprawę musi rozwiązać mój zespół”, powtarzała w myślach. Trzeba się pospieszyć. Co gorsza, Sabadelle nie dowiedział się niczego w muzeum ani na uniwersytecie. Wciąż pozostawało tajemnicą, co zielony bożek deszczu i szczęścia robił przy zamurowanych w Villa Marina zwłokach noworodka. Informacje, które poprzedniego dnia zdobyła reszta kolegów, także nie rzuciły światła na sprawę, wręcz przeciwnie – pojawiło się jeszcze więcej niewiadomych. Valentina planowała, że zaraz po odprawie pojedzie do instytutu medycyny sądowej i porozmawia z Clarą Múgicą. Pilnie potrzebowała wyników badań laboratoryjnych. Każda informacja mogła

się okazać kluczowa, stanowić punkt zwrotny w śledztwie. Valentina pomyślała, że w razie konieczności skorzysta z usług prywatnych laboratoriów, robiła to już wcześniej. Nie chciała tutaj ludzi z Madrytu. Jeszcze nie teraz. Od znalezienia zwłok w Villa Marina minął zaledwie tydzień, a jej wydział przejął sprawę dopiero przed trzema dniami, kiedy wypłynęło ciało Pedra Salasa. Valentina zdawała sobie sprawę, że śledczy z Centralnej Jednostki Operacyjnej są dobrzy, należeli do elity hiszpańskiej – a może nawet i europejskiej – dochodzeniówki, ale jej zespół także potrafił być szybki i skuteczny. Potrzebowali jedynie więcej czasu. Nie zależało jej na medalu dla siebie ani dla wydziału. Miała świadomość, że nawet jeżeli rozwiążą tę sprawę, ich nazwiska nie pojawią się w prasie czy w innych mediach. Byli jak żołnierze, należeli do bezosobowej jednostki, organu porządku publicznego, bez zindywidualizowanej tożsamości. Czego się nie robi dla ojczyzny. Dla Valentiny praca była jednak sprawą niemal osobistą, wyzwaniem, nieustannym udowadnianiem sobie, że jest skuteczna i umie podejmować decyzje. Kiedy sędzia Jorge Talavera zadzwonił do niej wieczorem, żeby zapytać o postępy w śledztwie, poczuła się bezsilna, jak dziecko, które pokazuje ojcu złe oceny. Sędzia na szczęście nie uważał, że jej zespół wykazał brak kompetencji; zezwolił, żeby w razie konieczności przekazała próbki do prywatnych laboratoriów, i obiecał, że spróbuje przyspieszyć wydanie billingów Pedra Salasa, a także otrutego lekarza, Davida Viesgo. Valentina zdawała sobie sprawę, że jest ofiarą swojej chorej obsesji na punkcie doskonałości, porządku i kontroli, za którą próbowała ukryć własne słabości. Ale zdarzały się dni takie jak ten, kiedy skupiona na śledztwie, rozgadywała się, analizując zdarzenia i szukając odpowiedzi, i pozwalała, by inni zobaczyli ją taką, jaka jest naprawdę.

Wszyscy zjawili się punktualnie w salce przy jej gabinecie, w której rozwiesiła wielką mapę i postawiła tablicę. Sierżant Riveiro, podporucznik Sabadelle, kapral Roberto Camargo oraz najmłodszy w zespole funkcjonariusze – Marta Torres i Alberto Zubizarreta – przywitali się, po czym usiedli na przygotowanych krzesłach.

– Drodzy państwo, przeanalizujemy teraz wszystkie informacje, którymi dysponujemy, i wyznaczymy nowe kierunki śledztwa – oznajmiła Valentina w ramach wstępu.

Sabadelle cmoknął językiem, nie było jednak jasne, czy na znak aprobaty, czy zniecierpliwienia.

– Jeżeli jeszcze raz wydasz z siebie ten przekłety dźwięk, odetnę ci kataną język. Zrozumiano? – powiedziała oschle Valentina, powstrzymując złość, choć na jej twarzy malował się zadziwiający spokój.

Nikt się nie odezwał. Podporucznika Sabadelle, który był dość antypatyczny i patrzył z wyższością nawet na swoich przełożonych, dosłownie zatkało. Riveiro ukrył uśmiech, kiedy czerwony z wściekłości kolega poprawiał się na krześle. „Nieźle się zapowiada”, pomyślał sierżant.

– Jak już mówiłam, zestawię wszystkie zebrane dotąd informacje, żebyśmy mogli jak najszybciej wziąć się do roboty – powiedziała Valentina, podchodząc do tablicy, na której wypisała wcześniej daty, nazwiska i miejsca wydarzeń. – W czwartek czwartego lipca w Suances, w domu o nazwie Villa Marina, znaleziono na wpół zmumifikowane zwłoki noworodka. Wstępne wyniki sekcji wskazują, że ciało uległo rozkładowi w miejscu, w którym zostało umieszczone po śmierci, dlatego możemy wykluczyć, że ukrył je tam niedawno obecny właściciel albo robotnicy remontujący dom. Zwłoki zostały zamurowane w ścianie od pięćdziesięciu do siedemdziesięciu lat temu, czekamy na doprecyzowanie tych szacunków. Nadal pozostaje tajemnicą, dlaczego przy ciele umieszczono aztecki symbol, figurkę bóstwa szczęścia Tlaloca. Odkrycie jego pochodzenia może okazać się kluczowe dla śledztwa. Sabadelle – Valentina spojrzała na podporucznika, który nadal był czerwony na twarzy – uda ci się to wyjaśnić?

– Pracuję nad tym, pani porucznik – odparł usłużnie Sabadelle, chociaż widać było, że jest urażony. – Eksperci z uniwersytetu mieli poszukać informacji i skontaktować się ze mną dziś rano. Rozmawiałem też z kolegami specjalizującymi się w zabytkach i południowoamerykańskich bóstwach. Dowiedziałem się, że na Uniwersytecie Deusto w Bilbao,

na wydziale humanistyki, historii i filozofii religii pracuje profesor, który napisał doktorat o obecności bóstw południowoamerykańskich w Hiszpanii w związku z rosnącą wymianą kulturową, powrotem emigrantów i imigracją...

– Dobrze – przerwała mu Redondo, po czym na moment zamilkła, jakby przetwarzała to, co powiedział Sabadelle. – Spróbuj skontaktować się z nim zaraz po odprawie. Jeżeli będzie trzeba, jeszcze dziś pojedziesz do Bilbao, sam zdecydujesz, w każdym razie do południa chcę mieć jakieś informacje – podsumowała i nie dając podporucznikowi szansy na odpowiedź, zwróciła się do reszty zespołu: – Kontynuujemy. Po przeszukaniu Villa Marina i domu pana Gordona oraz zbadaniu georadarem ogrodu odrzucono hipotezę, że na terenie posesji znajduje się więcej zwłok, dlatego powinniśmy traktować ukrycie ciała jako odosobniony incydent, bo nie wiadomo jeszcze, czy mamy do czynienia z zabójstwem. – Valentina przerwała i znowu spojrzała na podwładnych, którzy w milczeniu przytaknęli jej słowom. – W niedzielę siódmego lipca, między siódmą a dziewiątą rano zamordowany został Pedro Salas, mieszkaniec Suances. Zwłoki unosiły się na wodzie przy falochronie. Ktoś strzelił do niego z bliskiej odległości, prawdopodobnie z rewolweru kaliber trzydzieści osiem. Czekamy na wyniki badań balistycznych. Ofiara zmarła w wyniku utonięcia kilka minut później. Ciało wpadło do wody i zaklinowało się między dwiema dużymi skałami. Oznacza to, że do Salasa strzelono albo na falochronie, albo gdzieś w pobliżu, a następnie przeniesiono go na falochron. Tę drugą możliwość możemy praktycznie wykluczyć, chyba że postrzelona ofiara została wyrzucona z łodzi, bo na pomost nie można wjechać samochodem, a człowiek dźwigający ciało na pewno zwróciłby czyjąś uwagę, chociaż o tak wczesnej porze to miejsce nie jest zbyt uczęszczane. Poza tym wówczas na betonie zostałyby ślady krwi, a nic takiego nie odkryto.

– Planowałem dziś rano ponownie skontaktować się z pobliskimi hotelami, może któryś z gości coś widział – przerwał Riveiro, który przez cały czas robił notatki.

– W porządku – przytaknęła Valentina. – Później rozdzielimy zadania między wszystkich członków zespołu. Swoją drogą niepokoi mnie,

że przy takiej liczbie turystów przez cały dzień nikt nie zauważył zwłok unoszących się przy falochronie.

– Możliwe, że znalazłem wyjaśnienie – wtrącił ponownie Riveiro i patrząc na porucznik, powtórzył kolegom to, co powiedział mu stary rybak Antonio Rúa: że w ostatnich dniach morze było nadzwyczaj spokojne, więc przy pomocy zebrało się mnóstwo glonów, które mogły zamaskować ciało.

– Niewykluczone – zgodziła się Valentina. – Osobliwy zbieg okoliczności, tym bardziej że chodzi o Morze Kantabryjskie, ale to logiczne wyjaśnienie. Nie powinniśmy przyjmować go za pewnik, choć brzmi dość wiarygodnie. Kontynuujmy – powiedziała, dopasowując ton głosu do przemowy, którą sobie wcześniej przygotowała: – Pedro Salas nie był notowany, przez całe życie mieszkał w Suances. Wdowiec z dwójką dzieci, które zeznały, że co miesiąc dostawały od ojca łącznie pięćset, sześćset euro. Ponieważ Salas zarabiał średnio tysiąc dwieście euro miesięcznie, rachunki się nie zgadzają. Musiał mieć jakieś inne stałe źródło dochodów. Na razie nic nie wskazuje na to, że był zamieszany w przemyt. Będziemy musieli prześwietlić jego życie, jego rodzinę, jego przeszłość, a przede wszystkim dopytać dzieci, kiedy ojciec zrobił się taki hojny. Możliwe, że byłby to kolejny punkt zwrotny w śledztwie – dodała zamyślona, po czym zwróciła się do sierżanta: – Znaleźliśmy coś ciekawego w komputerze Pedra Salasa?

– Nie zdążyłem przejrzeć wszystkiego, co dostałem od informatyków, zacząłem dopiero dzisiaj rano, ale wydaje mi się, że trafiłem na coś istotnego: oprócz artykułów z gazet internetowych o zwłokach z Villa Marina i informacji o Oliverze Gordonie ściągniętych kilka dni temu na komputerze zapisane są również pliki dotyczące firmy Bocartes Ongayo.

– Kolejny związek. Ta sprawa ma znacznie większy kaliber, niż nam się wydawało. – Valentina myślała na głos, zapisując na tablicy kolejną wskazówkę. – Jakiego rodzaju pliki?

– Artykuły z dodatków ekonomicznych lokalnych gazet: „El Diario Montañés”, „El Faro de Cantabria” i „El Cantábrico”.

– A są jakieś pliki albo wyszukiwania dotyczące pani Ongayo? Czy tylko informacje o jej firmie?

– Na razie wiem tylko o firmie. Ale zacząłem przeglądać materiał dopiero przed kilkoma minutami, wczoraj wróciłem późno z instytutu medycyny sądowej.

– Rozumiem – powiedziała wyrozumiale Valentina. Nie znosiła braku punktualności, ale nie żałowała swoim podwładnym snu. Przez chwilę się zastanawiała. Dlaczego stary rybak miałby się interesować wynikami finansowymi przetwórci sardeli? Było raczej mało prawdopodobne, żeby w tym wieku zamierzał starać się tam o pracę. Szantaż? – Powinniśmy wziąć pod uwagę możliwość, że Pedro Salas w jakiś sposób wymuszał pieniądze na Bocartes Ongayo – oznajmiła, spoglądając na sierżanta. – Nie wykluczajmy tej ewentualności.

Uczestnicy spotkania jednocześnie przytaknęli, poza podporucznikiem Sabadelle, który zamierzał cmoknąć językiem, ale w porę się powstrzymał, przypomniawszy sobie o katanie, którą zagroziła mu przełożona.

– W porządku, kontynuujmy – powiedziała Valentina, zerkając kątem oka na ścienny zegar odliczający minuty. – Zakończę prezentację, a następnie każdy podzieli się swoimi przeczuciami, podejrzeniami i wątpliwościami. Zgoda? – Członkowie wydziału śledczego ponownie w milczeniu przytaknęli, tym razem także Sabadelle, który jakoś nie mógł się wygodnie umościć na krześle i bez przerwy się wiercił. – W czwartek znajdujemy zwłoki noworodka; w niedzielę o świcie w Suances ginie Pedro Salas; w poniedziałek rano przy falochronie wypływa jego ciało. We wtorek dziewiątego lipca po południu właściciel willi, Oliver Gordon, odwiedza w Santanderze swojego prawnika, który przekazuje mu dokumenty dotyczące jego rodziny i Villa Marina. Informacja ta została potwierdzona przez kaprała Camargo, który spotkał się wczoraj z tym prawnikiem. – Valentina spojrzała na kaprała, który lekko skinął głową. – Następnie pan Gordon przyjechał tutaj, na komendę, rozmawialiśmy z nim ja, Sabadelle i Riveiro. Dzień później, w środę dziesiątego lipca, zabraliśmy go do Santillany del Mar i do Comillas, był z nami od dziewiątej rano aż do wieczora. To oznacza, że Oliver Gordon

ma alibi na całe wtorkowe popołudnie i na prawie całą środę. Odstawiłam go do domu po ósmej trzydzięci, prawie o dziewiątej. Ta informacja może się okazać przydatna, kiedy laboratorium prześle nam wyniki analizy trucizny podanej doktorowi Viesgo, który prawdopodobnie zginął we wtorek po południu, chociaż nasi koledzy z Suances znaleźli jego zwłoki dopiero w środę rano. Czekamy jeszcze, aż patolodzy ustalą czasu zgonu.

Valentina na moment przerwała, żeby przejrzeć notatki i zapisane na tablicy informacje, jakby chciała się upewnić, że nic jej nie umknęło.

– Wyglądało na to, że wiadomość o śmierci lekarza naprawdę zaskoczyła i przybiła Ongayową, pamiętajmy jednak, że to kobieta nawykła do negocjacji, kłamstw i manipulacji. Mam wrażenie, że podczas naszej rozmowy wielokrotnie skłamała, ale na razie to jedynie podejrzenia.

Valentina nabrała powietrza, jakby próbowała uporządkować myśli, żeby w klarowny sposób przedstawić kolejne fakty.

– Na razie to wszystko, co mamy: trzy trupy, w tym pierwszy sprzed ponad pięćdziesięciu lat. Wygląda na to, że jego odkrycie pociągnęło za sobą pozostałe zabójstwa. Niewykluczone, że będzie ich więcej. Pedro Salas miał sześćdziesiąt cztery lata. David Viesgo – siedemdziesiąt dwa. Przedział wieku wskazywałby, że mamy do czynienia z sześćdziesięcio-, sześćdziesięciopięcioletnim zabójcą. Może być psychopatą, niemniej jednak jego działań nie warunkują zaburzenia psychiczne, ale związek między ofiarami. Tak czy inaczej, zanim stworzymy profil mordercy, o ile za obiema zbrodniami stoi ta sama osoba, będziemy musieli poczekać na wyniki sekcji.

Valentina ponownie zaczerpnęła powietrza, po czym powoli je wypuściła, zastanawiając się, czy jest jeszcze coś, o czym powinna powiedzieć, zanim odda głos podwładnym.

– Jakież uwagi? – zapytała wreszcie.

Sabadelle spuścił wzrok. Wiedział, że jego starania do tej pory nie przyniosły żadnego efektu i że jego rola w tym śledztwie ograniczy się do wyjaśnienia, jak aztecki bożek trafił do Villa Marina. „Pierdolony zielony ludek”, pomyślał. Wkurzało go, że nie zdołał niczego ustalić,

zwłaszcza że była to jego działka, a takie sprawy rzadko trafiały na komendę. Nie mógł przeboleć, że to porucznik Redondo już od prawie roku kieruje wydziałem śledczym. Uważał, że on nadaje się do tego znacznie lepiej niż ta maniaczka czystości. Czy Gwardia Cywilna jest miejscem dla kur domowych? Oczywiście, że nie. No właśnie.

– Moim zdaniem – odezwał się Riveiro, nieświadomy tego, co się dzieje w głowie jego kolegi – znalezienie zwłok noworodka było detonatorem tych zabójstw, choć nie jestem pewien, czy mamy do czynienia z tym samym sprawcą, bo za każdym razem działał inaczej. Zabójstwo Pedra Salasa wygląda na zemstę, atak wściekłości: strzał został oddany od przodu, z bliskiej odległości. Natomiast lekarza zabito w sposób bardziej subtelny, kobiecy; jak wiadomo, sprawcami siedmiu na osiem otruc są kobiety.

– To prawda, ale do stworzenia profilu mordercy potrzebne nam są ostateczne wyniki sekcji – powtórzyła rozżalona Valentina. – Najpierw musimy wiedzieć co, żeby móc ustalić jak i dlaczego.

– Właśnie nad tym się zastanawiam – wtrąciła Marta Torres. – Dlaczego. Trudno mi zrozumieć motyw. Noworodek prawdopodobnie wcale nie został zamordowany, a jeżeli został, to zbrodnia uległa przedawnieniu. Dlaczego ktoś miałby zadawać sobie taki trud?

– To właśnie musimy odkryć – odpowiedziała Valentina, kiwając głową. – Motyw, przyczynę. Wygląda na to, że razem z noworodkiem ukryto w tej ścianie wiele sekretów.

– Odgrzebywanie zwłok zawsze źle się kończy – oznajmił ku zaskoczeniu pozostałych Zubizarreta, który zwykle nie odzywał się na odprawach.

– To prawda – przyznała Valentina. – Zobaczmy, czy pomoże nam profilowanie geograficzne – dodała, wskazując mapę, którą powiesiła w sali przed naradą.

Była to metoda dochodzeniowa, której nauczyła się w wydziale analizy behawioralnej Centralnej Jednostki Wywiadu Kryminalnego hiszpańskiej policji sądowej. Dwa lata wcześniej przeszła w Madrycie przyspieszony dwutygodniowy kurs zorganizowany nie tylko z myślą o funkcjonariuszach policji, ale też o psychologach kryminalnych Gwardii

Cywilnej i niektórych jednostkach sił specjalnych. Te dwa tygodnie intensywnej i wyczerpującej nauki zmieniły jej punkt widzenia i dały nowe narzędzie do pracy. Profilowanie psychologiczne sprawców brutalnych przestępstw, którym zajmował się wydział analizy behawioralnej, było w Hiszpanii nową metodą śledczą, ale wykorzystywano doświadczenia między innymi brytyjskiego Scotland Yardu, francuskiej Sûreté czy amerykańskiego FBI.

Valentina podeszła do mapy i wskazała miejsca, w których znaleziono zwłoki. Noworodka – w Suances. Pedra Salasa – w Suances. Lekarza – w La Tablí, ale to był przypadek. Mieszkał w Santanderze, wracał z Comillas od pani Ongayo. Gdzie umieścić go na mapie? Koledzy patrzyli pytająco na szefową.

– Szukasz punktu zakotwiczenia, prawda? – zapytał Riveiro. Często rozmawiał z porucznik o metodach tworzenia profili kryminalistycznych, także o tej, której nauczyła się na kursie.

– Punktu zakotwiczenia? – zdziwiła się Marta Torres, najmłodsza członkini zespołu, która dopiero niedawno dołączyła do wydziału śledczego.

– Tak, właśnie tego szukam – potwierdziła Valentina, po czym wyjaśniła, nie spuszczając wzroku z mapy: – Punkt zakotwiczenia to obecna lub przyszła kryjówka mordercy, zakładając, że mamy do czynienia z jednym sprawcą. – Zaznaczyła coś na mapie ołówkiem. – Wiemy, gdzie popełniono zbrodnie, możemy też przewidzieć zachowanie mordercy: nie zabija zbyt daleko od swojej kryjówki, żeby móc do niej uciec, ani zbyt blisko, żeby nikt jej nie odkrył... Większość sprawców popełnia zbrodnie właśnie w tej strefie buforowej, wydaje mi się jednak, że tym razem jest inaczej. Ofiary nie są przypadkowe, sprawca zabił z konkretnego powodu, prawdopodobnie mającego związek z jego przeszłością.

W sali zapanowało milczenie, wszyscy wpatrywali się w mapę, jakby szukali na niej odpowiedzi.

– To znaczy, że morderca mieszka w obrębie tego okręgu? – zapytała Marta Torres, wskazując elipsę, którą Redondo narysowała ołówkiem na mapie. Przechodziła przez Santander i Comillas, a w środku znalazły

się Suances, Torrelavega, Santillana del Mar i spory niebieski fragment Morza Kantabryjskiego.

– Nie do końca. Do dokładnego ustalenia punktu zakotwiczenia potrzebne nam będą wyniki wszystkich analiz. Znaczenie ma nie tylko miejsce, ale też czas zbrodni, pora, w jakiej operuje sprawca. To, co tu narysowałam, to tak zwana hipoteza koła, na razie robocza. Średnicą jest odcinek łączący najodleglejsze miejsca zbrodni. W przypadku otrutego lekarza uwzględniłam także Santander, gdzie mieszkał, i Comillas, gdzie był na krótko przed śmiercią. Środek koła to miejsce, gdzie prawdopodobnie ukrywa się sprawca. Ale nie możemy mieć pewności co do tych punktów, dopóki nie ustalimy, gdzie został otruty lekarz.

– Według tej hipotezy – wtrącił kapral Camargo – morderca przebywa w okolicach Suances albo Santillany del Mar.

– A to dość gęsto zaludnione miejsca – westchnęła Valentina. – Dlatego musimy natychmiast się zabrać do pracy. Sabadelle, zdaje się, że już wiesz, co masz zrobić. Do południa chcę mieć informacje o Tlalocu – rozkazała chłodno. – Jeżeli będziesz musiał jechać do Bilbao, jedź; porozmawiaj, z kim trzeba, i odblokuj ten trop, jasne?

– Jasne – odparł sztywno Sabadelle, ewidentnie niezadowolony.

– Torres i Zubizarreta – ciągnęła Valentina. – Sprawdźcie Pedra Salasa, Davida Viesgo, Olivera Gordona i Ongayową, ich historię rodzinną, zawodową i osobistą. Chcę mieć informacje o ich najbliższych krewnych, rodzicach, rodzeństwie... O każdym, kto przyciągnie waszą uwagę, jasne? Zwłaszcza członkach rodziny w wieku od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu lat, a nawet starszych.

Funkcjonariusze skinęli głowami, robiąc notatki.

– Przede wszystkim – dodała Valentina – sprawdźcie, czy w ich rodzinach doszło ostatnio do jakichś zgonów, z jakiego powodu, kiedy, gdzie. Ongayowa powiedziała, że straciła dwójkę rodzeństwa i że ma przyrodniego brata, o którym nic nie wie, ale niewykluczone, że mieszka w Cartagenie. Chcę też wiedzieć wszystko o jej córce z drugiego małżeństwa.

– Żeby zdobyć te informacje, trzeba będzie objechać urzędy stanu cywilnego, wykonać mnóstwo telefonów, złożyć wizyty masie osób,

to wszystko zajmie kilka dni... – zaczęła protestować zniechęcona Torres.

– Dlatego właśnie zlecam to zadanie dwójce funkcjonariuszy, a nie jednemu. I nie mamy kilku dni, ale kilka godzin, więc lepiej nie traćcie czasu. – Valentina ucięła dyskusję, po czym spojrzała na kaprała. – Camargo, pomożesz Torres i Zubizarrecie, ale skup się na Bocartes Ongayo, na historii firmy, może znajdziesz jakieś rysy, coś podejrzanego. W rejestrze handlowym zdobędziesz sprawozdania finansowe, informacje o zmianach kadrowych, wszystko. Żeby odciążyć swoich kolegów – porucznik spojrzała wyrozumiale na najmłodszych podwładnych – zajmiesz się firmą, Ongayową i jej rodziną. Działajcie szybko i zespołowo, okej?

Funkcjonariusze przytaknęli, pogodzeni z tym, że na czele zespołu stanie Camargo. Był wyższy rangą, poza tym zawsze dyskretnie przejmował dowodzenie w ramach ograniczonej swobody, jaką dawała mu porucznik Redondo.

– Riveiro – ciągnęła Valentina, spiesząc się, żeby zakończyć odprawę. – Przejrzyj do końca raporty informatyków dotyczące zawartości komputera Pedra Salasa, sprawdź, co z nakazem sądowym wydania billingów, i skontaktuj się ponownie z hotelami w pobliżu miejsca, gdzie znaleźliśmy zwłoki. Ale najpierw pojedziesz ze mną do instytutu medycyny sądowej, bo w zależności od tego, czego się tam dowiemy, niewykluczone, że trzeba będzie zmienić priorytety, dlatego chcę, żebyś był dyspozycyjny. Najprawdopodobniej będziemy musieli się skontaktować z prywatnymi laboratoriami i przesłuchać raz jeszcze wdowę po lekarzu i Ongayową, więc...

– Pani porucznik! – wykrzyknął kaprał w mundurze, gwałtownie otwierając drzwi sali, w której trwała narada wydziału śledczego. – Przepraszam, że przerywam, ale czy mógłbym zamienić z panią słowo?

– Teraz? To pilne? – zapytała niezadowolona Valentina.

– Raczej tak. Dotyczy śledztwa, które prowadzicie. Jeżeli pani woli, możemy porozmawiać na osobności, przed momentem odebrałem telefon i...

– Nie ma takiej potrzeby, proszę powiedzieć, co się dzieje.

Kapral westchnął, jakby szykował się do wyrecytowania wiadomości, której nauczył się na pamięć.

– Ktoś próbował zabić prawie osiemdziesięcioletniego mężczyznę, który leży w szpitalu Świętej Klotyldy, tutaj, w Santanderze... Właśnie zadzwonił inspektor Manzanero z policji. Nie chciał mi przekazać więcej informacji, powiedział, że porozmawia z panią, kiedy będzie pani dostępna, na razie to oni zajmują się tą sprawą. Podobno ofiara plecie od rzeczy, mówi coś o lisiej rodzinie i o niebezpieczeństwie, które grozi właścicielowi domu, Oliverowi Gordonowi. Chce z nim porozmawiać.

– Z Oliverem? – zdziwiła się porucznik, zdradzając przed kolegami, że jej więź z Gordonem uległa zacieśnieniu. Dużo rozmawiali w samochodzie, spędzili razem sporo czasu, sam na sam. Swoją drogą było całkiem miło. Lisia rodzina? Niebezpieczeństwo grożące Oliverowi Gordonowi? Kolejne morderstwo? Dobrze chociaż, że udaremnione. A do tego zamurowany w ścianie noworodek i azteckie bóstwo... Co tu się, kurwa, dzieje?

Kiedy w drzwiach stanęła funkcjonariuszka i też poprosiła ją o rozmowę, Valentina poczuła się jak bohaterka absurdalnej komedii braci Marx.

– Można wiedzieć, o co chodzi tym razem? – zapytała zdziwiona. Jeszcze nie do końca przyswoiła sobie to, co przed chwilą usłyszała, wiedziała jedynie, że powinna natychmiast oddzwonić do inspektora Manzanero, z którym miała bardzo dobre relacje; od trzech lat co jakiś czas spotykali się przy okazji spraw o zabójstwo.

– Telefon do pani.

– I to jest aż takie ważne, żeby przerywać mi w środku narady?

Funkcjonariuszka lekko poczerwieniała.

– Nie wiem, facet mówi, że to bardzo pilne.

– Facet?

– Oliver Gordon.

– Oliver? Ale co...?

– Jest na linii. Ja... – wybąkała funkcjonariuszka, która zaczęła wątpić, czy ta rozmowa rzeczywiście jest aż taka pilna. Czując na sobie

spojrzenia kolegów, zapanowała nad zdenerwowaniem i dokończyła: – Mówi, że odkrył związek... że już wie, skąd się wziął Tlalcol... Tlaloc.

Wszyscy obecni zaniemówili ze zdziwienia. W sali rozległo się jedynie cmoknięcie wydane przez zdrętwiały język podporucznika. Sabadelle był czerwony ze złości. Chciał wiedzieć, co takiego odkrył Oliver, a zwłaszcza czy ta informacja postawi go w złym świetle. Czyżby on, absolwent historii sztuki ze specjalizacją z archeologii i kultury klasycznej, przeoczył coś, co wytropił ten mydlkowy Angol? Valentina nawet nie zwróciła uwagi na jego cmoknięcie – wypadła z gabinetu i pobiegła do telefonu.

Bip, bip, bip.

Kolejny telefon. W kieszeni sierżanta Riveiro zawibrowała komórka. Kantabryjski Instytut Medycyny Sądowej. Dzwoniła Almudena Cardona, asystentka Clary Múgiki.

– Sierżant Riveiro?

– Przy telefonie. Cardona?

– Tak. Chyba już wiemy, czym otruto Davida Viesgo. Mieliśmy szczęście, w naszym szpitalu akurat odbywa się kongres i mogliśmy skonsultować się z doktorem Gaelem Bárceną z Krajowego Instytutu Toksykologii... To ekspert z zakładu toksykologii sądowej.

– Świetnie... No i?

– No i trzeba będzie to jeszcze potwierdzić, ale wstępnie ustaliliśmy, że wykorzystano cis.

– Cis? Jak to cis? Chodzi ci o drzewo? Poważnie?

– Oczywiście, że poważnie. Zadzwoniłam, bo wczoraj mówiłeś, że pilnie potrzebujecie dowodów, ale powtarzam, że musimy potwierdzić wyniki.

– A co z doktor Múgicą?

– Jeszcze nie przyszła.

– Aha. A zatem... cis. Ale przecież te drzewa rosną wszędzie, w parkach, w ogrodach... Naprawdę są trujące? To znaczy na tyle trujące, żeby kogoś zabić?

– Jak najbardziej. Pewnie i tak do nas przyjedziesz, więc jeżeli będziesz chciał, doktor Bárcena wyjaśni twoje wątpliwości. Kończę, mamy urwanie głowy.

– Jasne. Za chwilę powinniśmy wyruszyć, zabiorę się z porucznik Redondo. Dzięki.

– Nie ma za co.

Kiedy Riveiro odłożył telefon, jego koledzy z wydziału śledczego, którzy słyszeli tylko część rozmowy, spojrzeli na niego wyczekująco w nadziei na wyjaśnienie. Ale zanim zdążył otworzyć usta, do sali wróciła porucznik Redondo. To, co powiedziała, dosłownie odebrało im mowę.

DZIENNIK (9)

Obawiam się, że ze względu na zawrotne tempo wydarzeń konieczne będzie pominięcie niektórych szczegółów. Dzieje się zbyt dużo. Zbyt szybko. Życie to teraźniejszość i przyszłość, ale przeszłość wkrada się pomiędzy nie i ciąży niczym słodko-gorzkie brzemie temu, kto musi się z nią borykać. Muszę wyjaśnić, jak do tego wszystkiego doszło. Od tamtej pory minęło już tyle, tyle lat...

Clara i Jana każdego lata wybierały się na festyn w Comillas. Coś zaczęło kiełkować pośród kamiennych uliczek, bogatych posesji nuworyszów i tradycyjnej zabudowy. Nie mogły w tym przeszkodzić wściekłe pomruki morza, wyniosłość modernistycznych pałaców ani przestrogi dorosłych. Przez kilka dni żyły tak, jakby zbliżał się koniec świata. Z rozważą, ale intensywnie.

Może to była wina zachodzącego słońca.

Może sangrii cioci Amparo.

Może ciepłego lata i lęku, że nie będzie jutra.

Może granatowych oczu Luisa. A może spojrzeń, jakie rzucali im chłopcy, kiedy przechodziły, zostawiając za sobą zapach rumianku i kopru.

Czyja to była wina? Może muzyki granej przez jarmarczną orkiestrę, unoszącej się wokół, przenikającej szeptane do ucha słowa.

W sierpniu 1944 roku Jana ma szesnaście lat, Clara – osiemnaście. Obie są pięknymi kobietami, o długich, błyszczących, kasztanowych włosach. Ich uroda jest skromna, obleczona w tanie, znoszone, po kilka razy farbowane sukienki. Z Clary biją charyzma, siła i niezależność, ale wydaje się nieufna i czujna. Jest serdeczna, a jednocześnie zdystansowana, jakby miała w sobie zimną przepastną studnię, do której nikt nigdy nie zajrzy.

Janę nadal wyróżnia elegancja, niemająca związku ze strojem ani z pochodzeniem. Wszyscy myślą, że ona i Luis są parą, bo pozwala, żeby po zabawie odprowadzał ją do domu cioci Amparo i wujka Pepe.

Wszyscy wiedzą, że był na kilku potańcówkach organizowanych zimą w La Carava, starym magazynie w Hinojedo, i że prosił ją do tańca, kiedy muzykanci kręcili korbką, wydobywając melodię z katarynki.

Wszyscy też wiedzą, że od czterech lat jeździ autobusem do Hinojedo, przeprawia się przez rzekę łodzią don Quiteria i idzie do Requejady, gdzie w eukaliptusowym lasku ozdobionym kolorowymi dekoracjami z papieru latem co niedzielę odbywają się potańcówki. Korzystając z okazji, że może przenocować u kuzyna gwardzisty z Ubiarco niedaleko Suances, traci czas i pieniądze na podróż wyłącznie po to, żeby potańczyć z zielonooką dziewczyną, gdy muzykanci wypełniają ciemny las skocznymi melodiami.

Dziś jest naprawdę późno: prawie dziesiąta w nocy. Jana zrzuci winę na don Quiteria, twierdząc, że przyплыł później niż zwykle, żeby zabrać grupkę młodzieży wracającą posłusznie z niedzielnej potańcówki. Do domu odprowadza ją Luis. Są sami, bo ich przyzwoitka – Clara – przed dwiema godzinami wróciła do Torrelavegi.

Clara od dwóch lat pracuje w miasteczku, w tym samym domu, w którym niestrudzenie gotowała babcia Julia i w którym ona sama nauczyła się fachu służącej. Sprząta, opiekuje się maluchami, gotuje i otwiera drzwi ważnym gościom, bo państwo awansowali w hierarchii społecznej dzięki udanym inwestycjom w Urugwaju, które zasilły ich konto w banku. Clara jest tam sama – babcia Julia zmarła rok wcześniej. Miała chore płuca, lekarz wyjaśnił, że zebrała się w nich woda, jak kałuże po deszczu.

Ale Jana nie myśli teraz o Clarze. Tak naprawdę myśli tylko o własnym bezwstydzie, koncentruje się na tym, co robi i co pozwala ze sobą robić. Czuje między nogami narastające pożądanie. Rozum każe jej zachować cnotę, bombarduje ją zakazami, których jej zmysły nie mają zamiaru przestrzegać.

Luis leży na niej, całuje ją desperacko na ciepłej słomie, zaledwie dwieście metrów od jej domu, w stodole sąsiada, don Gumersinda, który nie ma pojęcia, że w zapuszczonej szopie ukrywa się para zakochanych.

Luis rozpina Janie bluzkę, powoli, ale niecierpliwie, w połowie drogi między głębokim szacunkiem a silnym podnieceniem.

– Tylko nie stanik, tego nie – błaga Jana, patrząc Luisowi w oczy.

– Dobrze, tego nie – godzi się Luis.

Nie przestaje jej całować, szuka jej języka, po jego ciele rozlewa się fala ciepła, budząc w nim dzikość, niekontrolowane pożądanie.

– Jeszcze trochę, tylko chwileczkę... proszę, jeszcze tylko chwilę – błaga kolejny już raz i dotyka przez stanik jej piersi, pieści je coraz szybszymi ruchami.

Jana nie słucha tego, co nakazuje cnotliwość, i sama rozpina mizerną haftkę biustonosza, ostatniej zapory, która dzieli ją od wroga: lubieżności. Luis już nad sobą nie panuje, przypada do jej słodkich, miękkich, ciepłych piersi o różowych sterczących sutkach. Pieści je. Najpierw powoli, jak w ekstazie. Wreszcie, po tak długim oczekiwaniu, może się rozkoszować intymnością. Pożądliwie całuje Janę to w usta, to w szyję. Spogląda przeciągle w jej zielone kocie oczy i zjeżdża językiem w stronę piersi. Liże je, cmoka, ssie i podgryza, podczas gdy twardy penis domaga się, żeby wypuścił go ze spodni i pozwolił mu wejść w ciepłe, wilgotne ciało Jany.

– Nie, tego nie – prosi Jana, kiedy widzi, że Luis zaczyna rozpinać spodnie, choć ona sama też płonie z pożądania.

Luis nie odpowiada. Przyzwoitość zwycięża, odsuwa rękę od guzików spodni, po czym znowu układa się na Janie, delikatnie rozkłada jej nogi i zaczyna ją desperacko ujeżdżać, obsypując pocałunkami jej piersi, bezwstydnie je pożerając, ściskając mocno dłońmi, silnymi i wygładzonymi przez morze. Jana nie rozumie, co się stało, kiedy zdyszany Luis dochodzi i przestaje się rzucać jak dzikus. Kiedy pocierał jej krocze, doświadczyła czegoś w rodzaju orgazmu: zalało ją nieznane ciepło, palące i wilgotne. Przez kilka minut leżą przytuleni, szczęśliwi. Wreszcie Luis wyjmuje z kieszeni szarą chustkę i wkłada rękę między nogi, żeby się wytrzeć. Jana jeszcze nigdy nie widziała go nagiego. Chłopak znowu kładzie się przy swojej ciemnowłosej piękności, obejmuje ją, całuje w szyję. Ona odpycha go delikatnie, uśmiecha się figlarnie

i siada, poprawiając ubranie. Mówi, że jest późno i musi wracać do domu. Luis zatrzymuje ją, kładzie na sianie i unieruchamia w objęciach.

– Kiedy powiesz ojcu, że jesteśmy narzeczonymi? – pyta, unosząc brwi.

– Jeszcze nie teraz – odpowiada Jana ze zgaszonym uśmiechem.

– Ale przecież jesteśmy narzeczonymi.

– No jesteśmy – przytakuje Jana.

– No jesteśmy? W takim razie dlaczego jeszcze nie teraz? To kiedy? Nie wiem, czego się boisz. Moglibyśmy poprosić go o pozwolenie na ślub. Niech wie, że mam poważne zamiary. Jeżeli będzie wolał zaczekać, aż skończysz osiemnaście lat, zaczekamy, ale zaczyna mnie to już męczyć. Zawsze robimy to w tajemnicy, kiedy uda się nam pozbyć przyzwoitki, wymyślając idiotyczne wymówki. Ja chcę się z tobą ożenić. – Ton Luisa jest stanowczy, jakby nie pierwszy raz się o to spierali. – Nie kochasz mnie?

– Ależ tak. Kocham cię – odpowiada Jana ze spuszczonego wzrokiem i na moment milknie. – Ale to się dzieje za szybko.

– Za szybko? Ponad cztery lata zalotów to dla ciebie za szybko? Przecież i tak wszyscy myślą, że jesteśmy narzeczonymi! – stwierdza Luis z oburzeniem, podniesionym głosem. Wypuszcza Janę z objęć i wstaje, niemal rozgniewany.

Jana patrzy na niego surowo.

– A z czego będziemy żyli? I gdzie? – pyta.

– Jak to gdzie: w Comillas. Ja pierdolę, przecież rozmawialiśmy o tym sto razy. W moim domu, z moją matką. Mówiłem ci już, że nie zostawię jej samej. Bez problemu wyżyjemy z tego, co zarabiam na połowach. Jestem mężczyzną, Jano. Będę utrzymywał dom, przynosił wynagrodzenie w pesetach i w naturze. Te sardyńskie, które tak ci smakują. Czasem będziemy mieli na kolację doradę, kiedy indziej dorsza. – Luis spogląda na Janę z nadzieją. – Nie wystarczy, że będziemy razem? Że będziemy mieli co jeść i gdzie spać?

– A ja?

– A ty?

– Tak, co ja miałabym robić? Sprzątać, opiekować się twoją matką, gotować, rodzić dzieci, które da nam Bóg, i szyć po nocach, żeby mieć

trochę oszczędności? To miałabym robić? – prowokuje go rozzłoszczona Jana, zmierzając do drzwi stodoły. Zatrzymuje się, odwraca, łapie pod boki i patrzy na Luisa.

Chłopak przez moment milczy.

– Nie wiem, o co ci chodzi. Czego chcesz? Życ jak księżniczka? Nie zamierzam zmuszać cię do ciężkiej pracy. Ale będziesz musiała zajmować się domem.

– Oczywiście. Aż zaharuję się na śmierć. To, co mi proponujesz... mam już tutaj.

Luis obrzuca ją lodowatym spojrzeniem.

– Nie. Tutaj nie masz mnie.

Jana wytrzymuje jego wzrok. Odwraca się z dumą i idzie w stronę wyjścia, szybko, wielkimi krokami, kipiąc gniewem. Luis podąża za nią. Kiedy są już na zewnątrz, łapie ją za rękę i przypiera do ściany z desek. Całuje ją jak oszalały, a ona odwzajemnia jego pocałunki. Miłość to trudna do pojęcia walka pierwotnych, dzikich instynktów.

Płacząc, Jana wrywa Luisowi ostatnie pocałunki.

– Kocham cię, ale nie zniosę dłużej tej nędzy – mówi, spoglądając na swoje buty uszyte z kawałków czarnych skórzanych pasków służących do mocowania ładunków pirytu przewożonych z huty Asturiana de Zinc do ładowni statków. Są przywiązane do stóp skrawkami płótna.

– My nie będziemy nędzarzami – odpowiada czule Luis i całuje Janę. – Będziemy żyli szczęśliwie, chociaż skromnie. Będziemy razem. Nie może być nic lepszego.

– Tak, ale Clara...

– Zapomnij o Clarze! Tylko nabija ci głowę mrzonkami. Wiesz, co się jej udało osiągnąć? Wiesz? Podciera tyłki dzieciom bogaczy i pracuje od świtu do zmierzchu.

– Nie mów tak. To moja siostra. Ona ma przynajmniej nowe sukienki i buty ze sklepu. I zawsze je ciepłe posiłki. Clara jest bardzo zaradna.

– Oczywiście. Kolejna zaradna dziewczyna, która miała wyjść za księcia.

– Luis!

– Przepraszam, ale taka jest prawda. Nie kłóćmy się już. Kocham cię – mówi z uśmiechem Luis. – Widzisz? Kiedy się gniewasz, jesteś jeszcze

ładniejsza.

– Muszę iść – odpowiada mu na to Jana i spuszcza głowę.

– A kiedy porozmawiamy z twoim ojcem?

– Kiedy indziej.

Ostatni raz tej nocy Luis łapie Janę za rękę. Już się nie uśmiecha.

– Chcesz za mnie wyjść czy nie? Bo może mi się znudzić ta zabawa i przestanę do ciebie przyjeżdżać.

Jana czuje dreszcz. Luis nigdy wcześniej nie groził, że przestanie o nią zabiegać.

– Nie chodzi o to, że nie chcę. Po prostu jest za wcześnie – odpowiada. Jej spojrzenie jest życzliwsze, cieplejsze.

Luis kiwa głową.

– Wobec tego zaczekam. Ale cierpliwość ma granice, Jano. Nie każ mi czekać w nieskończoność jak jakiemuś głupkowi. Jeżeli mnie nie kochasz albo jeżeli któregoś dnia przestaniesz, powiedz mi to, bo ja już nie mogę dłużej się przed tobą płaszczyć. Odejdę i więcej mnie nie zobaczysz.

Jana się uśmiecha. Wie, że to koniec sprzeczki. Tak naprawdę kłócili się o to wielokrotnie. Całuje Luisa na pożegnanie. Oboje zdają sobie sprawę, że czas wracać do domu.

– Są dni, kiedy cię nie kocham. Kiedy mnie dręczysz, dopytując o ślub i o to, czy jesteśmy narzeczonymi – mówi Jana z uśmiechem i całuje Luisa w policzek.

Chłopak wzdycha i pokonany odwzajemnia jej uśmiech.

– W dni, kiedy nie będziesz mnie kochać, ja będę cię kochał za nas dwoje – odpowiada i wbija w Janę łagodne spojrzenie.

Jana patrzy na Luisa i dociera do niej, że chociaż rozum każe jej ściagać nierealne marzenia, w jej sercu na zawsze pozostanie wyryte łagodne niebieskie spojrzenie tego młodego rybaka, który tej nocy odprowadza ją do domu. Zbliża się decydujący moment, kiedy będzie musiała dokonać wyboru. Wyboru drogi, którą podąży w jedynym życiu danym istocie ludzkiej. Droga zwycięzców nie jest jasno oświetlona i nie za bardzo wiadomo, którądy iść. Ale tylko tchórze rezygnują z walki o to, co im się należy. Wiesz, jacy bojownicy są najbardziej niebezpieczni?

Tacy, którzy czują, że nie mają nic do stracenia.

HANNIBAL: Pierwsza zasada to prostota. Poczytaj Marka Aureliusza. Zawsze pytaj o prawdziwe znaczenie znalezisk. Jaka jest ich natura? Czym się zajmuje człowiek, którego szukasz?

CLARICE: Zabija kobiety.

HANNIBAL: Nie, to tylko zasłona dymna. Co nim kieruje? Którą z potrzeb zaspokaja, zabijając?

CLARICE: Wyładowuje agresję. Kompensuje brak akceptacji. Zadawała seksualne dewiacje.

HANNIBAL: Nie. On pożąda. Taką ma naturę. Co rodzi naszą pożądlivość? Czy sami szukamy tego, co nas pociąga?

CLARICE: Nie...

HANNIBAL: Zaczynamy od pożądania tego, co widzimy na co dzień. Nie czujesz na swoim ciele spojrzeń? Czy twoje oczy nie poszukują tego, czego pragniesz?

Dialog z filmu *Milczenie owiec* (1991), w którym Hannibal Lecter (psychiatra skazany za kanibalizm) naprowadza Clarice Starling (młodą agentkę FBI) na trop seryjnego mordercy

Oliver Gordon obserwował ze swojego przytulnego ganku, jak morze ukradkiem szykuje się do walki: woda zaczynała się kotłować przy dnie z piasku i kamieni, przybierając niezwykłą zieloną barwę, zwiastującą, że niebawem rozpęta się straszna burza. Wreszcie przestało być spokojne. Bezruch i ciężki, lepki upał z ostatnich dni wydawały się Oliverowi sztuczne, niepokojące, niezgodne z harmonijnymi prawami przyrody. Teraz w głębinach morza huczało, niedługo zacznie się skręcać i pluć wodą. Pomyślał, że wzburzone morze dobrze odzwierciedla jego emocje, stan jego ducha. Dotąd udawał spokój i opanowanie, choć tak naprawdę czekał, że czyjaś ręka otworzy blaszaną puszkę pełną gniewu.

Liczył na to, że wreszcie wyjaśnią się wszystkie sekrety jego rodziny, Villa Marina i osób, których nawet nie znał. Cekał na podporucznika Sabadelle. Valentina Redondo obiecała, że dołączy do nich, gdy tylko będzie mogła. Powiedziała mu przez telefon, że być może będzie musiał jechać do szpitala w Santanderze w sprawie związanej ze śledztwem. O co mogło chodzić? Zadzwoił do niej podekscytowany, że udało mu się rozwiązać zagadkę, a tymczasem zderzył się z kolejną.

Od rozmowy z ojcem, który zadzwonił do niego poprzedniego wieczoru ze swojego rodzinnego domu w szkockim Stirling, praktycznie nie spał – przez całą noc buszował w internecie i przeszukiwał skromną biblioteczkę, którą przeniósł z Villa Marina.

Arthur Gordon był szczerze zdumiony tym, co się wydarzyło w Suances. Bynajmniej nie ucieszyła go wiadomość, że podczas wakacji spędzanych w Villa Marina mieszkał z zamurowanym w piwnicy trupem. Kiedy Oliver wspomniał o zielonym bożku, stary Gordon początkowo nie zareagował, ale po kilku minutach rozmowy coś zaświtało mu w głowie. Ludzik z otwartymi ustami, do których wślizgują się dwa węże? Tak, trudno coś takiego zapomnieć. Ten, którego on widział, wyglądał trochę inaczej niż figurka, nie miał tułowia, piór ani innych ozdób. Zapamiętał jedynie wielką kamienną twarz z wyłupiastymi, groteskowymi oczami i ustami zatkanymi przez dwa gady. Królowała niczym tarcza obronna na fasadzie jednego z domów w Santillanie del Mar, naprzeciwko romańskiej kolegiaty Świętej Juliany. Była dobrze widoczna. W Villa Marina mieli książkę, w której coś o tym wspomniano, zaledwie kilka linijek... Nie pamiętał tytułu, zajrzał do niej z ciekawości. Od tego czasu minęło już tyle lat...

Ojciec i syn nie rozmawiali jednak długo o Tlalocu. Olivera interesowała bardziej matka, jej rodowód, chciał poznać prawdę o sobie i swojej rodzinie. Ojciec wiedział, że została adoptowana, poinformował go o tym po powrocie do Londynu, gdy tylko to odkryła, dziesięć lat wcześniej. Nie chciała mącić synom w głowach opowieściami, które donikąd nie prowadzą, sama też zamierzała żyć jak dotąd. Ojciec uważał, że należy powiedzieć o wszystkim dzieciom, ale nigdy nie zawiódł zaufania żony. Oliver poczuł nagły przypływ szacunku do starego Gordona, osobliwą bliskość, której nigdy wcześniej nie doświadczył, wynikającą z więzów krwi i podobnego pojmowania honoru. Wyglądało na to, że matka nie zdradziła ojcu nic oprócz tego, co już wiedział. Wersja, którą Lucía Gordon podzieliła się z mężem, zgadzała się z tym, co przekazała mu przełożona klarysek, siostra Mercedes.

Oliver pomyślał, że w tej kwestii jedyną tajemnicą pozostaje tożsamość rodziców biologicznych – prawdopodobnie biedaków bez widoków

na przyszłość, którzy w latach pięćdziesiątych podrzucili dziecko zakonnicom i najpewniej już nie żyją.

Podczas długiej rozmowy z ojcem Oliver musiał go wielokrotnie zapewniać, że nie ma potrzeby, żeby przylatywał do Hiszpanii na czas śledztwa. Kiedy skończyli, była prawie pierwsza w nocy, mimo to Oliver postanowił poszukać więcej informacji o Tlalocu, żeby rano przekazać je porucznik Redondo.

Szperając w kartonach z książkami, znalazł dwie, które okazały się bardzo pomocne. Jako dziecko ani razu ich nie otworzył, nie mówiąc o zainteresowaniu się ich treścią. Tytuł pierwszej brzmiał *Heraldyka Santillany del Mar*, tytuł drugiej – znacznie bardziej sugestywny – *Żywe tchnienie czasu*. Opisywała historię Santillany del Mar od magicznych paleolitycznych jaskiń, przez romańskie krużganki i ozdobione herbami pałace, po zapuszczone wieże. To właśnie w tej drugiej książce pierwszy raz go zobaczył. Szeroka twarz, pucołowate policzki, oczy wybałuszone jakby ze zdziwienia, rozchylone, wydatne usta, przez które wpełzały dwa węże. Oliver nie miał wątpliwości: to Tlaloc. Bez ciała, bez piór, bez mezoamerykańskich symboli, sama twarz, prześmiewcza i tajemnicza, umieszczona na domu z kamienia, który nie pasował do niej ani co do epoki, ani miejsca, ani religii. Dziwny symbol zdobił fasadę okazałego budynku niczym herb; umieszczono go nad głównym wejściem, drzwiami obramowanymi kolumnami i zwieńczonymi płaskim łukiem. Powyżej znajdował się długi wąski balkon, który niczym daszek chronił Tlaloca przed kaprysami aury. Mezoamerykańskie bóstwo mogło nie rzucać się w oczy, dlatego że nad balkonem z fasady wystawał olbrzymi herb: dwa straszne lwy stojące na wprost siebie na tylnych łapach, na górze smoki, a na dole coś w rodzaju trąb. Chociaż książka *Żywe tchnienie czasu* miała pięćdziesiąt lat, była w dobrym stanie. Zawierała szkice domów, pałaców, wież i kamiennych dziedzińców. Pod rysunkiem Tlaloca widniał podpis: „Dom Quevedów”. „Chwileczkę – pomyślał Oliver. – Jak to Quevedów? Que-ve-dów. Quevedów? Serio? Jak ten hiszpański poeta z epoki Złotego Wieku? Ten, który w XVII wieku napisał *Parnas hiszpański* i przyjaźnił się z Lope de Vegą i Cervantesem?” Postanowił sprawdzić to w internecie. Autor słynnego powiedzonka „Don Pieniądz to potężny pan” rzeczywiście

miał kantabryjskie korzenie i odwiedzał Santillanę del Mar, ale dom nie należał do niego, tylko do jego kuzynów. Oliver pomyślał, że to niesamowite – kiedy na studiach iberystycznych uczył się o hiszpańskim Złotym Wieku i o Quevedzie, nie przypuszczał, że spędza wakacje w tym samym miejscu co poeta, tyle że cztery wieki później. Co, do diaska, robił wizerunek Tlaloca na domu Quevedów? *Heraldyka Santillany del Mar* nic o tym nie wspominała, a w *Żywym tchnieniu czasu* znalazł jedynie informację, że „pod długim balkonem znajduje się kolonialna płaskorzeźba”.

Kolonialna płaskorzeźba. Oliver znieruchomiał, zamyślony. Patrząc na ekran komputera i na otwartą książkę, doszedł do dwóch wniosków. Po pierwsze: ponieważ według Wikipedii emigracja do kolonii i powrót na półwysep przypadły na koniec XIX i pierwszą połowę XX wieku, płaskorzeźba przedstawiająca Tlaloca nie mogła powstać w Złotym Wieku; została umieszczona na fasadzie później i nie miała związku z pierwotną architekturą domu. Po drugie: skoro płaskorzeźba była kolonialna, to znaczy, że jej wykonanie musiał zlecić jeden z tych Kantabryjczyków, którzy wzbogacili się w Nowym Świecie i wrócili w rodzinne strony z workami pełnymi złota. Oliver wpisał w Googlach wszystkie hasła, jakie przyszły mu do głowy. Odkrył nie tylko, że dzięki złotu z kolonii wieśniacy wracali z Ameryki niemal jako szlachcice, ale też że Amerykę zalały herby kantabryjskie. Wieśniacy tak bardzo pragnęli należeć do szlachty, grupy społecznej cieszącej się ogromnym prestiżem, że dumnie ozdabiali domy olbrzymimi ostentacyjnymi herbami pełnymi symboli mających świadczyć o potędze ich rodów. Intuicja podsuwała Oliverowi logiczne wytłumaczenie: jeden z tych „szlachciców”, którzy wrócili z kolonii, ekscentryk i prowokator, nie ograniczył się do ozdobienia domu herbem z symbolami władzy w postaci orłów, lwów czy smoków, ale dodał mezoamerykańskiego boga, bo wierzył, że to on przyniósł mu szczęście w Ameryce, albo zapewnili go o tym tubylcy. Kazał wyrzeźbić w kamieniu swój amulet, żeby los uśmiechał się do niego także na rodzinnej ziemi. Kim był ten człowiek? Potomkiem Quevedów? Oliver kontynuował poszukiwania w internecie. Kiedy o trzeciej nad ranem postanowił wyłączyć komputer, znalazł

na forum poświęconym historii i kulturze Kantabrii informację, że na początku XX wieku dom Quevedów przeszedł w ręce rodziny Chacón. Emigrantów, którzy wrócili z Meksyku. Bingo. Trafił na właściwy trop. Jego teoria była całkiem prawdopodobna. Meksyk, Tlaloc, przesądny emigrant, który po powrocie do Hiszpanii każe wyrzeźbić na swoim nowym domu symbol szczęścia. Zresztą powód, dla którego ktoś postanowił umieścić na fasadzie podobiznę Tlaloca, nie miał znaczenia. Oto związek mezoamerykańskiego bóstwa z Kantabrią. Tylko co miała wspólnego zamożna rodzina z Santillany del Mar z Villa Marina w Suances i ukrytym w piwnicy aniołkiem? Może Chaconowie znali się z Ongayami? Oliver odsunął od siebie te pytania; padał ze zmęczenia. Postanowił, że jak tylko wygrzebie się z łóżka, zadzwoni do porucznik Redondo.

Tak też uczynił, wprawiając w osłupienie cały wydział śledczy Gwardii Cywilnej w Santanderze i krzyżując plany porucznik, która teraz musiała przydzielić podwładnym nowe zadania. Kiedy dopijał na ganku kawę, obserwując, jak ziemia i morze szykują się na wielką burzę, zapragnął, żeby ta wreszcie się rozpętała, żeby jakiś potężny cyklon zmiotł wszystkie tajemnice, wszystkie półprawdy, wszystkie luki, żeby on wreszcie mógł bez lęku zająć się własnym życiem.

W tym czasie Valentina Redondo dojeżdżała do szpitala Świętej Klotyldy w Santanderze. Skręciła w prawo w Paseo General Dávila i przez otwartą bramę w kamiennym murze wjechała na dziedziniec obsadzony platanami i palmami. Była tu pierwszy raz. Pomyślała, że majestatyczny, ale podniszczony budynek musiał powstać w latach czterdziestych albo pięćdziesiątych ubiegłego wieku. Po bokach bramy znajdowały się dwa skrzydlate lwy zwrócone przodem do siebie, prowokująco mierzyły się wzrokiem. Strzegły wstępu do posiadłości, która ze względu na roztaczający się stąd widok na zatokę Santander niegdyś nosiła nazwę Bella Vista.

– Dzień dobry, pani porucznik – przywitał ją inspektor policji Miguel Manzanero, kiedy wysiadła z samochodu.

Nie pierwszy raz spotykali się na miejscu zdarzenia, zanim sprawa została przydzielona odpowiedniej służbie. Inspektor miał wesołe usposobienie; był tylko o kilka lat starszy od Valentiny, jego zdrowy wygląd wskazywał, że regularnie ćwiczy na siłowni.

– Cześć, co słyhać? – odpowiedziała Valentina z uśmiechem, nie próbowała jednak ukryć zmęczenia. – Jak tam Martín? Ma już sześć miesięcy, prawda? – zapytała policjanta, który niedawno został ojcem.

– Dziewięć i pół, Redondo, dziewięć! – Manzanero uśmiechnął się serdecznie. – Czas leci szybciej, niż myślisz! A co u ciebie, nadal spławiasz tabuny adoratorów?

– No co ty, każę im się umawiać przez sekretarkę na śpiewanie serenad pod moim oknem, bo chwilowo jestem zajęta szukaniem seryjnego mordercy – odpowiedziała beztrąsko Valentina, ale zaraz spoważniała. Dziś akurat nie miała czasu na przyjacielskie pogaduszki. – Dzięki, że po mnie wyszedłeś... i że znalazłeś chwilę, żeby ze mną porozmawiać, na pewno masz tam niezły młyn – dodała, wskazując głową stojące na parkingu radiowozy i umundurowanych policjantów w drzwiach szpitala. – Ta sprawa to jakiś koszmar. Ktoś w zawrotnym tempie morduje staruszków, każdego w inny sposób, a wszystko zaczęło się od zwłok noworodka znalezionych w Suances. Na pewno czytałeś o tym w gazetach.

Manzanero w zamyśleniu pokiwał głową.

– Tak, dlatego do ciebie zadzwoniłem, chociaż, jak się domyślasz, nie mogę ci udostępnić żadnych materiałów, dopóki sprawy nie zrzeknie się sąd, któremu zostanie przekazana.

– Rozumiem, tym bardziej dziękuję, że mnie powiadomiłeś. Po drodze zadzwoniłam do Talavery, porozmawia z sędzią, któremu przydzielą tę sprawę, żeby jak najszybciej nam ją oddał.

– Świetnie, ale wiesz, że do tego czasu nie mogę ci pozwolić przesłuchać ofiary ani świadków. Oficjalnie cię tu nie ma.

– Oficjalnie. Zaraz sobie pojedę, obiecuję, nie będziesz miał przeze mnie kłopotów. Chciałam tylko osobiście to z tobą omówić i ci podziękować.

– Nie pierdol, Redondo, przyjechałaś, żeby sprawdzić, czy uda ci się po cichu powęszyć – odparł przyjaźnie Manzanero. – Ale obawiam się,

że to nie będzie możliwe – dodał, spoglądając na klasycystyczny budynek o wysokich piętrach i mansardowych oknach przykrytych spadzistymi daszkami z czarnego łupka.

Valentina podążyła wzrokiem za spojrzeniem inspektora. Budynek szpitala przypominał jej nieco dom pani Ongayo w Comillas. Ze środka wyszedł właśnie wysoki siwowłosy mężczyzna. Omiótłszy wzrokiem przyszpitalny ogród, ruszył prosto w ich stronę.

– Kurwa – westchnął Manzanero. – To nowy dyrektor szpitala, Andrés Ciervo; martwi się o wizerunek Świętej Klotyldy, męczy mnie od ponad godziny.

– Pędzi tutaj jak strzała, wygląda na zmotywowanego – zażartowała szeptem porucznik, spoglądając na sadzącego długie kroki mężczyznę.

– Inspektorze – odezwał się Andrés Ciervo, gdy tylko znalazł się przy policjancie i gwardzistce – kręci się tu coraz więcej ludzi, a jak już mówiłem, chcielibyśmy załatwić tę sprawę dyskretnie, rozumie pan? To szpital geriatryczny cieszący się dużym uznaniem, rozumie pan? Mamy tu przewlekle chorych pacjentów, którzy potrzebują spokoju i ciągłej opieki, przede wszystkim spokoju, rozumie pan? Dlatego bardzo państwa proszę o dyskrecję, niech nic nie wycieknie do prasy, bo rodziny pozostałych pacjentów pomyślą sobie nie wiadomo co, że nie dbamy tu o bezpieczeństwo, nie pilnujemy, kto wchodzi i kto wychodzi, nie wiem, czy pan mnie rozumie – zapytał w oczekiwaniu na wizualne i werbalne potwierdzenie, że jego prośba zostanie spełniona. Jednocześnie z wrogością przyglądał się Valentinie, jakby się zastanawiał, co ona tu robi. Jeszcze jedna policjantka w jego szpitalu?

– Rozumiem pana – oparł Manzanero neutralnym, profesjonalnym tonem. – Będziemy dyskretni i ostrożni, ale nie mamy władzy nad prasą i to nie ja wydaję komunikaty. Jeśli pan pozwoli, musimy wracać do pracy.

Mężczyzna nerwowo zamachał rękami.

– Ofiara, to znaczy pacjent, ma parkinsona, to choroba neurodegeneracyjna, w jego przypadku w zaawansowanym stadium. Nie powinni państwo zakłócać jego spokoju, o ile nie będzie to absolutnie

konieczne, dla dobra jego i jego rodziny... Jak pan się pewnie domyśla, jego córka bardzo się martwi. Nie wiem, czy mnie pan rozumie.

– Rozumiem pana, ale powtarzam: jeżeli pozwoli nam pan pracować i zapewni rozsądną swobodę działania, szybciej skończymy i wszystko wróci do normy – odpowiedział Manzanero, odwracając się, jakby zamierzał kontynuować przerwana rozmowę z porucznik Redondo.

Andrés Ciervo zrozumiał, że niczego więcej nie wskóra, toteż mrużąc pod nosem, oddalił się w stronę szpitala.

Valentina westchnęła.

– Przed tobą ciężki dzień. Streść mi, co macie, i znikam, dobra?

– Dobra. A zatem: od tego starca ze szpitala niewiele da się wyciągnąć. Sama słyszałaś, biedak ma zaawansowanego parkinsona, mieszka obecne wydarzenia z tymi sprzed sześćdziesięciu lat. Nazywa się Juan Ramón Ballesta. Osiemdziesiąt lat, ojciec, dziadek, były pracownik Solvaya... Jak prawie każdy w tych okolicach. Mieszka w Torrelavedze, jest wdowcem. Córka, która się nim opiekuje, nie rozumie nic z tego, co wygaduje jej ojciec, przynajmniej tak twierdzi. Wierzę jej, nie sądzę, żeby kłamała. Ballesta co jakiś czas kładzie się do szpitala na leczenie w związku ze swoją chorobą. Twierdzi, że wczoraj późnym wieczorem, około dziewiątej, kiedy skończyły się odwiedziny i jego córka już wyszła, ktoś próbował go udusić. Akurat tego sobie nie wymyślił, bo ma na szyi ślady. Napastnika wypłoszyła pielęgniarka, która weszła do sali, żeby podać leki pacjentowi w niemal wegetatywnym stanie z sąsiedniego łóżka. Intruz popchnął pielęgniarkę i uciekł. Kobieta zapewnia, że nie widziała jego twarzy.

– Nie ma innych świadków?

– Nie. Na razie nie mamy nikogo, kto widziałby albo słyszał cokolwiek dziwnego, nie licząc krzyków popchniętej pielęgniarki.

– A monitoring? – zapytała Valentina, wskazując wzrokiem kamery nad głównym wejściem szpitala, po bokach bramy obok skrzydlatych lwów oraz na parkingu.

– Niestety. Na zewnątrz i w środku budynku jest łącznie siedem kamer, wszystkie działają, ale służą do sprawdzania, kto wchodzi i wychodzi, nie rejestrują obrazu.

- Nie nagrywają? – zapytała rozczarowana Valentina.
- Nie. Ale odstraszą łośników. Recepcja monitoruje parking i bramę wjazdową.
- Super. Świetnie – stwierdziła z przekąsem porucznik. – A co powiedział Ballesta? Skąd w ogóle wie o istnieniu Olivera Gordona?
- Po kolei. Z jego bełkotu udało nam się wywnioskować jedynie tyle, że napastnikiem był młody mężczyzna, który jego zdaniem pochodzi z lisiej rodziny albo jakiejś innej, nad którą lisia rodzina ma kontrolę.
- Lisia?
- No właśnie. Twierdzi też, że Oliver Gordon jest w niebezpieczeństwie, że dopadną go, jeżeli z wnętrzości anioła z Villa Marina wyjdzie prawda, światło.
- Światło bijące z wnętrzości anioła? – westchnęła Valentina, zastanawiając się, czy powinna potraktować poważnie słowa cierpiącego na demencję starca, bo mogły skierować ją na niewłaściwy trop.
- Otóż to. Tyle udało nam się wyłuskać z chaotycznych informacji, których nam udzielił, mieszając przeszłość z teraźniejszością i wzywając matkę, która nie żyje od jakichś dwudziestu pięciu lat.
- O kurna.
- No. Okazuje się, że córka codziennie przynosi mu prasę, żeby go czymś zająć. Podobno odkąd przeczytał o zwłokach z Villa Marina i o śmierci Pedra Salasa, zaczął bredzić coś o worku, o tajemnicy, że pomagał tym z gór, że potrafi dotrzymać słowa, że o niczym nie powie i zabierze sekret do grobu.
- Worek? Ci z gór?
- Tak, sądzimy, że chodzi mu o republikańskich partyzantów, którzy po wojnie domowej ukrywali się w górach Kantabrii. Córka potwierdziła, że z tego, co jej wiadomo, ojca łączyło coś z ruchem oporu i że zawsze był czerwiejszy od wiśni.
- Valentina nie mogła uwierzyć, że to się naprawdę dzieje: mezoamerykańskie bóstwo, noworodek zamurowany w ścianie letniej rezydencji, starzec zamordowany na falochronie strzałem w brzuch, drugi otruty, a teraz jeszcze próba zabójstwa szaleńca, który bredzi o lisie, worku, republikańskich zbiegłych w góry przed ponad

siedemdziesięciu laty i niebezpieczeństwie grożącym Oliverowi Gordonowi.

– Przyznam szczerze, Manzanero, że jeżeli tak dalej pójdzie, będziemy musieli wezwać Centralną Jednostkę Operacyjną, a nawet samego Sherlocka Holmesa. Sprawa coraz bardziej się komplikuje.

– Centralną Jednostkę Operacyjną? Niewykluczone, ale przecież dopiero zaczęliście. Daj sobie czas, chyba nawet nie macie jeszcze wyników z laboratorium.

– Nie mamy, tak naprawdę to nie mamy praktycznie niczego. Robimy, co możemy. Pan Ballesta powiedział coś jeszcze?

– Nie, tylko to, co mówiłem: że napastnikiem był młody mężczyzna, że to ktoś z lisiej rodziny albo podlegającego mu rodu. I że Oliver Gordon powinien mieć się na baczności. Podejrzewam, że wszystko zależy od tego, czego dowiedzie się o noworodku.

– No tak. A może wiesz coś o partyzantach? Kojarzysz coś, co mogłoby nam pomóc?

Manzanero teatralnie uniósł brwi, jakby w skupieniu próbował przypomnieć sobie fakty, o których uczył się dawno temu.

– Wiem to, co wszyscy... Nie słyszałaś o Juaninie i Bedoi?

– Nie. Przypominam ci, że nie jestem stąd.

– Prawda, *galleguiña* – odparł Manzanero, puszczając do niej oko. – To tutejsi bohaterowie, którzy jako ostatni przetrwali w górach. Ojciec opowiadał, że kiedy był mały, nie bawili się z kolegami w Indian i kowbojów, ale w Juanina i Bedoyę walczących z gwardzistami... Uchodzili za bohaterów ludowych, którzy ukryci w górach grali na nosie Franco i trójgraniastym.

– Trójgraniastym? – zapytała Valentina, marszcząc czoło. Czyżby Manzanero zapomniał, że chociaż zawsze chodzi w cywilu i nie nosi trójgraniastego kapelusza będącego elementem umundurowania, ona także jest gwardzistką?

Inspektor wybuchnął śmiechem.

– No co ty, nie obrażaj się, przecież to były zupełnie inne czasy. Wszystko się zmienia. Tych dwóch dopadli wreszcie jakoś pod koniec lat

pięćdziesiątych, w pięćdziesiątym siódmym, o ile się nie mylę, i to był koniec partyzantki.

– W pięćdziesiątym siódmym?! – wykrzyknęła ze zdumieniem Valentina, dokonując w myślach obliczeń. – Osiemnaście lat w górach? Jaja sobie robisz?

– Oczywiście, że nie. Franco też nie lubił, żeby robić sobie z niego jaja – odparł rozbawiony inspektor.

Valentina odwzajemniła jego uśmiech.

– Okej. Proszę, zadzwoń do mnie, jeżeli dowiesz się czegoś nowego. Teraz muszę jechać do Santillany del Mar.

– W porządku. Odezwę się. Dbaj o siebie, źle wyglądasz.

– Wielkie dzięki – odpowiedziała Valentina i puściła do inspektora oko, starając się ukryć, że jego uwaga sprawiła jej przykrość.

Manzanero wrócił do szpitala, Valentina tymczasem wsiadła do służbowej alfy romeo. Gdy włączyła silnik, automatycznie uruchomiło się radio, którego słuchała, kiedy podróżowała sama. Leciąco przygnębiające *Back to black* Amy Winehouse, pasujące do tego szarego, dżdżystego dnia.

Melodia niczym cień towarzyszyła myślom Valentiny.

Puzzle. Oto z czym miała do czynienia. Jej wydział śledczy musiał dopasować elementy układanki, ułożyć spójny, czytelny obrazek. Valentina wcisnęła mocniej pedał gazu. Im wcześniej dotrze na miejsce, tym szybciej zabiorą się do pracy. Zadała sobie pytanie, jak idzie pozostałym. Niektórym musiała przydzielić nowe zadania: Sabadelle miał jechać do Villa Marina, żeby przejrzeć strony internetowe i książki znalezione przez Olivera Gordona, a następnie udać się do Santillany del Mar, Riveirowi zaś doszły utarczki z instytutem medycyny sądowej. Valentina od rana na próżno próbowała dodzwonić się do Clary Múgiki. Wiedziała, że poprzedniego dnia patolożka późno wyszła z pracy, więc na pewno była wykończona. Ale to dziwne, że jeszcze do niej nie oddzwoniła. Wisiała inspektorowi Manzanero dużą przysługę; mimo interwencji sędziego Talavery mogły minąć nawet dwa tygodnie, zanim sprawa starca ze szpitala Świętej Klotyldy zostanie przydzielona Gwardii Cywilnej. Opieszala, nieprzejednana, absurdałna biurokracja.

Pomimo wszystkich trudności sprawę wreszcie rozjaśnił promyk światła – Gordon wytropił podobiznę Tlaloca w Kantabrii. Kto by pomyślał, mezoamerykański symbol na głównej ulicy Santillany del Mar, gdzie mógł go zobaczyć każdy. Niesamowite, że Oliver w ciągu kilku godzin odkrył trop, na który nie wpadli ani oni, ani klaryski, ani specjaliści z muzeum i z uniwersytetu. Zanim Valentina pojechała do szpitala, razem z podporucznikiem sprawdzili w książce telefonicznej, że w Santillanie del Mar mieszkają aż trzy osoby o nazwisku Chacón, ale numer jednej z nich był nieaktywny, a dwie pozostałe nie odbierały. Teraz jechała do miasteczka, żeby na własne oczy obejrzyć fasadę z przeklętym Tlalokiem; przynajmniej tyle mogła zrobić. Pomyślała, że nawet jeśli nie zostanie właścicieli domu, to na pewno cennym źródłem informacji będą sąsiedzi.

Nie mogła uwierzyć, że śledztwo posunęło się naprzód dzięki Gordonowi. Ale była z natury nieufna i wiedziała o psychopatach na tyle dużo, żeby podejrzewać każdego, nawet z wiarygodnym alibi, także czarującego i przystojnego Olivera. Znalezienie zwłok w Villa Marina rozpętało burzę z piorunami. Czego chciał morderca? Ukryć rodzinny sekret? Zataić dawną zbrodnię? Pragnął pieniędzy? Chronił kogoś? Przed czym? Skupiona na dopasowywaniu elementów układanki nie zauważyła, że zaczęło mżyć. Zbierało się na burzę. Odruchowo uruchomiła wycieraczki i jechała dalej, roztrzásając w myślach różne hipotezy, podejrzenia i wątpliwości. Czy to przypadek, że Oliver przyleciał do Hiszpanii akurat tego ranka, kiedy w Villa Marina znaleziono zwłoki? Zwłaszcza że według majstra spodziewali się go dopiero za dwa tygodnie. Dlaczego przyspieszył przyjazd? Co takiego wydarzyło się w jego życiu? Przed czym uciekał? Jej uprzejmość miała granice. Valentina powinna poddać go długiemu, wyczerpującemu przesłuchaniu, poruszając sprawy osobiste. Musiała jednak przyznać przed samą sobą, że bardzo chciała, by Oliver Gordon nie miał związku z tą układanką. Kiedy poprzedniego ranka wymienili spojrzenia na ganku dziwnego domu, dostrzegła w jego oczach prowokację, burzę i zacięłość, ale nie zło ani gniew. Może ją oszukał. Może nie. A niech to, przyciągał ją do niego jakiś potężny magnes. W drodze do Santillany del

Mar Valentina co najmniej dziesięć razy przeklęła się w duchu za to, że nie może się doczekać, kiedy znów zobaczy tajemniczego, czarującego Olivera Gordona.

Dryń. Dryń. Dryń.

W pokoju przylegającym do gabinetu sędziego Talavery zadźwięczał telefon. Chociaż jego sekretarka, Olga Santana, miała go z nikim nie łączyć, uległa naciskom osoby, która dzwoniła. Wydawało się, że ją zna. Ustawiła tryb oczekiwania i połączyła się z telefonem sędziego, nie zadając sobie trudu, żeby powiadomić go osobiście, chociaż do drzwi jego gabinetu miała niespełna dziesięć metrów.

– Jorge?

– Tak?

– Telefon do ciebie.

– Mówiłem przecież, żebyś mnie z nikim nie łączyła, chyba że to będzie coś bardzo pilnego.

– To chyba jest pilne.

Jorge Talavera westchnął.

– Jak bardzo pilne, Olgo? Mam kupę roboty. Kto dzwoni?

– Clara Múgica.

– Clara? – zdziwił się Talavera. Patolożka zawsze dzwoniła do niego na komórkę. – Połącz mnie.

Dwie sekundy później sędzia i lekarka mogli rozmawiać.

– Clara! Co się stało? Dlaczego nie zadzwoniłaś na komórkę?

– Nie... nie wiem. Chyba dlatego, że to nie do końca sprawa osobista.

– Cholera, nie strasz mnie – odpowiedział Talavera, słysząc zgaszony głos przyjaciółki. – Przecież zdarzało się, że informowałam mnie przez komórkę o kolorze wnętrza umarlaka. Co się dzieje?

– Dzieje się to, że muszę powiedzieć ci coś bardzo ważnego, coś, co dotyczy Villa Marina. Początkowo myślałam, że to bez znaczenia, tak naprawdę ta sprawa nie miała ze mną nic wspólnego, ale śledztwo się komplikuje i chyba nie powinnam uczestniczyć w nim jako patolog sądowy. Wcześniej czy później i tak by się to wydało, wolę oszczędzić ci przykrej niespodzianki. To po prostu niefortunny zbieg okoliczności.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – odparł zdumiony Talavera, który nigdy nie miał powodów, by się skarżyć na współpracę z patolożką. Pierwszy raz słyszał u niej taki ton głosu: przybity, posepny, bezosobowy. – Możesz być ze mną szczerą. W czym problem?

– Chodzi o to, że łączą mnie więzy... rodzinne z osobą, która była przesłuchiwana w tej sprawie.

– Co takiego? Z kim?

– Z panią Ongayo.

– Jak to z panią Ongayo? O jakich rodzinnych więzach mówisz?

Talavera usłyszał, jak Clara Múgica nabiera powietrza i cicho wzdycha, zanim odpowiedziała, niemal ze smutkiem:

– To moja matka.

Sędzia Jorge Talavera, który po tylu latach w zawodzie widział i słyszał już chyba wszystko i stoczył pomyślnie setki batalii, dał się owładnąć nieopisanemu zdumieniu. Po plecach spłynęła mu nagle strużka zimnego potu. Nie wiedział, że na zewnątrz – na ulicy, na morzu, w powietrzu – szaleje już burza.

DZIENNIK (10)

Czas przecieka przez palce, jak zawsze. W czerwcu 1947 roku Jana kończy dziewiętnaście lat. Nadal bawi się z Luisem w miłosne cierpienia, ale już od dawna zmierza ku przepaści. Obietnice nigdy się nie spełniają, romantyczne plany są przekładne na później, ona tymczasem próbuje rozwinąć skrzydła i wzbić się w górę, mimo wysokiej ceny, jaką płać za to buntownicy. Luis zaczął spotykać się z Sarą, czarnulką z Comillas, która pracuje jako krawcowa i patrzy na niego z bezgranicznym oddaniem.

Jana stopniowo zwiększa dystans między swoją przeszłością a przyszłością, którą sobie obiecuje. Od dwóch lat posługuje od czasu do czasu w rezydencji państwa Ongayów w Torrelavedze, gdzie pracuje Clara, która wprowadziła ją w tajniki zawodu. Clara ma ambitne plany wobec młodszej siostry. Ona sama nie zdołała wzbić się w górę, nie znalazła sobie nawet rokującego nadzieje hodowcy bydła, ale zamierza szybować wysoko za pośrednictwem Jany. Przecież kiedyś obiecała, że się nią zaopiekuje.

Clara nieraz gubi się we własnych myślach. Jej spojrzenie staje się wtedy surowe, twarde, zimne. Czuje, że nie miała szczęścia, że życie to pasmo niedoli, wojen i barbarzyństwa. Trudno się z nią nie zgodzić. Wojna domowa przeszła w wojnę światową, która skończyła się dopiero w maju 1945 roku, nadal trwa naznaczone nędzą powojnie. Wbrew zaciekłym protestom ojca jej brat David poszedł w góry walczyć w imię republikańskich ideałów, które stopniowo rozmywają się w rzece zapomnienia. Jana musi się wydostać z tego mroku. Clara od zawsze wbija jej to do głowy. Obie wiedzą, że istnieje inny świat, prawdziwy, osiągalny. Świat mężczyzn w garniturach i wyglansowanych mokasynach, świat eterycznych kobiet sprowadzających suknie z Madrytu i buty z Barcelony. Świat, w którym niczego nie brakuje.

Clara załatwiła Janie pracę służącej w Casa Azul, pensjonacie w Ubiarco, kilka kilometrów od Suances. Hotelik należy do Chaconów, wpływowej rodziny z Santillany del Mar, która ma okazałą rezydencję

przy jednym z głównych placów miasteczka. Don Antonio Chacón wyemigrował do Ameryki i zbił tam fortunę. To typowy nuworysz, który po triumfalnym powrocie do Hiszpanii uważa się za szlachcica, chociaż nie odziedziczył swojego majątku: zbił go na handlu tytoniem, przyprawami i kawą oraz na budownictwie. Chaconowie są właścicielami kilku hacjend w Ameryce Środkowej, a także wielkiego domu z kamienia w Santillanie.

Starszy syn Chaconów pracuje w Banku Hiszpanii, a Dolores – najmłodsza z rodzeństwa – niedawno wyszła za mąż za kawalera z burżuazyjnej śmietanki Santanderu. Inaczej ma się sprawa ze środkowym dzieckiem, dwudziestosiedmioletnim synem. To nieodpowiedzialny hulaka.

Żeby zająć czymś tego niepoprawnego potomka, dwa lata wcześniej Chaconowie kupili hotelik przy plaży Santa Justa w Ubiarco. Była to rentowna inwestycja ze względu na modę na kąpiele w morzu, których właściwości zdrowotne od kilku lat przyciągają turystów do Santanderu. Wyremontowali go, a ponieważ pani Chacón zarządziła, żeby pomalować okiennice i drzwi na kolor morza, nazwali hotelik Casa Azul, niebieskim domem.

Hulaka ma na imię Ignacio. Nie jest głupi, to po prostu beztroski obibok, który zrobił już kiedyś dziecko służącej (problem rozwiązał dyskretnie rodzinny lekarz) i przepuszcza pieniądze na wino, dziwki i hazard – często można go spotkać w Gran Casino Sardinero w Santanderze.

Antonio Chacón wielokrotnie przywoływał syna do porządku i groził mu wydziedziczeniem. Po konsultacji z żoną postanowił, że najlepiej będzie znaleźć mu jakieś zajęcie, choćby tylko na lato. Miał nadzieję, że odpowiedzialne stanowisko nauczy szacunku do pieniędzy i własnego nazwiska tego utrapieńca, którego nie interesuje nic poza próżniaczym życiem. Potem go dobrze ożenią. Są w końcu bogaci, nie zabraknie kandydatek z wysokich sfer chętnych do poślubienia panicza.

Ignacio traktował przymusowe pobyty w Casa Azul i konieczność zarządzania hotelem w czasie lata jako niezasłużoną karę, którą musiał odbyć, żeby przez resztę roku móc żyć z renty, z nazwiska i ze swojego

farta w grze. Pomagały mu w tym czarny humor i potajemne wypadki do Santanderu.

Dzięki złośliwym językom, które znajdują się w każdym miasteczku świata, Jana wiedziała, że don Ignacio jest bogaty i lubi się bawić. I że jest kawalerem, o czym wielokrotnie napomykała Clara. Prawdopodobnie ożeni się pod przymusem z tą, której zrobi dziecko, przecież to dżentelmen. Tak było z kuzynką Tensią. Kto powiedział, że w małżeństwie z rozsądku nie może z czasem pojawić się miłość? Historia stara jak świat.

Ale nie zbaczajmy z tematu. Jak wiesz, nie mamy wiele czasu. Powrót do przeszłości wiąże się z dużym wysiłkiem, a niekiedy sprawia ból. Mamy czerwiec 1947 roku. Z nieba leje się żar – zimne północne regiony także potrafią rozpaść ciała swoich mieszkańców.

Jana idzie pieszo do Casa Azul, targana sprzecznymi uczuciami. Oczywiście, że kocha Luisa, całym sercem. Ale to nie wystarczy. Czy jej matce wystarczyła miłość? Do czego? Do tego, żeby mieszkać w wałęsającej się chacie? Żyć w nędzy, pracować od świtu do zmierzchu, a mimo to cierpieć głód? Mieć jedną pocerowaną sukienkę, w której od czasu do czasu chodziła na potańcówki, gdzie spotykała innych biedaków, wsioków bez przyszłości takich jak ona? Żeby w końcu rozprysnąć się na tysiąc kawałków w lisiej jamie? Luis nie jest hodowcą bydła, nie ma nawet własnej łodzi. Nie może jej niczego zaoferować. Niczego. Pocałunki, uściski i czułe słowa z czasem się zużyją, tak jak zużywa się miotła, która ciągle zamiata tę samą podłogę. Czasami wręcz nim gardziła, bo tak naprawdę ją oszukał: wcale jej nie kocha. Gdyby ją kochał, wzbiliby się wysoko w górę, stał kimś, dla niej; zaoferowałby jej coś więcej, odpoczynek, wytchnienie od nędzy, a nie puste, ciche obietnice osłodzone wizją potomstwa, które także będzie pozbawione przyszłości i rzuci na nią jeszcze więcej pracy, jeszcze więcej obowiązków, jeszcze więcej dni bez czasu na sen.

Błagał ją na kolanach, jego łzy zmoczyły jej dłonie. Prosił, żeby go przytuliła, przysięgał, że będzie się nią opiekował. Jego błyszczące niebieskie oczy, w których malowała się desperacka miłość, na kilka

sekund ją zahipnotyzowały i omal nie zmiotły wszystkich pragnień poza jednym – żeby z nim zostać. Omal.

– Jano, to, co nas łączy, jest takie piękne. Takie trudne do osiągnięcia. Nie widzisz tego? Naprawdę chcesz to stracić? Chcesz mnie zostawić przez to głupie marzenie z dzieciństwa, tak? O to ci chodzi? – Luis podniósł głos, trzyma Janę za ramiona, prawie nią potrząsa, żeby przemówić jej do rozsądku. – Nie rozumiesz, że nigdy nie staniemy się panami, niezależnie od tego, jak ciężko będziemy harować? Należymy do innej klasy. Nie kochasz mnie już? Nie żal ci stąd odchodzić, porzucić mnie i swoją rodzinę? Co cię czeka w Ubiarco? Lepiej jest być panią domu niż służącą. Zostań ze mną, pobierzmy się... zostań ze mną. Powiedz, nie szkoda ci się ze mną rozstawać? – błaga zdesperowany, szukając słów, które jednak nie padają z jego ust, mocnych argumentów, które nie materializują się w postaci przekonujących zdań.

Ale słowa Luisa to już przeszłość.

Schodząc krętą drogą, Jana odsuwa od siebie wspomnienia i stanowczo kręci głową.

– Z żalu nie da się wyżyć – mówi sama do siebie, tak jak tamtego dnia powiedziała jemu.

Rozmawia z własnymi myślami, które podrażnione drapią jej sumienie. Idzie przed siebie szybkim krokiem, nerwowo, z determinacją, jakby się gdzieś spieszyła. Nie zwraca uwagi na rozpalone słońce, które zalewa żarem ją i rozległe łąki.

Idzie skrajem drogi, między udeptaną ziemią i trawą, licząc na to, że dzięki temu wznieci mniej pyłu. Zastanawia się, dlaczego nie wyasfaltowano odcinka łączącego popularny pensjonat z Ubiarco. Po drodze praktycznie nie ma drzew, nie licząc kilku wierzb i skupisk figowców. Przed Janą roztacza się wspaniały widok – szerokie, zielone, zalane słońcem łąki urywające się na horyzoncie wyznaczonym przez ciemnoniebieskie morze. Dziwne, że jej oczom nie ukazała się jeszcze Casa Azul. Prawdopodobnie stoi za ostatnim zakrętem, na lekkim nieregularnym wzniesieniu przypominającym koc przykrywający rozrzucone bezładnie różnej wielkości poduszki.

Rzeczywiście, za jednym z ostatnich zakrętów schodzącej w dół drogi Jana dostrzega wreszcie Casa Azul. Nie jest to tradycyjne domiszcze z kamienia, ale nowoczesny budynek wzniesiony przed pięcioma, góra dziesięcioma laty, pobielony wapnem, z drewnianymi niebieskimi okiennicami, teraz otwartymi na oścież. Unieruchamiające je żelazne zaczepy w kształcie motyli także są pomalowane na niebiesko. Hotel wygląda jak połączenie francuskiego wiejskiego domku i walijskiej kolonialnej rezydencji.

Kiedy Jana podchodzi bliżej, dociera do niej łagodny szum pobliskiego źródelka czy strumyka. Jej nowy „dom” jest znacznie większy, niż wydawał się z daleka. Stoi po prawej stronie drogi, na końcu pięćdziesięciometrowej alejki, na tyle szerokiej, żeby mógł nią przejechać samochód. Od tej strony hotelik wygląda na jednopiętrowy, z ośmioma oknami na piętrze i sześcioma na parterze; z lewej strony fasady znajdują się ogromne drewniane drzwi pomalowane na niebiesko. Trzeba wejść na teren posesji, żeby przekonać się o rzeczywistych rozmiarach budynku schodzącego w stronę morza. Tak naprawdę ma aż trzy piętra, a na nich co najmniej szesnaście pokoi z widokiem na morze. Na samym dole mieści się kuchnia i inne pomieszczenia służbowe, do których prowadzą wąskie boczne drzwiczki.

W pobliżu nie ma innych zabudowań, poza trzema domkami rozrzuconymi po lewej stronie drogi – prostymi, skromnymi, z odchodzącymi płatami wapna, najprawdopodobniej zamieszkanymi przez miejscowych rybaków. Jakies dwieście metrów za Casa Azul, przy krawędzi schodzącej do morza przepaści, linię horyzontu przerywają ruiny zbudowanej na planie kwadratu wieży z kamienia, z której ostała się już tylko jedna ściana.

Kiedy Jana dociera do skręcającej w stronę hotelu alejki, na moment przystaje. Wreszcie uświadamia sobie, że panuje duszny upał, że jest złana potem i że przedstawia sobą oplakany widok. Pochyliła się, by otrzepać spódnicę z pyłu, ociera twarz chusteczką i poprawia prostą fryzurę.

Gdy już doprowadza się do ładu, mimowolnie przeskakuje wzrokiem z Casa Azul na niesamowity krajobraz roztaczający się po lewej stronie

alejki – łąkę kończącą się pionowym klifem. Zielona pachnąca trawa urywa się nagle jak odcięta siekierą, niczym niktąca w morzu rzeka; ustępuje miejsca trzydziestometrowej przepaści o nieregularnej skalnej ścianie, która ciągnie się w stronę pensjonatu. Tutaj jednak zbocze jest mniej strome, schodzi ku małej plaży, długiej na jakieś trzysta metrów, wysypanej drobnym piaskiem i pokrytej masą muszelek. Jana domyśla się, że to plaża Santa Justa, dla której do Casa Azul przyjeżdżają latem goście.

– Ładnie tu, prawda? – Jana podskakuje, wystraszona kobiecym głosem dobiegającym z prowadzącej do hotelu alejki. – Ależ się zamyśliłaś, moje dziecko, czekam już dłuższą chwilę, aż się ockniesz – dodaje przyjaznym tonem zwalista, krzepka pięćdziesięciolatka o zmęczonych rysach. Jest ubrana na czarno, w spódnicę do kolan i bluzkę z podkasanymi rękawami. W jej otoczonych drobnymi zmarszczkami oczach pojawia się uśmiech.

– Pani wybaczy, sama nie wiem, o czym myślałam – odpowiada spłoszona Jana. Mruga powiekami, wracając do rzeczywistości: cielesnej, namacalnej, niepokojącej.

– A o czym tu myśleć w taki upał, moje dziecko! Powinnam była kogoś posłać, żeby odebrał cię z Ubiarco, ale na początku sezonu zawsze jest kupa roboty.

Kobieta podchodzi do Jany, bierze ją pod rękę i prowadzi alejką wysadzaną różnokolorowymi hortensjami, które ożywiają zielono-niebieski pejzaż.

– Jana, prawda? Przysyła cię moja kuzynka Lourdes, która pracowała z twoją siostrą... Jak jej na imię? Clara? – Jana potakuje i chce odpowiedzieć, ale kobieta nie dopuszcza jej do głosu. – Ja nazywam się Elvira, jestem tu gospodynią. Na służbie są jeszcze trzy osoby, ale to ja wszystkim zarządzam, tak? – Kobieta unosi brwi i czeka, aż Jana potwierdzi, że zrozumiała.

– Tak, proszę pani.

– Żadna ze mnie pani, mnie nie musisz tytułować, mów mi po prostu Elvira, tak?

Jana ogranicza się do skinienia głową, gotowa chłonąć informację niczym sucha gąbka, którą zaraz zanurzą w strumieniu.

– Mój Boże, ale z ciebie drobina! – stwierdza doña Elvira, taksując ją wzrokiem. – Mam nadzieję, że nie boisz się ciężkiej pracy, bo jej ci tu nie zabraknie. Dzisiaj przyjeżdża trójka gości, a mamy już osiem zajętych pokoi, tak? W sumie jest ich szesnaście, tak? Później ci wszystko pokażę, teraz mam mnóstwo roboty, zostawisz swoje rzeczy i chwilę odpoczniesz, a potem będziesz musiała mi pomóc.

– Dobrze, doño Elviro. Nie muszę odpoczywać, a mam ze sobą tylko to. – Jana pokazuje szmacianą torbę z dwoma zestawami codziennych ubrań, niedzielną sukienką, wełnianym swetrem i kilkoma zmianami bielizny.

– Lekka ta twoja wyprawka – odpowiada ze smutnym uśmiechem doña Elvira. – Wchodź, moje dziecko, w środku jest chłodniej, zaraz się przekonasz.

Gospodyni popycha jedno ze skrzydeł wielkich niebieskich drzwi, otwierając przed Janą świat prostych luksusów. W zalęknionym, onieśmiałym spojrzeniu dziewczyny maluje się podziw typowy dla kogoś, kto zawsze żył w nędzy.

Przedpokój jest wielkości jej domu w Hinojedo. Na wprost drzwi wejściowych, jakieś sześć metrów dalej, znajdują się szerokie drewniane schody z poręczami rzeźbionymi w liście winorośli. Za nimi znajdują się drzwi do biblioteki i do jedynej sypialni na parterze, z oknami wychodzącymi na morze. Z oczywistych powodów – etykiety, prestiżu i niezależności – zajmuje ją panicz.

Już sam przedpokój – który doña Elvira nazywa holem, bo tak mówi o nim don Ignacio – przenosi Janę do świata elit. Wzdłuż ściany na lewo od wejścia ciągnie się ława ze szlachetnego drewna przeznaczona dla gości, którzy chcą tu odpocząć lub poczekać – długa, z oparciem, wyłożona czerwonymi kaszmirowymi poduszkami godnymi wielkopańskich czterech liter. Obok imponujących schodów stoi biurczko z trzema szufladami i barokowe krzesło obite czerwonym pluszem zwrócone w stronę drzwi. Tutaj przyjmowani są goście. Strefy

poczekalni z ławą i małej recepcji przy schodach wyznaczają dwa dywany w odcieniach piasku, zieleni i brązu.

Kiedy Jana spogląda na prawo, trudno jej powstrzymać okrzyk zachwytu. Łukowate wejście prowadzi do jasnej jadalni z długim stołem na co najmniej dwanaście osób, ze srebrnymi świecznikami na obu końcach. Z prawej strony stoi imponujący kredens, przez przeszklone drzwiczki widać porcelanową zastawę i lśniące kieliszki. Po lewej, w głębi pomieszczenia, znajduje się drugie wyjście, łączące jadalnię z salonem pełnym sof, foteli i małych stolików. Cztery wielkie okna wychodzą na morze, tego dnia gładkie i błyszczące, na pozór spokojne, jakby nie miało ochoty buntować się przeciwko bezlitosnemu słońcu. Widoki można podziwiać z czteroosobowej niebieskiej kanapy z uszami. Na niskim stoliku leżą gazety i pełniący funkcję dekoracyjną egzemplarz *Don Kichota*.

Na prawo od wejścia do salonu znajduje się kredens w tym samym stylu co ten w jadalni, ale znacznie mniejszy, pełen starannie wyeksponowanych alkoholi w rozmaitych kolorach; przez szybkę widać też elegancki serwis do kawy. Za barkiem wisi zegar wysokości człowieka, który bije punktualnie co pół godziny.

– Chodź, dziecko. Najpierw przedstawię cię paniczowi – mówi doña Elvira. Wskazuje Janie, żeby zostawiła torbę na ławie w przedpokoju, po czym przekracza próg jadalni. – No, na co czekasz? Chodź – dodaje i nagle macha ręką.

– Już.

– Idziemy. Do niego zwracasz się na pan, tak?

– Tak, doño Elviro.

– No to chodź ze mną.

Doña Elvira przecina jadalnię i kieruje się do słonecznego salonu. Skręca w lewo, mija barek i wielką niebieską kanapę, po czym podchodzi do biblioteczki, która zajmuje prawie całą ścianę, nie licząc drzwi z drewnianym obramowaniem. Ogromny regał z ciemnego drewna o dziwo nie sprawia, że pokój wydaje się mroczny, wręcz przeciwnie, czyni go bardziej przytulnym. W tym książkowym zagłębieniu stoi okazałe barokowe biurko. Obite zieloną tapicerką krzesło nie jest puste – nad

stosem papierów pochyla się młody mężczyzna ubrany w elegancką koszulę, kamizelkę i lniane spodnie.

Doña Elvira chrząka, informując o swoim przybyciu. Chce przedstawić paniczowi nową służącą i mieć to jak najszybciej z głowy. Że też kuzynka musiała przysłać jej takie prowincjonalne chucherko. Jana to naiwna dziewczynka, którą trzeba będzie nauczyć nawet oddychania.

Biedna, prosta istota bez wyrazu.

Wjeżdżając do Santillany, można odnieść wrażenie, że opuszcza się świat. Wjazd zdaje się ostrzegać: „nie wjeżdżaj”.

Fragment artykułu „Czterdzieści mil przez Kantabrię” (1876 r.), Benito Pérez Galdós
(1843–1920)

Jacobo Riveiro siedział przy owalnym stole w jasno oświetlonej salce o ascetycznym, ale gustownym wystroju. Ponieważ zaproszono go tu pierwszy raz, uznał, że musi być ona zarezerwowana dla wybranych gości Kantabryjskiego Instytutu Medycyny Sądowej.

Po drugiej stronie stołu zajęli miejsca patolożka Almudena Cardona i doktor Gael Bárcena z Krajowego Instytutu Toksykologii. To z nimi musiał porozmawiać, jako że doktor Múgica jeszcze nie przyszła do pracy. Kiedy widzieli się poprzedniego dnia, nie wyglądała najlepiej. Może była zmęczona albo się przeziębila? Ale z tego, co wiedział, nigdy wcześniej nie brała wolnego z powodu choroby – zawsze była na posterunku. Nie uśmiechało mu się omawianie szczegółów śledztwa z Cardoną, chwilowo jednak nie miał wyjścia. Musieli się posuwać naprzód. Patolożka przedstawiła mu doktora Bárcenę, który pracował jako toksykolog w laboratorium kryminalistycznym, zanim przeniósł się do Krajowego Instytutu Toksykologii i zaczął jeździć z wykładami i szkoleniami po zakładach medycyny sądowej w całej Europie.

„Kurwa, jeżeli ten europejski guru od trucizn i substancji toksycznych nam nie pomoże, to koniec”, pomyślał Riveiro, kiedy znudzony czekał, aż Cardona i Bárcena skończą porządkować papiery i sprawdzać na laptopie wyniki, których nie potrafił zinterpretować.

– Za chwilę zaczynamy ważny wykład, więc masz tylko kilka minut, żeby wyjaśnić z doktorem Bárceną swoje wątpliwości dotyczące zatrucia Davida Viesgo – oznajmiła Cardona.

Riveiro miał ochotę uściślić, że nie chodzi o zwykłe zatrucie, ale o zabójstwo, jednak ze względu na ograniczony czas postanowił nie wdawać się w zbędne wyjaśnienia.

– Doktorze – zwrócił się do lekarza o jasnyniebieskich oczach i zaczesanych do tyłu bujnych siwych włosach, które nadawały

mu dobroduszny wygląd – jak rozumiem, pańskim zdaniem trucizną, która zabiła Davida Viesgo, był cis, mam rację?

– Zgadza się. Nie ma wątpliwości, że doszło do otrucia. Przebarwienia włosów i paznokci oraz sprężystość członków w ramach *rigor mortis* jednoznacznie wskazują na wykorzystanie trucizny. Mydriasis...

– Przepraszam, co takiego? – przerwał Riveiro, który zapisywał wszystko w swoim nieodłącznym notatniku.

– Rozszerzenie źrenic. Źrenice osobnika były rozszerzone, a usta częściowo posiniałe. Podręcznikowy przypadek.

– Rozumiem. A skąd pan wie, że chodzi o cis?

– Dzięki wieloletniemu doświadczeniu, sierżancie. Trucizny pochodzenia zwierzęcego działają szybciej i skuteczniej, trucizny roślinne są wolniejsze i trudno je wykryć. Powodują niemal bezbolesny zgon, poprzedzony stanem odurzenia narkotycznego. Jednak śmierć tego osobnika nie miała w sobie nic przyjemnego: na ubraniu widniały resztki wymiocin i ostrej biegunki, a podczas sekcji stwierdzono znaczny obrzęk nerek i wątroby. Zgon nastąpił wskutek zatrzymania pracy układu oddechowego i układu krążenia.

– I taka agresywna trucizna miałyby być pochodzenia roślinnego, a nie zwierzęcego?

– Tak. Niewiele trucizn roślinnych powoduje gwałtowną śmierć, ale takowe istnieją. Zatem jeżeli mamy pewność, że wykorzystano truciznę pochodzenia roślinnego, opcje się zawężają i możemy ustalić, o jaką toksynę chodzi. A żeby wiedzieć, że mamy do czynienia z trucizną roślinną, wystarczyło zbadać zawartość żołądka.

– Czy to znaczy, że przyszły już wyniki z laboratorium? – zdziwił się Riveiro.

– Ależ nie, oczywiście, że nie. Nie pracuję w tym zakładzie i nie ja wysłałem próbki do laboratorium, zgodziłem się na konsultacje w tej sprawie drogą wyjątku, na prośbę doktor Múgiki. Ale wcześniej wielokrotnie widywałem tego rodzaju płyn w żołądku: identyczny kolor, ten sam cierpki zapach, nie do pomylenia z żadnym innym. Panu Viesgo zaserwowano śmiercionośny napar.

– Napar? Jak to napar?! – wykrzyknął zdumiony Riveiro. – Ktoś podał mu cis zamiast popołudniowej herbatki?

– Jeżeli pan chce, można i tak to ująć. Niemniej jednak, jak już pewnie mówiła panu koleżanka... – Bárcena wskazał głową Almudenę Cardonę. – ...ostateczna diagnoza zależy od wyników badań biochemicznych i histologicznych, zwłaszcza wątroby. Ja tylko podzieliłem się z państwem wnioskami, których jestem pewny na jakieś dziewięćdziesiąt dziewięć procent.

– Całkiem spore prawdopodobieństwo – stwierdził Riveiro, unosząc brwi. Gorączkowo zapisywał wszystko w notatniku. – Pozwoli pan, że uporządkuję te informacje, żeby mieć klarowny obraz sytuacji, który przedstawię reszcie zespołu. A zatem... – przerwał, jakby się zastanawiał, od czego zacząć. – Jeżeli przyjmiemy, że trucizną rzeczywiście był cis, gdzie można zdobyć surowiec? Bo zakładam, że trzeba go z czymś wymieszać, żeby stał się trujący.

– Nie, cis jest trujący sam w sobie.

– Ale przecież... Na Boga, to drzewo rośnie w połowie kantabryjskich parków!

Doktor Bárcena skwitował zdumienie sierżanta wyrozumiałym uśmiechem, bez poczucia wyższości.

– Cis nie jest toksyczny jako drzewo, toksyczne są jego liście i nasiona zawierające silnie trujący alkaloid o nazwie taksyna, który poza wspomnianymi wcześniej objawami może spowodować również hipotensję i zatrzymanie oddechu.

– Aha. A jak dokładnie działa? To znaczy, nie trzeba być specjalistą, żeby przygotować truciznę? Parzy się napar z igieł i już?

– W zasadzie tak. Ale ten, kto przygotował truciznę dla denata, znał dobrze cis i jego właściwości. Wygląda na to, że napar sporządzono z suchych igieł, które mają największe stężenie taksyny.

– To by znaczyło, że morderca miał wszystko zawczasu przygotowane. Doktor Bárcena wzruszył ramionami.

– Kto wie. Pewnie tak.

– A po jakim czasie trucizna zaczyna działać? W przybliżeniu.

– Zgon następuje po jakichś trzydziestu minutach od momentu zażycia. Maksymalnie po sześćdziesięciu.

– Jest taka szybka?

– Taka szybka i taka skuteczna, tylko nielicznym udaje się przeżyć. Wywołuje ciężkie powikłania, które dotyczą wątrobę i nerki. Proszę pomyśleć: dwa gramy liści na kilogram masy ciała wystarczyłyby do zabicia konia. A przecież przeżuwacze są dość odporne...

– Czyli moglibyśmy przyjąć, że panu Wiesgo podano śmiertelny napar z igieł cisu, który doprowadził do zgonu najpóźniej sześćdziesiąt minut po zażyciu trucizny.

– Zgadza się. Taksyna najpierw przyspieszyła pracę serca, po czym stopniowo ją spowalniała, obniżając ciśnienie krwi, wywołała także bóle żołądka i jelit, biegunkę, spazmy, obrzęk nerek i wątroby, a ostatecznie doprowadziła do zgonu przez nagłe zatrzymanie krążenia.

– Straszna śmierć.

– Ale przynajmniej szybka, sierzancie. Zważywszy na podeszły wiek osobnika, zgon nastąpił raczej po trzydziestu niż sześćdziesięciu minutach.

– Hmm... – bąknął zamyślony Riveiro. – Czyli chociaż osoba, która przygotowała truciznę, miała pewną wiedzę w tej materii, tak naprawdę każdy mógł zebrać igły w parku i je zaparzyć. Nie musiał iść do żadnego sklepu zielarskiego, tak?

– Tak. Wystarczyło zgromadzić wystarczającą ilość liści cisu.

– A kto mógłby posiadać wiedzę o tym trującym drzewie? Jak pan myśli? Lekarz? Ekspert taki jak pan? Uzdrowiciel?

– Dobre pytanie. Rzecz jasna patolog specjalizujący się w toksykologii wiedziałby wszystko o cisie, chociaż obecnie jest on rzadko stosowany jako trucizna. Znacznie częściej mamy do czynienia z otruciem barbituranami, laudanum, insuliną, strychniną czy cyjankiem. Ale akurat w Kantabrii była to dość rozpowszechniona metoda, zwłaszcza na wsi, gdzie w razie konieczności podawano go na poronienie krowom i kłaczom. Kantabryjscy wojownicy nosili przy sobie truciznę z cisu na wypadek, gdyby wpadli w ręce Rzymian i musieli szybko popełnić samobójstwo.

– Co też pan mówi? – stwierdził Riveiro, który od rana bez przerwy się czemuś dziwił.

– Tak naprawdę cis powinien być dla pana świętym drzewem – dodał doktor Bárcena i wstał, dając do zrozumienia, że konsultacja dobiegła końca.

– Jak to?

– Nie pochodzi pan z Kantabrii?

– Owszem, urodziłem się w Polanco...

– Otóż cis, panie sierżancie, jest symbolem Kantabrii, świętym drzewem, ze względu na swoją długowieczność i legendy wiążące go z nieśmiertelnością. Może przeżyć w zdrowiu ponad tysiąc pięćset lat.

– Ale zawarta w nim taksyna powoduje niemal natychmiastową śmierć. Gael Bárcena odpowiedział uśmiechem na uwagę sierżanta.

– Za to paklitaksel występujący w korze pomaga w leczeniu nowotworów. Prawie wszystko ma swoją jasną stronę, sierżancie.

– Punkt dla pana. Kto by pomyślał: święte drzewo Kantabrii...

– Otóż to. Mam nadzieję, że panu pomogłem. Pozostałych informacji dotyczących wyników sekcji udzieli już panu moja koleżanka.

– Oczywiście. Bardzo dziękuję, doktorze. Widzę, że zna pan cis nie tylko od strony naukowej, ale i kulturowej, dlatego mam jeszcze jedno pytanie. Chodzi mi o stosowanie cisu w medycynie ludowej. Z informacji, które pan posiada, wynika, że wykorzystywano go tylko tutaj, w Kantabrii? Zlokalizowanie mordercy albo chociaż ustalenie miejsca, z którego pochodzi, pomogłoby nam w odkryciu jego tożsamości.

Doktor Bárcena przez moment się zastanawiał.

– Prace, które czytałem, mówiły, że cis był popularną trucizną na północy Hiszpanii, zwłaszcza w Kantabrii i Asturii, choć tam miał bardziej znaczenie symboliczne. Na przykład na Wszystkich Świętych przynoszono zmarłym gałązkę cisu, żeby pokierował ich w drodze do krainy cieni.

Riveiro miał wrażenie, że słucha zhispanizowanej wersji *Władcy pierścieni*. Kraina cieni? Drzewo nieśmiertelności? Dlaczego nie wiedział, że cis jest świętym drzewem Kantabrii? Zamierzał pożegnać się z doktorem, kiedy ten coś sobie przypomniał.

– Jeszcze jedno, sierzancie.

– Tak?

– Anglicy także czczą cis. To znaczy kiedyś czcili. W średniowieczu omal nie doprowadzili do wymarcia tego drzewa na terenie swojego kraju, bo używali go do robienia łuków. Dobrej jakości drewno owiane legendami o nieśmiertelności. To tylko taka ciekawostka, pewnie nie przyda się panu w śledztwie. W zasadzie prawie wszystkie prace o cisie, które czytałem, zostały napisane przez Brytyjczyków.

– No proszę. Bardzo panu dziękuję, to może być cenna informacja – odpowiedział Riveiro.

Natychmiast pomyślał o Oliverze Gordonie. Pochodził z Anglii, a zabójstwa zaczęły się po jego przyjeździe do Suances. Takie były fakty. Co prawda miał alibi na wtorek po południu, kiedy zamordowano doktora Viesgo: spotkał się ze swoim prawnikiem, a potem pojechał na komendę. Może nie działał sam? To wszystko były tylko domysły. Riveiro pożegnał się z toksykologiem. Okazało się, że Almudena Cardona też nie ma dla niego czasu. Tego ranka odbywał się kongres patologów, dzięki któremu doktor Bárcena przebywał akurat w Santanderze; miała napięty grafik i masę roboty, jako że część personelu powyjeżdżała na urlopy, a czołowa patolożka instytutu, Clara Múgica, nie zjawiała się tego dnia w pracy. Riveiro musiał poczekać do wieczora, ale nie miał gwarancji, że do tego czasu dostaną wyniki z laboratoriów, także tych prywatnych, do których w trybie pilnym wysłali część próbek. Cardona nie była w stanie udzielić mu więcej informacji dotyczących wyników sekcji Davida Viesgo, poza przybliżonym czasem zgonu – między dwudziestą trzydzieści a dwudziestą pierwszą we wtorek dziewiątego lipca.

Kiedy sierżant wyszedł z instytutu, na zewnątrz szalała już burza. Z nieba lała się woda, przy akompaniamencie rozlegających się coraz bliżej grzmotów. Pospieszenie schronił się w samochodzie, wyjął komórkę i wybrał numer. Musiał porozmawiać z porucznik Redondo.

Pięć kilometrów przed Santillaną del Mar Valentina Redondo zjechała na pobocze, żeby odebrać telefon od sierżanta Riveiro. Ulewny deszcz

ograniczał widoczność, przesycił powietrze wilgocią i wściekle siekał ziemię zimnymi łzami.

Valentina z uwagą wysłuchiwała sierżanta: zabójca doktora Viesgo znalazł się na roślinach i pradawnych truciznach. Jeżeli potwierdzi się, że lekarza otruto cisem, mogli wykreślić Olivera Gordona z listy podejrzanych. Między dziewiętnastą a dwudziestą pierwszą piętnaście był na komendzie – jeżeli działał sam, nie mógł otruć doktora, który zginął między dwudziestą trzydzieści a dwudziestą pierwszą, na skutek zażycia trucizny podanej mu najpóźniej godzinę wcześniej. Niemożliwe. To nie mógł być Oliver. Valentina poczuła ulgę. Zaraz jednak skarciła się w duchu: powinna zachować czujność. Gordon nie miał alibi na czas, kiedy zabito Pedra Salasa. W śledztwach, które prowadziła, nieraz dochodziło do niespodziewanych zwrotów – sympatyczny ojciec rodziny w wolnych chwilach mordował ufnych nastolatków, a wynajmowany na urodziny klaun dla „zabawy” – jak zeznał podczas przesłuchania – torturował na śmierć samotne staruszki, po czym gwałcił je i ograbiał ich mieszkania. Valentina przykazała sierżantowi, żeby poza zadaniami, które już mu zleciła, pojechał przesłuchać wdowę po lekarzu i wypytał ją o jego znajomość z Ongayową i ich wtorkowe spotkanie. Wiedziała, że podwładnemu nie umknie żaden szczegół, miała do niego pełne zaufanie. Przypomniała mu jeszcze, żeby zadzwonił do dzieci Pedra Salasa i dowiedział się, od kiedy stary rybak był dla nich taki hojny. Resztę jego życia mieli przeświecić inni funkcjonariusze. Sama planowała, że jeżeli zdąży, pojedzie jeszcze raz porozmawiać z panią Ongayo.

Pożegnała się z sierżantem, kiedy komórka zasygnalizowała, że ma oczekujące połączenie.

Dzwonił podporucznik Sabadelle. Poinformował, że właśnie dotarł do Santillany, razem z Oliverem Gordonem, który uparł się, żeby mu towarzyszyć; zagroził, że jeżeli go ze sobą nie zabierze, i tak przyjedzie obejrzeć dom Quevedów i będzie prowadził śledztwo na własną rękę. Valentina pomyślała, że to nawet lepiej. Jeżeli okaże się podejrzany, nie będą musieli wysyłać patrolu, żeby go pilnował. Przykazała podporucznikowi, żeby zaczekali na nią przy wjeździe

na starówkę, w informacji turystycznej, gdzie mogli schronić się przed deszczem.

Kiedy przekręcała kluczyk w stacyjce, ponownie rozległ się dzwonek telefonu. Nie do wiary. Kto tym razem? Sędzia Jorge Talavera. Dziwne. Zawsze dzwonił na komendę. Że co? Clara Múgica jest córką Jany Ongayo? Przecież się przyjaźnią, jak to możliwe, że o niczym nie wiedziała...? No kurwa, jak to możliwe? W jej głowie zakotłowało się nagle od wspomnień – myśli, obrazów, urywków rozmów. No przecież! Múgica musiało być nazwiskiem drugiego męża Ongayowej... Nie padło to w ich rozmowie poprzedniego dnia. Zubizarreta, Torres i Camargo na pewno wcześniej czy później trafiliby na tę informację. Ongayowa powiedziała, że jej córka jest lekarką i pracuje w szpitalu w Santanderze... Nie skłamała. Clara była patolożką w Kantabryjskim Instytucie Medycyny Sądowej, który mieścił się w szpitalu Marquésa de Valdecilli. Odkąd poznały się pięć lat temu, tysiące razy rozmawiały przy kawie; Valentina kilkakrotnie zagadywała Clarę o jej rodzinę, ale koleżanka zdradziła jedynie, że ma dość chłodne relacje z matką, która nie mieszka w Santanderze. Może powinna była okazać większe zainteresowanie, Clara jednak niechętnie poruszała ten temat i za każdym razem kierowała rozmowę na sprawy zawodowe albo na podróże, jakie w nielicznych wolnych chwilach odbywali z Lucasem, też wiecznie zapracowanym. Valentina zrozumiała teraz, skąd u koleżanki tak solidne wykształcenie i znajomość języków: uczyła się w szkołach z internatem w Szwajcarii i w Anglii. Niewykluczone, że pracoholizm i długie wakacje były jej sposobem na znikanie, ucieczkę, niedostępność, pretekstem, żeby nie odwiedzać matki, której najwyraźniej nie znosiła. Mimo że Valentina była z wykształcenia psycholożką, wydało jej się to dość ryzykowną diagnozą. W pierwszej chwili nie wiedziała, co powiedzieć.

– Panie sędzio, ja... Co mamy zrobić w takiej sytuacji? Choć nie stwierdziliśmy popełnienia przestępstwa, mieliśmy zamiar, i nadal mamy, przeświecić córkę Ongayowej, czyli Clarę.

– W rzeczy samej. Powinniście normalnie prowadzić dalej śledztwo. Na razie Clara nie jest o nic podejrzana, chociaż zataiła, że zna Davida

Viesgo, kiedy ten trafił do sali sekcyjnej.

– Ona przeprowadziła sekcję?

– Na szczęście nie. Zleciła jej wykonanie kolegom, a kiedy okazało się, że gość został otruty, skonsultowała się z niejakim doktorem Bárceną z Krajowego Instytutu Toksykologii, który akurat przebywa w Santanderze. Potem poprosiła dyrektora, żeby odsunął ją od czynności związanych ze śledztwem, i zadzwoniła, żeby o wszystkim mnie poinformować.

– Czyli postąpiła zgodnie z protokołem – stwierdziła z ulgą Valentina.

– Na to wygląda. Zapewniła mnie, że nie znała Pedra Salasa i że kiedy pojechała do Villa Marina obejrzeć zwłoki noworodka, nie wiedziała, że dom należał do jej rodziny. Znała za to Davida Wiesgo, który dość często odwiedzał jej matkę, ale nie widziała go od kilku lat.

Valentina przez moment się wahała.

– W porządku, tyle że wcześniejsze autopsje... Nie wątpię, że wykonała je rzetelnie i że jej raportom nie można niczego zarzucić, ale może mimo wszystko należałoby sprawdzić wyniki – odważyła się zasugerować.

– Nie sądzę. Autopsje zawsze są nadzorowane, protokoły podpisuje dwoje patologów. Sekcje noworodka i Pedra Salasa przeprowadziły Múgica z Cardoną. Ale zgadzam się, że nie zaszkodzi porozmawiać z Cardoną i potwierdzić wyniki, chociaż dałbym sobie rękę uciąć za Clarę. W końcu dziś rano sama poprosiła dyrektora instytutu, żeby ją odsunął od śledztwa.

– Świadoma, że wkrótce odkryjemy prawdę – odparła odruchowo Valentina i od razu pożałowała tego komentarza.

Mówiła jak śledcza, nie jak koleżanka. Wiedziała, że sędzia przyjaźni się z Clarą, podczas gdy z nią utrzymywał wyłącznie służbowe relacje; nawet nie byli na ty. Chociaż uważała go za miłego, sympatycznego człowieka, zamieniła z nim zaledwie parę zdań na tematy niezwiązane z pracą.

– Na razie proszę normalnie prowadzić śledztwo – zdecydował Talavera. – Postaram się przyspieszyć formalności z operatorami i bankami, zarówno w sprawie Pedra Salasa, jak i lekarza. Jeśli chodzi o mężczyznę, którego próbowano zamordować wczoraj w szpitalu,

rozmawiałem już z sędzią, któremu przydzielono tę sprawę, żeby natychmiast po wydaniu orzeczenia przekazał mi jego treść. – Talavera przerwał na moment. – Clara Múgica ma nieposzlakowaną reputację – dodał.

– Panie sędzio, Clara jest też moją przyjaciółką. Ale mogła nam wcześniej powiedzieć o swoim związku z Ongayami. Znała niektóre szczegóły śledztwa, jeszcze zanim pojawiły się zwłoki Davida Viesgo. Będę musiała zapytać sierżanta Riveiro, jakie dokładnie informacje jej udostępnił.

Po drugiej stronie znów przez chwilę panowała cisza. Wreszcie sędzia westchnął, jakby nagle poczuł się zmęczony.

– Dopóki nie zostanie udowodnione, że jest inaczej, nie złamała zasad etyki lekarskiej ani nie skłamała. Jej powiązania rodzinne nie wypłynęły w toku prowadzonego przez panią śledztwa i nie zaszła konieczność formalnego wykluczenia jej ze sprawy w charakterze eksperta. W związku z powyższym nie zawiodła mojego zaufania. Powinna pani wiedzieć, że doradziłem jej, żeby wzięła kilka dni wolnego.

– Kilka dni wolnego?

– Tak, ale jest dostępna, gdyby chciała ją pani przesłuchać. Prosiła, żebym to pani przekazał.

To znaczyło, że Clara nie zamierzała do niej zadzwonić. Valentina ukryła przed sędzią, że ją to ubodło, choć tak naprawdę nie miała prawa mieć jej tego za złe: rano koleżanka musiała się już tłumaczyć przed swoim szefem i swoim kolegą sędzią, Valentina nie mogła od niej wymagać, żeby robiła to po raz trzeci w ciągu jednego dnia.

Valentina i sędzia praktycznie urwali rozmowę, targani niepokojem, rozterkami, nieufnością. Porucznik wreszcie uruchomiła silnik i ruszyła do Santillany del Mar.

Oliver przyglądał się zafascynowany zmierzającej w ich stronę Valentinie. Jej rozpuszczone włosy były mokre, chroniła się przed deszczem pod cienką kurtką, którą rozpostarła niczym daszek kilka centymetrów nad głową. Jak zwykle szła zdecydowanym krokiem, a na

jej twarzy malowała się determinacja, tym razem jednak były z niej też niepokój i zmęczenie.

– A oto i nasza dziewczynka z kataną – mruknął pod nosem Sabadelle.

– Słucham? – zapytał Oliver, przekonany, że źle usłyszał. Nadal nie rozumiał znaczenia niektórych hiszpańskich wyrażzeń i idiomów. Katana?

– Nic, nic. Takie tam gadanie. Idzie pani porucznik. Skoro już się pan ze mną zabrał...

– I tak bym tu przyjechał, z panem czy bez pana.

– Tak... Jak mówiłem, skoro już się pan ze mną zabrał, może nam pan towarzyszyć, ale uprzedzam, że to my będziemy udzielać wyjaśnień i zadawać pytania. Obyśmy tylko nie natknęli się na kolejnego trupa staruszka, bo tak to się zwykle kończy, kiedy jest pan z nami.

Oliver zamierzał odpowiedzieć, ale w tym momencie podeszła do nich porucznik Redondo. Elektryzująca wymiana spojrzeń wystarczyła, żeby odwrócić jego uwagę od podporucznika.

Ponieważ przemokli do suchej nitki, kupili w sklepie z pamiątkami dwa parasole i postanowili, że napiją się ciepłej kawy, zanim zagłębią się w tajemniczą, milczącą Santillanę del Mar. Ulewa przegnała z ulic turystów, którzy zmoknięci tłoczyli się w kawiarniach i sklepach ze starociami.

Weszli do lokalu o nazwie La Galerna, będącego połączeniem baru, restauracji i sklepiku. Na drzwiach wisiała tabliczka z napisem nawiązującym do zasady złotego środka: „Nie za dużo świeczek, żeby nie spaliły świętego, ani nie za mało, żeby mogły go oświetlić”. Valentina zastanawiała się, czy powinna podzielić się z Oliverem nowymi informacjami. Według staruszka, którego próbowano zamordować w szpitalu, groziło mu jakieś niebezpieczeństwo. Postanowiła go ostrzec, nie wdając się w szczegóły – jak ten, że domniemany morderca był mężczyzną; poradziła mu, by po powrocie do domu dobrze pozamykał drzwi i okna. Na wszelki wypadek. Aby uświadomić mu powagę sytuacji, wyjawiała, że doktor Viesgo został otruty, nie wspomniała jednak, jaką substancją ani w jakich godzinach, żeby Oliver nie wiedział, czy ma na ten czas alibi. Tak naprawdę w żadnym momencie nie był oficjalnie podejrzany, ale należało zachować ostrożność. Wolą, żeby nie czuł się

zbyt pewnie, żeby wiedział, że mogą w każdej chwili zakwestionować jego prawdomówność. Musiała wreszcie poddać go długiemu przesłuchaniu, wypytać o jego przeszłość i prawdziwy powód, dla którego postanowił przenieść się do Suances, gdzie nie ma ani rodziny, ani przyjaciół. I sprawdzić jego alibi na czas zabójstwa Pedra Salasa oraz próby zabójstwa Juana Ramóna Ballesty, choć Oliver musiałby pędzić jak rakietą, żeby dotrzeć do szpitala w Santanderze na dziewiątą po tym, jak w drodze powrotnej z Comillas wysadziła go w Suances około ósmej trzydzieści, ósmej czterdzieści pięć. Nie. Oliver Gordon był praktycznie wykluczony z grona podejrzanych.

Poprosiła go, żeby zaczekał przy stoliku przytulnego baru, tymczasem ona i Sabadelle poszli zamówić kawę. Musiała się podzielić z podporucznikiem nowymi informacjami, łącznie z tą, że Clara Múgica jest córką Ongayowej. Jak można się było spodziewać, Sabadelle nie mógł uwierzyć w taki obrót sprawy. Czy patolożka mogła mieć jakiś interes w tych zabójstwach?

Opróżnili duże filiżanki kawy z mlekiem i zjedli świeżutką, jeszcze ciepłą quesadę, ze zdumieniem słuchając o planach podporucznika, który w kolejnej sztuce teatralnej miał zagrać cesarza rzymskiego. Wreszcie postanowili wyjść na zewnątrz. Nie było zimno, deszcz zelżał, chociaż dalej siąpił. Jakby na przekór pogodzie z jednego z pobliskich barów dobiegała skoczna, wpadająca w ucho piosenka *No importa que llueva*, letni przebój hiszpańskiego zespołu Efecto Pasillo.

Nieważne, że pada,
kiedy jestem blisko ciebie.
Życie staje się dziecięcą zabawą,
kiedy ty jesteś przy mnie.

Sabadelle i Oliver szli pod jednym parasolem, Valentina miała cały dla siebie. Oliver zerkał na nią kątem oka. Była pociągająca nawet bez makijażu i z mokrymi, potarganymi włosami. Należała do kobiet, które uwodzą nie spojrzeniem – w jej przypadku dwukolorowym – a sposobem patrzenia. Spowici drobnym deszczem zagłębili się w starówkę, idąc

wybrukowaną kamieniami uliczką Carrera, niezbyt nadającą się nawet dla powozów konnych, nie mówiąc o samochodach.

Zabiorę cię tam, gdzie poruszy nami światło słońca,
gdzie czekają na spełnienie marzenia.
Nauczę cię pływać pośród miliona gwiazd,
jeżeli ze mną zostaniesz.

Podążając trasą zaznaczoną na planie, który trzymał w ręku Oliver, dotarli do uliczki Cantón. Nawet nie zwrócili uwagi na wznoszącą się po ich prawej stronie piętnastowieczną wieżę Torre de los Velarde, oczarowani budynkami, które przenosiły ich do innych czasów – zdobnymi w herby fasadami, wrotami z kołatkami w kształcie groźnych smoków, ścianami z ciosów z wkomponowanymi w nie elementami z drewna. Ciszę zakłócał jedynie odgłos ich kroków na mokrym bruku.

– To nie tutaj? – zapytał Sabadelle, spoglądając na fasadę budynku u wylotu uliczki Cantón, na której wyróżniał się olbrzymi herb trzymany przez dwóch kamiennych rycerzy.

– Nie – odpowiedział Oliver, spoglądając na plan. – To dom Villów, a ten herb nazywa się herbem dzielnych mężów. Widzicie napis? „Dobra śmierć to honor życia” – odczytał z trudem w deszczu. – Budynek, którego szukamy, jest dalej, naprzeciwko tamtej pralni czy wodopoju – wyjaśnił, wskazując głową kamienne koryto pod drewnianym daszkiem pokrytym dachówką.

– Już widzę – potwierdziła Valentina. – Idziemy.

Wkrótce znaleźli się przy wodopoju, który wraz ze wznoszącą się za nim kolegiatą Świętej Juliany tworzył iście pocztówkowy obrazek. Nazwa uliczki – Río – nawiązywała do przecinającego ją wartkiego strumienia deszczówki, który spływał na prawą stronę tunelem utworzonym przez ściany dwóch wysokich domów połączonych drewnianym daszkiem.

– To tutaj – powiedział Oliver.

– Tutaj? – zapytali jednocześnie Sabadelle i Redondo.

– Tak. W książce, którą mam w domu, jest napisane, że część domu należała do rodziny Cossiów, a część do Quevedów. Niech państwo

spojrzą. – Oliver wskazał dłonią imponujący budynek przedzielony tunelem odprowadzającym wodę. – Tlaloc powinien być od strony kolegiaty.

Rzeczywiście. Bożek patrzył przed siebie nieporuszony, obojętny na ich obecność. Tak jak na ilustracji z *Żywego tchnienia czasu*, olbrzymia głowa Tlaloca wieńczyła główne wejście, osłonięta długim balkonem, nad którym wisiał imponujący herb. Jak to możliwe, że ten dziwny symbol nie zwrócił niczyjej uwagi? Znajdował się tuż przy romańskiej kolegiacie Świętej Juliany, jednym z najczęściej odwiedzanych kościołów w Kantabrii, na pewno widniał na tysiącach zdjęć zrobionych przez turystów. Najwyraźniej jego obecność w Santillanie del Mar nikogo nie zdziwiła.

– Przesyt pięknem – stwierdził Oliver.

– Jak to? – zapytała Valentina, spoglądając na niego ze zdziwieniem, podobnie jak Sabadelle.

– Miasteczko ma tyle uroku, że można się nim przesycić. Nie sposób przyswoić sobie całego tego piękna. Może to nie jest do końca syndrom Stendhala, ale tłumaczy, dlaczego nikt nie zwrócił uwagi na Tlaloca. Każdy, kto pospaceruje dwadzieścia minut po tym miasteczku, będzie miał wypalonych na siatkówce tyle uliczek, zaułków, wieżyczek i herbów, że nie zainteresuje się kolejną płaskorzeźbą na fasadzie, a tym bardziej nie będzie próbował jej zrozumieć.

– Kurwa, tylko tego brakowało: znalazł się filozof obeznany w sztuce – powiedział Sabadelle na tyle cicho, że zabrzmiało to jak niezrozumiałe mruczenie pod nosem.

Valentina nie odpowiedziała Oliverowi; pokiwała głową, po czym przeszła pod kamienną podobizną Tlaloca. Wielkie drewniane drzwi były otwarte. W niegdyś szlacheckim domu teraz sprzedawano turystom sobaos, quesadas i inne wypieki. Szyld imitujący żelazną tablicę głosił: „Piekarnia Casa Requejo. Od 1950 r.”. Za prowizoryczną ladą w sieni stała młoda dziewczyna o sympatycznym uśmiechu. Za jej plecami wznosiły się duże kamienne schody, które rozwidlały się i ginęły w mroku. A to pech, ekspedientka nie wiedziała, kim byli poprzedni właściciele ani od kiedy piekarnia należała do jej pracodawców.

Chwileczkę... a może jednak im się poszczęści? Tak. Uśmiech losu. W sieni schroniła się przed deszczem doña Tulia. Miała już swoje lata i jak przystało na kumoszkę z małego miasteczka, znała nigdzie niespisane historie. Wyjaśniła, że Chaconowie sprzedali piekarnię obecnym właścicielom w 1950 roku. Pamiętała to dokładnie, bo w tym samym roku ją otworzyli. Postanowili sprzedać dom, kiedy doszło do tragedii. Moment: do tragedii? Jakiej tragedii?

Jak to jakiej tragedii? Przecież wszyscy wiedzą, głośno się o tym mówiło, nawet kilka lat później opisano w „El Caso” tę tajemniczą historię, której nigdy nie udało się wyjaśnić. Prawda, że od tamtej pory minęło ponad sześćdziesiąt lat, to normalne, że ludzie zaczęli zapominać. Zniknął członek rodziny Chaconów, przepadł jak kamień w wodę. Zupełnie jakby rozplynał się w powietrzu.

Zniknął członek rodziny?

– Nie był to przypadkiem noworodek? – zapytała Valentina, czując, że wali jej serce.

– Noworodek? – zdziwiła się doña Tulia. – Ależ skąd, niech Bóg broni! To był młodszy syn Chaconów, ale miał już ze trzydzieści lat... Nie wiem za wiele... Gdyby żyła moja matka, powiedziałaaby państwu więcej, biedaczka zmarła kilka lat temu. Słyszałam tylko, że to była wtedy głośna sprawa, krążyły najprzeróżniejsze plotki, o rzekomym udziale nacjonalistów, a nawet tych z gór. No ale to były inne czasy, mężczyźni byli prawdziwymi mężczyznami, nie rozmieniali się na drobne, że się tak wyrażę.

– Ci z gór... – szepnęła Valentina, przypomniawszy sobie o Balleście. Mówił o dochowaniu tajemnicy, zgodnie z obietnicą złożoną swoim towarzyszom republikanom, którzy poszli w góry.

Valentina – która do tej pory mogła uchodzić za zwykłą turystkę – przedstawiła się doñi Tulii jako porucznik Gwardii Cywilnej i poprosiła, żeby udzieliła im więcej informacji. Nieporuszona kobieta odparła niezmiennym tonem, że może im jedynie wskazać, gdzie obecnie mieszkają Chaconowie. Niedługo po zniknięciu syna przeprowadzili się do okazałego domu przy rynku, przy którym mieści się ratusz, bo matka popadła w depresję i widziała duchy w każdym kącie starej rezydencji.

Spadkobiercy korzystają z domu tylko latem, przez resztę roku mieszkają w Santanderze.

Valentina pożegnała się z doñą Tulią. Zanim wyszła na deszcz, odwróciła się do ekspedientki, żeby zadać pytanie, które wcześniej jej umknęło: czy wie, co oznacza symbol nad wejściem do piekarni?

– Symbol? Jaki symbol, ta potworna gęba? Nie umiem pani powiedzieć, nie jestem właścicielką, ja tylko tu pracuję. Myślałam, że to coś w rodzaju maszkarona. W miasteczku jest tyle dziwnych napisów i herbów... Trudno się w tym połapać.

Pożegnawszy się z dziewczyną uśmiechem, Valentina porównała dane z książki telefonicznej z adresem, który podała im doña Tulia. Zgadzał się jeden z numerów, pod które dzwonili rano i gdzie nikt nie odbierał. Obok mieszkali inni Chaconowie. Zbliżali się do prawdy. Czuła to. Schowali się przed deszczem pod daszkiem budynku naprzeciwko domu Quevedów.

– Ładny mi przesyt pięknem – zakpił otwarcie Sabadelle, spoglądając na Olivera. – Ta pani była przekonana, że Tlaloc to szkaradny maszkaron. I co pan powie?

– Powiem, że nic w tym dziwnego, skoro ani uniwersytet, ani muzeum, ani klaryski, ani przenikliwa Gwardia Cywilna nie mieli pojęcia, że w Kantabrii istnieje rzeźba Tlaloca, i dowiedzieliście się o tym dopiero ode mnie.

Sabadelle wytrzymał spojrzenie Olivera, zdziwiony, że ten zarzucił swoją brytyjską poprawność, zdradzając silny charakter.

Valentina Redondo natychmiast interweniowała:

– Wystarczy. Nie mamy czasu na głupstwa.

– Zacznijmy od tego, że nie powinno tu być tego fircyka – mruknął Sabadelle, nie spuszczając wzroku z Olivera. Była to oczywista prowokacja rzucona przełożonej.

– Oliverze, jeżeli nie odpowiada panu nasze towarzystwo, może pan w każdej chwili wrócić do Villa Marina. W zasadzie nie powinien pan brać czynnego udziału w śledztwie. Sabadelle, pozwól na moment – powiedziała stanowczo Valentina, odprowadzając podporucznika na bok. – Nie będę więcej tolerowała idiotyzmów, wyskoków i komentarzy nie na miejscu. Jeżeli nie chcesz pracować pod moimi

rozkazami, droga wolna, możesz poprosić o przeniesienie kapitana czy nawet samego pułkownika, ale póki jesteś w moim zespole, nie prowokuj mnie, nie drażnij się ze mną i nie kwestionuj moich decyzji.

Sabadelle zamierzał odpowiedzieć, ale Valentina przerwała mu ruchem dłoni i ciągnęła dalej:

– Jesteś aktorem, może uda ci wyjść z roli wkurwionego na świat malkontenta, bo chcę myśleć, że w rzeczywistości nim nie jesteś. I przypominam ci, że Oliver Gordon jest tu z twojej inicjatywy, sam go przywiozłeś, a przynajmniej pozwoliłeś, żeby z tobą przyjechał. Przypominam ci też, że gdyby nie on, nie posunęlibyśmy się nawet o krok w kwestii Tlaloca, więc na razie jego pomoc jest dla nas cenna. Nie będę mu przecież udzielać poufnych informacji ani żadnych innych, które mogłyby zaszkodzić śledztwu. A zatem przestań mnie wkurwiać, chyba że chcesz, żebym to ja porozmawiała z kapitanem.

Santiago Sabadelle nie odpowiedział. Wytrzymał spojrzenie porucznik. Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, po czym zawarli milczący rozejm, pokojowe porozumienie oparte na wzajemnym szacunku. Ponieważ pod daszkiem, który chronił ich przed deszczem, było mało miejsca, mimo starań Valentyny Oliver słyszał całą ich rozmowę. Podszedł do funkcjonariuszy.

– Pani porucznik – powiedział Sabadelle neutralnym tonem, spoglądając wyłącznie na przełożoną.

– Tak?

– Jedna rzecz nie daje mi spokoju od porannego telefonu pana Gordona.

Valentina zmarszczyła czoło, zaskoczona. Zawieszenie broni najwyraźniej działało – mimo problemów z zaakceptowaniem jej zwierzchnictwa i niechęci, która nadal malowała się w jego spojrzeniu, Sabadelle postanowił podzielić się czymś, co od jakiegoś czasu zaprzętało mu myśli.

– Mów.

– Klaryski. Siostra Mercedes jest autorytetem, jeśli chodzi o sztukę sakralną i sztukę Kantabrii. Chociaż są zakonem klauzurowym, sama powiedziała, że wychodzą z klasztoru. Na pewno przy różnych okazjach

bywają w kolegiacie Świętej Juliany... której schody zaczynają się tuż przy domu z Tlalokiem...

– Do czego zmierzasz? Dziwi cię, że przechodząc przez ulicę, nie zwróciła uwagi na tę płaskorzeźbę?

– Dziwi mnie, że ekspertka w dziedzinie sztuki oraz konserwacji rzeźb i obrazów, która od sześćdziesięciu lat mieszka w Santillanie del Mar i która nieraz pomagała przy organizowaniu historycznych i artystycznych wystaw o miasteczku, nie wie, że jest tu podobizna Tlaloca. Albo przynajmniej niezidentyfikowana postać o otwartych ustach, do których wchodzi dwa węże.

Valentina słuchała go w zamyśleniu.

– Masz rację, tym bardziej, że zna się na różnych kulturach i religiach. Myślisz, że nas okłamała?

– Jestem prawie pewny.

Valentina głęboko westchnęła. Powiązania. Niewidzialne kable łączące różne historie. Matka Olivera przez dwa lata była wychowywana przez klaryski, w tym przez siostrę Mercedes, która w tamtym czasie zaczęła nowicjat. Kiedy spojrzała na swoich towarzyszy, zrozumiała, że myślą o tym samym co ona.

– To będzie długi dzień – stwierdziła z uśmiechem.

Oliver i Sabadelle przytaknęli. Otuleni deszczem, bez słowa ruszyli w górę uliczki prowadzącej na rynek Santillany del Mar.

DZIENNIK (11)

Jana pracuje w Casa Azul od czterech miesięcy. Doskonale pamięta swój pierwszy dzień w pensjonacie. Panicz Ignacio nie sprawił na niej wrażenia typowego miastowego dandysa. Jest młody i pełen energii, nie zwraca przesadnej uwagi na konwenanse i podziały klasowe, chociaż sposób, w jaki się porusza i gestykuluje, wskazuje na doskonałe maniery.

Kiedy zobaczyła go pierwszy raz, siedział przy biurku w bibliotece i przeglądał jakieś papiery, ze znużeniem, którego nie starał się nawet ukryć. Doña Elvira pospiesznie przedstawiła mu Janę, myśląc o duszącym się w kuchni mięsie i trzech pokojach, które musiała przygotować na piątą.

– Don Ignacio, przyprowadziłam tę nową – powiedziała z westchnieniem, z którego przebijało zmęczenie.

– Nową? Jaką znowu nową? – odpowiedział panicz, podnosząc wzrok.

– Nową służącą, don Ignacio, tę dziewczynę z Hinojedo, pamięta pan? Mówiłam panu wczoraj, że tu będzie, przyszła na piechotę z Ubiarco. Przyjechała autobusem o piętnastej.

Don Ignacio podniósł głowę. Spojrzenie jego brązowych oczu na moment spoczęło na Janie.

– Witam panienkę. Proszę nie mówić, że musiała panienka sama pokonać w ten upał kilometr dzielący Ubiarco od tej przepaści. Koszmarne powitanie – powiedział z kpiącym uśmiechem, powoli wstając zza biurka.

Jana nie wiedziała, co odpowiedzieć: pierwszy raz osoba „z klasą” zwracała się bezpośrednio do niej. Zakłopotana, postanowiła schronić się za milczeniem. Spuściła wzrok, ale musiała go podnieść, kiedy don Ignacio dodał:

– Czyli jest panienka z Hinojedo. – Zmarszczył czoło, z rozbawieniem przyglądając się Janie. Od obu kobiet dzieliły go niespełna dwa metry. – A jak nazywa się nasza nowa pracownica, jeżeli można wiedzieć?

Jana spojrzała błagalnie na doinę Elvirę, która – jakby miała do czynienia z dzieckiem – wskazała jej ruchem głowy, że powinna sama

odpowiedzieć.

– Nazywam się Jana, proszę pana – odparła, wytrzymując spojrzenie don Ignacia.

Wahała się, czy okazać pokorę, czy zachować trochę godności. Zaskoczył ją wzrost panicza – mierzył co najmniej metr dziewięćdziesiąt. Był mocno zbudowany, ale nie gruby; należał do tych mężczyzn pozbawionych mięśni, którzy nigdy nie trzymali w ręku sierpa i najlepiej prezentują się w wyprasowanym garniturze. Miał bladą cerę, proste kasztanowe włosy, wydatne usta i zawadiackie spojrzenie.

– Jana... Jana i co dalej?

– Jana Fernández, proszę pana.

– A więc Jana Fernández. Z Hinojedo – powtórzył, rozdzielając słowa.

– Tak, proszę pana. Z Hinojedo – odpowiedziała Jana z nutką buty w głosie. Przez trzy długie sekundy bezczelnie patrzyła paniczowi w oczy.

– W takim razie witam cię, Jano. Będziemy mieli jeszcze czas, żeby się lepiej poznać. Doña Elvira wszystko ci wytłumaczy. Od lat jest tu gospodynią, chociaż Chaconowie są właścicielami pensjonatu dopiero od niedawna. Odsłoni przed tobą tajemnice Casa Azul. Wszystko jasne?

– Tak, proszę pana.

– A następnym razem uprzedź, że przyjeżdżasz, wyślemy po ciebie kogoś do Ubiarco. Na Boga, w taki upał! Doño Elviro, niech dziewczyna trochę odpocznie, potem pokaże jej pani co i jak. Zrozumiano? – Don Ignacio wrócił za biurko, uznając rozmowę za zakończoną.

Doña Elvira darowała sobie przypominanie paniczowi, że przecież informowała go, że nowa służąca przyjedzie autobusem o piętnastej, i dalej odgrywała rolę usłużnej gospodyni, którą doskonaliła od wielu lat.

– Oczywiście, don Ignacio, zabiorę ją do jej pokoju, a potem oprowadzę po domu i zapoznam z obowiązkami. Kolację podam o ósmej na tarasie, jeżeli to panu odpowiada.

– Odpowiada. – Don Ignacio skinął głową. – Wobec tego na tarasie.

Panicz udał, że studiuje korespondencję i dokumenty leżące na biurku, ale kiedy służące odwróciły się i ruszyły w stronę wyjścia, powiódł wzrokiem za Janą, za jej drobnym kształtnym ciałem, za rysującymi się pod ubraniem krągłościami, za długimi, falowanymi, kasztanowymi

włosami, które mimo prostego uczesania dodawały jej zmysłowości. Poobiednia senność nie stanęła na przeszkodzie jego myślom, które poszybowały ku lubieżnym kolcom tej delikatnej róży, niewinnej i łatwej do omamienia. Dziewczyna nie była zniewalająco piękna, ale miała w sobie coś pociągającego, przypominała nieokiełznane zwierzątko o dzikim spojrzeniu. Jej proporcjonalne ciało natychmiast rozpaliło w nim pożądanie. Pomyślał, że może tegoroczne lato dostarczy mu trochę rozrywki i bodźców, dzięki którym uda mu się przetrwać niekończący się sezon turystyczny w tej dziurze na końcu świata. Z uśmiechem wstał od biurka, podszedł do kredensu z drewna akacjowego królującego po przeciwnej stronie salonu i nalał sobie kieliszek sherry. Dziewczyna jest ładna. Bardzo ładna. Śliczna zabaweczka.

Jana dokładnie pamięta tamten pierwszy dzień. Teraz – we wrześniu 1947 roku – czuje się znacznie silniejsza i pewniejsza siebie. Przez całe lato ciężko pracowała, ale też otarła się o nadzieję, że zmieni swoje życie. Poszło całkiem łatwo. Don Ignacio bez przerwy się za nią uganiał. Raz nawet, nie zważając na potępiające spojrzenie doñi Elviry, wybrali się podczas odpływu do kaplicy Świętej Justy wykutej w skale w załomie klifu, zaledwie kilkadziesiąt metrów od Casa Azul, tuż pod ruinami, na które Jana zwróciła uwagę pierwszego dnia i które okazały się pozostałościami po wieży San Telmo – średniowiecznym reliktem skazanym na zapomnienie.

Była to niezwykle owocna przechadzka. Don Ignacio zapewnił, że jest z niej bardzo zadowolony i że zatrudni ją na zimę w rodzinnym domu w Santillanie del Mar. Zachwyty nad jej talentami służącej przypieczętował długi pocałunek, namiętny i wilgotny, w którym stopili się ukryci w skalnej wnęce. Plan działa. Jana ma nadzieję, że nie straci po drodze serca. Ale ambicja to potężna siła, która odsuwa sentymenty, tak jak po obudzeniu odsuwamy nieistotne sny. To wyłącznie kwestia praktyki.

Jana jeszcze nie oddała się paniczowi. Nie jest głupia. Clara ostrzegła ją, że powinna poczekać, aż zacznie jej żarliwie pożądać. Pośpiech nie jest dobry, kiedy chcesz wzbudzić w mężczyźnie szacunek, żeby zazdrośnie

strzegł cię przed spojrzeniami i rękami innych. Spokojnie. Niech płomień dobrze się rozpali.

Widzę potencjał i widzę marnotrawstwo. Całe pokolenie nalewa benzynę, obsługuje stoliki, w niewoli u białych kołnierzyków. Reklama wciska nam auta i ubrania, harujemy, by zarobić na niepotrzebne nam gówna. Jesteśmy średniakami historii, bez celu, bez miejsca. Nie przeżyliśmy wielkiej wojny ani wielkiego kryzysu. Nasza wielka wojna to wojna duchowa, nasz wielki kryzys to całe nasze życie. Telewizja wychowała nas w wierze, że będziemy kiedyś milionerami, gwiazdami, idolami. Nieprawda. Powoli to do nas dociera i jesteśmy bardzo wkurwieni.

Przemowa Tylera Durdena (granego przez Brada Pitta) z *Podziemnego kręgu* (1999)

Rynek Santillany del Mar o nierównej powierzchni powitał ich mokrą ciszą, zakłócaną jedynie stukaniem deszczu o bruk i rynny imponujących kamienic. W budynku z podcieniami i długim balkonem ozdobionym kwiatami i flagami mieścił się ratusz.

Dawny dom Barredów i Brachów, do którego wybierali się funkcjonariusze i Oliver, stał akurat po przeciwnej stronie placu. Wyglądał nieco współcześnie niż sąsiednie zabudowania. Prostą, elegancką fasadę zdobiły jedynie szlachecki herb i cztery balkoniki.

Valentina wcisnęła dzwonek nowoczesnego wideodomofonu, który zupełnie nie pasował do atmosfery miasteczka. Odpowiedziała jej jakaś młoda kobieta. Kiedy przedstawiła się jako porucznik wydziału śledczego policji sądowej z kantabryjskiej komendantury Gwardii Cywilnej, rozległo się metaliczne kliknięcie i wielkie drzwi uchyliły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Valentina otworzyła je do końca. Nie zamierzała tracić czasu, poza tym chciała jak najszybciej uciec przed deszczem. Znaleźli się w przestronnej sieni, w której dawniej trzymano zapewne powozy i zwierzęta. Do części mieszkalnej prowadziło wejście zwieńczone kamiennym łukiem koszowym.

W sieni pojawiła się kobieta, która odebrała domofon. Uniform wskazywał, że pracuje tu jako służąca. Wpuściła gości do saloniku o ścianach z kamienia, który ocieplały dębowe meble i parkiet oraz fotele i kanapa obite ochrową tapicerką w kwiaty. Valentina poprosiła Olivera, żeby zaczekał w sieni – informacje, które uzyskają w trakcie rozmowy,

mogą się okazać poufne. Oliver nie zaprotestował – nie miał innego wyjścia.

W saloniku znajdowały się boczne drzwi zwieńczone ostrołukiem. Wszedł przez nie sympatyczny, jowialny mężczyzna w wieku czterdziestu, czterdziestu pięciu lat, ubrany w drogie markowe ciuchy. Ruszył w stronę funkcjonariuszy z wyciągniętą ręką.

– Dzień dobry, Izan Sáenz Chacón. Pomoc domowa powiedziała, że są państwo z Gwardii Cywilnej. W pierwszej chwili pomyślałem, że może źle zaparkowałem, ale przecież wstawiłem auto do garażu, tak że słucham: o co chodzi? – powiedział szczerze zaintrygowany.

Valentina przedstawiła siebie i podporucznika. Postanowiła od razu przejść do rzeczy, udając, że śledztwo dotyczy dziedzictwa kulturowego, a nie potencjalnego seryjnego zabójcy.

– Panie Sáenz, prowadzimy dochodzenie w sprawie związanej z Tlalokiem, mezoamerykańskim bogiem szczęścia, którego podobizna znajduje się nad drzwiami domu Quevedów, należącym niegdyś do pańskiej rodziny. Chcielibyśmy wiedzieć, czy posiada pan jakieś informacje na temat tego plemiennego bóstwa albo jego związków z Chaconami.

Na twarzy Sáenza odmalowała się ulga, jakby odetchnął na wieść, że gwardziści złożyli mu wizytę tylko z tego powodu.

– A to mnie pani zaskoczyła... Plemiennne bóstwo? Jeszcze nikt mnie o to nie pytał. Wiem, że po powrocie z Meksyku mój dziadek kazał wyrzeźbić je na domu przy kolegiacie, ale nie miałem pojęcia, że nazywa się Tlaloc. Kiedy byłem mały, mama opowiedziała mi, że to symbol szczęścia z cywilizacji Majów czy jakoś tak. Przywieźli nawet kilka figurek i przerobili je na wisiorki, przyciski do papieru i inne gadżety.

– Aha. A zachował pan jakiś?

– Raczej nie, chyba że trafiły do graciarni. Matka już ledwo kontaktuje, ma alzheimera... Musiałbym zlecić gruntowne przeszukanie domu.

– Rozumiem. A pana matka nazywa się...

– Dolores. Dolores Chacón.

– Dziękuję – odpowiedziała Valentina, zapisując imię w notesie. – A nie wie pan czasem, czy któraś z tych figurek nie zaginęła w niewyjaśnionych

okolicznościach albo nie została podarowana jakiemuś krewnemu czy przyjacielowi rodziny?

– Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia. Jak mówiłem: jeżeli zachowały się jakieś figurki, to są wśród gratów w schowku. Moja rodzina mieszka w tym domu już od przeszło sześćdziesięciu lat, więc proszę sobie wyobrazić, ile rupieci się tam nazbierało. Mogę zapytać, dlaczego interesuje państwa to badziewie? Okradziono jakiś zabytek Santillany? Tylko niech mi pani nie mówi, że ukradli Gębala!

– Gębala?

– Kiedy byliśmy mali, nazywaliśmy tak twarz na domu Quevedów, którą kazał wyrzeźbić dziadek. Nie tak dawno ktoś próbował ukraść herb z jednej z kamienic przy ulicy Infante, chciał go wyrwać za pomocą traktora. Wydarzyło się coś w tym rodzaju?

– Nie, nie wydarzyło się nic w tym rodzaju – uspokoiła go Valentina. – Prowadzimy śledztwo w sprawie związanej z Tlalokiem.

Sáenz był wyraźnie zaintrygowany, ale nie odważył się o nic zapytać. Pozwolił Valentinie kontynuować.

– Panie Sáenz, podobno w latach czterdziestych zaginął członek pańskiej rodziny. Czy mógłby pan powiedzieć nam o tym coś więcej?

– Chodzi pani o wujka? Wujka Ignacia? Zaginął ponad sześćdziesiąt lat temu! Z tego, co wiem, nie żyje, a jego ciało zostało pochowane. A raczej jego część.

– Jego część? Mógłby pan to wytłumaczyć?

– Oczywiście, ale nie rozumiem, jakie to ma znaczenie po takim czasie... Wiem, że znaleźli na plaży jakieś fragmenty ciała i że pochowali je w rodzinnym panteonie. Straszne, że tak go poćwiartowali... To były czasy powojnia, ludzie mieli wtedy nierówno pod sufitem, zdaje się, że chodziło o jakieś porachunki polityczne. Mama nie lubiła o tym rozmawiać, płakała za każdym razem, kiedy pytałem ją o wujka, więc w końcu przestałem.

– Rozumiem. Powiedział pan, że fragmenty ciała pojawiły się na plaży. Pamięta pan której?

– Oczywiście. Na plaży Santa Justa w Ubiarco, tej najbliższej Santillany del Mar, miasteczka trzech kłamstw, bo nie ma tu ani świętych, ani

równin, ani morza⁷. Dlatego kiedy tylko nadarza się okazja, wybieramy się na plażę. Wujek prowadził tam nadmorski hotelik i któregoś lata puf, rozplynał się w powietrzu. Mama na pewno powiedziała by państwu więcej, ale jak wspomniałem, cierpi na alzheimera i już nie bardzo kojarzy. Ma za sobą ciężką noc, bredziła coś zdenerwowana, rano musieliśmy podać jej środek uspokajający, żeby trochę odpoczęła. Nawet odłączyliśmy telefon, żeby nikt jej nie przeszkadzał.

– No tak, dzwoniliśmy dzisiaj rano, ale nikt nie odbierał. Według książki telefonicznej sąsiedni dom także należy do Chaconów. Mieszkają tam pańscy krewni?

– Ja sam – odpowiedział Sáenz z uśmiechem. – Ten dom należy do mamy, przybudówka jest moja.

– Aha. Jak podejrzewam, pańscy dziadkowie już nie żyją? – zapytała Valentina.

– Owszem. Babcia zmarła jakieś cztery, pięć lat po zniknięciu wujka. Mama mówi, że rozchorowała się z żalu. Nie poznałem jej, bo mama urodziła mnie dość późno. Dziadek zmarł w latach siedemdziesiątych, nie pamiętam dokładnie w którym roku.

– A pamięta pan, w którym roku zniknął pański wujek?

– Uff, nie mam pojęcia... Pod koniec lat czterdziestych, ale musiałbym to sprawdzić.

– W porządku... A pana mama ma jeszcze jakieś rodzeństwo?

– Miała. Jej starszy brat zmarł w osiemdziesiątym siódmym. Wujek był fantastycznym człowiekiem, bardzo przywiązany do mnie i moich rodziców. Biedak, pokonał go rak okrężnicy.

– Bardzo mi przykro. A pan? Ma pan rodzeństwo albo kuzynów? Może któreś z nich pamiętałoby coś więcej?

– Niestety. Wujek był żonaty, ale ciotka nie mogła mieć dzieci, a w tamtych czasach adopcja nie była jeszcze w modzie. Ja nie mam rodzeństwa, dlatego dla przedłużenia rodu postarałem się o liczne potomstwo. Czwórka dzieci! Żona zabrała je na basen, zaraz powinni wrócić.

– No proszę. I latem wszyscy tu przyjeżdżacie?

– Tak. W ciągu roku mieszkamy w Santanderze, kieruję agencją morską... muszę być na miejscu. Lato spędzamy tutaj, w domu moim i mamy, który jest trzy razy większy. Żona najchętniej nie wyjeżdżałaby z Santanderu, ale ja lubię wracać do miejsca, w którym się wychowałem – stwierdził Sáenz, szeroko się uśmiechając.

– Rozumiem. – Valentina odwzajemniła jego uśmiech; chciała zaskarbić sobie sympatię Sáenza, zanim przedstawi mu swoją prośbę. – A jacyś dalsi krewni albo przyjaciele rodziny? Nie ma nikogo, kto mógłby powiedzieć nam coś więcej o zniknięciu i śmierci pańskiego wujka?

– Nie wiem, ale raczej nie.

– A pański ojciec?

– Zmarł dwa lata temu.

– Przykro mi. Może jednak moglibyśmy porozmawiać z pana mamą? Osoby chore na alzheimera zazwyczaj świetnie pamiętają wydarzenia ze swojej młodości, a nawet z dzieciństwa, chociaż nie potrafią sobie przypomnieć, jak używać sztuców.

– Obawiam się, że to niemożliwe – nastroszył się Sáenz, przybierając surowy wyraz twarzy. – Mama jest bardzo osłabiona, a państwo nawet mi nie powiedzieli, dlaczego interesują się zniknięciem sprzed sześćdziesięciu lat.

– Obowiązuje nas tajemnica śledztwa. Myśli pan, że to było morderstwo z przyczyn politycznych?

– Coś musiało być na rzeczy, słyszałem, że w sprawę byli zamieszani nacjonaści czy republikanie, już nie pamiętam. Nic więcej nie umiem pani powiedzieć. Dziadek sprzedał hotel, który prowadził wujek, zdaje się, że przez jakiś czas okupowali go skłotersi, a trzy, cztery lata temu został wyburzony. Nic z niego nie zostało.

– Hmm... A mówi coś panu nazwisko Ongayo?

– Ongayo? Ci od anchois?

– Tak, w Kantabrii działa przetwórnia sardeli o tej nazwie. Ale chodzi mi o to, czy zna pan kogoś o tym nazwisku albo czy rodzice wspominali panu kiedykolwiek o Ongayach?

Sáenz zastanawiał się zaledwie kilka sekund.

– Chyba nie.

– A o Janie Fernández?

– Też nie.

– W porządku. Ostatnia rzecz: czy mógłby pan poprosić kogoś ze służby, żeby poszukał w graciarni figurki Tlaloca?

Sáenz powstrzymał westchnienie.

– Zgoda. Każę przejrzeć kartony... Ale to może zająć kilka dni. Nasz personel ma inne obowiązki.

– Proszę pana o to, bo tak będzie prościej niż z nakazem przeszukania, ale oczywiście decyzja należy do pana. Proszę nas niezwłocznie powiadomić, jeżeli przypomni pan sobie coś jeszcze, zwłaszcza w związku ze zgubieniem lub zaginięciem którejś z figurek Tlaloca – powiedziała Valentina, podając Sáenzowi wizytówkę.

Izan Sáenz spochmurniał. Nie przypominał już w niczym sympatycznego, jowialnego mężczyzny, który wszedł do saloniku. Zamienił się w czujnego lwa gotowego do ataku.

Po wyjściu Valentina streściła Oliverowi rozmowę z Sáenzem. Informacje, którymi dysponowali, tworzyły dziwny, niepokojący kolaż. Młody mężczyzna znika w latach czterdziestych. Pewnego dnia na plaży pojawiają się jego szczątki. Wszystko wskazuje na zbrodnię polityczną. Do tego miejsca się zgadza. Ale jaki związek ma ta historia z noworodkiem z Villa Marina, z popełnionymi w ostatnich dniach zabójstwami, z klaryskami, z panią Ongayo i z próbą uduszenia? Kogo interesuje tamta zbrodnia, która i tak już uległa przedawnieniu?

Valentina myślała na głos: nazajutrz piątek, ostatni dzień pracy urzędów i laboratoriów. Z doświadczenia wiedziała, że w weekend śledztwo przyhamuje.

Postanowiła, że się rozdzieli. Oliver przestanie się bawić w detektywa i pojedzie do domu czy gdzie tam chce – od tej pory będą prowadzili śledztwo sami. Sabadelle uda się do redakcji „El Diario Montañés” i „El Caso” – o ile ta gazeta jeszcze istnieje – i poszuka informacji o zniknięciu młodego Chacona, spróbuje też odnaleźć akta tej sprawy w archiwach Gwardii Cywilnej, a jeśli będzie trzeba, porozpytuje o nią starszych

mieszkańców Ubiarco. Przede wszystkim jednak raz jeszcze spotka się z siostrą Mercedes.

Valentina zaś pojedzie do Comillas i spróbuje dokładniej przesłuchać panią Ongayo. Może do niej także dotarła wiadomość o zniknięciu młodego Chacona. Ciekawiło ją, jak zareaguje, kiedy ją o niego zapyta. Przy okazji sprawdzi trasę, którą doktor Viesgo wracał z Comillas. Służba Ongayowej potwierdziła, że wyszedł około siedemnastej. Nie wiadomo, co robił do dwudziestej trzydzieści, dwudziestej pierwszej, kiedy zginął w okolicach La Tablí. Dlaczego wybrał właśnie tę drogę? Gdzie się wcześniej zatrzymał? Odkrycie miejsca postoju naprowadziłoby ich na trop tego, kto go otruł. Pokona tę samą trasę co lekarz, ze średnią prędkością, mierząc czas i odległości. A po powrocie do Santanderu porozmawia z Clarą Múgicą.

– Wspaniale – stwierdził Oliver. – Ale uprzedzam, że w chwilach wolnych od użerania się z robotnikami będę prowadził własne śledztwo w internecie i domowej biblioteczce. Na pewno coś znajdę.

– Byle to nie był żaden staruszek, bo wiemy, jak to się kończy, kiedy jest pan w pobliżu – powiedział Sabadelle, tym razem przyjacielskim tonem.

Valentina z uśmiechem pokręciła głową. Przy akompaniamencie grzmotów cała trójka udała się w drogę powrotną malowniczymi uliczkami Santillany.

W tamten czwartek 11 lipca nie zrobili już jednak żadnych postępów. Valentinie nie było dane porozmawiać z Ongayową; służba przekazała jej, że odkąd pani dowiedziała się o śmierci doktora, jest w bardzo złej formie i praktycznie nie wychodzi z łóżka. W dodatku znowu rozszalała się gwałtowna, bezlitosna burza, przez co droga do Comillas i powrót do Santanderu zajęły jej mnóstwo czasu. Sprawdziła, że David Viesgo miał do wyboru dwie trasy: wzdłuż wybrzeża albo przez Santillanę del Mar i Vivedę, za którą był skręt na autostradę. Ta druga była znacznie szybsza, ale ponieważ doktor rozbił się przy La Tablí, tuż przed wjazdem do Suances, najprawdopodobniej zdecydował się na dłuższą trasę. Latem późno się ściemnia, może pojechał wzdłuż wybrzeża, żeby podziwiać nadmorski krajobraz; widok łąk urywających się na stromych

klifach rzeczywiście robił wrażenie. Po drodze mógł się zatrzymać w Cóbreces, Oreñi i masie innych maleńkich miasteczek. Albo zabawić dłużej w Comillas. A nawet zahaczyć o Santillanę del Mar, nadłożyłby zaledwie pięć minut drogi. Gdzieś przecież musiał wypić zabójczy napar. Tylko gdzie? Po powrocie do Santanderu Valentina zadzwoniła do Clary Múgiki. Koleżanka nie była zbyt rozmowna: powtórzyła jej praktycznie to samo, co powiedział sędzia. Na szczęście tego wieczora, kiedy otruto Davida Viesgo, jeszcze pracowała, mogli to potwierdzić jej koledzy z instytutu. Miała też alibi na czas zabójstwa Pedra Salasa, była w domu z mężem. Valentina dowiedziała się tylko jednej nowej rzeczy – kiedy Clara zobaczyła zwłoki doktora Viesgo, natychmiast zadzwoniła do matki, która zanosząc się płaczem powiedziała, że to wszystko jej wina i że spróbuje to naprawić. Może chodziło jej o to, że lekarz zginął niedługo po ich spotkaniu? A może nie. Valentina umówiła się z Clarą na następny dzień na przesłuchanie. O dwudziestej wysłała SMS-y do podwładnych, zwołując ich na poranną naradę, pochłonęła kanapkę – pierwsze, co miała w ustach, odkąd rano zjadła kawałek quesady – i wykończona padła w swoim małym mieszkanku w Santanderze, wsłuchana w kojący szum deszczu.

Plany podporucznika także pokrzyżowała czyjaś niedyspozycja – po ponad godzinie oczekiwania poinformowano go, że siostra Mercedes nie czuje się najlepiej. Pojechał więc do Santanderu, gdzie dowiedział się, że ostatni numer „El Caso” ukazał się w roku osiemdziesiątym siódmym; nie udało mu się też ustalić, gdzie przechowywane są archiwalne numery. Archiwum „El Diario Montañés” było już zamknięte, musiał wrócić tam nazajutrz rano. Ponieważ akta spraw tak starych jak zniknięcie młodego Chacona nie zostały zdigitalizowane, spędził resztę popołudnia, przekopując stosy papierów. Kiedy wreszcie znalazł interesujące go raporty, była jedenasta w nocy. Zabrał je do swojej kawalerki w Astillero na obrzeżach Santanderu i przy kawie zaczął grzebać w przeszłości.

Oliver powyklócał się trochę z majstrem i robotnikami, a kiedy wrócił do swojego przytulnego domku, okazało się, że z powodu burzy nie ma dostępu do internetu. W książkach przyniesionych z Villa Marina nie

znalazł już niczego interesującego. Był zły na samego siebie, że nie jest w stanie zbliżyć się do prawdy.

Za to odkrycia dokonane tego dnia przez pozostałych członków wydziału śledczego zrewolucjonizowały odprawę, na którą Valentina Redondo zwołała ich w piątek 12 lipca.

DZIENNIK (12)

Jana jest w siódmym niebie, wprost promienieje. Osiągnęła niemal pełnię szczęścia, tylko od czasu do czasu rozwiewa je bryza wspomnień i obaw. Tej nocy jednak wszystkie duchy przeszłości gdzieś odpłynęły.

Ma za sobą zimę spędzoną w Santillanie del Mar, szlacheckim miasteczku wykutym z kamienia i historii, pełnym zakątków kryjących skarby z epoki średniowiecza, osiem kilometrów drogi od Hinojedo, cztery od Ubiarco, dziesięć od Suances. Zimę praktycznie bez spotkań z Luisem, który odważył się tylko na dwie krótkie wizyty, bez wypraw do Comillas, oddalonego o całe dwadzieścia kilometrów od Santillany. Drogi tej nie pokonał nawet żaden list miłosny, żadne ostatnie drgnienie serca, w imię tego, co mogło być, a nie było.

Pod koniec długiej srogiej zimy typowej dla północy Hiszpanii Jana pierwszy raz dostrzegła promyk nadziei. Od kilku miesięcy nie mdleje, nie traci bez powodu przytomności, nie wpada w czarną dziurę, niemożliwą do pojęcia. Uradowana czuje, że wreszcie ma kontrolę nad własnym losem. Przepracowała zimę u Chaconów, oczywiście jako zwykła służąca, ale nie zlecano jej żadnych ciężkich robót. Za to coraz częściej potajemnie spotykała się z don Ignaciem. Zasmakowała w uwodzeniu, w zgrywaniu niedostępnej, w rozpalaniu miłości. W zuchwałych marzeniach, które ludzie odważają się snuć przed zaśnięciem, widziała się już w roli pani rodzinnej rezydencji w Santillanie – wydawała polecenia służbie, organizowała przyjęcia, bale, a nawet gale dobroczynne. Będzie wielką damą, ale nigdy nie zapomni o swoich korzeniach.

Trudno się dziwić – imponujący dom Chaconów w Santillanie del Mar mógł rozbudzić wyobraźnię każdego. Podzielony jest na dwie części wąskim korytarzem przykrytym drewnianym daszkiem, którym zimą spływa nadmiar wody. Ale Jany nie onieśmielił ani olbrzymi kamienny herb na fasadzie, ani długi balkon, ani zaczynające się tuż za progiem majestatyczne schody. Największy podziw wzbudziły w niej zapach tkanin i ciężkie powietrze unoszące się we wszystkich pomieszczeniach –

wrażenie dostatku. Jana chciała tu być, pozostać po tej drugiej stronie świata, należeć do niej, być jej częścią.

Na razie jednak jesteśmy w Casa Azul.

Czerwiec 1948 roku. Nadszedł moment prawdy i dreszczy. To będzie ta noc. Jest ciemna, bezksiężycowa, na bezchmurnym niebie słabo błyszczą gwiazdy. Na zewnątrz panuje przyjemna temperatura. Jana pozwoli, żeby ukołysał ją szum morza, kiedy będzie przekraczać granicę. Wszystko doskonale się złożyło. Nie będzie sama. Rano przyjechała Clara, zostanie tu przez tydzień pod pretekstem pomocy w przygotowaniu pensjonatu na otwarcie sezonu. Ongayowie, u których pracowała ich babcia i którym ona sama służy już od kilku lat, wyjechali na miesiąc do Urugwaju. Clara i Jana są siostrami, przyjaciółkami, towarzyszkami. To wielkie szczęście, że mają siebie. Istoty ludzkie nie rozumieją tej ich wzajemnej zależności, jedynej drogi do szczęścia. Dziś Jana czuje, że przejdzie na drugą stronę, opuści swój mroczny brzeg. Powie mu po kolacji, będzie wspaniale.

Tej nocy wiele dusz stoczy się błyskawicznie w głęboką przepaść.

Przekorny czas kolejny raz przeciekł przez palce – jest już po kolacji. Zdenerwowana Jana pomaga sprzątnąć ze stołu coraz bardziej zgarbionej doñi Elvirze. Clara czeka w kuchni, żeby pozmywać naczynia, pozostali służący krążą między spiżarnią, kredensem z alkoholami i kawiarką. Za kilka dni otwarcie sezonu. Panicz Ignacio zainaugurował kolejne upalne, pracowite lato tradycyjną kolacją z personelem. To prawdziwe szczęście mieć takiego sympatycznego, otwartego chlebodawcę, tym bardziej w tych ciężkich czasach.

Wreszcie służba idzie spać, zmęczona całodzienną pracą, oteńpiona dobrym winem i podaną po deserze nalewką.

Ignacio wchodzi do swojego pokoju, jedynej sypialni na parterze, mieszczącej się za majestatycznymi schodami, tuż obok biblioteki. Przez wielkie okno widać morze. Pokoje służących i gospodyni znajdują się dwa piętra niżej, przy kuchni. Z nich też roztacza się ładny widok na łąkę i Morze Kantabryjskie. Ignacio wie, że nie będzie spał sam. W Santillanie del Mar on zakradał się do Jany, ale umówili się, że w Casa Azul to ona będzie się przemykała do jego sypialni, bezpiecznie oddalonej od reszty

pokojów. Może się przecież zdarzyć, że niechcący narobią hałasu, który wywołałby komentarze służby. Dyskrecja przede wszystkim. Co prawda niektórzy w Santillanie i w Ubiarco już od kilku tygodni ostrzą sobie na nich języki – nawet przed ślepcem trudno ukryć zapach i ciepło bijące od świeżo upieczonego bochenka chleba.

Jana odczekuje stosowną chwilę, zegna się w swoim pokoju z Clarą i idzie do sypialni panicza. W całym domu panuje cisza – zmęczenie i alkohol pograżyły służbę w ciężkim, głębokim śnie. Jana nawet nie puka do drzwi. Kiedy wchodzi, Ignacio już na nią czeka. Rozbawiony podnosi ją w górę i od razu rzuca na łóżko. Jego oddech pachnie nalewką i whisky.

Całuje ją zapamiętale, nagłony pożądaniem, które nie bawi się w ceregiele. Alkohol usunął bariery dyplomacji. Jana czuje w ustach jego język, mdły, wilgotny kawał mięsa. Rozchyła wargi i pozwala mu wejść, starając się nie myśleć o tym, co robi. Nie napawa jej wstrętem, ale też nie budzi w niej takiego pożądania jak Luis. Przywykła do tego, żeby skupiać uwagę na czymś innym, kiedy jej dotyka, kiedy ją całuje, pieści, posiada. Koniec końców to tylko formalność. Czyż nie robią tego wszystkie kobiety?

– Maleńka, ależ ty jesteś apetyczna – mówi Ignacio, podwijając jej spódnicę.

– Ignacio, uważaj, pończochy... Za dużo wypiełeś – protestuje Jana.

– Pończochy w czerwcu? – śmieje się cicho Ignacio. – Twój panicz zaraz temu zaradzi. Ależ mi się trafiła kobietka! Chodź no tutaj, moja śliczna. Spójrz, co zrobimy. Spodoba ci się, zobaczysz. – Wypowiadając ostatnie słowa, bierze Janę na rękę, odwraca ją na brzuch i zakasuje jej spódnicę. Spuszczenie majtek zajmuje mu niespełna trzy sekundy.

– Ignacio! Powoli, proszę... Powoli. – Ruchy panicza stają się mniej gwałtowne, Jana odwraca głowę, wymieniają spojrzenia. Zadaje mu absurdalne pytanie, jakby chciała mieć pewność, zanim pozwoli się posiąść: – Kochasz mnie?

– Oczywiście, że cię kocham. Głuptasie, przecież mówiłem ci to już ze sto razy. Ależ ty jesteś apetyczna!

Ignacio gwałtownie wchodzi w Janę, nie czekając na wilgotne powitanie. Łapie ją za włosy, podgryza w szyję, liże po twarzy, ale w końcu skupia

się wyłącznie na rytmicznych natarciach, które kończą się po dwóch minutach szybkim, urywanym orgazmem. Kiedy jest po wszystkim, całuje Janę w policzek.

– Czasami jesteś taki brutalny – mówi Jana z lekkim wyrzutem, chociaż na jej twarzy maluje się uśmiech. Obraca się i siada na łóżku.

Ignacio śmieje się podchmielony.

– Ach, maleńka! Jesteś taka apetyczna, że nie mogę nad sobą zapanować. Tak wygląda prawdziwa namiętność. Charakterna ta moja kobietka – dodaje z lubieżnym uśmiechem.

– Jeszcze nie jestem twoją kobietką – mówi Jana, spoglądając na niego z powagą. Dwa ostatnie słowa wypowiada niemal ze złością.

– Jak to nie? W praktyce jesteś. Czyż nie mieszkamy razem? Nie śpimy razem? Sama widzisz, głuptasie!

– Ja cię kocham – mówi Jana tylko po to, żeby wyciągnąć od niego wyznanie.

– A ja ciebie – odpowiada Ignacio, ocierając z czoła pot rękawem koszuli, której nawet nie zdjął.

Jana kiwa głową.

– Ale nie jestem twoją kobietą. Cały czas się ukrywamy. Trzeba to zmienić, żyć po bożemu. Niech się wszyscy dowiedzą.

– Oszalałaś? Chcesz, żeby ojciec mnie wydziedziczył? Już ci mówiłem: daj mi czas. Najpierw powiemy rodzicom, że jesteśmy razem, a potem zobaczymy. Ale jeszcze nie pora, żeby to ogłaszać. Nie wiesz, że chcę, żebym zaręczył się formalnie z córką markiza San Vicente de la Barquera? Niech cię cholera, nie rób takiej naburmuszonej miny, przecież ci mówiłem.

Ignacio wykrzywia twarz, zmazując z niej ironiczny uśmiech. Płacze mu się język, jego umysł nadal otępiają opary nalewki i whisky.

Jana nie chce się kłócić, ale też nie zamierza ustąpić. Nie dzisiaj.

– Im później im powiesz, tym gorzej. Obiecałeś, że się ze mną ożenisz.

– Ale nie teraz!

– No to kiedy?

– We właściwym momencie, do kurwy nędzy! – Ignacio wpada w gniew.

– Teraz jest właściwy moment – oznajmia powoli Jana.

Nieporuszona patrzy paniczowi w oczy, przekazując mu nowinę spojrzeniem. Ignacio kręci głową – zaczyna rozumieć.

– Nie – mamrocze z niedowierzaniem.

– Tak. Czekałam. Byłam cierpliwa. Ale teraz nie możemy już dłużej czekać, Ignacio. – Jana nabiera powietrza, zanim wypowie te słowa. – Nie krwawię drugi miesiąc. W grudniu albo w styczniu będziemy mieli dziecko. Nie będę w stanie długo ukrywać brzucha, musimy powiedzieć mojemu ojcu i twojej rodzinie i pobrać się, jak Bóg przykazał.

Jana jest stanowcza, pewna siebie, przekonana o zwycięstwie. Ignacio milczy, spuszcza głowę. Wstaje z łóżka, przez chwilę krąży po pokoju, a wreszcie podchodzi do okna i wpatruje się w ciemne, falujące morze, łagodnie uderzające w plażę Santa Justa.

Przez minutę stoi bez słowa, nie patrząc na Janę. Kiwa się, pociera ręce, kręci głową. Za długo się nie odzywa. Janę ogarnia niepokój. Przecież za nią szaleje; podarował jej sukienki, kolczyki, wisiołek; złożył jej obietnicę, a ona mu się oddała. Czy nie tak powinno się to odbywać? Nie takie kroki zwykle się podejmuje? Co źle zrobiła? Być może już to wie.

Ignacio nadal na nią nie patrzy, wbija wzrok w ciemność za oknem. Wreszcie odzywa się szeptem, który stopniowo przechodzi niemal w krzyk.

– Ty ladacznico – mówi opanowanym tonem, powstrzymując gniew.

Jana nieruchomieje ze zdumienia.

– Jak to? Co...? Co powiedziałaś?

– Że jesteś dziwką, to powiedziałem. Niech cię diabli wezmą. Zamierzałaś usidlić panicza, tak? – pyta Ignacio podniesionym głosem, po czym podchodzi do Jany, łapie ją za rękę i zaczyna nią potrząsać. – Otóż nic z tego, ślicznotko. Jeżeli chcesz zachować pracę, lepiej pozbądź się tego, co tam masz – dodaje, wskazując jej brzuch.

Jana jest bliska omdlenia. Ignacio nigdy nie odzywał się do niej w ten sposób, w jej obecności nigdy nikomu nie ubliżył. Jego zachowanie zawsze mieściło się w granicach poprawności; chociaż nie stronił od ironii, był dobrze ułożony. Przecież kilka minut wcześniej z nią obcował. Powiedział, że ją kocha. Jana nic z tego nie rozumie. Clara mówiła, że wszystko pójdzie dobrze. Czuje wściekły ból w głowie, w jej

uszech rozlega się gwizd, który przypomina świst artyleryjskich pocisków.

Wreszcie odpowiada. Nie myśli, nie wie, co czuje, drży od środka, od żołądka po gardło, nie ma czucia w członkach.

– Ja... Jak mogłabym pozbyć się tego, co tam mam? To dziecko. Nasze dziecko.

– Nasze? Na pewno? A nie tego rybaka, który odwiedził cię w Santillanie? Masz mnie za idiotę? Myślisz, że nie wiem, że wychędożył cię już na wszystkie strony?

– Ja, ja nigdy... przecież przyjechał z moją siostrą, przywieźli mi list od ojca i ten ser, który...

– Cicho, daj mi się zastanowić. – Ignacio znów zaczyna krążyć po pokoju, przykładając dłonie do ust, jakby się modlił, choć bez przerwy klnie i złorzeczy. – Tylko nie to, znowu to samo, do kurwy nędzy, znowu to samo.

– To samo? – pyta Jana. Nie zorientowała się, że płacze, patrząc z przerażeniem, jak wali się jej zamek z piasku, podmyty przez słońcą falę, nieoczekiwaną i tak bardzo okrutną.

Ignacio wzdycha. Spogląda na Janę.

– Posłuchaj mnie uważnie. Wszystkiego się wyprę, rozumiesz? Wyprę. Jak myślisz, komu uwierzą?

Jana cicho płacze. Nagle wydaje się Ignaciowi krucha, robi mu się jej żal, zamierza nawet nieco złagodzić ton, ale trwa to tylko moment.

– Nie, kurwa, nie. Nie mąc mi w głowie, dziewczyno. To na pewno dziecko tego pieprzonego rybaka. – Ignacio znowu wpada w panikę, jego strach znajduje ujście w gniewie. – Muszę się napić. Z drogi, do kurwy nędzy! – krzyczy, popychając Janę, i idzie do salonu, żeby nalać sobie whisky.

Przez chwilę krąży po pokoju, a w końcu przeciąga krzesło z za biurka i siada na wprost okna, spoglądając na ciemne morze odbijające niebo. Kipi ze złości. Jak mógł dać się tak omotać wiejskiej służce? Kolejny raz! Ojciec się wścieknie. Nie da mu nowej szansy. Będzie musiał latami lizać mu tyłek. O nie, nie ma mowy: powie, że to dzieciak rybaka, i po sprawie. Kręci się wokół niego tyle panien, że nie musi chędożyć byle służącej.

Jana walczy ze sobą, żeby nie zemdleć, chociaż w tym momencie najchętniej straciłaby przytomność i więcej się nie obudziła. Wszystko stracone. Co zrobi z bękartem? Każdy wie, jak traktuje się panny z dzieckiem. Jeżeli urodzi, już na zawsze przekreśli swoje szanse, żaden mężczyzna, ani bogaty, ani biedny, nie zechce ożenić się z ladacznicą. Będzie musiała podwójnie harować, żeby utrzymać dziecko, na które nie będzie w stanie patrzeć. Nie ma odwrotu. Ignacio się z nią nie ożeni; dociera do niej, że nigdy nie miał takiego zamiaru. Była przekonana, że ona kieruje tą grą, a tymczasem dała się oszukać, kupić kilkoma błyskotkami.

Drżą jej dłonie, ręce, całe ciało. Zostawił ją samą w sypialni, nie obchodzi go dziecko, które nosi, jej uczucia, to, że ją poniżył, że zniszczył jej życie. Wychodzi do przedpokoju. Jej wzrok pada na narzędzia ogrodnicze, które służący schowali tu na noc, żeby nie zmoczyła ich rosa; nazajutrz dokończą oczyszczanie ścieżki, podcinanie trawy i wyrywanie chwastów, które wybują podczas chłodnej wiosny.

Mija pięć nieskończenie długich minut. W pensjonacie panuje dziwna cisza, jakby ziemia wessała wszystkich domowników. Nie słychać nawet świerszczy, które cykają każdej nocy. Czyżby świat się zatrzymał? Ignacio wciąż siedzi na krześle. Patrzy na morze, nerwowo popijając whisky, i zastanawia się, jakie kroki podejmie, bo już postanowił, co zrobi. Wszystko przemyślał. To tylko uboga dziewczyna, a on jest paniczem. Niech się pozbędzie ciąży i zniknie mu z oczu. Jeżeli mimo wszystko postanowi urodzić, nie weźmie odpowiedzialności za dziecko. Nie ma mowy. Nie obarczy się na resztę życia bękartem, który zresztą może wcale nie jest jego. Ta ladacznica próbowała go usidlić. Wszystkiego się wyprze. Co innego mu pozostaje?

W tym czasie w stronę biblioteki zmierza kobieta z siekierą w dłoni. Stąpa cicho, ale nie pilnuje się, żeby nie robić hałasu, jakby było jej już wszystko jedno. Idzie zdecydowanym krokiem, zdeteminowana, niewzruszona. On tak naprawdę jej nie zna i nigdy nie pozna.

Wystarcza jeden cios. Siekiera wbija się w ucho i dociera do mózgowia, rozbijając kość skroniową i część ciemieniowej. Nie wie, czy krzyknął, usłyszała jedynie głuchy odgłos ciała zwalającego się na drewnianą

podłogę. Leży na plecach, w jego oczach – kłamliwych oczach – nadal malują się zdumienie i panika. Idiota – nie mógł bardziej ułatwić jej zadania. Prawie dwumetrowy gigant powalony jednym ciosem przez drobną kobietę. Siadając na krześle, znalazł się na jej poziomie, odwrócony plecami do sprawiedliwości, która tym razem przybrała postać radykalnej niewiasty.

Nocna gra światłocieni uwypukla jej urodę, długie kasztanowe włosy tańczą przy każdym ruchu. Tak naprawdę uświadomiła sobie, że zadaje śmiertelny cios, dopiero kiedy siekiera piąty raz przeszła jego ciało, trzewia, mięśnie i kości. Zaślepiła ją wściekłość – nieposkromiona, irracjonalna, szaleńcza, desperacka – eksplodowała w jej wnętrzu, zalała ją jak fala. Nie była w stanie myśleć, po prostu podniosła siekiere i z nadludzką siłą niepasującą do jej drobnej budowy zanurzyła ją w ciele człowieka, który jeszcze kilka godzin wcześniej był gwarantem szczęścia, godności i ocalenia.

Omam nie zawiodła jej własna siła, ale swoisty labirynt łączący jej duszę, jej mózg, jej ściśnięte serce i jej gniew jakoś utrzymał ją na nogach, żeby mogła dokończyć to, co zaczęła. Gdybyśmy chcieli dopasować do tej sceny jakąś pełną grozy pieśń, w pokoju rozbrzmiałby początek *Carmina Burana*: apokaliptyczny krzyk sopranów, tenorów i barytonów towarzyszyłby kolejnym ciosom siekiery, podczas gdy krew opryskiwałaby meble, barokowe krzesło i okno, rozlewała się po dywanie lepkiem, gęstym strumieniem, który nie zatrzymał się nawet wówczas, gdy w pokoju zapadła cisza.

Clarze wydaje się, że słyszy dobiegające z góry głosy. Nie położyła się spać na wypadek, gdyby Jana wymknęła się z sypialni panicza, żeby powiedzieć jej o zaręczynach. Wszystko pójdzie jak z płatka.

Ale kiedy wchodzi na parter i dociera do niej, co się wydarzyło, i uświadamia sobie straszliwe konsekwencje, nie waha się ani chwili – musi pomóc siostrze. Chronić ją, wziąć w opiekę, spróbować naprawić szkodę, wyssać z jej duszy mroczny jad. Ocalić jej honor. Kiedyś powiedziała, że zaopiekuje się nią jak Tata Lis. Dotrzyma obietnicy.

Clara daje się porwać wirowi emocji: gniewu, smutku, żalu, wściekłości. Czuje, że musi działać. Jana wpadła w dziwny stan apatii, bezruchu, odrętwienia, bierności. Wpatruje się w ciemność jak zamrożona. Przynajmniej nie zemdlą. Teraz muszą wszystko posprzątać. Muszą pozbyć się porąbanego, zakrwawionego ciała. Do świtu zostało zaledwie pięć godzin. I co najtrudniejsze – muszą zachować opanowanie. Żadnych szlochów, żadnych hałasów. I tak miały niesamowite szczęście, że nikt niczego nie usłyszał. Troje służących i gospodyni śpią dwa piętra niżej, zmożeni zmęczeniem, kolacją i nalewką.

Jana niczym automat wykonuje polecenia Clary: po cichu schodzi do kuchni, bierze cztery duże jutowe worki na kartofle i wstawia wodę. Przemyka niczym duch. Kiedy wraca do biblioteki, nieruchomieje ze zdumienia, wybudzając się z transu obezwładniającego jej zmysły.

– Co...? Co ty zrobiłaś? Mój Boże, nie... Co ty zrobiłaś? – pyta Clary, spoglądając na dywan, gdzie leżą zwłoki Ignacia porąbane na sześć części.

Clara poćwiartowała ciało. Podnosi wzrok. Jest spocona z wysiłku, w rękę trzyma siekiere pokrytą krwią, która powoli zasycha, staje się jeszcze bardziej lepka i gęsta.

– Co ja zrobiłam? Ty mnie o to pytasz? Staram się dać nam szansę. I ułatwić pracę. Nie dałybyśmy rady przenieść go w całości, nawet we dwie. Ma prawie dwa metry i jest nieźle nabity – mówi i wskazuje zwłoki głową, nie patrząc na nie. – Zresztą i tak był praktycznie porąbany na kawałki. Podaj worki – rozkazuje Janie zdecydowanym tonem, jakby poćwiartowała kurczaka na kolację i zamierzała go starannie zapakować, jak przystało na dobrą służącą.

Jana przez kilka sekund stoi bez ruchu. Nie może uwierzyć w to, co się stało. Dopiero spojrzenie Clary tchnie w nią siłę. Rozumie, dlaczego siostra postąpiła w ten sposób. Wie, że chce ją chronić. Nie ma już odwrotu.

Widok jest jednocześnie makabryczny i groteskowy: w jednym worku ręka i głowa o absurdalnie wytrzeszczonych oczach; w drugim, najcięższym, tułów; w trzecim obie nogi, zgięte w kolanach, jakby klęczał, błagając o litość; w czwartym prawa ręka i zakrwawiony dywan.

– Szybko, zanim zaczną przeciekać – mówi Clara, biorąc jeden z worków. – Ty weź ten – wskazuje Janie. – Zrobimy dwie rundki.

– Rundki dokąd?

– Na klif.

Jana posłusznie wypełnia polecenie. Zaczyna rozumieć, co jej siostra zamierza zrobić z ciałem panicza Ignacia. Sama nie jest w stanie myśleć, wzbudzić w sobie żadnych emocji, czegokolwiek zaplanować. Jest całkowicie zablokowana.

Scena jakby wzięta z filmu grozy: dwie siostry przenoszą nocą nad brzeg przepaści rozczłonkowane zwłoki. Brakuje tylko szalejącej burzy albo księżycy w pełni rozjaśniającego mrok. Ciemność okazuje się ich sprzymierzeńcem, pomaga utrzymać całą operację w tajemnicy. Clara i Jana z mozołem przenoszą ciężkie pakunki na krawędź klifu, drogę wskazują im instynkt i słabe światło nocy. Składają worki przy ruinach wojskowej wieży San Telmo, tuż nad kaplicą Świętej Justy, ukrytą za skalnym załomem, niewidoczną dla ich oczu.

Clara bierze z ruin kamienie i wkłada je do worków, które związuje mocno sznurkiem z rafii. We dwie bujają pakunkami, żeby poleciały jak najdalej od pionowej skalnej ściany; żeby wpadły do morza. Robią to bez słowa, wymieniają jedynie zimne, porozumiewawcze, zdesperowane spojrzenia.

Drugą podróż odbywają szybciej, w pośpiechu. W każdym momencie może się obudzić ktoś ze służby i nakryć je na gorącym uczynku. Mają szczęście. Wygląda na to, że dom nadal pogrążony jest w ciszy.

Teraz muszą posprzątać. Wrzątek, który przyniosła z kuchni Jana, stygnie. Zaczynają zmywać nim krew. To błąd. Ciepła woda jedynie utrwała plamy na drewnie. Skąd mogły wiedzieć? Na szczęście większość wsiąkła w dywan, który leży już na dnie morza.

W końcu udaje im się usunąć ślady krwi zimną wodą i amoniakiem. Najtrudniej schodzą z obicia krzesła. Otwierają okna, żeby wywietrzyć zapach śmierci. Biblioteka jest znowu lśniąca, uporządkowana. Ścielą łóżko panicza, nic nie wskazuje na to, że niedawno ktoś na nim leżał.

Kładą w bibliotece niemal identyczny dywan, który znalazły w sypialni don Ignacia. Doña Elvira prawdopodobnie się zorientuje, ale coś

wymyślą.

Jeszcze raz sprawdzają, czy wszystko jest czyste i na swoim miejscu, czy nie zostawiły żadnych śladów, czy nie zachował się żaden podejrzany zapach. Wycierają siekierę, nawet obsypują ją drzazgami i ziemią strząśniętymi z innych narzędzi. Wychodzą na drogę prowadzącą do Ubiarco i zatrzymują się za zakrętem, gdzie ukryte za figowcem i kępą krzaków bije źródło. Rozbierają się do naga, dokładnie myją lodowatą wodą, zakładają czyste ubrania. Są wykończone. Nie udaje im się sprać całej krwi ze starych ubrań, chowają je więc w trudno dostępnej norze i zasłaniają wylot kamieniami. Zabiorą je kiedyś, na spokojnie, kiedy nikt nie będzie widział.

Szybkim krokiem wracają do Casa Azul. Clara szeptem udziela siostrze precyzyjnych instrukcji. Rano doña Elvira i reszta służących będą się zastanawiali, gdzie się podział panicz. One także. Jak wszyscy zdziwią się, że go nie ma. Będzie wyglądało na to, że nie spędził nocy w pensjonacie. Zasugerują, że wybrał się do Santanderu, do kasyna. Może przyjechał po niego samochodem któryś z bogatych kolegów. W grę wchodzi też inne wyjaśnienia, mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Na przykład takie, że podchmielony poszedł na piechotę do Ubiarco. Wczoraj dużo wypili do kolacji, a panicz nalał sobie jeszcze whisky. Clara przysięgnie, że widziała go w salonie z kieliszkiem. Nie mógł się wybrać daleko; pan Chacón odmówił mu luksusu posiadania auta, żeby nie ułatwiać synowi uciekania od obowiązków związanych z letnim sezonem.

Mózg Clary pracuje na pełnych obrotach. Jana posłusznie przytakuje, jakby jej ciało nie należało do niej, jakby wszystko, co się dzieje tej nocy, było gorzkim, obrzydliwym, przerażającym, oblepiającym koszmarem. Clara ostrzega siostrę – prawdopodobnie w Casa Azul pojawi się Gwardia Cywilna. Bo w końcu zgłoszą zaginięcie panicza. Muszą działać z głową, na zimno. Doña Elvira być może wspomni, że niektórzy w miasteczku plotkują – a wręcz zapewniają – że panicz utrzymywał „bliźsze” stosunki z jedną ze służących. Intymne stosunki, na rany Chrystusa! Jana musi wszystkiemu zaprzeczyć. W najgorszym wypadku niech przyzna, że panicz okazywał jej serdeczność, ale ona, prosta dziewczyna ze wsi, po prostu wykonywała swoją pracę służącej, zarówno w Santillanie, jak

i w pensjonacie przy plaży. Nie miała żadnych większych aspiracji, żadnych marzeń.

Kiedy wchodzi do Casa Azul, dom nadal pogrążony jest w ciszy. Za dwie godziny zacznie świtać. Clara się niepokoi – wyczuwa zapach amoniaku. Wchodzi do salonu i widzi, że obicie krzesła jeszcze nie wyschło. Przebiega po pomieszczeniu szklanym wzrokiem. Bierze do połowy opróżnioną butelkę likieru kawowego i wylewa odrobinę na wilgotne miejsce; intensywny aromat zamaskuje zapach amoniaku, poza tym łatwo będzie wytłumaczyć mokrą plamę. Stawia likier na parapecie, obok szklanki i pustej butelki po whisky, której resztkę wylała na dywan. Może panicz był pijany i rozlało mu się trochę alkoholu. Może upojony latem i whisky wybrał się na nocny spacer, zszedł na plażę i postanowił wykąpać się w morzu; Jana zapewni, że podobno zawsze tak robił, kiedy przeholował z winem i likierem. W końcu to hulajdusza. Najprawdopodobniej Morze Kantabryjskie postanowiło utopić pijanego szlachcica, wciągnąć go w jeden ze swoich wirów i połknąć. Nie zamierzało wypluć go na żadnej pustej plaży czy na skałach dostępnych klifów.

Na szczęście w Casa Azul nie ma jeszcze gości. Sezon zaczyna się w połowie czerwca, dopiero za dziesięć dni. Dzięki temu zdołały uniknąć wielu wścibskich spojrzeń.

Muszą być silne, muszą wierzyć we własną wersję wydarzeń, jakby była jedyna, prawdziwa. To, do czego w rzeczywistości doszło tej nocy, nigdy nie miało miejsca. To był tylko zły sen, o którym zapomną, tak jak szczęście już dawno zapomniało o nich. Powiedzą, że poszły spać; spędziły noc razem, w jednym łóżku, jako że Clara była gościem jednej ze służących. Powiedzą, że jak co dzień wstały o świcie, żeby przygotować śniadanie. I że kiedy później zapukały do sypialni panicza, okazało się, że go tam nie ma.

Gdy wślizgują się do zimnego, nieprzyjaznego łóżka, Jana wybucha szlochem.

– Co ja teraz zrobię? – pyta Clary.

– Będziesz żyła dalej, jak robiłyśmy zawsze – odpowiada siostra. – Bądź cicho – dodaje łagodnym tonem. – Nie powinnaś tak hałasować. Wszyscy

mają myśleć, że śpimy.

Jana potakuje głową, ale nie jest w stanie zapanować nad płaczem.

– Bez Ignacia prawdopodobnie zamkną pensjonat. Jego ojciec przeszuka całą Kantabrię. Złapią nas, Claro. Skażą na garotę. Chcę umrzeć. Chcę umrzeć! Mój Boże, jak do tego doszło?

Jana zanosi się spazmatycznym szlochem, z którego biją rozpacz i zmęczenie. Nie wierzy w to, co się stało, jej umysł wypiera tę noc, całe to barbarzyństwo. Łapie się za brzuch – jest jeszcze płaski, ale w środku pulsuje już mikroskopijna grudka ciała i krwi.

Clara przytula siostrę, kołysze ją w ramionach, próbując dać jej ukojenie, którego nie znajduje dla samej siebie. Może wcale go nie potrzebuje. Może Ignacio zasłużył na to, żeby skończyć w morskiej otchłani pośród ryb.

– Zachowaj spokój. Wszystko będzie dobrze – pociesza Janę. – Pamiętaj, że musimy przedstawić Gwardii Cywilnej tę samą wersję. Powiemy prawdę. Nie było cię w sypialni tego łajdaka. Nie zdarzyło się nic więcej tej nocy. Poszliśmy spać. Koniec kropka. Jeżeli zapytają, czy łączyło cię coś z paniczem, powiesz, że nie. Że wiesz tylko, że mieli go wydać za córkę markiza San Vicente de la Barquera.

Jana momentalnie przestaje czkać i szlochać.

– Ale co ja zrobię z brzuchem? Mój Boże, lada chwila zaczną rosnać. – Jana czuje, że nie może mówić, płacz dusi słowa, wywołuje ból w gardle, w żołądku, w płucach.

– Coś wymyślę. Mama nauczyła mnie dużo o ziołach. I babcia. Znam kilka na poronienie.

– Claro! Nie...

– Tak, wiem, że to grzech. Grzech przeciwko piątemu przykazaniu. To niewinna istota, nie to, co ten łajdak. Coś wymyślimy.

– Ale nie możemy skrzywdzić dziecka, Claro. Nie możemy. Myślałam... Myślałam, że jeśli to będzie chłopiec, nazwę go Antonio.

Clara uśmiecha się smutno. Jej siostra zakłada, że urodzi chłopca. Malutki Antonio zmieciony przez wojnę w wejściu jaskini nieświadomie zabrał ze sobą tamtego straszliwego, toksycznego dnia jakąś cząstkę ich dusz.

– Masz rację. Nie zrobimy nic dziecku. Bądź spokojna. Coś wymyślę. Nikt się nie dowie.

– To niewybaczalny grzech. Ignacio nie żyje. Zrzuciłyśmy go do morza.

– Niewybaczalny jest nie grzech, ale to, co chciał zrobić – odpowiada Clara, poważna i zimna. Jej spojrzenie stało się nagle twarde jak diament. – Ma to, na co zasłużył. Nie zapominaj, że chciał cię porzucić jak psa. Ma to, na co zasłużył – powtarza z determinacją. – Widziałyśmy gorsze rzeczy podczas wojny i nic się nie stało. Przestań wreszcie płakać, rano będziesz miała zapuchnięte oczy – mówi, po czym z czułością ociera siostrze łzy i znów zaczyna ją kołysać.

Nie mogą zasnąć. Leżą przytulone i w końcu godzą się z tym, że od tej pory świat będzie dla nich pełen przeszkód, lęku, poczucia winy. Stanie się pustynią. Ale Clara nie zamierza przegrać już ani razu więcej. Obmyśla plan, rozwiązanie. Może jeszcze zdołają się uratować. Przynajmniej Jana. Ma obowiązek się nią zaopiekować i robi to z przyjemnością. Jest przekonana, że powinna wynagrodzić jej cierpienia, dać odrobinę radości. Czuje się odpowiedzialna za nieszczęście młodszej siostry. Musi zaopiekować się nią jak należy. Nie zawiedzie jej. Odda jej minuty, godziny, lata swojego życia, które od śmierci matki i brata i tak wydaje się wzięte na kredyt. Będzie dla Jany tarczą, trampoliną. Sama czuje się wolna, silna, wszechmocna, jak każdy, kto nie ma nic do stracenia.

To była bardzo długa noc; naznaczyła je na resztę życia niedającymi się wygładzić zmarszczkami. Tytaniczny wysiłek, nieopisany horror, głęboki ból. Zatarły ślady, opracowały strategię. Miały dużo roboty. Tyle że w drodze powrotnej z klifu nie zauważyły dwóch osób, które oniemiale obserwowały je zza węgła Casa Azul.

Na ogół śledztwo wymaga więcej głów niż środków.

SEVERO OCHOA (1905–1993)

Piątek, 12 lipca. 8.30 rano.

Deszcz ustał, bezchmurne niebo zwiastowało słoneczny, spokojny dzień. Mimo tej obiecującej prognozy pogody w sali odpraw komendy w Santanderze panowała raczej burzowa atmosfera.

Jacobo Riveiro kompulsywnie porządkował notatki, żeby jak najklarowniej przedstawić kolegom zdobyte informacje. Wszystkie spojrzenia skierowały się w jego stronę – on miał zabrać głos pierwszy. Valentina zaczęła naradę od streszczenia tego, czego poprzedniego dnia dowiedzieli się z podporucznikiem Sabadelle, a teraz każdy miał podzielić się swoimi odkryciami, żeby mogli skorygować dotychczasowe linie śledztwa bądź wyznaczyć nowe.

– A więc... – zaczął Riveiro, spoglądając na Valentinę, która rozłożyła przed sobą ogromny schemat. – Po pierwsze kilka nowych informacji z zakładu medycyny sądowej. Mamy wyniki badań balistycznych. Wczoraj wieczorem zadzwonili do mnie z Logroño i przesłali mi faksem zwiąły raport na temat broni, z której postrzelono Pedra Salasa. Astra M tysiąc dziewięćset dwadzieścia jeden, kaliber dwadzieścia dwa, którą ze względu na cylindryczną lufę nazywano w tamtych czasach cygarem – przeczytał z notatek.

– W tamtych czasach? – zapytała Valentina.

– Była produkowana w Walencji między tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym a tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym rokiem; w sumie wypuszczono jakieś... sto tysięcy sztuk. Produkcję wstrzymano, kiedy w czterdziestym szóstym astra przestała być oficjalnie bronią służbową, chociaż wojskowi nadal jej używali.

– Jak to wojskowi? Była na uzbrojeniu armii? – przerwała zdumiona Valentina.

– Na to wychodzi. Jedyne oficjalne służbowe broń hiszpańskiej armii w okresie wojny domowej. Nosila ją nawet eskorta prezydenta republiki.

– Czyli mamy stary rodzaj broni należącej najpewniej do starszej wiekiem osoby... Domyślam się, że porównanie pocisku z aktami

wcześniejszych spraw nie przyniosło żadnych rezultatów – powiedziała sceptycznym tonem Valentina, bardziej do siebie niż do sierżanta i reszty zespołu.

– Nie, nie ma żadnych informacji, które pozwoliłyby zidentyfikować właściciela broni.

– A jeżeli broń wcale nie należy do starszej osoby? – wtrąciła Marta Torres. – Równie dobrze może to być ktoś młody... jakiś kolekcjoner albo ktoś, kto po prostu odziedziczył ten konkretny pistolet.

– To prawda – odparła Valentina. – Uważam jednak, że morderca to osoba starsza, nie tylko ze względu na broń, ale też na wiek ofiar. Kieruję się statystykami kryminalnymi, choć oczywiście one o niczym nie przesądzają. Kontynuuj, Riveiro.

– Pomyślałem, i to już moje własne wnioski, że zabójca użył tłumika, bo taka stara pukawka na pewno robi dużo hałasu... Ale oczywiście to tylko przypuszczenia. Tyle, jeśli chodzi o balistykę. Będę dalej badał ten trop w kontakcie z laboratorium w Logroño. Najistotniejsza informacja, która ostatecznie łączy zabójstwa Pedra Salasa i Davida Viesgo, jest taka, że u obu mężczyzn wykryto pomarańczowy proszek, a dokładnie... – Riveiro przerwał, żeby zerknąć do notatek. – ... tetratlenek triołowiu, zwany minią ołowiową.

– Jak to? Tetratlenek triołowiu? Zażyli go?

– Nie. Pedro Salas miał go na plecach koszuli, śladowe ilości. Ciało długo leżało w wodzie, co znacznie utrudniło analizę ubrania. U Davida Viesgo wykryto go znacznie więcej, na podszwach i na mankietach spodni.

– To oznacza, że albo obaj byli przed śmiercią gdzieś, gdzie występuje ten proszek, albo morderca ma swój punkt zakotwiczenia w miejscu, w którym można go znaleźć.

– Albo i jedno, i drugie – stwierdził Riveiro. – Załóżmy, że proszek był na podłodze: Viesgo w niego wdepnął, a Salasa kopnął ktoś, kto w niego wdepnął. Zastanawiałem się nad tym. Salas miał proszek na koszuli, zabójca mógł zepchnąć go z falochronu stopą. Pamiętajmy, że zginął wskutek utonięcia, strzał w brzuch nie był śmiertelny. Kiedy Salas zgiął się wpół, wystarczyło lekko pchnąć go nogą czy ręką, żeby wpadł do wody.

Valentina z podziwem skinęła głową – Riveiro potrafił doskonale wizualizować sceny zbrodni.

– Zgadzam się z tą teorią. Bardzo możliwe, że zabójca opuścił kryjówkę, żeby wyeliminować Pedra Salasa, natomiast David Viesgo sam się do niej udał. To by znaczyło, że lekarz prawdopodobnie znał sprawcę. Dobra robota, Riveiro, zacieśniamy krąg. Dobrze by było jeszcze wiedzieć, czy technicy znaleźli tetratlenek triołowiu w sali, gdzie leży Juan Ramón Ballesta, ale obawiam się, że przyjdzie nam trochę poczekać – westchnęła Valentina. – Sprawdziłeś, do czego wykorzystuje się ten tlenek?

– Tak, trochę o tym przeczytałem. Stosuje się go w farbach antykorozyjnych do metali, przy produkcji akumulatorów samochodowych... Ma wiele zastosowań, ale największe ilości wykorzystywane są w przemyśle chemicznym i ceramicznym.

Funkcjonariusze wymienili spojrzenia. Sabadelle grzebał w pamięci, ale nie mógł sobie przypomnieć, gdzie czytał albo słyszał o minii ołowiowej. Kapral Camargo odważył się powiedzieć to, co chodziło po głowach także jego kolegom:

– Solvay?

Miał na myśli największe w Kantabrii zakłady chemiczne z ponadstuletnią historią, związane z Torrelavegą, gdzie znajdowała się główna fabryka.

– Niewykluczone – zgodził się Riveiro – ale trzeba to jeszcze zbadać. Możliwe, że w Santanderze też jest jakaś fabryka, w której wykorzystuje się ten związek. Ma masę różnych zastosowań, to jak szukanie igły w stogu siana.

– Powinniśmy się skupić na niewielkich zakładach z okolic Suances i Comillas. Nie mamy czasu, żeby szukać w całej Kantabrii – stwierdziła Valentina. – Potem zobaczymy, jak się zorganizujemy. O ile dobrze pamiętam, Ballesta pracował w Solvayu. Może to przypadek, ale nie wykluczajmy możliwego związku. Mów dalej, Riveiro.

– Wczoraj rozmawiałem jeszcze z Rebecą, córką Salasa. Powiedziała, że z tego, co sobie przypomina, ojciec zaczął wypłacać im miesięczne „kieszonkowe” kilka miesięcy po śmierci dziadka.

– Dziadka? A kto był jej dziadkiem?

Marta Torres weszła w słowo sierżantowi i odpowiedziała za niego:

– Pedro Antonio Salas, też rybak. Syn miał na imię tak samo jak ojciec. Sprawdziliśmy go z Zubizarretą i okazuje się, że był jednym z najaktywniejszych działaczy republikańskich w okolicy. Spędził wiele lat w górach. Nazywali go Jednoręki, bo podczas wojny domowej stracił dłoń. I najlepsze: pytaliśmy o niego w barze La Chalana i nie zgadnicie, z kim się przyjaźnił. Z Davidem Fernándezem!

– A to...?

– Starszy brat Jany Ongayo. Z domu Fernández Campillo.

– No proszę. Robi się ciekawie. Niech Riveiro dokończy, a potem powiecie nam, co ustaliliście, zgoda?

Torres skinęła głową.

– Niestety rozmowa z wdową po lekarzu była niezbyt owocna – ciągnął sierżant. – Jest w bardzo kiepskiej formie, ledwo mogła mówić. Powiedziała, że jej mąż nie utrzymywał bliskich relacji z Ongayową, po prostu była jego pacjentką i od czasu do czasu konsultowała się z nim z powodu różnych dolegliwości. Viesgo dorabiał sobie nieoficjalnie do emerytury wizytami domowymi, zazwyczaj jednego dnia objeżdżał kilku pacjentów, ale zdaniem żony akurat na wtorek był umówiony tylko z Ongayową. Zapytałem ją o tetratlenek triołowiu, biedna kobiecina nawet nie potrafiła wymówić tej nazwy. Żadnych wrogów, żadnych zadawnionych uraz, nic.

– Możemy zaryzykować hipotezę, że lekarz znał zabójcę: udał się do jego kryjówki i najspokojniej w świecie wypił z nim herbatę. Niewykluczone więc, że zna go także jego żona – stwierdziła z namysłem Valentina.

– Tak, ale na razie tylko tyle udało mi się z niej wyciągnąć. W sprawie zwłok noworodka też nie ma żadnych postępów. Rozmawiałem z laboratorium w Madrycie, twierdzą, że będzie bardzo trudno ustalić przybliżony czas zgonu, ale spróbują jeszcze metody... – Riveiro znów przerwał, żeby zajrzeć do notatek. – ...fluorescencji i racemizacji kwasu asparaginowego, chociaż nie są one zbyt rozwinięte, bo zgodnie z prawem po dwudziestu latach zbrodnia ulega przedawnieniu, więc analizowanie tak starych szczątków nie ma większego sensu.

Valentina westchnęła. Urwany trop.

– Zostało nam jeszcze DNA, prawda?

– Tak. Wysłaliśmy próbki do prywatnego laboratorium i za kilka godzin, najpóźniej do końca dnia, powinni przesłać wyniki technikom, żeby porównali je z naszą bazą danych. I to by było na tyle – podsumował Riveiro sceptycznym tonem.

Valentina skończyła notować i zwróciła się do podporucznika:

– Powiedz nam, czy wczoraj po południu udało ci się coś jeszcze ustalić.

– I to całkiem sporo. Siedziałem nad tym do trzeciej w nocy, bo akta tej sprawy to kilkadziesiąt ręcznie zapisanych kartek – wyjaśnił Sabadelle, kładąc nacisk na godzinę, do której rzekomo pracował. – Najbardziej pomocne okazały się zapiski na marginesie zrobione przez gwardzistę, który prowadził śledztwo: wnioski, hipotezy, opinie o świadkach. A zatem: Ignacio Chacón, lat dwadzieścia osiem, zniknął w nocy trzeciego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku z pensjonatu Casa Azul w Ubiarco, który należał do jego rodziny. Podobno z faceta był straszny nierób i pies na baby, dlatego żeby go czymś zająć, ojciec, emigrant, który wzbogacił się w Meksyku i wrócił jako wielce czcigodny pan, oddelegowywał go latem do kierowania hotelem. Początkowo myślano, że chodzi o jakieś miłosne porachunki, bo dzień po zniknięciu Chacona w pensjonacie pojawił się narzeczony jednej ze służących, niejaki Luis Salvador. Był rybakiem i mieszkał w Comillas. Ignacio Chacón rzekomo bzykał jego wybrankę. Luis trafił do więzienia w Santanderze, gdzie czekał na proces. W końcu jednak chłopakowi udało się udowodnić, że ma alibi na noc, kiedy zniknął Ignacio, nawet stary Chacón się za nim wstawił. Puścili go do domu, gdzie swoją drogą czekała na niego inna dziewczyna, z którą zresztą chyba się później ożenił. Prawdziwa telenowela. Ponieważ w noc zniknięcia zarówno Ignacio Chacón, jak i służący sporo wypili...

– Służący też pili? – przerwała Valentina, unosząc brwi.

– Owszem. Urządzili sobie kolację z okazji inauguracji sezonu, za parę dni spodziewali się pierwszych gości. Kiedy służący poszli spać, Chacón został na górze i podobno sam obalił całą butelkę whisky, która została pusta w bibliotece. Plus to, co wypił wcześniej do kolacji. Dlatego

rozważano możliwość, że facet się upił i spadł z klifu, ale ta opcja odpadła, kiedy czternastego sierpnia tego samego roku na plaży Santa Justa, przy której stał hotel, pojawił się worek z jego dwiema nogami i sztandarem nacjonalistów, z orłem i innymi frankistowskimi symbolami.

– O kurde – wymknęło się sierżantowi; także pozostali funkcjonariusze wyglądali na zdziwionych tymi rewelacjami.

– A skąd wiedzieli, że to jego nogi? W tamtych czasach nie było badań DNA ani nic w tym rodzaju... – drążyła Valentina.

– Poćwiartowali go w ubraniu, rodzina rozpoznała spodnie i buty. Pochowali więc nogi w rodzinnym panteonie, licząc na to, że morze wyrzuci brakujące kawałki, ale już nic więcej się nie pojawiło. Najlepsze jednak zostawiłem na koniec... – Sabadelle zrobił teatralną przerwę, dokonując nadludzkich wysiłków, żeby nie cmoknąć językiem. – Zgadnijcie, kto znalazł na plaży worek i jak nazywała się służąca, która rzekomo miała romans z Chaconem.

– Jana Ongayo? Ona była służącą? – strzeliła zdumiona Valentina.

– Zgadza się. Jana Fernández, bo tak brzmi jej panieńskie nazwisko. Tamtej fatalnej nocy nie była sama, towarzyszyła jej siostra Clara, która – uwaga, uwaga – służyła u Ongayów. Reszta służących raczej nas nie interesuje, nie mają związku ze sprawą, ale jeszcze ich sprawdzę.

– Siostra Jany służyła u Ongayów? – niemal wykrzyknęła ze zdumienia Valentina. – To zaczyna przypominać *Dynastię*. Czeka, nie mów, kto znalazł worek. Juan Ramón Ballesta? Bredził coś o worku, o tajemnicy i o tych z gór.

– Tak jest, Juan Ramón Ballesta. Zawiadomił Gwardię Cywilną, utrzymywał, że natknął się na worek rano na plaży.

– To jakaś strasznie zagmatwana historia – powiedziała z namysłem Valentina, spoglądając na schemat pełen notatek i strzałek łączących poszczególne tropy. – Coś jeszcze?

– Na razie nie, muszę potwierdzić te wszystkie informacje i przeświecić osoby wspomniane w aktach: rybaka, służących, zaginionego, no i gwardzistę, który prowadził dochodzenie. Zaraz sprawdzę w SIGO, czy jeszcze żyje – stwierdził Sabadelle, mając na myśli bazę danych

Gwardii Cywilnej, której nazwa była hiszpańskim skrótowcem od Zintegrowanego Systemu Zarządzania Operacyjnego.

– W porządku. Noworodek z Villa Marina musi mieć związek z Chaconami, a może nawet ze zniknięciem Ignacia Chacona. Elementem łączącym jest Tlaloc. Villa Marina należała do Jany Ongayo, która służyła u Chaconów w czasie, kiedy zaginął syn marnotrawny. Doskonała robota, Sabadelle. Wspaniale. Zajmuj się dalej tym wątkiem. Jeżeli odkryjesz coś ciekawego, natychmiast mnie zawiadom, niezależnie od pory.

– Tak zrobię – odpowiedział Sabadelle.

Reszta zespołu z uśmiechem przyglądała się przełożonej i podporucznikowi. Wyglądało na to, że po tym, jak szefowa zagroziła ich koledze katana, zawarli rozejm na polu zawodowym.

– Jeżeli o nas chodzi – zaczął kapral Camargo, wskazując wzrokiem Torres i Zubizarretę, którzy najwyraźniej zgodzili się, żeby mówił w ich imieniu – sprawdziliśmy firmę Bocartes Ongayo i okazuje się, że ostatnio straciła sporo na wartości, musiała nawet czasowo wypowiedzieć umowy o pracę pięćdziesięciu pracownikom z przetwórni w Santoñi, ale nie jest zadłużona. To spółka akcyjna, posiada kilka nieobciążonych długami nieruchomości, w ciągu ostatnich dziesięciu lat część z nich sprzedała, prawdopodobnie po to, żeby zachować płynność finansową.

– Krótko mówiąc: nie idzie im źle, ale też nie idzie im jakoś szczególnie dobrze. Nie grozi im jeszcze bankructwo, prawda?

– Nie, wciąż są jedną z najbardziej liczących się firm w swojej branży, ale widać, że dopadł ich kryzys. Jeśli chodzi o prywatny majątek, Jana Ongayo jest właścicielką trzech domów w Comillas: tego, w którym mieszka, i dwóch innych, które wynajmuje, a także dwóch lokali użytkowych i mieszkania; nie udało nam się jeszcze potwierdzić, czy te ostatnie też wynajmuje. Żadna z nieruchomości nie jest zadłużona. Prowadzi interesy w Ameryce Południowej i ma kilka nieruchomości w Chile, wygląda na to, że też nieobciążonych. Nie mamy wglądu do jej kont bankowych, chyba że sędzia Talavera poleci je prześwietlić, ale ponieważ wszystkie nieruchomości są wolne od obciążeń, Ongayowa raczej nie ma problemów finansowych.

– W porządku. Coś jeszcze?

– Jana Ongayo, a raczej Jana Fernández, miała nie dwoje, a troje rodzeństwa: Antonia, który zginął podczas wojny domowej jako małe dziecko; Davida, który rzeczywiście dziewięć lat temu zmarł we Francji; i Clare, która przysporzyła nam najwięcej kłopotów. Jej pełne nazwisko to Clara Fernández Campillo. Nie udało nam się dotrzeć do jej aktu zgonu, a w urzędzie stanu cywilnego nie figuruje ani jako zmarła, ani jako żywa.

– Jak to możliwe? Wyjaśnij mi to, proszę, bo brakowało nam do szczęścia już tylko ducha – westchnęła Valentina.

– Jest zameldowana w Hinojedo, ale wpis pochodzi z tysiąc dziewięćset dwudziestego szóstego, roku, kiedy się urodziła. W domku, w którym mieszkali, jest teraz agroturystyka. Właściciele nigdy nie słyszeli o Fernándezach. Nie trafiliśmy na żaden numer telefonu, żadną nieruchomość, żadną działalność gospodarczą zarejestrowaną na jej nazwisko. Nie istnieją też żadne umowy na prąd, wodę czy wynajem mieszkania. Nic. Kompletna pustka. Jedyne wyjaśnienie jest takie, że w urzędzie zgubili akt zgonu, niemniej to dosyć dziwne. Najprawdopodobniej nie żyje, tak jak powiedziała jej siostra, ale może powinniśmy jeszcze porozmawiać z Clarą Múgicą i Janą Ongayo, żeby wyjaśnić tę kwestię. Ostatnia informacja, jaką mamy na temat Clary Fernández, wskazuje, że służyła u Ongayów i że pod koniec lata tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku jej miejsce zajęła siostra. Od tamtej pory losy Clary Fernández pozostają tajemnicą.

– Po odprawie zadzwonię do Clary Múgiki i do jej matki. Jeżeli czuje się lepiej, umówię się z nią na popołudnie... Jestem pewna, że ta kobieta ma coś wspólnego z Tlalokiem, a może i z zabójstwami. To dziwne, że ot tak po prostu oddała dom dziadkom pana Gordona. Co prawda ledwo chodzi, ale może mieć współnika. Powinniśmy przesłuchać dokładniej także Olivera Gordona. A właśnie, co z przyrodnim bratem Ongayowej?

– Wyprowadził się do Cartageny i nadal tam mieszka. Jest właścicielem trzech lokali gastronomicznych na wybrzeżu, jeden jeszcze spłaca. Mają nawet własne strony internetowe. Żona urodzona w Murcji, trójka dzieci. Nie był notowany, dostał tylko kilka mandatów, wszystkie w Murcji. Nie wygląda na to, żeby miał jakikolwiek związek z Kantabrią i z tą sprawą.

Jego matka, czyli macocha Jany Ongayo, przeniosła się do Cartageny dwadzieścia pięć lat temu i zmarła w styczniu tego roku. O ile nic nam nie umknęło, naszym zdaniem ten trop donikąd nie prowadzi.

– W porządku – odparła zamyślona Valentina. – Mam dla was jeszcze jedno pilne zadanie: sprawdźcie, proszę, alibi Clary Múgiki na czas zabójstwa Davida Viesgo i Pedra Salasa. Kiedy zginął doktor, ponoć była w pracy, a kiedy zastrzelono Salasa – w domu z mężem. Potwierdźcie to. Nie możemy niczego zaniedbać.

Puk, puk. Ktoś nerwowo zastukał do drzwi i wszedł, nie czekając na zaproszenie. Niczym w przewidywalnym filmie puszczanym w poobiedniej porze odprawę znowu przerwał ten sam kapral.

– Pani porucznik, dzwoni Oliver Gordon, podobno to pilne. Przełączyć rozmowę do pani gabinetu?

– Tak, przełącz, odbiorę u siebie – odpowiedziała pośpiesznie Valentina, obserwowana przez zaintrygowanych kolegów. O co chodzi tym razem?

Wróciła do sali pobladała na twarzy. Od razu przeszła do rzeczy:

– Rozdzielmy szybko dzisiejsze zadania. Riveiro, pojedziesz ze mną do Villa Marina: ktoś oblał benzyną dom Olivera Gordona i zostawił mu na ganku przybitą nożem wiadomość, że ma się wynosić. Camargo, wezwij, proszę, techników. Reszta niech dalej zbiera informacje, zgodnie z tym, o czym rozmawialiśmy. Sabadelle, poza zgłębianiem sprawy Ignacia Chacona, spróbuj skontaktować się z siostrą Mercedes. Wy – Valentina wskazała Camarga i dwoje młodych funkcjonariuszy – zajmijcie się Clarą Fernández, wypytajcie o nią sąsiadów, znajomych, mieszkańców miasteczka. Bądźcie dyskretni. Zadzwońcie do mnie od razu, jeżeli się czegoś dowiedziecie.

Wszyscy przytaknęli. Kiedy zaczęli się zbierać do wyjścia, w drzwiach pojawił się kapral, który przed chwilą poinformował o telefonie od Olivera. Na jego twarzy malował się niepokój.

– Pani porucznik, dzwonili z posterunku w Comillas.

– I?

– Jana Ongayo. Zdaje się, że ją sprawdzacie. Dziś rano popełniła samobójstwo przed własnym domem.

DZIENNIK (13)

Sierpniowy wieczór 1948 roku. Przed romańską kolegiatą Świętej Juliany w Santillanie del Mar wystawiana jest sztuka teatralna o mocno religijnej symbolice. Wśród licznej publiczności jest też rodzina Chaconów. Panuje świąteczna, magiczna atmosfera. To jeden z tych ciepłych wieczorów, kiedy nikt nie pogardzi kieliszkiem wina ani okazją, żeby się pośmiać, by choć trochę umilić sobie życie. Nie można było wybrać lepszej scenerii: równie monumentalnej, majestatycznej, tajemniczej. Spowici mistycznymi cieniami nocy aktorzy wystawiają *Szpital dla wariatów* Joségo de Valdivielso.

Ktoś podchodzi do Antonia Chacona, który próbuje skupić się na sztuce. Jego uwagę rozprasza fasada kościoła. Roztańczone płomienie setek świec sprawiają, że blisko tysiącletnia kamienna ściana wydaje się złota, wodnista, falująca niczym powierzchnia morza. Ten ktoś to Florentino, jego zaufany służący. Mówi mu coś do ucha, szeptem, jakby chodziło o jakieś wstydlive, mroczne wyznanie. Pani Chacón, która siedzi z córką Dolores zaledwie kilka metrów dalej, uważnie im się przygląda – odkąd zniknął Ignacio, ma nerwy w strzępach.

Nic dziwnego, matka nie wie, gdzie jest jej syn. Od kilku tygodni praktycznie nie śpi, jest czujna, niespokojna, podejrzliwa. Dzisiaj niemal siłą zaciągnęli ją na spektakl, żeby skupiła uwagę na czymś innym. Gwardziści, którzy ją przesłuchiwali, byli impertynency, sugerowali, że przyczyną zniknięcia mogły być gigantyczne długi hazardowe albo republikańska przeszłość jej syna, bo nadal jeszcze się zdarza, że nacjonaści chodzą po wsiach i wyzywają się na byłych czerwonych, a gdy wymaga tego sprawa, pakują im kulkę w łeb i spychają ich z klifu. Peñas Negras, Puente Arce czy San Cipriano są milczącymi świadkami wielu rozstrzelań.

Oczywiście Chaconowie nie dopuszczają żadnego z tych wyjaśnień. Może ktoś porwał Ignacia, żeby wymusić okup na zamożnej rodzinie. Może sprawa wymknęła mu się z rąk i ich syna spotkał tragiczny koniec. Pani Chacón przychodzą do głowy tylko takie literackie wyjaśnienia.

Pan Chacón jest większym realistą. Powoli przetrawia to, co powiedział mu sługa. Spuszcza głowę, kręci nią w geście zaprzeczenia, ale z jego ust nie pada żadne słowo. Wstaje i dyskretnie opuszcza zaimprovizowany amfiteatr. Pani Chacón podąża za nim, zdenerwowana, niemal rozhisteryzowana. Rozumie, że są jakieś nowe wieści. Jej serce zmrożone rozpaczą i niepewnością ociepla płomyk nadziei. Ciekawe, że pyta nie męża, ale służącego. Wie, że jedno władcze spojrzenie wystarczy, żeby wszystko z niego wyciągnąć. Ma rację. Na plażę Santa Justa morze wyrzuciło worek z dwiema gnijącymi nogami mężczyzny, być może panicza Ignacia. W worku jest też kawałek materiału z doskonale rozpoznawalnym godłem: czarnym orłem, pod którym widnieją czerwone jarzmo i strzały. Kolor czarny symbolizuje proch, czerwony – krew. W górnej części znajduje się napis: JEDNA, WIELKA I WOLNA. To frankistowska flaga.

W ten sposób zdaje się potwierdzać teoria o konszachtach Ignacia z czerwonymi. Czyżby rzeczywiście pomagał republikanom, a później partyzantom? Czy to możliwe? A nawet jeśli tak, czy straciliby go mimo jego nazwiska?

To musi być prawda, w przeciwnym razie co robiłyby w worku sztandar nacjonalistów? Tylko po co go tam włożyli, otwarcie biorąc na siebie tę zbrodnię?

Jana i Clara zadają sobie te same pytania, zdumione, zdezorientowane, przerażone. Jak ta demaskująca flaga, która może uwolnić je od wszelkich podejrzeń, trafiła do worka, w którym były przecież tylko nogi i kamienie z ruin wieży San Telmo? Zawiązały go mocno sznurkiem z rafii, Jana zrobiła nawet węzeł żeglarski. A kiedy znaleźli worek, nadal był zamknięty. To po prostu niemożliwe, żeby w środku znalazł się frankistowski sztandar.

Ale kolejny raz odbiegam od tematu. Czas obciąża moją pamięć niczym głaz, znów się gubię w labiryncie przeszłości. Na pewno chcesz wiedzieć, co się wydarzyło po tamtej nocy szaleństwa, morderstwa i ćwiartowania. Już ci opowiadam.

Panika w Casa Azul narastała stopniowo. Najpierw – zdumienie z powodu zniknięcia. Potem – zdenerwowanie z powodu braku jakichkolwiek wieści. Doña Elvira i Jana poszły do Ubiarco i z niedawno otwartej centrali wysłały telegram do urzędu miejskiego w Santillanie del Mar, żeby poinformować pana Chacona o nagłym zniknięciu syna. Musiały przy wszystkich wykrzyzczyć wiadomość telegrafistce, przez co informacja o zniknięciu don Ignacia rozeszła się z prędkością, z jaką w kreskówkach spala się lont dynamitu.

Jednak nie na tyle szybko, żeby dotrzeć do uszu Luisa, zanim zjawiał się bez uprzedzenia w Casa Azul. Nie mógł wcześniej wiedzieć o zniknięciu. Ale też trudno uwierzyć, że chodziło wyłącznie o niefortunny zbieg okoliczności, że jego wizyta była zapisana w gwiazdach albo że ściągnęły go swoimi czarami górskie wiedźmy. Co tam robił? Dlaczego przyjechał właśnie tego ranka, a nie kiedy indziej? Nigdy wcześniej nie był w Casa Azul, a do Ubiarco jeździł tylko sporadycznie, do kuzyna, tego, u którego nocował, kiedy spotykał się z Janą na potańcówkach w Hinojedo.

Powiedz mi, istoto ludzka: wierzysz w przeznaczenie?

Może nie masz odwagi odpowiedzieć i wykręcisz się, mówiąc, że po prostu nie wierzysz w zbiegi okoliczności. Owszem, to, co się wydarzyło, mogło być dziełem przeznaczenia, ale też i żniwem zebrany z starannie obrabianego pola. Nie zadręczaj się, kiedy już dojdziemy do końca, wszystko zrozumiesz.

Jana wpadła na Luisa, kiedy wracały z dołą Elvirą z Ubiarco. Szedł od strony Casa Azul. Gospodyni zostawiła ich na drodze, żeby mogli porozmawiać. Nie oglądając się za siebie, pospieszyła do pensjonatu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest na swoim miejscu. Spodziewała się wizyty pana Chacona, nie mówiąc już o tym, że – daj Boże – w każdej chwili mógł wrócić panicz Ignacio.

– Co tu robisz? – zapytała na powitanie szczerze zdumiona Jana.

– Przyjechałem się z tobą zobaczyć. Ale już sobie idę – odpowiedział Luis, rzucając jej wyjątkowo zimne spojrzenie.

– Jak to sobie idziesz? Już? Nie chciałeś się ze mną zobaczyć? Coś się stało? – dopytywała Jana. Nagle desperacko zapragnęła, żeby ją przytulił, udzielił jej schronienia w swoich ramionach, tchnął w nią swój spokój.

Był całkowitym przeciwieństwem tego, co stało się minionej nocy, którą najchętniej by wymazała.

– Nie, nic się nie stało.

Zapadła cisza, ciężka od domysłów, pytań i wyrzutów. Jana zrozumiała, że żaden mężczyzna nie będzie patrzył na nią tak jak Luis. Pożałowała, że mierzyła zbyt wysoko. Za późno. Żałowała tylko dlatego, że jej nie wyszło.

– Dlaczego już wracasz? Chodź ze mną, porozmawiajmy – próbowała go przekonać.

Luis wahał się zaledwie przez moment.

– Nie. Przyszedłem ci powiedzieć... – W jego spojrzeniu znów odmalowało się niezdecydowanie. – Zresztą tobie i tak już wszystko jedno. Przyszedłem ci powiedzieć, że żenię się z Sarą. Po prostu chciałem, żebyś wiedziała.

Jana poczuła ukłucie bólu, który rozszedł się ciepłym prądem po jej brzuchu i plecach. Intuicja podpowiadała jej jednak, że Luis kłamie. Rozstali się w gniewie, nie fatygowałyby się do Ubiarco specjalnie po to, żeby powiedzieć jej o swoich planach. Może chciał jej zrobić przykrość? Pomyślała, że wszystko stracone. Mimo to zdobyła się na spokój i obojętność.

– Aha. Dziękuję, że przyjechałeś podzielić się ze mną tą dobrą nowiną. Życzę wam wszystkiego, co najlepsze.

– Dziękuję.

Znowu zapadło milczenie. Kiedyś potrafili rozmawiać godzinami, teraz jednak nie byli w stanie sklecić nawet dwóch zdań.

– Będę już szedł – powiedział Luis, robiąc krok naprzód. – Niech ci się dobrze wiedzie, Jano.

– Tobie też.

Patrzyli sobie w oczy do momentu, aż Luis minął Janę, kierując się w stronę Ubiarco. Pięć sekund, dziesięć.

– Luis!

Odwrócił głowę, poważny, odarty ze złudzeń. Już na nic nie liczył. Jana bez namysłu otworzyła przed nim serce.

– Nie myśl, że cię nie kochałam. Kochałam cię każdego dnia, odkąd się poznaliśmy.

Luis uśmiechnął się z niedowierzaniem.

– Były dni, a nawet miesiące, kiedy mnie nie kochałaś.

– Bo wiedziałam, że ty kochasz mnie za nas dwoje – odpowiedziała z uśmiechem.

Luis także się uśmiechnął, jednak jego twarz już stężała i Janie trudno było cokolwiek z niej wyczytać. Skinął głową, ruszył przed siebie i ani razu się nie obejrzał. Jana zrozumiała, że to ostateczne pożegnanie.

Kiedy wróciła do Casa Azul, siostra powiedziała jej o wizycie Luisa. Podobno nawet przez jakiś czas na nią czekał. Ubiegłej nocy Clara wykazała się żelaznymi nerwami i zimną krwią, ale odwiedziny rybaka wyraźnie ją zdenerwowały. W krótkim czasie musiała zabezpieczyć zbyt wiele flank.

Jeszcze tego samego dnia po południu w Ubiarco zjawili się gwardziści i pan Chacón. Funkcjonariusze przeszukali Casa Azul. Przesłuchali troje służących, doñę Elvirę, Clarę i Janę. Niczego nie ustalili. W nocy wszyscy spali, a rano don Ignacia już nie było. Rozpłynął się jak dym. Gwardziści nie mieli żadnego tropu, żadnej teorii poza tą, że prawdopodobnie się upił, sądząc po plamie likieru kawowego na krześle w bibliotece i pustej butelce po whisky. Nie brakowało żadnej z walizek don Ignacia ani jego ubrań, ani pieniędzy. Aby doña Elvira nie zauważyła, że w sypialni panicza nie ma dywanu, Jana i Clara wzięły na siebie sprzątanie pokoi, pod pretekstem, że uwolnią ją od drobniejszych prac, dopóki sprawa się nie wyjaśni.

Pan Chacón był zrozpaczony. Zniknięcie syna marnotrawnego, który tylekroć przyprawiał go o ból głowy, budziło w nim głęboki niepokój. Strach objawia się fizycznie – dla pana Chacona był realny, namacalny, przytłaczający. Czuł, że wydarzyło się coś złego, coś nieodwracalnego. Przeklęty idiota.

Minęły trzy dni. Poszukiwania były intensywne. Nazwisko Chacón otwierało każde drzwi. Gwardziści przesłuchali całe miasteczko.

Wypyтали też rodzinę o plotki dotyczące romansów panicza, ale nie uzyskali żadnych jednoznacznych odpowiedzi.

Kilku bywalców gospody zeznało, że widziało panicza ze służącą, tą ładniutką, zielonooką. I że dziewczyna miała narzeczonego, zanim poszła na służbę do Casa Azul, a potem do domu w Santillanie del Mar, lichy wie po co, bo przecież mają tam już tyle personelu. I że narzeczonego przebywał w Ubiarco w dniu, kiedy zniknął panicz, ale pospiesznie wrócił do Comillas, autobusem o dwunastej.

Insynuacje.

Niewinne komentarze, teorie, których nikt oficjalnie nie formułuje, ale które wszyscy przyjmują za prawdopodobne.

Służąca nie mogła zrobić krzywdy paniczowi, była zbyt drobna. Don Ignacio miał prawie dwa metry wzrostu i ważył ze sto kilo. Czy sardynka da radę pożreć wieloryba? Nie, musiało wydarzyć się coś złego – tylko co? Zaczęto przyjmować za pewnik, że panicz nie żyje. Może pijany poszedł na spacer i spadł z klifu? Ciepło. Ale na plaży, na skałach ani na łące nie znaleziono śladów, które potwierdziłyby tę teorię.

Pan Chacón także przeczuwał, że za zniknięciem latorośli, która przysparzała mu najwięcej problemów, stoi śmierć. Ignacio na pewno sam nie odebrał sobie życia. To niemożliwe: bo co stałoby się z jego ciałem? Ktoś musiał go skrzywdzić, ale kto? Znajomi z miejscowych władz zapewniali, że żadni uzbrojeni nacjonaści nie kręcili się w okolicach Casa Azul, szukając ukrywających się republikanów, żeby na własną rękę wymierzyć dziejową sprawiedliwość. Na pewno by o tym wiedzieli. Zresztą taka bojówka postawiłaby na nogi cały dom. Kto wobec tego tak szarpał im nerwy, zadawał im tyle cierpienia? Pan Chacón musiał znaleźć winnego, którego mógłby obarczyć winą za tę nieznośną niepewność i ukarać.

Stało się więc to, co było do przewidzenia. Potrzebny był ktoś, kto padłby na kolana i błagał o litość. Luis został wezwany do Ubiarco, żeby złożyć zeznania.

Spędził trzy niekończące się dni i noce w lochach urzędu miejskiego. Liczyli, że go złamią i przyzna się do winy. Zagrozili, że wyślą go do

więzienia w Santanderze, gdzie będzie czekał na proces, w którym skazają go na garotę, w najlepszym razie – na dożywocie.

Starania Manuela – kuzyna gwardzisty z Ubiarco – przyniosły efekt, dopiero kiedy zdesperowany Luis już od pięciu tygodni siedział w zakładzie karnym w Santanderze, dzieląc niedolę z innymi więźniami, także politycznymi, przechadzając się pośród biało-zielonych ścian spacerniaka i śpiąc w celi, w której ktoś napisał na ścianie: „Najlepszą i najgorszą cechą istoty ludzkiej jest to, że przyzwyczajają się prawie do wszystkiego”.

Kuzyn Manuel pociągnął za sznurki – porozmawiał z przełożonymi, odwołując się do ich zdrowego rozsądku i obiecując przysługi, i z pomocą prawnika z Torrelavegi znalazł świadków, którzy potwierdzili, że tamtej nocy Luis do późna siedział w gospodzie Amparo, pijąc więcej niż zwykle. Potem wrócił do domu, gdzie czekały na niego z kolacją matka i ciotka, a o wpół do piątej rano jak co dzień wypłynął na połów. O siódmej trzydzieści przyszedł do gospody na śniadanie, spędził tam pół godziny, po czym wsiadł w pierwszy autobus do Ubiarco. Podróż trwała trzydzieści minut. Luis nie miał samochodu, był w końcu tylko ubogim rybakiem. Nocą autobusy nie jeździły, a w ciągu dnia kursowały tylko trzy: o dziewiątej rano, w południe i o dwudziestej. Droga na piechotę zajmowała prawie trzy godziny. Luis nie zdążyłby dojść do Ubiarco, załatwić panicza i wrócić na poranny połów. Zakładając, że w ogóle chciałby zrobić mu krzywdę; młody rybak miał już przecież nową sympatię, niejaką Sarę, krawcową z Comillas.

W takim razie po co pojechał tamtego dnia do Ubiarco? Chciał powiedzieć swojej byłej narzeczonej, że się żeni; ostatecznie się z nią pożegnać. Kurczowo trzymał się tej wersji, w żadnym momencie jej nie zmienił. Może faktycznie jego wizyta była wynikiem katastrofalnego zbiegu okoliczności?

Wypuścili go na wolność. Nie doszło do procesu: rodzina Chaconów nie złożyła oficjalnej skargi, a Gwardia Cywilna nie znalazła dowodów usprawiedliwiających dalsze przetrzymywanie więźnia. Luis wyszedł z całej tej historii obronną ręką. Kiedy pan Chacón odwiedził go w więzieniu, dostrzegł w jego oczach niewinność i zrozumiał,

że chłopak po prostu miał pecha. Podobno to dzięki jego interwencji Luis wyszedł szybciej na wolność.

Koszmar trwał sześć tygodni, ale blizna na lewej brwi pozostała mu do końca życia – pamiątka po gwardzistach, którzy bezskutecznie próbowali wyciągnąć z niego przyznanie się do winy.

Chociaż Luis okazał się niewinny, jego nazwisko pozostało splamione, spowite cieniem wątpliwości. Cień zasnuł także jego duszę, która po tamtych wydarzeniach nieodwracalnie poszarzała. Jana wielokrotnie zadawała sobie pytanie, czy rzeczywiście przyszedł do Casa Azul wyłącznie po to, żeby powiedzieć jej o zaręczynach. Targana poczuciem winy, próbowała z nim porozmawiać, chciała mu to wszystko jakoś wynagrodzić, żeby oczyścić sumienie. Ale on nie miał już ochoty bawić się w miłość ze swoją zielonooką księżniczką. Luis uprosił swoje serce, żeby pobiegło przodem, nie oglądając się za siebie, świadomy, że jeżeli spojrzy na Janę, znowu padnie przed nią na twarz.

Postanowił ożenić się z Sarą, tak jak powiedział Janie tamtego dnia. Była miłą dziewczyną, kochała go. Odnalazł przy niej spokój i poczucie bezpieczeństwa. Może tym właśnie jest prawdziwa miłość: odpoczynkiem dla zmysłów.

Przyjdzie śmierć i będzie miała twoje oczy.

Cesare Pavese (1908–1950)

Jana przez całą noc nie zmrużyła oka. Znowu to samo. Powróciły omdlenia, a wraz z nimi – strach. Ile dusz, ile ciał zostawiła za sobą? Zaczęło się od Ignacia Chacona. Poniżył ją, zlekceważył, potraktował jak śmiecia. Zasłużył na to, prawda? Potem było wielu innych: każdy, kto jej przeszkadzał, przestawał istnieć.

Po śmierci drugiego męża Jana wreszcie doznała przebudzenia, zrozumiała, że kierują nią już nie ambicja i paniczny strach przed biedą, a zwykła nikczemność. Manipulował nią jakiś niewzruszony, bezwzględny demon. Za tym przebudzeniem stała nie tylko śmierć męża, ale przede wszystkim intymne wyznanie poczynione jej pewnej nocy. Prawda wypełniła jej duszę gniewem na świat i na samą siebie. Przez kilka miesięcy cierpiała na depresję, analizowała, kim jest, co robi ze swoim czasem i ze swoim życiem, jakaż to podła i bezlitosna istota stale jej towarzyszy. Postanowiła odsunąć się od rodziny, rzucić się w wir pracy, na nowo się wymyślić, by żyć w zgodzie z samą sobą, bez poczucia winy. Aby ulżyć sumieniu, organizowała charytatywne loterie i gale, patronowała miejscowym artystom, wspierała stowarzyszenia promujące przedsiębiorczość kobiet, przekazywała fundusze na tworzenie nowych parków, pomagała finansowo sierocińcowi. Nowa Jana była samotną wdową, która bez przerwy pracowała, dużo podróżowała i posyłała swoją córeczkę do najlepszych szkół z internatem.

Ale kiedy w Villa Marina znaleziono zwłoki noworodka, demon wrócił, gotów do działania, na które przez tyle lat mu nie pozwalała. Było to częścią nieujarzmionej istoty tego boga zła, jego świętym prawem. Miał nad nią władzę.

Niepotrzebnie wykonała tamten telefon. Gdyby nie zadzwoniła, może i tak wszystko potoczyłoby się tak samo, ale zadzwoniła. Zrobiła to w przyływie desperacji, hysterii, paniki. To, co rozbudził tamten telefon, nie było ludzkie. Nie mogło takie być. Aby to powstrzymać, należało przestać istnieć.

Wstała i narzuciła szlafrok na koszulę nocną. Chciała ostatni raz zobaczyć wschód słońca. Było około wpół do ósmej, wokół panowała cisza. Położyła na szafce nocnej złożoną kartkę z krótką wiadomością, którą napisała poprzedniego wieczoru. Wzięła z sejfów to, czego potrzebowała, i z trudem zeszła po schodach na parter. Całkiem przyjemnie robiło się to samej, bez pomocy opiekunki. Czuła się jak psotna dziewczynka. Pomyślała, że lata dzieciństwa, kiedy żyła jeszcze mama i młodszy braciszek, to jedyne wspomnienie, które nigdy jej nie zdradziło, do którego mogła wracać bez smutku. To było jej schronienie, jej ukryty port.

Otworzyła drzwi i bosą wyszła przed Casa del Duque. Bezchmurne niebo zapowiadało piękny dzień. Wilgotna trawa pod stopami sprawiała, że poczuła się w pełni przytomna i żywa, może pierwszy raz w ciągu ostatnich miesięcy. Była spokojna, zdecydowanym krokiem zmierzała w stronę żelaznej bramy. Zamknęła ją za sobą, ani na moment nie odwracając głowy. Przeszła na drugą stronę wąskiej asfaltowej drogi i znalazła się w parku otaczającym pomnik markiza Comillas. Zboczyła z głównej ścieżki, piaszczystej, pokrytej igłami. Przeszła jeszcze kawałek i wreszcie usiadła na drewnianej ławce, z której roztaczał się widok na cmentarz. Po prawej stronie wznosił się masywny kamienny krzyż, a dalej wysoki monument markiza, na który nawet nie spojrzała.

Przez chwilę podziwiała widok – u jej stóp zielona trawa, a dalej bezkresne, ponadczasowe, żywe morze. Poniżej, na cmentarzu strzeżonym przez ogromnego anioła, spoczywał Luis. Jej Luis. Może go idealizowała, ale tylko wspomnienie o nim ocieplało jej życie, przypominając, że mogła być kimś, kim nie była, czy to na własne życzenie, czy z winy diabła, który nie odstępował jej ani na krok. Po tamtym pożegnaniu w Ubiarco wpadli na siebie zaledwie kilka razy, choć w końcu przeprowadziła się do miasta, w którym mieszkał Luis. Podczas tych nielicznych spotkań nie potrafiła stwierdzić, czy znalazł szczęście, wydawał się jednak spokojnym człowiekiem z czystym sumieniem. A to już dużo. Umarł niecałe dziesięć lat temu. Kiedy Jana dowiedziała się o jego śmierci, poczuła się jak najsmutniejsza z wdów; nie

miała nikogo, kto by ją pocieszył, przytulił, komu mogłaby zdradzić prawdziwy powód swojego zagniewania na świat.

Od tamtej pory wielokrotnie z nim rozmawiała, tu, z tej ławki; nie schodziła na cmentarz, żeby uniknąć podejrzeń i plotek. Pragnęła do niego dołączyć, uciec przed diabłem, którego nie była w stanie powstrzymać. Wyjęła z kieszeni tabletkę cyjanku. Trzymała ją od wielu, bardzo wielu lat. Miała nadzieję, że zadziała. Po drugiej wojnie światowej, kiedy pomagała łowczyńi nazistów, dysponowała całym arsenałem trucizn, broni i poufnych dokumentów. Nie miała złego życia; było to po prostu życie samotne. Z czasów, kiedy polowała w Ameryce Południowej na Niemców, zostało jej kilka przyzwyczajień: nigdy nie siadała odwrócona plecami do drzwi i zawsze prosiła w hotelach o pokój na pierwszym piętrze, na wypadek gdyby musiała uciekać. Była starą wariatką opętaną mnóstwem manii, znudzoną światem, który zaraz o niej zapomni i będzie kręcił się dalej.

Pomyślała o córce. Czy spodoba jej się list, który do niej napisała? Miała nadzieję, że przynajmniej pomoże jej dalej podążać obraną drogą. Zostawiła też na szafce nocnej krótką odręcznie napisaną wiadomość, w której informowała, że zamierza odebrać sobie życie. Przerazało ją, że ktoś miałby dźgać jej ciało w sali sekcyjnej. Chciała po prostu odpocząć i żeby diabeł zasnął na zawsze razem z nią.

Przed oczami stanął jej Oliver. To na jego widok zemdląła. Czy można zaprzeczać czemuś, co jest oczywiste?

Ponownie spojrzała na kamiennego anioła. Z tej odległości nie było widać wyraźnie jego twarzy, ale знаła ją na pamięć. Turyści czerpiący wiedzę z folderów nazywali go aniołem stróżem, jakby pilnował dusz tych, którzy spoczywali u jego stóp. Ona wiedziała jednak, że to inny anioł – anioł zagłady. Przybył z czeluści po tych, którzy wybrali niewłaściwe ścieżki, żeby zabrać ich do swojego królestwa. Przez moment zastanawiała się, który z aniołów przyjdzie po nią – ten, który chroni, czy ten, który karze, wcielenie diabła? Tak naprawdę nigdy nie czuła, żeby celowo czyniła zło. Uśmiechnęła się, mrużąc odpowiedź. Na moment udało jej się odsunąć strach, który ścisnął jej żołądek. Szeptem zaniosła dziwną modlitwę – fragment ostatniej księgi Nowego Testamentu,

nazywanej przez jednych Księgą Objawienia, przez innych zaś, bardziej skłonnych do dramatyzowania, Apokalipsą:

– „I piąty anioł zatrąbił: i ujrzałem gwiazdę, która z nieba spadła na ziemię, i dano jej klucz od studni Czełusci. [...] Mają nad sobą króla – anioła Czełusci; imię jego po hebrajsku: Abaddon”⁸.

Postanowiła dłużej nie zwlekać. Abaddon umrze razem z nią i w ten sposób straci władzę nad jej życiem. Anioł czełusci towarzyszył jej od dziecka, był częścią jej ciała, jej umysłu, jej duszy. Wiedziała, że śmierć nastąpi niemal od razu. Z uśmiechem zażyła tabletkę. Była gotowa. Anioł z cmentarza odwrócił głowę i spojrzał w jej stronę. Zatrzepotał skrzydłami z kamienia, leciał po nią, żeby ją ze sobą zabrać. Był to niesamowity, a jednocześnie przerażający widok. Czy Jana naprawdę to widziała? Czy majaczyła w agonii? Poczła zapach kopru włoskiego, który rósł u podnóża Masery de Castío. Wreszcie, po tak długim czasie, wracała do domu. Kiedy anioł otoczył ją całą swoimi wielkimi skrzydłami, nie wiedziała już, czy to anioł stróż, czy Abaddon z czełusci. Wtedy dotarł do niej jakiś nowy zapach, nieznany, namacalny; zalał ją, otulił, przyniósł jej spokój. Przestała myśleć i odczuwać strach, chociaż nagle spowiły ją ciemność i cisza.

Noc rodzi swoiste oczekiwania.

Jacqueline Carey (1964)

Zmierzch zapowiadał się niezwykle malowniczo. Oliver nie podziwiał go z Villa Marina – szedł ścieżką do latarni morskiej znajdującej się na końcu cypla, obok dawnych umocnień obronnych El Torco. Kiedy poprzedniego wieczoru szukał w książkach śladów swojej przeszłości, trafił na informację, że podczas wojny domowej przy latarni dokonywano egzekucji, a następnie zrzucano ciała z klifów. Zadał sobie pytanie, jak daleko może posunąć się człowiek w swoim okrucieństwie. Szedł powoli, świadomy, że spacer zajmie mu zaledwie pięć minut. Chciał uciec przed zamieszanym panującym w jego domku, gdzie technicy kryminalistyki zabezpieczali, fotografowali i nagrywali ślady i przy użyciu pędzelków z miękkiego włosia rozprawdzali po ganku proszek, żeby zdjąć odciski palców, które pozwoliłyby zidentyfikować tego, kto chciał go nastraszyć, oblewając mu dom benzyną. Było jasne, że skoro napastnik nie użył zapalki, nie chodziło o próbę zabójstwa, a jedynie o ostrzeżenie.

Dziennikarze dali mu spokój dopiero wczesnym popołudniem. Oliver zastanawiał się, jak to możliwe, że tak szybko dowiedzieli się o tym, co stało się w Villa Marina, podczas gdy wiadomość o śmierci Ongayowej, która popełniła samobójstwo o świcie, dotarła do nich dopiero cztery godziny później. Kiedy po południu jeden z reporterów odebrał telefon z informacją o dramatycznej decyzji legendarnej Jany Ongayo, w zawrotnym tempie rozbiegli się do samochodów i pojechali do Comillas, nawet się z nim nie żegnając. Oliver wyobrażał sobie, że nazajutrz miejscowe gazety – spragnione sensacji w sezonie ogórkowym – opublikują na pierwszych stronach nagłówki mówiące o klątwie anioła z Villa Marina i odejściu królowej sardeli, kobiety, która sama zbudowała swoją pozycję i poprzez działalność charytatywną pomagała potrzebującym. Biedna Ongayowa – wydała mu się sympatyczna. Postanowił obdarzyć ją na razie kredytem zaufania, chociaż mogła okazać się morderczynią. Porucznik Redondo jeszcze się nie pojawiła. Zadzwoiła kilka minut po jego porannym telefonie, żeby

poinformować o tym tragicznym zajściu. Jako porucznik wydziału śledczego musiała osobiście stawić się na miejscu zdarzenia. Do Villa Marina wysłała kaprala Camargo, żeby nadzorował pracę techników.

Oliver minął przerobiony na hotel zamek wznoszący się na klifie nad plażą Los Locos. Szedł wysypaną kamieniami ścieżką, którą od przepaści oddzielała jedynie toporna drewniana barierka. Przyglądał się z góry surferom: niektórzy igrali z falami, inni stali przy ułożonych na piasku deskach, słuchając zaleceń instruktorów. Podniósł wzrok i spojrzał przed siebie, na ogromne, potężne, wszechmocne morze, w które z lewej strony wrzynał się skalisty fragment lądu zwany Punta Ballota, tworząc niemal zatokę. Usiadł na drewnianej ławce i zrelaksowany podziwiał niesamowity krajobraz. Za jego plecami wznosiła się modernistyczna rzeźba, ni to robot, ni to człowiek witruwiański da Vincięgo. Przedstawiała odchylonego do tyłu mężczyznę z zamkniętymi oczami i rozłożonymi rękami, który z lubością wystawiał się na wiejący od morza wiatr, padający z nieba blask słońca i wszystko inne, co mogło dać mu to magiczne miejsce. Mężczyznę cieszącego się chwilą.

Na kamiennej podstawie widniała krótka inskrypcja opatrzona sugestywnym tytułem: „Duch wybrzeża”.

Morze, powietrze i ziemia są blisko,
chcą się połączyć, niepowstrzymane.
Każda fala, tysiąc uścisków,
gwałtowny podmuch, serce ukochane.

Oliver też chciał się poczuć takim wolnym duchem. Choć na moment cofnąć się do czasów, kiedy bawili się z bratem w piratów w tamtym ukrytym porcie, którego nazwy nie pamiętał, kiedy liczyła się jedynie beztroska uciecha, kiedy świat był zrozumiały, bliski, przyjazny, opiekuńczy. Ale jego ukryty port stał się już tylko wspomnieniem, geograficznym i czasowym punktem odniesienia, synonimem szczęścia. Oliver od dawna żył w ciągłym napięciu, jego odruchy, jego gniew nie znały odpoczynku. Dlaczego matka musiała umrzeć tak absurdalną śmiercią? Gdzie, do diabła, podziewa się Guillermo? Ma nierówno pod sufitem, ale jest jego bratem, potrzebuje go. Musi pozbyć się chociaż

niepewności, wiedzieć, gdzie jest i jak się miewa. Chciał, żeby świat na powrót stał się uporządkowany, logiczny, przyjazny. Dlaczego to z Anną skończyło się w taki sposób? Jaki był w tym sens? I dlaczego w Villa Marina pojawiły się te małe zwłoki? Dlaczego zginęło tych dwóch mężczyzn...? A teraz, z własnej ręki, pani Ongayo? Przed czym albo przed kim uciekała ona?

Wrócił pamięcią do momentu, w którym odkrył na ganku przybitą nożem kartkę. Czy zna tego, kto zostawił mu przed domem tę pogroźkę? Pomyślał, że na niektóre irracjonalne lęki nie sposób się przygotować; bardzo zaniepokoił go ten atak na jego prywatność, to nieoczekiwane poczucie bezsilności, kiedy sądził, że już nic gorszego go nie spotka. Nadal czuł w nozdrzach zapach benzyny, który doleciał go wczesnym rankiem i stopniowo przesiąkał wszystkie jego zmysły. Początkowo był pewien, że się myli, zapach nie mógł pochodzić z zewnątrz, z ogrodu, z okolic jego domu. Po chwili ogarnęły go wątpliwości: a może... może ten charakterystyczny zapach stacji benzynowej jednak docierał z zewnątrz, z ogrodu. Z jego ogrodu. Chociaż umysł nie dopuszczał takiej możliwości, prawa dłoń z determinacją złapała za klamkę. Dziwne – niby wszystko było na swoim miejscu, a jednocześnie wszystko było nie tak. Nie miał już wątpliwości – cuchnęło benzyną. Za sprawą porannego światła zwęziły mu się źrenice. Kiedy skupił wzrok, dostrzegł, że drewno jest miejscami ciemniejsze. Co, kurwa...? W pierwszej chwili pomyślał, że to chuligański wybryk, sprawka jakichś dzieciaków, które po imprezie poszły na plażę i po pijaku wdarły się na teren opuszczonej posiadłości. Jednak walące młotem serce szybko odrzuciło takie niewinne wyjaśnienia podsuwane przez umysł: nie pomazali mu ścian sprayem, nie zostawili butelek, nie obsikali ganku... Oblali go benzyną. To nie żaden wygłup. W takim razie... co to takiego? Podszedł ostrożnie do jednego ze słupów. Wiatr kołysał błyszczącą białą kartką, przytwierdzoną małym plastikowym nożykiem przypominającym sztylet. Początkowo nawet go to rozśmieszyło, skojarzyło mu się z komiksami o kowbojach, w których przybijano do drzew plakaty z podobiznami bandytów i informacją o nagrodzie. Ale wspomnienie z dzieciństwa zaraz wyparowało, podobnie jak jego uśmiech. Dom oblany benzyną. Przybita do ganka

kartka. Co na niej napisano? Z daleka nie dało się odczytać, ostrze przebijało papier w samym środku. Przysunął się bliżej, wyteżył wzrok i przeczytał wiadomość. Nie brzmiała specjalnie groźnie. Jeżeli to morderca zostawił mu ten podarunek, to za bardzo się nie wysilił. Nagle naszła go wątpliwość, która ścisnęła mu gardło: a jeśli morderca czy ten, kto próbował go nastraszyć, nadal jest w pobliżu? Szybkim krokiem oddalił się od domku i przyjrzał mu się z dystansu. Poza benzyną rozlaną na ganku i bocznej ścianie nie dostrzegł śladów niczyjej obecności. Dwukrotnie obszedł budynek, po czym wspiął się do Villa Marina – tam też wszystko było na swoim miejscu. Niedługo mieli zjawić się robotnicy. Postanowił wrócić do domu i zadzwonić na komendę do Valentyny Redondo. Nie powinien niczego dotykać, dopóki nie przyjedzie.

Podczas spaceru walczył ze strachem, z niepokojem, z nieoczekiwanym poczuciem słabości, a także ze złością, jaką wzbudziła w nim ta niezawołowana groźba, to wtargnięcie na jego prywatny teren. Z jakiej, kurwa, gliny ulepieni są ludzie? Może tylko w trudnych czasach – wojen, głodu, straszliwych cierpień – ujawnia się ich prawdziwa natura? Stojąca kilka metrów dalej latarnia morska była świadkiem najgorszych okrucieństw. Czy da się zamaskować zło? Jakie piekło skrywają mężczyźni i kobiety o na pozór łagodnych, spokojnych spojrzeniach?

– Niesamowite miejsce. Mogę się przysiąść?

Oliver odwrócił głowę, wyrwany z zamyślenia. Valentina Redondo spoglądała na niego ze zmęczonym uśmiechem.

– Oczywiście, proszę.

– Kapral Camargo powiedział, że wybrał się pan tutaj, więc postanowiłam, że też zrobię sobie spacer, żeby się trochę przewietrzyć i rozprostować nogi... To był długi dzień, panie Gordon.

– Nie wątpię – odparł ze zrozumieniem Oliver. – Ale proszę nie nazywać mnie panem Gordonem. Czuję się wtedy staro. Możemy przejść na ty? Dla mnie to też był długi dzień.

Valentina skinęła głową z lekkim uśmiechem.

– Przykro mi z powodu tego, co cię dziś spotkało.

– Mnie też. Ale bardziej przykro mi z powodu tego, co spotkało panią Ongayo. To faktycznie było samobójstwo?

– Tak, na to wygląda. Zostawiła krótki liścik pożegnalny, bez adresata.

Valentina zamknęła oczy ze zmęczenia i przypomniała sobie niemal słowo w słowo treść opatrzonej podpisem wiadomości: „Muszę wreszcie odpocząć. Niech ani moja córka, ani nikt inny nie rozcina i nie zaszywa mojej skóry, która zblednie na moje własne życzenie. Oto moja ostatnia wola: proszę uszanować moje spokojne, śpiące, odpoczywające ciało. Jana Ongayo”.

– Dobrze chociaż, że to była szybka śmierć – dodała, powoli otwierając oczy, by utkwic wzrok w linii horyzontu.

– Ale jak...? – odważył się zapytać Oliver.

– Prawdopodobnie zażyła cyjanek – odpowiedziała od razu Valentina. – Miała w sejfie jeszcze kilka tabletek. Po przyjeździe do Comillas jej córka potwierdziła, że wygląd zwłok wskazuje na zatrucie. Wszystko za tym przemawia. Dlatego za przyzwoleniem sędziego postanowiła uszanować wolę matki i nie przeprowadzać sekcji.

– Jej córka jest patolożką? Czyli to znaczy, że... znałaś ją wcześniej?

– Tak – odparła lakonicznie Valentina, nie wdając się w szczegóły.

Widok Clary Múgiki rozpaczającej przy zwłokach matki ścisnął serce. Płakała, obarczając się winą za jej samobójstwo. Niewykluczone, że czuła się też zraniona, bowiem list pożegnalny Jany Ongayo – absurdalnie krótki jak na osobę, która miała tak intensywne życie – nie zawierał nawet jednego czułego słowa skierowanego do córki, jej jedynej żyjącej krewnej. Ciekawe – Clara nie miała dobrego kontaktu z matką, a okazało się, że bardzo ją kochała. Może przywiązywała zbyt dużą wagę do tego, co je dzieliło, zapominając o tym, co najważniejsze, i o nieubłaganym upływie czasu. Valentina wykorzystała okazję, żeby dokładnie przesłuchać Clary. Koleżanka zdradziła jej coś, co od początku powinno się wydawać oczywiste: matka dała jej imię po swojej siostrze, Clarze Fernández. Podobno były bardzo zżyte, ale ciocia odeszła niedługo po narodzinach Clary. Matka mówiła tylko, że umarła, nie chciała się wdawać w szczegóły; pytania o siostrę wyraźnie ją drażniły, natychmiast przechodziła do defensywy i udzielała wymijających odpowiedzi. Clara

nie wiedziała nawet, gdzie ciocia została pochowana. Valentina czuła, że koleżanka mówi prawdę. Pożegnała ją serdecznym uściskiem i przekazała w ramiona męża, żeby spróbował ukoić jej ból. Clara pozwoliła im przeszukać dom, dzięki czemu uniknęli konieczności starania się o nakaz sądowy i innych formalności. Nie trafili jednak na żaden trop w sprawie zabójstw, nie znaleźli niczego ciekawego, poza krótkim liścikiem. Charakter pisma nie pozostawiał wątpliwości co do tego, kto jest jego autorem. Przed wyjazdem z Comillas Valentina zadzwoniła do Talavery, żeby poinformować go o tym, co się stało; sędzia znowu nie mógł wyjść ze zdumienia. Riveiro został na miejscu, żeby przesłuchać służbę rezydencji. Jana Ongayo była zabójczynią czy nobliwą staruszką? Jaka prawda kryła się w jej wielkich zmęczonych zielonych oczach?

Oliver przyglądał się zamyślanej Valentinie. Widząc, że nie ma ochoty rozmawiać o tej sprawie, postanowił zapytać ją o swoją:

– Myślisz, że ten, kto oblał mi dom benzyną, to ta sama osoba, która zabiła tamtych dwóch mężczyzn?

– Nie mam pojęcia. Powinien pan wiedzieć... to znaczy powinieneś wiedzieć, że jeden z moich kolegów zasugerował, że dla zmylenia tropu sam mogłeś wylać benzynę i przybić wiadomość z pogroźką – przyznała niechętnie Valentina.

– Ja? Żartujesz sobie?! – wykrzyknął z niedowierzaniem Oliver. – Wiesz, ile będzie mnie kosztowało czyszczenie? Na szczęście ubezpieczyłem oba domy... Nie wierzę, tylko tego mi brakowało. Teraz ja też jestem podejrzany? – zapytał ze złością.

– Niczego takiego nie powiedziałam, nie wykluczamy jednak żadnej możliwości. Masz alibi na czas zabójstwa Davida Viesgo i na czas próby zabójstwa Juana Ramóna Ballesty, ale nie na czas zabójstwa Pedra Salasa. A cała ta seria zbrodni zaczęła się po tym, jak przyjechałeś do Suances.

– Nie do końca. Raczej po tym, jak w miejscowej prasie ukazała się informacja o znalezionych w Villa Marina zwłokach noworodka – odparł poirytowany Oliver. – Poza tym byłbym najuczynniejszym mordercą świata, bo przypominam ci, że to ja naprowadziłem was na trop Tlaloca.

– Wiem. Nie powiedziałam, że cię podejrzewam, tylko że nie wykluczamy żadnej możliwości.

– Co sprowadza się do tego samego.

– Wcale nie. Nie uważam cię za psychopatę, a ten, kto popełnił te zbrodnie, nim jest. Zabójstwa popełnione z premedytacją, z zimną krwią, eliminowanie ofiar, jakby były pionkami na planszy, pod wpływem jakiejś makabrycznej potrzeby, brak skrupułów, zacieranie śladów. Weźmy na przykład Davida Viesgo: morderca spokojnie patrzył, jak ufny i niczego nieświadomy wypija napar, choć wiedział, że za kilka minut trucizna skaże go na śmierć w męczarniach.

– Zabił go napar? – zdumiał się Oliver. – Powiedziałaś, że lekarz został otruty, ale otrucie naparem brzmi surrealistycznie.

– Już ci kiedyś mówiłam, że często, bardzo często, rzeczywistość przekracza nasze najstraszliwsze wyobrażenia. Zwłaszcza w tej pracy.

– No dobra, ale skąd wiesz, że ja nie jestem szaleńcem? Może chowam się za maską normalności, jestem inteligentnym aktorem ukrywającym informacje, uczucia i strategię.

– Może, ale po pierwsze, nie mówiłam o szaleńcu, tylko o psychopacie, a to zupełnie co innego, a po drugie, masz alibi co najmniej na jedno z zabójstw i na próbę zabójstwa. Wprawdzie mógłbyś mieć współnika, na razie jednak kieruję się intuicją, twoimi alibi i brakiem motywu. Ale oczywiście będziemy mieć cię na oku do zakończenia śledztwa.

– Jak dla mnie, możecie mnie pilnować dwadzieścia cztery godziny na dobę, wyświadczylibyście mi przysługę, dzięki temu uniknę odwiedzin wariatów, którzy nocą oblewają mi dom benzyną i przybijają miłosne liściki.

– „Wracaj do domu, Angliku” brzmi niezbyt czule.

– To zaledwie pierwszy krok, zobaczysz, że niedługo zaprosi mnie na randkę – roześmiał się Oliver. Zaraz jednak spowaźniał i spojrzał Valentinie w oczy, które w blasku zachodzącego słońca wydawały się prawie tego samego koloru. – Znaleźliście coś?

– Niestety jeszcze nie – odpowiedziała, także z powagą, odwracając wzrok w stronę morza. – Ślady butów wskazują, że sprawca wszedł dolną furtką, od strony plaży. Powinieneś zawsze zamykać ją na klucz. Technicy

zbadają nóż i wiadomość, sprawdzą też, jakiej użył benzyny. Kilku kolegów przeszukuje pobliskie kontenery na śmieci, może znajdziemy kanister. Niczego nie słyszałeś?

– Absolutnie niczego. Zasnąłem jak zabity około północy, a kiedy o wpół do ósmej robiłem sobie kawę, poczułem silny zapach benzyny, chociaż wszystkie okna były zamknięte. Otworzyłem drzwi i okazało się, że ganek jest zalany tym świństwem, a potem zobaczyłem przybitą do słupa wiadomość.

– Rozumiem. Mówiłam ci, żebyś uważał. Powtarzam: powinieneś zawsze zamykać na klucz wszystkie furki i bramy. Może warto by założyć alarm.

– Nie. Nie zamierzam żyć w strachu. Jeżeli ten świrus wróci, będę przygotowany.

– Dlaczego myślisz, że to mężczyzna?

– Jak to?

– Powiedziałaś „ten świrus”. Równie dobrze to może być świruska... Poza tym mówiłam ci już, że moim zdaniem mamy do czynienia z psychopatą, a nie z osobą niepoczytalną.

– A to nie to samo?

– Nie. W żadnym razie. Psychopaci to ludzie praktycznie normalni, odróżniający dobro od zła, tyle że bardziej bezwzględni, bardziej skłonni do ryzyka i bardziej opanowani niż przeciętny człowiek.

– I kto tak twierdzi? Freud? Bo taka osoba chyba równie dobrze może być świrem?

– Nie. Badania tomografem wykazały, że u psychopatów płat czołowy mózgu jest znacznie mniej aktywny niż u reszty ludzi. A to tam zapisane są hamulce i zakazy, które powstrzymują nas przed zabijaniem i innymi agresywnymi zachowaniami.

– Super. Czyli gdyby mój płat czołowy był słabo rozwinięty, miałbym naukowy pretekst do zabicia, dajmy na to, Salasa?

– Oczywiście, że nie – odpowiedziała Valentina ze spokojem, nie dając się sprowokować. – Nie chodzi o pretekst, ale o naukowe wyjaśnienie. Psychopaci mają mniej istoty szarej w korze przedczołowej. Aby stwierdzić, czy dana osoba cierpi na psychopatię, kluczowe okazuje się

badanie ciała migdałowatego. To ośrodek mózgowy wielkości orzeszka ziemnego, coś w rodzaju wieży kontroli emocji, płytki odpowiadającej za sferę emocjonalną, sposób odczuwania... Psychopatom brakuje niektórych emocji.

– Jakich? – zapytał Oliver, szczerze zaintrygowany.

– Strachu.

– O rany! Przysięgam ci, że ja zaczynam się trochę bać. Psychologowie nie mają jakiegoś testu na sprawdzenie, kto jest, a kto nie jest psychopatą?

Valentina wybuchnęła śmiechem.

– Mają. Ale to nie takie proste. Test jest długi i skomplikowany, składa się na niego prawie trzysta zadań i pytań. Innym sposobem jest badanie fal mózgowych. W uproszczeniu: u ludzi „normalnych” fale theta występują przed snem, podczas medytacji i w stanie rozluźnienia, u psychopatów zaś towarzyszą dużym emocjom i pobudzeniu, pozwalając im zachować spokój. U każdego innego w sytuacji zagrożenia aktywowałyby się fale beta, charakterystyczne dla maksymalnej mobilizacji.

– Czyli kiedy ktoś napada na psychopatę, ten jak gdyby nigdy nic zamawia sobie popcorn i spokojnie ogląda przedstawienie.

– To lekka przesada, ale można i tak to przedstawić. Psychopaci z zaburzeniami średniego stopnia bardzo rzadko popadają w stany lękowe czy depresję, są emocjonalnie stabilni. Ale to, że twój mózg wykazuje zmiany charakterystyczne dla psychopatów, wcale nie oznacza, że nim jesteś; ważną rolę odgrywają tu także uwarunkowania genetyczne, relacje rodzinne, wychowanie, a nawet poziom inteligencji. I myślę, że również okazja, okoliczności sprzyjające działaniu.

– Teraz boję się jeszcze bardziej.

Valentina ponownie się roześmiała.

– Psychopaci nie zawsze są agresywni. Mogą być zuchwali, pewni siebie, charyzmatyczni, okrutni, ale nie agresywni. Są osoby, które za maską czarujących, błyskotliwych żartownisiów ukrywają przerażającą bezwzględność i nieczułość. Wiedziałeś, że cechy psychopatyczne wykazywali między innymi Kennedy i Clinton? I że osoby o wysokim

poziomie psychopatii doskonale sprawdzają się w służbach specjalnych, na przykład jako rozbijacze bomb? W końcu to praca wymagająca opanowania i zimnej krwi, prawda?

Oliver ze zdziwieniem spojrział na Valentine.

– A zatem wykreślamy z listy podejrzanych sympatycznego i uczynnego Olivera Gordona – oznajmił z uśmiechem, unosząc brwi. – Mamy do czynienia z zimnym, wyrachowanym psychopatą, ze skurwysynem, który zabija staruszków i oblewa benzyną domy. Od razu odetchnąłem z ulgą. A jak to możliwe, że taki psychopatyczny morderca jest w stanie przeżyć i nie dać się złapać? Nie ma jakichś statystyk czy badań, które by to wyjaśniały?

Valentina przez moment się zastanawiała, przypominając sobie to, czego się kiedyś uczyła.

– Mówili nam, że psychopaci nie mają takiej potrzeby bliskości jak inni ludzie. Udaje im się przeżyć, jak to ująłeś, bo są w ciągłym ruchu. Dość często zmieniają miejsce pobytu.

– Są w ciągłym ruchu? To raczej niezbyt wygodne – stwierdził Oliver. – Chociaż jeżeli morderca jest naprawdę inteligentny, wystarczy mu bezpieczna kryjówka.

– Bezpieczna kryjówka... – powtórzyła Valentina, przeżuując każdą sylabę. W jej głowie pojawił się trop, na który wcześniej nie wpadła. – Bardzo ciekawe spostrzeżenie.

– Sama widzisz, że nie jestem psychopatą ani mordercą, możesz w każdej chwili liczyć na bezinteresowną pomoc Anglika – powiedział Oliver, puszczając oko.

Valentina odpowiedziała mu uśmiechem.

– Świetnie, że jesteś taki chętny do współpracy, bo mam do ciebie parę pytań.

– Do mnie?

– Tak. O twoją przeszłość: osobistą, rodzinną i zawodową. Przykro mi, ale musimy połączyć wszystkie wątki śledztwa. Każda informacja może okazać się istotna.

Oliver przez moment w zamyśleniu wpatrywał się w horyzont, za którym już jakiś czas temu zaczęło się chować słońce. Wraz

z rysującymi się na jego tle ludźmi na plaży i na ścieżce tworzyło malowniczy obrazek.

– Obawiam się, że to niemożliwe.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo umieram z głodu i żeby odpowiedzieć na jakiegokolwiek pytanie, potrzebuję przynajmniej porządnej kanapki – odparł z uśmiechem. – Jeżeli pójdziesz ze mną na kolację, opowiem ci historię tak długą i nudną, że pożałujesz, że nie dałaś się raczej zaprosić jakiemuś psychopacie.

– Niestety nie mam czasu na kolacje, tym bardziej z osobą związaną ze sprawą, w której toczy się śledztwo. – Ton Valentyny był uprzejmy, ale stanowczy. – W dodatku muszę jeszcze wpaść na posterunek w Suances po dokumenty, żeby sporządzić protokół z tego, co się dziś wydarzyło.

– Oczywiście. Ale przecież musisz coś zjeść. Spokojnie, to nie będzie randka, tylko przesłuchanie przy ciepłym posiłku. Obiecuję, że nigdzie cię nie zaproszę, dopóki nie złapiecie tego psychopaty, co to potrafi kontrolować swoje fale mózgowie – odparł z uśmiechem, wstając z ławki. Valentina spoglądała na niego z powątpiewaniem. – A teraz poważnie: w miasteczku, po drodze na posterunek, jest kawiarnia, może zjemy tam coś na szybko i zadasz mi te swoje pytania? Pasuje?

Valentina odpowiedziała na jego uśmiech. Tak naprawdę przez cały dzień nic nie jadła. Oliver był jak zaklinacz węży, ale postanowiła, że i tak wszystko z niego wyciągnie. Lepiej, żeby z własnej woli odpowiedział na jej pytania, niż żeby musiała wezwać go na komendę na oficjalne przesłuchanie.

– Zgoda. Jak nazywa się to miejsce?

– El Torto. Taka piekarnio-kawiarnia. Jest naprzeciwko supermarketu Lupa, niedaleko ratusza. I tak musiałabyś tamtędy przejechać w drodze na komisariat.

– Tak, wiem, gdzie to jest. Jedziemy.

Dwadzieścia minut później Oliver i Valentina siedzieli w kawiarni, o tej porze dość pustej. Każde podjechało tam swoim samochodem. Miejsce było bardzo przyjemne jak na przesłuchanie. Miało raczej niespójny wystrój – ni to industrialny, ni to angielski, ni to art déco. Ściana

od strony ulicy była w całości przeszklona, przy każdym stoliku stały inne krzesła, podłogę i ściany pokrywały ceramiczne płytki w różnych stylach. W tle grało cicho radio, leciała akurat piosenka *Over My Shoulder* zespołu Mike and the Mechanics. Oboje zamówili po kawałku pizzy i po kanapce na ciepło. Valentina ustawiła równo serwetnik i od razu rozpoczęła przesłuchanie.

– Czym zajmowałeś się w Londynie? – zapytała, wyjmując notes i długopis marki Pilot.

– Uczyłem. Prowadziłem zajęcia z hiszpańskiego na University College London, gdzie zresztą sam kiedyś studiowałem.

– I rzuciłeś pracę, żeby przyjechać tutaj i rozkręcić od zera biznes? Skończyła ci się umowa?

– Nie, nie skończyła mi się umowa, byłem zatrudniony na stałe. Do wyjazdu skłoniły mnie różne okoliczności. Potrzebowałem zmiany. Matka zmarła niewiele ponad rok temu, brat nie dawał i wciąż nie daje znaku życia, a ojciec niedawno przeszedł na emeryturę i spędza większość czasu u rodziny w Szkocji. Nic nie trzymało mnie w Londynie.

– Ani nie trzyma w Kantabrii. Logiczniej byłoby przenieść się do Szkocji, gdzie masz rodzinę. Zresztą nie wierzę, że nic nie łączyło cię z Londynem: przyjaciele, partnerka, koledzy z pracy...

Oliver się uśmiechnął.

– Czasem lepiej poszukać własnej drogi, żeby móc naprawdę cieszyć się życiem i dzielić je z przyjaciółmi. Za niespełna dwa tygodnie przyjeżdża do Suances część mojej paczki.

– Tak? A wiedzą, co tu się stało?

– Jeszcze nie. Tak naprawdę przyleciałem wcześniej nie tylko po to, żeby sprawdzić, jak idzie remont Villa Marina, ale też żeby przygotować domek na wizytę kumpli. Widać dobrze zrobiłem, bo pomijając zwłoki, trzeba było przypilnować robotników.

– I tylko z tych powodów przyspieszyłeś przyjazd?

– Tak. W sumie nie miało dla mnie znaczenia, kiedy przylecę, moje wakacje zaczęły się już dwa tygodnie temu. Tyle że nie udało mi się kupić biletu na bezpośredni lot do Santanderu, na szczęście z Bilbao to tylko godzina więcej samochodem.

– Czyli podsumowując: rzuciłeś stabilną pracę, żeby otworzyć hotel, w którym zamierzasz organizować kursy językowe i wymiany studenckie. Tak przynajmniej powiedziałeś sierżantowi Riveiro podczas waszej pierwszej rozmowy.

– Nie rzuciłem pracy. Poprosiłem o bezpłatny urlop. Jeżeli interes nie wypali, będę korzystał z willi w wakacje, a może po prostu ją sprzedam. A jeżeli wypali, zamieszkać tu na stałe albo zatrudnię kogoś do prowadzenia hotelu, a sam wrócę do Londynu. Zobaczą, jak mi się ułoży.

– Mimo wszystko uważam, że to była ryzykowna decyzja, wymagająca dużych nakładów finansowych.

– Miałem własne oszczędności, a po śmierci matki oprócz domu odziedziczyłem też sporą sumę pieniędzy. Nawet nie musiałem brać kredytu – powiedział Oliver, a na widok sceptycznej miny porucznik dodał: – Jeżeli chcesz, mogę udostępnić ci wyciąg z konta bankowego, potwierdzenie przyznania bezpłatnego urlopu, numery telefonów moich przyjaciół, wszystko, czego potrzebujesz, bez nakazu sądowego i innych formalności. Nie robiłem wam problemów z dokumentacją willi, prawda?

– Tak, prawda – przytaknęła Valentina. – Zastanawiają mnie jeszcze dwie sprawy. Po pierwsze zniknięcie twojego brata: powiedziałeś sierżantowi, że ma ono związek ze stresem pourazowym po wojnie w Iraku, tak?

– Tak nam się wydaje. Zanim pojechał na tę przeklętą wojnę, był całkiem normalny. Po powrocie praktycznie przestał się odzywać, spędzał większość czasu przed komputerem albo przed telewizorem.

– I naprawdę nie domyślasz się, gdzie może teraz być?

– Naprawdę. Szukaliśmy go w Anglii, w Szkocji, w Hiszpanii. Na jego koncie bankowym nic się nie dzieje. Kontaktowaliśmy się z wieloma organizacjami pozarządowymi i z najprzeróżniejszymi wspólnotami duchowymi, pytaliśmy o niego jego byłe dziewczyny, kolegów, kumpli z wojska, wszystkich. Guillermo szukał duchowego spełnienia, chciał odpokutować za okrucieństwa, których musiał się dopuścić w Iraku. Nigdy mi nie powiedział, co się tam wydarzyło. Mam nadzieję, że po

prostu wróci, jak robił do tej pory, i będę mógł go uściskać, oczywiście po tym, jak go spiorę na kwaśne jabłko. Rodzice ciężko odchorowali jego zniknięcie... Mama już go nie zobaczy. Ojciec zamknął się w sobie, stał się nieobecny, cały czas czeka na jego powrót. Oby tylko nie okazało się, że Guillermo trafił do jakiejś sekty.

– Rozumiem – odparła Valentina. Z jej neutralnego, profesjonalnego tonu przebijała empatia. – Mam jeszcze jedną wątpliwość. To nie jest wścibstwo, zadaję ci to pytanie, opierając się na faktach, nie jako osoba prywatna, ale jako porucznik Gwardii Cywilnej. Młody, atrakcyjny mężczyzna przy kasie i z żyłką do interesów, a przynajmniej sprawiający takie wrażenie, podejmuje decyzję, ryzykowną z osobistego i finansowego punktu widzenia, żeby porzucić dotychczasowe życie i zacząć nowy etap w obcym kraju. Zgoda: potrafię zrozumieć, że uciekasz od mniejszych i większych rodzinnych tragedii. Ale trudno mi uwierzyć, że nic nie łączy cię z Londynem, choćby silna przyjaźń czy miłość. Jest wiele spraw, przed którymi mógłbyś uciekać; należy do nich zawód miłosny. Zastanawia mnie, kto cię tak bardzo zranił i czy ta osoba mogłaby mieć związek z naszym śledztwem, jako że wszystko zaczęło się po twoim przyjeździe do Suances.

Oliver spowaźniał. Nie chciał o tym rozmawiać. Ale nie miał wyjścia. Zresztą teraz było mu już wszystko jedno. Skupił wzrok na kanapce, którą akurat przynieśli mu do stolika, i zaczął:

– Anna i ja mieszkaliśmy w Chelsea.

– Anna i jak dalej? – przerwała beznamiętnie Valentina.

Oliver spojrzał jej w oczy.

– Anna Nicholls. Mogę kontynuować?

– Oczywiście.

– Okej. Byliśmy razem trzy lata, planowaliśmy ślub. Któregoś dnia poczuła lekki ból w piersi. Tydzień później pod szyją pojawiło się coś jakby zgrubienie. Trzy tygodnie później, po mnóstwie badań, dowiedzieliśmy się, że ma chłoniaka. Na szczęście okazało się, że to chłoniak nieziarniczny, czyli najmniej agresywny z tej grupy nowotworów, ale był już w ostatnim, czwartym stadium zaawansowania. To oznaczało, że doszło do przerzutów na inne narządy, myśleliśmy, że nic nie da się

zrobić, ale potem sytuacja uległa zmianie, wszystko potoczyło się tak szybko...

Valentina weszła mu w słowo:

– Nie musisz kończyć, jeżeli nie chcesz. Myślałam o czymś zupełnie innym: że może zostawiłeś kogoś, kto teraz chce skomplikować ci życie, żeby zmusić cię do powrotu do domu... Wskazywałaby na to treść wiadomości, którą znalazłeś na ganku. To, co spotkało Annę... Wyobrażam sobie, jak ci było ciężko. Ludzie w różny sposób radzą sobie z żałobą po stracie bliskich. Nie będę cię już wypytywała, dlaczego postanowiłeś zacząć od nowa daleko od domu. Chciałam po prostu stworzyć twój profil i jakoś wpasować go w nasze śledztwo. Wpiszę do raportu tylko to, że niedawno straciłeś partnerkę, w porządku?

– Nie, nie w porządku. Dziękuję, że chcesz mi oszczędzić grzebania w tej ranie, ale wyciągnęłaś błędny wniosek, prawdopodobnie z mojej winy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że Anna nie umarła.

– Nie? – zdziwiła się Valentina.

– Nie. Jak mówiłem, chłoniak nieziarniczny daje najlepsze rokowania. Chociaż w pewnym momencie lekarze myśleli, że zostało jej zaledwie kilka miesięcy życia, dzięki ciężkiej, niezwykle intensywnej chemioterapii i nowej metodzie leczenia opracowanej w Stanach Zjednoczonych udało się zmniejszyć nieoperowalny nowotwór do wielkości groszku, a w końcu zabić go trwającą pięć tygodni radioterapią. Cały układ limfatyczny wrócił do prawidłowego funkcjonowania. To był długi, bolesny i stresujący proces. Wypadły jej włosy, straciła pewność siebie, zaczęła zastanawiać się nad swoim dotychczasowym życiem. Doszła do wniosku, że wszystko w nim było zbyt konwencjonalne, zbyt poprawne, zbyt przewidywalne... ze mną włącznie. Nasze życie wydało jej się nagle rutynowe, nudne, mało stymulujące. Ona też wykładała na uniwersytecie, tyle że literaturę angielską. Może to rzeczywiście jedno z najbardziej oklepanych zajęć na świecie. Krótko mówiąc: to, co kiedyś było dla Anny „idealnym światem”, teraz stało się „pierdolonym i nudnym idealnym światem”. – Oliver przerwał, żeby jednocześnie westchnąć i parsknąć.

– Zostawiła cię? – odważyła się zapytać Valentina.
– Bardzo taktownie, ale tak, zostawiła mnie. Nie zgadniesz, gdzie jest teraz.

– Gdzie?

– W Indiach. Współpracuje z jakąś niesamowitą organizacją pozarządową i ma poczucie, że ratuje świat. Może rzeczywiście go ratuje. Nie do wiary, prawda? W dodatku poleciała tam z gościem, który był z nią na chemioterapii i w ostatniej chwili postanowił nie umierać. Podobno obydwójce poczuli, że na nowo się narodzili, że nikt nie rozumie, przez co przeszli, i postanowili maksymalnie wykorzystać swój czas. Ja nawet nie wiedziałem, że sesje chemioterapii odbywa się parami. Nie miałem wstępu do sali. Koniec kropka. Żadnych romantycznych rozmów o gwiazdach, kiedy pakowali jej do żył to gówno. Ale już prawie przeszła mi złość, chociaż przez jakiś czas dużo piłem i obrzucałem ją obelgami. Byliśmy razem szczęśliwi, okoliczności sprawiły, że ona się zmieniła, że zmienił się nasz świat. To wszystko. Teraz wręcz jej zazdroszczę. Może właśnie dlatego zdecydowałem się na to szaleństwo: też chciałem przeżyć jakąś przygodę, codziennie chwycić się życia, czuć adrenalinę, uciec od rutyny, od tego, co przewidywalne. Nie wiem, czy mnie rozumiesz. Raczej nie jestem jednym z tych twoich psychopatów, ale możliwe, że mam nie po kolei w głowie. W pewnym momencie mi odbiło i zacząłem nienawidzić stabilizacji, poczucia bezpieczeństwa i pewności.

Valentina przez moment milczała, zamyślona.

– Nie odbiło ci. To, czego byłeś pewien, zawiodło cię albo zniknęło. Teraz rozumiem, dlaczego postanowiłeś przeprowadzić się do Villa Marina. Niewykluczone, że na dłuższą metę się rozczarujesz i wrócisz do Londynu w poszukiwaniu spokoju, ale mamy tylko jedno życie i jest ono kruche, dlatego nie zamierzam kwestionować twojej decyzji.

– Dziękuję.

– Nie ma za co. I wiedz, że wcale mi ciebie nie żal; każdy został kiedyś porzucony. Tak już po prostu bywa.

– Nie wierzę, że ciebie też ktoś porzucił – odpowiedział Oliver – przecież masz broń.

– Bardzo śmieszne. Nie zamierzam dzielić się z tobą informacjami o swoim prywatnym życiu. Przypominam ci, że występuję w roli porucznik Gwardii Cywilnej, która poddaje cię przesłuchaniu, żeby dopasować elementy układanki. Nie ma mowy o wymianie informacji. To nie randka, żadne *quid pro quo*. Ty opowiadasz swoją historię mnie.

Oliver się uśmiechnął.

– To znaczy, że limuzyna i mariachi, którzy czekają przed drzwiami... Mam ich odesłać?

Valentina wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, nie każ im na próżno czekać. Na razie nie mam czasu na nic poza pracą. Kiedy skończę – powiedziała, wskazując kawałek pizzy – będę musiała lecieć.

– Zgoda. Ale chociaż nie umknęło mi, że wcześniej nazwałaś mnie atrakcyjnym mężczyzną... – Oliver uśmiechnął się i zawiesił głos, szukając właściwych słów. – ...mam wrażenie, że nadal mi nie ufasz.

– Nie przyjmuję niczego za pewnik. Dopóki trwa śledztwo, muszę pamiętać, że każdy, kto jest uwikłany w tę historię, może mieć mroczną stronę, ty także. Przejrzałam na przykład akta sprawy twojego brata i wiem, że wasza matka szukała go w Hiszpanii za pośrednictwem Gwardii Cywilnej; jego zaginięcie nadal budzi moją ciekawość, to bardzo nietypowy przypadek. Moja teoria jest mocno naciągana, bo nie mam pojęcia, co mogłoby wami kierować, ale założmy, że zaplanowaliście wszystko razem z Guillermem, który działa z ukrycia. – Valentina uspokoiła ruchem dłoni Olivera, który już otwierał usta, żeby jej przerwać. – To tylko jedna z hipotez, które w tym momencie powstają w mojej głowie, niektóre są niedorzeczne albo krzywdzące. Moja praca polega na drążeniu prawdy, rozumiesz? – zakończyła, ciekawa reakcji rozmówcy.

Oliver przestał się uśmiechać.

– Ta teoria jest więcej niż naciągana. Nie jestem mordercą. A mój brat, na nieszczęście moje i mojej rodziny, to palant, który włóczy się po świecie, a przynajmniej taką mam nadzieję, bo równie dobrze może być martwy. Ja też potrafię snuć teorie i hipotezy, pani porucznik, ale ta, którą mi przedstawiłaś, to kompletna bzdura.

- Nie chciałam cię urazić.
- Oczywiście, że nie. Chciałaś zobaczyć, czy zrobię minę mordercy przyłapanego na kłamstwie. Rozumiem, że mi nie ufasz: nieznamy z rodziny o nieźle pokręconej przeszłości, od którego przyjazdu spadły na was dwa zabójstwa, próba zabójstwa i samobójstwo. Ale wiesz co? Będę dalej prowadził własne śledztwo i udowodnię, że nie mam z tym nic wspólnego.
- Nie rób tego. To my musimy dochodzić prawdy. Sam powiedziałaś: popełniono dwa zabójstwa i próbowano popełnić trzecie. Na domiar złego znalazłaś liścik z pogrózką. Jakikolwiek ruch z twojej strony może cię narazić na niebezpieczeństwo.
- Gorzej byłoby zamknąć się w domu. Oczywiście – Oliver uśmiechnął się i na chwilę zawiesił głos – jeżeli uda mi się złapać psychopatę, będziesz musiała się ze mną umówić – powiedział, zapewniając Valentine spojrzeniem, że wybaczył jej niedorzeczne podejrzania.
- Oczywiście, w każdej chwili będziesz mógł się umówić na komendzie, żeby przejrzeć akta sprawy – odparła Valentina, unikając odpowiedzi na sugestię Olivera. – Robi się późno, a ja muszę jeszcze zajrzeć na komisariat. Obawiam się, że nasze spotkanie dobiegło końca – dodała i pod pretekstem, że chowa do aktówki notes, schyliła się, by ukryć uśmiech.

DZIENNIK (14)

Przez całe lato 1948 roku Casa Azul była zamknięta dla gości. Chaconowie czekali, aż wyjaśni się sytuacja, żeby postanowić, co zrobić z domem. Wahali się między dalszym prowadzeniem pensjonatu, który w ciągu czterech letnich miesięcy zwykle miał komplet gości, a sprzedaniem posiadłości przypominającej im o Ignaciu.

Jana znów zaczęła tracić przytomność. Wróciła do domu ojca w Hinojedo, po którym hasał jej nowy braciszek. Miał już prawie osiem lat, tryskał energią, dla niej nie do zniesienia, tym bardziej w tym momencie. Zaznawała spokoju jedynie we śnie. Przez resztę czasu jej serce biło w przyspieszonym tempie z powodu nieustannego poczucia winy i zdenerwowania. Wiedziała, że nie może tu długo zostać. Zdradzi ją rosnący brzuch. Clara powiedziała, że wszystkim się zajmie, żeby zaczekała dwa, trzy tygodnie. Żeby jej zaufała.

Dotrzymała obietnicy. Kiedy mijał trzeci tydzień – Jana była wtedy pod koniec pierwszego trymestru ciąży – zjawiała się w rodzinnym domku w Hinojedo niczym wojownicza księżniczka i ogłosiła wszystkim nowinę. Nowinę, która miała wszystko zmienić.

Jana zemdlą.

Aurora dopiero po chwili pospieszyła na ratunek pasierbicy, wpatrzona w twarz Clary, bardziej bladą, przezroczystą i harmonijną niż kiedykolwiek. Spokojną, wyrażającą determinację.

Benigno był rozdarty między uczuciami dumy, radości i smutku, które – wszystkie naraz – zalały jego duszę. Górowało jednak zdumienie.

*Istnieją trzy klasy ludzi:
ci, którzy widzą;
ci, którzy widzą, gdy im się pokaże;
ci, którzy nie widzą.*

Leonardo da Vinci (1452–1519)

Sobota, 13 lipca.

Kiedy Valentina wstała z łóżka, była już prawie dziesiąta, mimo to nadal czuła się zmęczona. Do późna siedziała przy laptopie, sporządzając raporty i zestawiając informacje. Położyła się spać niemal o świcie. Podeszła do okna swojego mieszkania w Santanderze. Dzień był słoneczny, plaża Sardinero zaczęła się zapełniać turystami. Panowała wakacyjna atmosfera. Valentina miała szczęście, że udało jej się znaleźć względnie tanie lokum przy samej plaży, w ładnej kamienicy w eleganckim angielskim stylu. Co prawda w budynku nie było windy, a ona mieszkała na czwartym piętrze, ale specjalnie jej to nie martwiło, zwłaszcza że schody zmuszały ją do codziennej gimnastyki. Tego dnia chętnie zeszlaby na plażę i trochę popływała, żeby popracować nad mięśniami, wiedziała jednak, że dopóki nie rozwiążą sprawy Villa Marina, nie będzie mogła pozwolić sobie na relaks. Rozmowa z Oliverem Gordonem skłoniła ją do przemyśleń – może powinna poświęcać więcej czasu sobie, mieć własne życie, wyjść do ludzi, trochę się rozerwać. Kiedyś robiła to częściej, ale teraz tylko sporadycznie wychodziła gdzieś po pracy z kolegami. Carlos, ostatni z nielicznych facetów, z którymi się spotykała, rzucił ją właśnie z tego powodu: bo nie była jeszcze gotowa na dzieci, bo nie miała uregulowanego trybu życia, bo nie pracowała w normalnych godzinach, bo spychała go na drugi plan, bo był zazdrosny i robił jej sceny, kiedy wracała do domu o świcie. Od ich rozstania minęło już prawie osiem miesięcy. Może miał rację i tak naprawdę go nie kochała, a przynajmniej nie na tyle, żeby nie dać mu odczuć, że jest w jej życiu „drugoplanową postacią”; w końcu po dwóch i pół roku bycia razem pozwoliła mu odejść. Rzeczywiście za nim tęskniła czy brakowało jej go tylko wtedy, kiedy czuła się samotna?

Przejrzała się w lustrze w salonie – oczy w różnych kolorach. Wiedziała, że budzą zdumienie i konsternację u tych, którzy widzieli ją pierwszy raz. Ciekawiło ją, czy ci, którzy ją znali, przywykli do tego widoku, czy też nadal mieli problem z tym, żeby spojrzeć jej w oczy. Ta „anomalia” nie była wadą wrodzoną. Valentina nie lubiła wspominać tamtego popołudnia, kiedy jej tęczęwka zmieniła barwę. Miała wtedy dwanaście lat. Poprzedniej nocy jej brat Agustín zmarł w podcieniach starej kamienicy na starówce w Santiago de Compostela. W jakim stopniu ponosiła odpowiedzialność za to, co się wydarzyło? Prawda, była jeszcze mała. Ale nie głupia – mogła postąpić inaczej, bardziej się zaangażować, zamiast milczeć. Na jej równowadze psychicznej, jej pewności siebie, jej sposobie myślenia odbiło się nie to, co się stało tamtego popołudnia z jej lewym okiem, ale to, co wydarzyło się w noc, kiedy Agustín porzucił swoje ciało jak śmieć pośród starych kamieni. Był jej starszym bratem, tak szlachetnym, tak opiekuńczym, a stał się obcy i nieprzystępny, rzucał trudne do rozszyfrowania spojrzenia, pogrążał się na długo w milczeniu, nagle wpadał w przygnębienie. Po tamtej straszliwej nocy Valentina zamknęła się w sobie. Lekarze nie byli w stanie nic zrobić z jej okiem; nadal pełniło swoje funkcje, ale stało się czarne jak żałoba matki, która straciła dziecko. Zdruzgotani rodzice zabrali ją do psychologa, a później do psychiatry. Względnie szybko uporała się z bólem, ale w jej duszy zagnieździła się obsesyjna potrzeba porządku i czystości, chorobliwa mania, która kazała jej umieszczać wszystko na właściwym miejscu, żeby nie zgubić ścieżki prowadzącej do szczęśliwego zakończenia. Pragnęła idealnego świata, w którym żadne dziecko z dobrej rodziny nie wpadnie w złe towarzystwo i nie skończy jako trup w kamiennych podcieniach. Pierdolonego idealnego świata. Dlatego poszła w ślady wujka Marciała i wstąpiła do Gwardii Cywilnej i dlatego nigdy nie chciała nosić w uszkodzonym oku zielonej soczewki – bo przypominało jej ono, że zło czai się wszędzie, że nie może go lekceważyć, że musi być świadoma jego wyczekującej obecności i jego siły, żeby móc z nim walczyć, zmieść je z powierzchni ziemi.

Odsunęła od siebie te mętne, bolesne myśli i skupiła uwagę na komórce. Świetnie, w sumie dwadzieścia sześć nieodebranych połączeń

i wiadomości. Dzięki uprzejmości trybu wyciszenia mogła się przynajmniej wyspać. Zaczęła czytać wiadomości i oddzwaniać. Nie licząc matki, dobijali się do niej wyłącznie koledzy z wydziału śledczego.

– Riveiro? To ja. Przepraszam, miałam wyciszony telefon. Mów.

– Mam kilka nowych informacji – powiedział sierżant, obserwując, jak jego żona Ruth bawi się w łóżku z dziećmi. Była sobota, dopiero wybiła dziesiąta.

– Zamieniam się w słuch.

– Po pierwsze: asystentka Jany Ongayo powiedziała, że szefowa co tydzień dawała jej do wysłania korespondencję. Raz w miesiącu wysyłała listem zwykłym kopertę zaadresowaną do Suances. Zgadnij do kogo.

– Do Pedra Salasa?

– Bingo.

– Czyli potwierdza się hipoteza szantażu. Asystentka nie widziała zawartości żadnej z tych kopert?

– Nie, chociaż pracowała dla Ongayowej od pięciu lat. Zastanawiałem się nad tym i niezależnie od tego, jaki był powód szantażu, mógł on zostać odziedziczony.

– Nie rozumiem.

– Dzieci Pedra Salasa zaczęły dostawać pieniądze kilka miesięcy po śmierci dziadka. Niewykluczone, że zanim umarł, stary Salas podzielił się ze swoim jedynym synem tajemnicą, na której ten mógł się bogacić, tak jak pewnie od lat bogacił się on sam.

– Tajemnicą z tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku – zaczęła myśleć na głos Valentina – kiedy zniknął Ignacio Chacón, z miejsca, gdzie w tym samym czasie przebywały Jana i jej siostra, służące albo mające służyć u Ongayów, w których dawnym domu pojawił się noworodek z symbolem szczęścia Chaconów. Poza tym wygląda na to, że w zniknięciu Chacona mieli udział ci z gór, a Pedro Salas senior był aktywnym członkiem republikańskiej partyzantki. Tyle że wciąż brakuje motywu, bo cokolwiek się wtedy wydarzyło, z punktu widzenia prawa dawno uległo przedawnieniu. Nadal nie widzę żadnego powodu do szantażu.

– Zgadzam się z tobą. Wygląda na to, że chociaż karalność czynu, którego się wówczas dopuszczono, ustała, znalezienie noworodka w Villa Marina otworzyło drzwi, których my jeszcze nie widzimy. Coś nam umyka. Pomyślałam, że to mogło być dziecko siostry Jany albo nawet Jany, jeżeli ten Ignacio Chacón faktycznie był takim babiarzem, jak mówił Sabadelle...

– Tak, tyle że Jana Ongayo powiedziała mi, że nie mogła zajść w ciążę i leczyła się w związku z tym u zamordowanego doktora, dopiero wiele lat później urodziła Clary Múgicę. Więc jeśli już, to chodzi raczej o dziecko Clary Fernández.

– Moglibyśmy porównać DNA noworodka z DNA Chaconów, a może nawet Olivera Gordona. Pedro Salas włączył go do sprawy... Po co szukał w internecie informacji na jego temat? I dlaczego Juan Ramón Ballesta ostrzegał go przed niebezpieczeństwem?

– Masz rację – odparła Valentina po chwili zastanowienia. – Z Oliverem Gordonem nie będzie problemu, poproszę go, żeby udostępnił nam próbkę śliny. Potomek Chaconów, którego przesłuchiwaliśmy, raczej nie będzie zachwycony, ale spróbuję załatwić to polubownie, bo w jego przypadku Talavera może nie chcieć wydać nam nakazu. Moglibyśmy też pobrać DNA od Clary Múgiki. – Valentina na moment zamilkła, zastanawiając się nad tym, o czym przed chwilą rozmawiali. – Ale posłuchaj... Pedro Salas wymuszał pieniądze od Ongayowej jeszcze przed pojawieniem się noworodka, niewykluczone, że robił to od lat. Znalezienie tych zwłok musiało coś zmienić, dlatego zainteresował się Oliverem Gordonem, Villa Marina i Ongayami. Ja też nie zapomniałam o wycinkach z gazet i wydrukach z internetu, które miał przy sobie.

Zamyślony Riveiro uchylił się przed lecącą poduszką; jego żona i dzieci toczyły w łóżku bitwę. Wyszedł z sypialni i w skupieniu oparł się o parapet okna w przedpokoju.

– Może Salas odkrył coś sensacyjnego w związku ze zwłokami z Villa Marina i postanowił zażądać więcej pieniędzy. Dlatego zabrał ze sobą wycinki prasowe i poszedł tamtego dnia na falochron. Wcale nie wybrał się na ryby. Wiedział, że morze jest spokojne... Na pewno nie znalazł się tam dla sportu ani przez przypadek. Udał się na falochron w jakimś

konkretnym celu. Wczesna pora, praktycznie żadnych świadków... Nawet gdyby ktoś ich zobaczył, specjalnie by się nie zdziwił. Salas był rybakiem, często tam łowił, a osoba, z którą się spotkał, mogła uchodzić za turystę czy jednego z tych natrętów, co to dopytują, czy biorą ryby... Spotkanie w interesach szantażysty z szantażowanym – podsumował Riveiro, chociaż jego ton wskazywał, że do końca nie wierzy w tę teorię.

– To całkiem prawdopodobna hipoteza – stwierdziła Valentina i zamknęła oczy, żeby skupić myśli – ale jakoś nie wyobrażam sobie Ongayowej jadącej na falochron w Suances. Stary pistolet do niej pasuje, był produkowany w czasach jej młodości, a mamy powody sądzić, że po drugiej wojnie światowej pomagała tropić zbiegłych nazistów. Mogła zachować broń. Ale nie, Riveiro, widziałam ją, była drobna i słaba. Ledwo chodziła. To nie mogła być ona. Poza tym ktoś ze służby musiałby zawieźć ją tam samochodem, bo raczej nie wezwałaby taksówki.

Riveiro ledwo powstrzymał wybuch śmiechu.

– Wyobrażasz to sobie? „Panie kierowco, proszę przełączyć licznik na taryfę postojową: zaraz wracam, tylko załatwię tego gościa na falochronie”.

– Przestań – odparła ze śmiechem Valentina, po czym natychmiast spoważniała. – A co z komputerem i komórką Salasa? Mamy coś?

– Nie. W laptopie jest tylko to, o czym już mówiłem: Salas szukał w internecie informacji o przetwórci sardeli, pewnie po to, żeby sprawdzić, czy jest wypłacalna, w końcu była dla niego źródłem regularnych dochodów. Najprawdopodobniej słyszał o zwolnieniach w Santoñi, o kryzysie w branży i tak dalej i cwaniaczek sprawdzał swoją kurę znoszącą złote jajka. Jeśli chodzi o komórkę, to nadal czekamy na billingi od operatora.

– No tak. Zawsze to samo. Poproszę Clarę Múgicę, żeby pozwoliła nam sprawdzić ostatnie połączenia, które wykonała i odebrała jej matka, nie powinna robić problemów. Bo jeżeli będziemy musieli prosić Talaverę o nakaz, to może upłynąć nawet kilka tygodni, zanim dostaniemy odpowiedź od operatora, zwłaszcza teraz, latem. Powiedz: masz coś jeszcze?

– Coś bardzo ciekawego. Myślę, że cię ucieszy. Kiedy wczoraj wieczorem wracałem z Comillas, zadzwonili do mnie z jednego z hoteli w pobliżu falochronu. Jakiś szwajcarski turysta wyszedł tamtego ranka pobiegać i podobno widział mężczyznę, którego opis pasuje do Pedra Salasa. Był z jakąś kobietą.

– Z kobietą? Ballesta twierdzi, że jego zaatakował młody mężczyzna. Kurna, powinienesz być od razu mi o tym powiedzieć. Potrafił ją opisać?

– Nie bardzo. Raczej młoda, ciemne, średniej długości włosy związane w kucyk, dość pulchna, luźny strój, coś jakby dres. Nic więcej. Widział ją tylko z profilu, kiedy przebiegał obok.

– Ciemne włosy? – Valentina odetchnęła z ulgą. – Na szczęście Clara Múgica jest blondynką.

– Mogła mieć perukę – odparł Riveiro. – Na razie nie możemy wykluczać żadnej możliwości.

– Wiem. Wezwaliście go na komendę, żeby sporządzić portret pamięciowy?

– Nie. Mówi, że widział ją przez sekundę kątem oka, nie jest w stanie podać żadnych szczegółów. Jego opis Salasa też był dość powierzchowny, tak że mamy wątpliwości, czy rzeczywiście widział jego i zabójcę. Ale to jeszcze nie wszystko.

– Riveiro, jeżeli będziesz mi tak dawkował rewelacje, przyprawisz mnie o zawał.

– Przepraszam, po prostu uzbierało się dużo nowych informacji i wszystkie są ważne. Tę akurat zdobyli Camargo, Torres i Zubizarreta. Pewnie masz od nich nieodebrane połączenia, ale nie musisz oddzwaniać, sam ci zaraz wszystko opowiem. Otóż tak męczyli urzędników stanu cywilnego i pracowników innych instytucji, że w końcu udało im się odkryć ostatnie znane miejsce pobytu Clary Fernández. Lepiej usiądź. Gotowa?

– Gotowa. Wal.

– Klasztor Regina Coeli w Santillanie del Mar, do którego w czterdziestym dziewiątym wstąpiła jako zakonnica. Potem trop ginie, jakby rozpułyła się w powietrzu.

– Ale przecież... kurwa, Riveiro, przecież w tym klasztorze mieszkały wcześniej klaryski. Sabadelle mi powiedział. Potem przeniosły się tam, gdzie byliśmy kilka dni temu, do klasztoru Świętego... kogo?

– Ildefonsa – dokończył Riveiro. – Wiem, Torres dzwoniła tam wczoraj, ale powiedziano jej, że musimy poczekać na pozwolenie matki przełożonej, siostry Mercedes, która chwilowo jest niedysponowana. Cóż za wygodny zbieg okoliczności.

– Możemy wystąpić o nakaz przeszukania i zmusić ją do rozmowy. Sabadelle jest przekonany, że siostra Mercedes okłamała nas w kwestii Tlaloca, jego zdaniem musiała wiedzieć, że w Santillanie znajduje się jego podobizna. Może chce chronić Clarę Fernández. Jeżeli Clara jeszcze żyje, jest członkinią jej zakonu. To delikatna sprawa, musiałabym porozmawiać z kapitanem, nakaz przeszukania oznaczałby włączenie do sprawy biskupa Santanderu.

– Wiem, ja też o tym myślałem. Chyba lepiej poczekać do poniedziałku i spróbować załatwić to polubownie. Tym bardziej że zdobycie nakazu przeszukania też zajęłoby kilka dni. – Riveiro ciężko westchnął. – No to jeszcze opowiem ci, czego dowiedziałem się od technika kryminalistyki, który jest moim dobrym kumplem.

– Oczywiście nieoficjalnie.

– Oczywiście. Zapytałem go o salę, w której leży Ballesta. Czy mają jakieś informacje, którymi mogliby się z nami podzielić. Ale nie znaleźli absolutnie niczego: ani odcisków, ani śladów biologicznych, nic.

– No i? – zdziwiła się Valentina.

– No i nie znaleźli też minii ołowiowej ani żadnego innego proszku.

Valentina przez moment milczała.

– To by oznaczało, że mamy dwóch potencjalnych zabójców, którzy mogą być współnikami, ale niekoniecznie. Jednym jest młoda kobieta, którą widział szwajcarski turysta, a drugim młody mężczyzna, który zaatakował Ballestę, chociaż staruszek tak bredzi, że jego wersja nie jest tak do końca wiarygodna.

– Myślisz, że możemy wykluczyć z listy podejrzanych Janę Ongayo? Chociaż... co jeśli to ona otruła Davida Viesgo? Co prawda nie zgadza się

czas działania trucizny, ale może jakoś to zorganizowała – zasugerował Riveiro.

– Nie, Jana Ongayo nie mogła zabić lekarza. Służący powiedzieli, że doktor wyszedł około siedemnastej, od jego wyjścia do momentu śmierci minęło kilka godzin, niemożliwe, żeby cis zadziałał z takim opóźnieniem. Nie rozumiem tylko, dlaczego popełniła samobójstwo. Z poczucia winy...? Masz jakiś pomysł?

– Żadnego.

– Skontaktuję się z resztą zespołu, niech dalej pracują i główkują, aczkolwiek obawiam się, że do poniedziałku wiele nie zdołamy, poza spisaniem protokołów i innymi formalnościami. Po południu wybieram się na pogrzeb Jany Ongayo, chcę być przy Clarze, chociaż wątpię, żeby w tym momencie potrzebowała mojego towarzystwa. Przy okazji przyjrę się ludziom na cmentarzu. W tej sprawie wszystko jest ze sobą powiązane, więc może na pogrzebie pojawi się morderca. Jak myślisz?

– Tak, sam chciałem ci zaproponować, że pojedę na cmentarz, żeby się rozejrzeć, chociaż na pogrzeb przyjdzie pewnie masa ludzi i trudno będzie wyłapać kogokolwiek w takim tłumie.

– Co to, to nie. Nie będziesz jechał dzisiaj do Comillas. Ptaszki ćwierkają, że masz tam parkę troglodytów, którzy chcieliby pójść z rodzicami na plażę. Zrób sobie wolne, Riveiro. Wypocznij, będziesz mi potrzebny w poniedziałek, a może nawet jutro, jeżeli pojawi się coś nowego. Zaraz porozmawiam z resztą, poproszę, żeby dalej przeszukiwali bazę danych i wszelkiego rodzaju archiwa, ale oni też powinni złapać oddech, zregenerować siły i przewietrzyć głowy. Potrzebna nam zmiana perspektywy, w przeciwnym razie się zatniemy. Ja poszukam informacji o klaryskach.

Riveiro uśmiechnął się, wdzięczny, że porucznik Redondo nie zagnała go do pracy. Po tej sprawie przyjdzie kolejna, a potem jeszcze jedna i jeszcze jedna, i wszystkie będą ważne. To prawda, że potrzebowali chwili wypoczynku, choćby jednego wolnego poranka czy popołudnia.

– A ty nie zamierzasz odpocząć?

– Oczywiście, że zamierzam. Robię u siebie wielką imprezę, ale nie chciałam ci mówić, bo nie jesteś zaproszony – powiedziała Valentina

z uśmiechem.

– Dobry plan, żeby tylko sąsiedzi nie zadzwonili po Gwardię Cywilną – odparł z przekąsem Riveiro, spoglądając na dzieci, które zaczęły zbierać walające się po sypialni poduszki.

– Na to liczę, Riveiro... – powiedziała Valentina poważnym tonem. – Jeżeli któreś z nas dowie się czegoś nowego, natychmiast dzwoni, zgoda?

– Zgoda.

Kiedy skończyli rozmawiać, Valentina poczuła się jeszcze bardziej samotna niż zwykle. Dobiegający przez słuchawkę gwar w domu Riveira rozbudził w niej tęsknotę za bliskimi, których zostawiła w Galicji – za rodzicami, młodszą siostrą i dwójką siostrzeńców. Pocięzyła się myślą, że teoretycznie za kilka dni zaczyna urlop. Była niezależną, aktywną kobietą, niepopadającą w sentymentalizm, ale w tym momencie zatęskniła za głosem matki, za dolatującymi z kuchni zapachami, a nawet za docinkami ojca, który wiecznie czepiał się jej stroju, fryzury i braku stałego partnera. Nie zawsze się ze sobą zgadzali, ale ich sprzeczki były otwarte, konstruktywne. Mimo cieni ciężących na przeszłości rodziny Valentina miała w nich solidne oparcie; w najtrudniejszych życiowych sytuacjach nigdy jej nie zawiedli, trwali przy niej, kiedy podejmowała najważniejsze decyzje. Ukrytym portem porucznik Redondo nie było miejsce ani wspomnienie – byli nim jej rodzice.

Kiedy wybierała ich domowy numer, mimowolnie pomyślała, że gdzieś w pobliżu czai się morderca – a może nawet dwóch; obserwuje akurat jakiegoś staruszka albo Villa Marina. Zrozumiała, że w ten weekend jej dusza, jej serce i jej umysł nie zaznają ani chwili odpoczynku. Na zewnątrz czekał na nią jakiś okrutny, zimny i potężny cień.

DZIENNIK (15)

Z biegiem czasu coraz rzadziej wspominało straszną zbrodnię z Ubiarco – tę od flagi z czarnym orłem – popełnioną przez tajemniczego sprawcę, którego ludowe zabobony utożsamiły z krwawym demonem zamieszkującym Jaskinię Czarownic w Suances. Wokół niewyjaśnionego morderstwa powstała przekazywana z ust do ust legenda, głosząca, że w letnie noce don Ignacio przechadza się po plaży Santa Justa, podchodzi do kaplicy albo do ruin wieży San Telmo, szukając swoich zaginionych nóg, żeby móc odejść na tamten świat i wreszcie zaznać wiecznego spokoju.

Clara – bezduszna, przebiegła, a jednocześnie niezwykle szczodra – postanowiła opuścić swój szary świat i wypełnić czymś egzystencjalną pustkę. Być może liczyła na to, że zdoła nieco ogrzać swoje lodowate serce. Poza tym musiała zabezpieczyć przyszłość dziecka, które wkrótce miało się narodzić. W tym celu obmyśliła plan działania, skomplikowany i ryzykowny, ale możliwy do realizacji.

Żeby zaspokoić twoją ciekawość, przenieśmy się do listopada 1948 roku.

Clara i Jana są w Suances, na terenie posiadłości należącej do Ongayów, którzy znów udali się do Ameryki Południowej i mają wrócić dopiero na Boże Narodzenie. W Suances budują letnią rezydencję; na czas srogiej kantabryjskiej zimy przerwano prace, zostaną wznowione w lutym bądź w marcu, ale prawe skrzydło jest już skończone.

Z ogromnych okien widać całą plażę La Concha, do której schodzi prywatna ścieżka. Posiadłość leży na zboczu skalistego wzniesienia oddzielającego plażę La Concha i Los Locos. Na szczycie stoi willa, niżej – budynek dla służby, już całkowicie skończony. Nie roztacza się stąd tak rozległy widok jak z domu państwa, za to znajduje się przy samej plaży. Przez jakiś ekstrawagancki kaprys pan Ongayo, człowiek poważany i bywały w świecie, zażyczył sobie wiktoriańskiej piętrowej willi ze strychem. Pod okapem ogromnego dachu biegną drewniane gzymsy rzeźbione w geometryczne wzory i liście akantu. Budynek przeznaczony

dla służby – mały domek z kamiennych bloków i bali – wyłamuje się z tej estetyki.

Żeby dodać posiadłości nieco egzotyki, pan Ongayo kazał zasadzić przy domu sekwoję, dwie palmy i kilka platanów, które ciągną się wzdłuż podjazdu, dzięki czemu willa jest praktycznie niewidoczna z szosy.

Tego dnia siostry kłócą się w niewielkiej kuchni domku dla służby.

– Nie zgadzam się. – Jana kręci głową, spoglądając na swój wydatny brzuch. Siedzi na drewnianym krześle przy kuchni kaflowej.

– Nie masz wyjścia, siostrzyczko. Klamka zapadła, zresztą ja tego chcę. Na tym świecie już nic mnie nie czeka.

– Jak to nic? Ale dlaczego? Mogłabyś znaleźć sobie męża, nawet takiego bez pozycji, mogłabyś być szczęśliwa. Mogłabyś mieć swój własny dom, mogłabyś...

– Mogłabym przez resztę życia pracować jak niewolnica. Mogłabym nie znaleźć męża; do tej pory jakoś mi się to nie udało.

– Nieprawda! To dlatego, że nie chciałaś. Dobrze wiesz, że zabiegało o ciebie wielu kawalerów.

– Żaden mi się wystarczająco nie spodobał – odpowiada Clara, odwracając głowę do okna, za którym ciągnie się pusta o tej porze roku plaża La Concha.

– A twoje plany...? Nasze plany? Możemy do nich wrócić, nie musisz zamykać się na resztę życia.

– To klasztor, nie więzienie – odpowiada Clara, nie patrząc na zbulwersowaną siostrę.

– Ale bardzo je przypomina! W dodatku klaryski! Mogłaś przynajmniej wybrać zakon bez klauzury. Jeszcze masz czas, żeby zmienić decyzję.

Clara wzdycha. Wygląda na to, że w kółko wałkują ten temat. Kiedy odpowiada siostrze, na jej twarzy maluje się zdecydowanie.

– To najlepsze rozwiązanie. Będę pod ręką. Już tyle razy o tym rozmawiałyśmy, Jano. Nie rozumiesz tego? Z Santillany del Mar jest wszędzie blisko. Nie wiesz, że klaryski prowadzą najlepszy przytułek dla podrzutków w całej prowincji? Nie sądzisz, że one najlepiej zajmą się tym, co jest w drodze? – pyta, patrząc na brzuch Jany, po czym wbija surowe, zimne spojrzenie w zielone oczy siostry.

– Oczywiście, święta Clara wstępuje do klasztoru Regina Coeli, żeby zaopiekować się moim małym bękartem, żeby nie wydało się, co zrobiłyśmy z jego ojcem i że jestem panną z dzieckiem. O to ci chodzi? To już lepiej sama zostanę zakonnica! – krzyczy Jana, wściekła na Clare za to, że zamierza pozbawić ją tytułu matki i odstawić na boczny tor. – Nie musisz się dla mnie poświęcać ani robić z siebie męczennicy! Nie rozumiesz, że zostawiasz mnie samą? Nie widzisz tego? – Ze szlochom przysuwa się do Clary i ujmuje jej dłonie w błagalnym geście.

Ta przytula młodszą siostrę.

– Może i to, co wydarzyło się tamtej nocy, było grzechem. Ale ja nie poczuwam się do winy. I ty też nie powinnaś. To był kawał drania, zasłużył na taki los. Nie wstępuję do zakonu tylko z powodu dziecka. Przecież najprawdopodobniej ktoś je adoptuje. Ale jeżeli zechcemy, będziemy mogły śledzić jego losy i się nim opiekować. Na swój sposób. Zasługujemy na życie, Jano. Ty zasługujesz na życie. I ja też. Nie chcę już więcej sprzątać, spuszczać głowy przy gościach, jeść resztek z pańskiego stołu ani marzyć o odwzajemnionej miłości, która nigdy nie przyjdzie. Chcę innego życia. To ty nie rozumiesz. Będę mogła czytać, pisać... Będę mogła nie przejmować się wojnami, zamachami, głodem. Będę mogła żyć w spokoju – wzdycha Clara i z miłością spogląda na siostrę.

– Klaryski prowadzą ascetyczne życie. Może będziesz chodziła głodna – odpowiada natychmiast Jana. – Jak będę mogła ci wtedy pomóc? No jak? Jak będziemy się porozumiewały?

Clara uśmiecha się, niemal rozbawiona.

– Będziemy do siebie pisały. A w razie potrzeby się wymknę; wystarczy, że zachoruję i będę musiała pójść do lekarza. Zaufaj mi. I nie sądzę, żeby klaryski chodziły głodne. Byłam u nich kilka razy i jeszcze nie widziałam tam chudej zakonnicy! – odpowiada Clara ze śmiechem, którym na moment zaraża Janę.

Po chwili obie milkną. Jana ze smutkiem myśli, jak to będzie, kiedy jej siostra ostatecznie wstąpi do zakonu.

– Ile ci jeszcze zostało?

– Przecież wiesz! Myślę, że przyjmą mnie do Regina Coeli jakoś pod koniec lata. Te spotkania w ramach postulatu są okropnie nudne. Że niby

potrzebuję czasu, żeby uporządkować swoje sprawy i umocnić powołanie do służby Bogu; strasznie nieufne te klaryski. Mistrzynie postulatów, którą mi przydzielono, siostra Mercedes, w kółko każe mi się modlić i szukać w duszy odpowiedzi na pytanie, czy na pewno chcę zerwać z... „wcześniejszym stylem mojego życia”. – Clara wybucha śmiechem. – Co ty na to? Mój styl życia! Przecież od dziecka nic tylko harujemy!

Jana smutno się uśmiecha.

– Nie licząc potańcówek... i letnich wakacji w Comillas.

– Tak – przytakuje zgaszona Clara. – Letnie wakacje w Comillas. Nigdy ich nie zapomnę. Już nie będziemy miały takich wakacji.

– Nie. Żadna z nas. Ty pod koniec przyszłego lata będziesz zakonnica. A ja? Co będzie ze mną, Claro? Wciąż masz nadzieję, że dobrze wyjdę za mąż, ale to chyba niemożliwe. Nie mam już ochoty się w to bawić. Urodzę dziecko, które wychowają obcy ludzie. To będzie cud, jeżeli nikt się o tym nie dowie. Gdyby prawda wyszła na jaw... Panna z dzieckiem! Na pewno powiązaliby mnie ze zniknięciem Ignacia. Ludzie zaczęliby obliczać. Może popełniłam błąd? Jak sądzisz? Dużo o tym myślałam. Pozwoliłam odejść Luisowi. Wciąż zadaję sobie pytanie, po co tak naprawdę przyjechał tamtego dnia do Ubiarco.

Twarz Clary przyjmuje twardy wyraz.

– Luis już się ożenił z krawcową. Do końca życia będzie biedakiem. Dobrze o tym wiesz. Gdyby don Ignacio nie okazał się takim draniem, wszystko poszłoby dobrze. Przeklęty parszywiec! – wykrzykuje ze złością, zaciskając pięści. Zaraz jednak odzyskuje spokój i dodaje z uśmiechem: – A pod koniec przyszłego lata wcale nie będę jeszcze zakonnica. Dopiero zacznę nowicjat... Trwa jakieś dwa lata. Ale będę już nosiła habit. Złożę śluby czasowe. Potem czekają mnie trzy lata junioratu. I dopiero wtedy będziesz miała siostrę zakonnica. Będę się za wszystkich modlić. W pierwszym rzędzie za Davida, nie wiadomo, co go czeka w tej Francji. Oby tam został i nie wracał w góry, to teraz siedlisko bandytów. I za ciebie, o twoją przyszłość. Mam tyle powodów, żeby się modlić, będę miała na to mnóstwo czasu. Może dzięki temu zbliżę się do mamy... i do Antonia. Głuptasie, przecież będę się tobą opiekować – kończy, przytulając siostrę. – Został mi jeszcze prawie rok.

- Rok... – powtarza ze smutkiem Jana.
 - Tyle czasu spokojnie wystarczy, żeby cię wydać za najstarszego syna Ongayów.
 - Jak to? Zwariowałaś? – pyta zdumiona Jana. Otwiera szeroko oczy, marszczy czoło i odsuwa się od siostry.
 - Spokojnie, już wszystko przemyślałam.
 - Oczywiście, tak jak z Ignaciem – odpowiada Jana. Cięża nie złagodziła jej charakteru, wręcz przeciwnie: rozbudziła jej zmysły, sprawiła, że stała się bardziej butna.
 - Nie. Tym razem będzie inaczej.
 - Owszem. Bo nie zamierzam uwodzić żadnego panicza. Wystarczy mi, że ukrywam ciążę. Siedzę zamknięta w tym domu już od czterech miesięcy. Czterech miesięcy! Kiedy urodzi się dziecko, nie chcę nawet na nie patrzeć, nie mogę. Masz od razu zabrać je do przytułku, tak jak się umawialiśmy. I nie mąć mi więcej w głowie. Pójdę na służbę do Ongayów, którzy zgodzili się mnie przyjąć ze względu na twoje nagłe powołanie – Jana kładzie nacisk na ostatnie słowo – ale potem niech los ześle mi, co zechce. Zważywszy na to, co się wydarzyło tamtej nocy... nie sądzę, żeby to było cokolwiek dobrego.
 - Nie zgrywaj świętej, Jano – odpowiada Clara, rzucając siostrze kpiące spojrzenie. – Na razie wszystko idzie zgodnie z planem. Mogłaś się tutaj ukryć, roboty zostaną wznowione dopiero w lutym, marcu, a ty urodzisz znacznie wcześniej, pod koniec grudnia albo na początku stycznia. Zaniesiemy dziecko klaryskom, popracujemy razem u Ongayów w Torrelavedze, a wczesnym latem odejdę...
 - Przecież miałaś wstąpić do zakonu dopiero pod koniec lata.
 - Tak, ale to nie odbywa się tak z dnia na dzień, głuptasie. Na święta wracają z Urugwaju państwo i panicz.
- Jana wzdycha.
- Który panicz?
 - No jak to który? Jest ich w sumie czterech: jeden ma żonę, drugi to jeszcze gołowąs, trzeci jest wojskowym, zbiera broń, ale trochę z niego przygłup, więc zostaje tylko najstarszy.
 - Don Eladio?

– W rzeczy samej.
– A nie mieli go ożenić z kimś z Puente Viesgo?
– Niby tak, ale nie widzieli się od kilku miesięcy. Po prostu się uśmiechaj, bądź miła i, jak sama powiedziałaś, niech „los” ześle ci, co zechce.

Jana kręci głową i zdobywa się na uśmiech.

– Wiedzma z ciebie. Naprawdę nie wiem, co poczną z tobą w klasztorze.
Clara wybucha śmiechem.

– Jak to co? Wniosę tam trochę życia, siostrzyczko.

Śmiech Clary urywa się jak ucięty nożem. Twarz Jany wykrzywia ból. Po jej nogach spływa strużka krwi, która przesiąka przez spódnicę.

Tego dnia Villa Marina po raz pierwszy odwiedzi śmierć.

Niech niestraszna wam będzie śmierć. Albo unicestwia, albo zmienia nasze życie.

Lucjusz Anneusz Seneka (4 p.n.e.–65 n.e.)

Sobotnie popołudnie okazało się duszne, i to nie tylko z powodu upału. Na pogrzeb Jany Ongayo przyszło mnóstwo ludzi. Riveiro miał rację – w takim tłumie nie dało się wyłapać potencjalnych podejrzanych. Valentina mogła się natomiast przekonać, że Ongayowa była bardzo kochana w Comillas, nie prywatnie, osobiście, ale jako instytucja. Miasteczko w milczeniu dziękowało jej za inwestycje, za działalność dobroczynną, za mecenaty. Czy Jana Ongayo była morderczynią? Być może, ale jakaś część jej umysłu, jej osobowości podjęła wysiłek, żeby czynić dobro. Dziwny, rzadko spotykany kontrast.

Valentina odbyła długą rozmowę z sędzią Talaverą, który podobnie jak ona zjawił się przed pogrzebem w Casa del Duque. Za jego przyzwoleniem ośmieliła się zwrócić do Clary Múgiki z pewną prośbą, bardzo nietypową, zwłaszcza w dniu takim jak ten. Wreszcie znalazły się same w salonie, tym samym, w którym kilka dni wcześniej ona i Oliver pili z Ongayową kawę. Wydawało się, że od tamtej pory minęła wieczność.

– Claro, przepraszam, ale muszę cię poprosić o coś, co pewnie ci się nie spodoba. Rozumiem, że to nie jest odpowiedni moment, ale...

– Nie, to nie jest odpowiedni moment – odpowiedziała patolożka, lekko kręcąc głową, po czym westchnęła zrezygnowana i dodała: – Mów, czego potrzebujesz.

Valentina podeszła do Clary. Siedziała na tej samej różowej sofie obitej jedwabiem i aksamitem, na której porucznik ostatni raz widziała jej matkę. Ukucnęła i ujęła dłonie koleżanki.

– Wiesz, że w takich okolicznościach nie prosiłabym cię o nic, co nie byłoby absolutnie konieczne. – Valentina nabrała powietrza i odczekała kilka sekund, zanim wyjaśniła: – Sądzymy, że śmierć twojej mamy może mieć związek ze sprawą Villa Marina.

– Popełniła samobójstwo. Samobójstwo, rozumiesz? Nikt nie strzelił jej w brzuch ani jej nie otruł... – Chociaż Clara podniosła głos, nadal brzmiał

on słabo. – Chyba że wiesz coś, o czym ja nie wiem.

– Wiem, że musimy rozważyć każdą możliwość. Ty też to wiesz i robisz to codziennie w swojej pracy. Chodzi mi nie o samobójstwo, ale o jego przyczynę. Twoja mama podjęła tę decyzję po tym, jak w domu, który kiedyś był jej własnością, znaleziono zwłoki. Potem doszło do kilku zabójstw. Claro, znamy się od lat, wiem, że ty też chciałabyś rozwiązać tę sprawę.

Clara tylko skinęła głową. W innych okolicznościach sypałaby żartami o trupach, w przyпіływie czarnego humoru, w którym celowała od czasów studiów na wydziale medycyny sądowej, ale nie dzisiaj. Dzisiaj miała pochować własną matkę. Spojrzała Valentinie w oczy.

– O co chodzi?

– Muszę jeszcze raz przeszukać ten dom. A przynajmniej sypialnię i gabinet. Coś nam umyka. Potrzebne mi też DNA. Twoje i... twojej mamy.

– Mojej mamy? Ale...

– Wiem, dlatego to takie pilne. Sprawdzę szczotki i grzebienie, ale jeżeli nie znajdę w nich włosów z cebulkami, będę musiała...

– Wyrwać je zwłokom – dokończyła Clara.

– Właśnie – szepnęła Valentina. – Zrobię to bardzo delikatnie, jeden, dwa włosy wystarczą, żeby otrzymać wiarygodny materiał biologiczny.

Clara przez chwilę się zastanawiała.

– Rozumiem... Rób, co musisz. Ufam ci. Masz ze sobą zestaw? – zapytała pragmatycznie, przyjmując służbowy ton.

W odpowiedzi Valentina wyciągnęła z torebki plastikową próbkę ze sterylnym patyczkiem i podała ją koleżance. Clara szybko wyjęła wymazówkę i potarła nią wewnątrz policzka, zostawiając na niej swoje DNA, żeby biolodzy sądowi spróbowali dopasować jeden z elementów układanki. Uśmiechnęła się ze zmęczeniem, wstała z sofy i podeszła do drzwi. Przed wyjściem z salonu odwróciła się i wbiła wzrok w Valentinę.

– Jeżeli za samobójstwem mojej mamy stoi jakiś skurwiel, masz go dorwać. Chcę go zobaczyć na stole sekcyjnym.

Valentina odpowiedziała jej dwukolorowym spojrzeniem. Starła się wyrazić w ten sposób przekonanie i determinację. Upewniwszy się,

że Clara dołączyła do męża i innych członków rodziny, przystąpiła do dzieła. Na szczęście udało jej się pobrać ze szczotek do włosów Jany nadający się do badania materiał. Zamierzała zawieźć go osobiście do prywatnego laboratorium w Santanderze, gdzie wcześniej oddali już inne próbki. Poczowała ulgę – nie uśmiechało jej się pobieranie DNA ze zwłok. Wśród korespondencji i dokumentów Jany Ongayo nie znalazła niczego ciekawego, poza ostatnim rachunkiem za telefon. Zabrała go, żeby przyjrzeć mu się po pogrzebie. Przyjechała tu, żeby wesprzeć Clarę, nie tylko uściskiem, ale też działaniem. Nie zamierzała wyjeżdżać z Comillas z pustymi rękami. Przez moment nie była pewna, czy Clara zechce z nią współpracować. Wydawało jej się, że dobrze zna koleżankę, ale trudno przewidzieć czyjeś reakcje w chwilach żałoby i głębokiego bólu. Na szczęście patolożka bez protestów przystała na jej prośby. Może się domyśliła, że Talavera dał jej wolną rękę, a może po prostu też wypatrywała światła w tym tunelu. Czy Clara Múgica miała jakiś związek z aniołem z Villa Marina? Albo z zabójstwami z ostatnich dni?

Wczesnym popołudniem Clara pochowała matkę. Udało jej się zachować opanowanie, nie płakała, ale i tak ukryła oczy za dużymi ciemnymi okularami. Wokół można było wyczuć napięcie, w powietrzu unosiła się aura niepewności. W końcu Jana Ongayo nie zmarła śmiercią naturalną, a jej samobójstwo pozostawało zagadką. Wszyscy zastanawiali się nad jego przyczyną. Wielu szeptało, snuło przypuszczenia.

Clara także się zastanawiała, dlaczego jej matka przyspieszyła swoją śmierć, wbrew prawom natury regulującym zgony. Cierpiała nie tylko z powodu nieoczekiwanej straty i smutnego zakończenia, ale też dlatego, że czuła się odpowiedzialna za jej samobójstwo. Może gdyby częściej ją odwiedzała, gdyby zadzwoniła do niej dzień wcześniej... Kurczę, kiedy ostatni raz rozmawiały? Prawie trzy tygodnie temu, nie licząc jej telefonu po tym, jak do sali sekcyjnej wjechały zwłoki Davida Viesgo. Szybka formalność. Jak tam twoje stawy? Dobrze? A co teraz czytasz? Aha. Doskonale. Jasne, niedługo cię odwiedzę, mam akurat kupę pracy. Tak, u Lucasa wszystko w porządku, zмага się ze swoimi alergiami. Zadzwon, gdybyś czegoś potrzebowała. Trzymaj się, mamó.

Jakże samotna musiała czuć się jej matka. Jana Ongayo, kobieta interesu, przedsiębiorcza, silna, bezkompromisowa, która znacznie wyprzedziła swoją epokę. Przynajmniej tak postrzegała ją Clara: żelazna dama, życzliwa, ale zawsze sama, zawsze czujna. Wiedziała, że w przeszłości matka współpracowała ze szpiegami, z łowcami nazistów i z politykami, ale ta kapsułka z cyjankiem... Jak mogła przed nią zataić, że trzyma coś takiego w domu? Może słynna Jana Ongayo skrywała więcej sekretów. Clara kochała matkę, ale była na nią wiecznie zła i ta złość zdominowała ich relacje. Tyle razy czuła się porzucona... Matka albo gdzieś wyjeżdżała – czasem nawet na kilka miesięcy – albo miała ważne spotkanie, albo organizowała jakąś galę dobroczynną, albo pomagała potrzebującym, jakby chciała wypucować na błysk swoje sumienie. Clara w tym czasie była pod opieką niani albo przebywała w internacie jakiejś koszmarnie drogiej szkoły. Powstrzymała szloch. Żal był tak silny, że dusił ją w gardle. Spróbowała wyobrazić sobie ostatnie chwile matki. Dlaczego postanowiła odejść w samotności, akurat na tamtej ławce? Umarła z uśmiechem na ustach. Nadal na nich był, kiedy Clara przyjechała do parku, jeszcze zanim zabrano zwłoki. Mama wyglądała jak mała dziewczynka, która spłatała psikusa. Na starość się skurczyła, była taka drobniutka, taka szczuplutka... Z jej odprężonej twarzy emanował spokój tak bardzo kontrastujący z samobójstwem. Co chciała zobaczyć przed samą śmiercią? Otwarte morze? Cmentarz? Górujący nad nim skrzydlaty anioł z mieczem wyglądał tak, jakby w każdej chwili miał ożyć, skruszyć cienką warstwę kamienia kryjącą postać z krwi i kości. Podniszczony marmurowy pomnik o zimnym spojrzeniu był świadkiem ostatnich chwil jej matki.

Clara próbowała się skupić na pogrzebie, żeby przestać myśleć i nie załamać się przy wszystkich. Przez chwilę przyglądała się Valentinie. Była taka poprawna, taka profesjonalna, taka aseptyczna. A mimo to przyszła. Clara wiedziała, że zrobiła to nie tylko z obowiązku. Na jej twarzy pojawił się smutny półuśmiech – Valentina wodziła wzrokiem po żałobnikach. Zrozumiała, że porucznik jest w pracy. Nie dawała sobie ani chwili odpoczynku. Chociaż koleżance trudno było się otworzyć, miała w sobie dużo ciepła. Delikatne pytania, jakie zadawała jej

po samobójstwie matki, to, jak ją przytuliła... Dwukolorowe spojrzenie Valentyny skrywało coś więcej niż sztywność, formalizm i perfekcjonizm.

Clara wiedziała, w jakich okolicznościach koleżanka straciła błysk w jednym ze swoich zielonych oczu. O bracie, który rozpląnął się gdzieś po drodze. Tylko nieliczni znali jej sekret. Valentina zazdrośnie go strzegła, jakby nie chciała pozbywać się tego ciężaru. Jej obecność przyniosła Clarze pocieszenie, wiedziała, że może na nią liczyć. Choć wspierała się na ramieniu męża, nagle poczuła potworne zmęczenie. Jej myśli żeglowały po morzu bólu, prując fale wspomnień. Mamo, co ty zrobiłaś? Jak mam cię o to teraz prosić? Powiedz, jak mam cię prosić, żebyś została?

Valentina przez moment czuła na sobie wzrok Clary. Koleżanka była wyraźnie przybita, ale tego nie demonstrowała. Panująca na cmentarzu atmosfera – pełna szacunku cisza, zakłócana jedynie szeptami – przypomniawszy jej pogrzeb brata. Minęło już ponad dwadzieścia lat. Nie powinna była tam wtedy iść, lekarze zalecili jej odpoczynek. Miała zaledwie dwanaście lat, a jej lewe oko pozbawione blasku zasłaniały czarne sińce i bandaże. To on ją uderzył. Nie zamierzał jej skrzywdzić, była tego pewna. Po prostu chciał, żeby się odsunęła, zeszła mu z drogi; wpadł w szal. Kim był tamten chłopak? Bo na pewno nie jej bratem. Miał jego głos i ciało, ale to był ktoś inny, ktoś zatruty narkotykami. Potrzebuje pieniędzy. I kropka. Musi iść po towar. I kropka. Tak jej powiedział. Bez skrępowań wyjmując z komody perły matki. Rodzice zabrali go do ośrodka. Leczył się. Miał jeszcze szansę na obiecującą przyszłość. Czyż nie byli zżyłą rodziną, która stawiała czoła problemom, trzymając się za ręce? Ale wtedy poznał w autobusie tamtą dziewczynę. Coś wykluło się podczas tej podróży, coś naprawdę dobrego. Podczas odwyku nie pozwalali się z nikim spotykać. Wiedział o tym. Takie były zasady. Ale on miał gdzieś zasady. Mógł przecież w każdej chwili uwolnić się od tego gówna. Kilka tygodni później dziewczyna się ulotniła, a on uległ pokusie. Jego organizm znów stał się niewolnikiem narkotyków, całej gamy środków odurzających.

Valentina o tym wiedziała. Widziała go z tą dziewczyną. Powinna była coś powiedzieć. Coś zrobić. Ale wtedy by ich rozdzielili. Nie domyśliła się, jak to się skończy? Może zasłużyła sobie na tamten brutalny cios. Wiedziała, że gdyby nie odurzenie narkotykami nigdy by jej nie uderzył. Kiedy upadła na podłogę, nie było go już w pokoju, zwał, zabierając ze sobą wszystko, co wartościowe. Nie zdołała go powstrzymać. Czy zdawał sobie sprawę z tego, co zrobił? Może tak. Może miał świadomość swoich czynów, tego, jak się zachowywał od miesięcy, i może właśnie dlatego przedawkował. Narkoman doskonale wie, ile wytrzyma jego organizm. Valentina była tego świadoma. Dręczyła ją myśl, że w przypiływie jasności umysłu Agustín postanowił pozbyć się swojego ciała, żeby już więcej nikogo nie skrzywdzić. Rodziców. Jej. Starszy brat, odważny i honorowy palant. Stopniowo wędnąca nadzieja.

Valentina odpędziła od siebie wspomnienia. Nie przyszła tu po to, żeby popaść w melancholię i zadawać sobie niepotrzebny ból. Z uwagą wodziła wzrokiem po tłumie, wczuwając się w atmosferę smutku, który przeniknął ją do szpiku kości niczym wilgoć. Ukradkiem zerknęła na wyciszoną komórkę – sporo nieodebranych połączeń i wiadomości, jednak nie tych, na które czekała. W ciągu dnia kilkakrotnie dzwoniła do Olivera, ale nie odbierał. Miała do niego prośbę. Zaczęła się denerwować. Poprzedniego dnia ktoś zostawił przed jego domem kartkę z pogrózką. Coś mu się stało? Smutek i melancholia nagle wyparowały, w jej piersi zaczął pulsować niepokój: gdzie, do diabła, podziewa się Oliver Gordon?

Najpiękniejsza rzecz, jakiej możemy doświadczyć, to oczarowanie tajemnicą. To ono jest prawdziwym źródłem wszelkiej prawdziwej sztuki i nauki.

Albert Einstein (1879–1955)

Niedziela, 14 lipca.

Było jeszcze wczesnie rano. Ten weekend nie należał do najprzyjemniejszych ani najspokojniejszych. Valentina siedziała w swoim mieszkaniu – schludnym i uporządkowanym jak ona sama – i planowała swój dzień, popijając z wielkiego kubka gorącą kawę z mlekiem. Na stole leżał gigantyczny schemat, już prawie nieczytelny z powodu licznych zapisków na marginesie i przecinających go strzałek.

Nadal towarzyszyło jej wspomnienie ubiegłego popołudnia: głęboki smutek zaciskał jej gardło i gasił w niej ducha.

Telefon.

– Halo? Oliver? Gdzie ty się podziewałeś? Wczoraj po południu dzwoniłam do ciebie chyba z sześć razy. Wszystko w porządku?

– Tak, wszystko w porządku. Na razie nie oblali mi niczego więcej benzyną... Przepraszam, że wczoraj nie odbierałem, zostawiłem komórkę w domu, a kiedy wróciłem, było już za późno, żeby oddzwonić.

– Jasne. Słuchaj, muszę się z tobą zobaczyć. I najchętniej nie w kostnicy, więc proszę, noś ze sobą komórkę, dopóki nie zamkniemy tej sprawy. Zgoda?

– Wiedziałem, że za mną zatęsknisz.

– Oczywiście. Chcę się z tobą zobaczyć wyłącznie po to, żeby pobrać od ciebie próbkę DNA, jeżeli nie masz nic przeciwko temu – odpowiedziała z uśmiechem Valentina.

– Mojego DNA?

– Tak, dlatego wczoraj dzwoniłam.

– Ech, a ja myślałem, że chciałaś zaprosić mnie na śniadanie. Czyli nicy ze wspólnego brunchu?

– Widzę, że wy, Anglicy, budzicie się w niedzielę w doskonałych humorach. Wspaniale. Dzisiaj laboratoria są zamknięte, więc jeżeli

ci pasuje, pobiorę próbkę jutro rano, żeby uległa jak najmniejszej degradacji.

– Jutro? W porządku, może być. Jak to się odbywa? Pobierzecie mi krew?

– Nie – odpowiedziała rozbawiona Valentina. – Wystarczy, że poślinisz patyczek, i po wszystkim.

– Żaden problem. O której mam być na komendzie?

– Najlepiej z samego rana... Dziewiąta to nie będzie dla ciebie za wcześnie?

– Proszę cię, jak mogłoby być za wcześnie. Jestem Brytyjczykiem.

– Dzięki. – Valentina na moment przerwała. – To nie jest obowiązkowe badanie. Chcę przez to powiedzieć, że mógłbyś odmówić... Wtedy sędzia prowadzący sprawę zdecydowałby, czy jest ono konieczne dla śledztwa.

– Pani porucznik – przerwał jej Oliver – przecież mówiłem, że to żaden problem, zrobię wszystko, co będzie trzeba. Tylko nie bardzo wiem, po co ci moje DNA. Myślisz, że ten noworodek mógłby być kimś z mojej rodziny? Macie jakiś nowy trop? Bo przypominam ci, że mama została adoptowana, więc raczej nie ma związku z willą...

– Tak, wiem – odpowiedziała Valentina. Nie miała zamiaru przyznać, że porusza się po omacku. – Ale chcę wykluczyć pewne opcje, zebrać jak najwięcej informacji, na podstawie których będę mogła stworzyć wiarygodną hipotezę prowadzącą do rozwiązania tej sprawy.

– Rozumiem. Może mógłbym wam w tym pomóc.

– Czyżby?

– Tak. Mówiłem ci, że będę prowadził własne śledztwo. Że nie zamierzam siedzieć z założonymi rękami. Wczoraj po południu nie mogłaś się do mnie dodzwonić, bo pojechałem do Santillany, do Chaconów.

– Co zrobiłeś? Czyś ty zwariował? Przecież prosiłam cię, żebyś nie mieszał się do śledztwa. – Valentina parsknęła, wyraźnie zła. – To nie jest zabawa, Oliverze. Ani twoje żarciki, ani twoje detektywistyczne zdolności nie uchronią cię przed kulką, otruciem czy spaleniem, jeżeli ktoś postanowi, że tym razem obleje benzyną nie twój dom, a ciebie. Kurwa... No i co?

- Powiem ci, jeśli przestaniesz na mnie krzyczeć.
- Ja nie...! – ryknęła Valentina, jednak zrozumiała, że faktycznie podniosła głos, i spróbowała opanować gniew. – Dobrze, Sherlocku: więc czego się dowiedziałeś?
- Że Izan Sáenz skłamał, kiedy z nim rozmawialiście.
- Skłamał? W jakiej sprawie? Dlaczego tak twierdzisz?
- Kiedy wczoraj do nich poszedłem, w domu była tylko żona z dziećmi... Rany boskie, co za terroryści! A w salonie siedziała na wózku babcia...
- Babcia? Czyli siostra Ignacia Chacona, tego, który zaginął w czterdziestym ósmym.
- Dokładnie tak. Dolores Chacón. Przedstawiłem się i opowiedziałem żonie Sáenza, że znalazłem w Villa Marina figurkę Tlaloca...
- Oliverze! Naruszyłeś tajemnicę śledztwa!
- Nie do końca. Nie powiedziałem, że była przy zwłokach. Babka mnie rozpoznała, wiedziała o całej sprawie z gazet. Ale nie powiązałem Tlaloca z noworodkiem. Nie przyznałem się też, że współpracuję z Gwardią Cywilną i że kiedy przesłuchiwaliście jej syna, czekałem w sieni.
- Formalnie z nami nie współpracujesz...
- Jasne. No więc powiedziałem jej tylko, że znalazłem figurkę w domu, a ponieważ to ich dziadek sprowadził z Meksyku ten symbol, chciałem zapytać, czy należy do nich albo czy wiedzą, skąd się u mnie wzięła.
- No i?
- Berta, to znaczy żona Sáenza, wiedziała tylko tyle, że mąż z wami rozmawiał, a potem kazał służbie szukać w schowku zielonych ludków, podobno jeszcze żadnego nie znaleźli. Za to staruszka wyśpiewała mi prawdziwą *Traviatę*, chociaż początkowo wydawało się, że nie bardzo kontaktuje.
- Jak to?
- Zaczęło się, kiedy powiedziałem Bercie, że wcześniej Villa Marina należała do Ongayów. Na dźwięk ich nazwiska babcia wpadła w szal... Zanim ci wszystko opowiem, potwierdź mi jedną rzecz: Sáenz powiedział wam, że nie wie nic o sprawie wujka, poza tym, że po wojnie mógł być zamieszany w jakieś rozgrywki polityczne, tak?
- Tak.

– Więc jak już mówiłem, kiedy jego matka usłyszała nazwisko Ongayów, nagle się ocknęła i oznajmiła, że to wszystko wina „tej dziwki służącej”. Dosłowny cytat. Nazwała ją dziewczką co najmniej sześć razy, aż Berta musiała poprosić pomoc domową, żeby zabrała dzieci do kuchni.

– Służącej... czyli Jany.

– Tak, Jany. Pracowała w ich hotelu w Ubiarco, który nazywał się Casa Azul, a potem Ignacio zabrał ją do Santillany, chociaż zdaniem staruszki nie brakowało im służących. A raczej jak to ujęła: „mieli do pracy aż nadto biednych wsioków”. Jest przekonana, że jej brata zabiła „ta dziwka Jana”, zawsze powtarzała to rodzicom, od początku wydawało jej się podejrzane, że nazajutrz po zniknięciu Ignacia w Casa Azul pojawił się narzeczony „tej dziwki”. Raz przyłapała brata, jak w sieni domu z Tlalokiem całował Janę w usta... Na zakończenie stwierdziła, że jej zdaniem „ten pomiot szatana” załatwił swoich mężów, żeby przejąć ich majątek, żyć jak królowa i robić, co jej się podoba. Co ciekawe, Berta знаła tę historię, bo podobno babcia od lat oskarża Janę Ongayo o każdą tragedię, która wydarza się w Kantabrii, także obecnie. Powiedziała, żebym jej nie słuchał, że ma alzheimera i plecie bzdury. Pożegnałem się i wyszedłem, udając, że interesowała mnie wyłącznie figurka Tlaloca.

– Czyli skoro Berta słyszała tę historię, Izan Sáenz, który przez całe życie mieszka z matką, musi znać ją na pamięć. O to ci chodzi? Taki jest twój wniosek?

– Tak. Nie rozumiem, dlaczego nie wspomniał wam o Janie. Dlaczego nie powiedział prawdy? Co mu szkodziło? Po co miałby kryć osobę odpowiedzialną za śmierć jego wujka? Tak, wiem, może Jana Ongayo wcale nie zabiła Ignacia Chacona, ale dziwi mnie, że facet okłamuje gwardzistów w sprawie, która powinna być mu obojętna.

Valentina przez moment się nad tym zastanawiała.

– Dziękuję, Oliverze, myślę, że to bardzo przydatna informacja, ale proszę, nie wtrącaj się już do śledztwa, to może być niebezpieczne. Zrób sobie dzisiaj wolne. Jest przepiękna pogoda. My będziemy dalej działać. Widzimy się jutro na komendzie?

– Tak jest. Będę o dziewiątej. Zaprosisz mnie na kawę?

– Pod warunkiem, że dzisiaj będziesz przykładnym angielskim dżentelmenem i nie wpakujesz się w żadne kłopoty.

Oliver wybuchnął śmiechem.

– Postaram się. *Perfect gentleman*. Do jutra, pani porucznik.

Serce Valentyny waliło jak młotem. Przeszłość. Ignacio Chacón. On musiał być kluczem do rozwiązania zagadki. Zadzwoiła do kaprała Camargo, żeby zapytać, jak idzie im zbieranie informacji. Niestety poszukiwania kantabryjskich firm stosujących tetratlenek triołowiu okazały się powolne i żmudne, a ponieważ był weekend, nawet nie mogli porozmawiać z prezesami.

Valentina nie zamierzała marnować niedzieli. Zadzwoiła do podporucznika.

– Sabadelle? Obudziłam cię? Spałeś o tej porze? Jest prawie dziesiąta, nie wstyd ci? – zapytała ze śmiechem.

– Obawiam się, że wstyd straciłem wczoraj w ostatnim barze. Przedstawienie późno się skończyło, a potem całą grupą ruszyliśmy w miasto.

– A tak w ogóle jak wam poszło?

– Pełna sala. Sukces. Przyszli nawet Torres i Zubizarreta.

– Naprawdę? – Valentina wyczuła w głosie kolegi lekki wyrzut. – To uprzedź mnie, kiedy będzie kolejne przedstawienie, i przyjdę cię zobaczyć, okej?

– Nie ma problemu, pani porucznik – odpowiedział Sabadelle neutralnym tonem, jeszcze lekko zaspany. Wiedział, że musi utrzymywać dobre stosunki z Valentią, a nawet trochę jej się podlizywać, choć nadal nie był zachwycony, że jest jego przełożoną.

– Słuchaj, muszę się dziś z tobą spotkać, tylko na chwilę, dobrze?

– Jasne. Nie ma problemu, pani porucznik – powtórzył Sabadelle, wywracając oczami i powstrzymując przekleństwo, które cisnęło mu się na usta.

– Ile czasu potrzebujesz? Godzinę?

– Nawet mniej. A co się dzieje?

– Chcę coś sprawdzić w aktach sprawy tego zaginięcia z czterdziestego ósmego. Dowiedziałeś się czegoś o gwardziście, który ją prowadził?

– Sierżant, zginął w wypadku samochodowym dwadzieścia lat temu. Próbowałem namierzyć też tego gwardzistę z Ubiarco, kuzyna chłopaka, którego wtedy zamknęli, Luisa Salvadora, ale nie żyje już od ponad pięciu lat. Będą musiały nam wystarczyć akta.

– Wygląda na to, że nie mamy szczęścia. Wszystkie tropy urywają się ponad pięćdziesiąt lat temu. Jakies postępy z klaryskami?

– Nie. W sprawie Clary Fernández musimy poczekać, aż odkopią akta dawnych nowicjuszek, podobno podczas przeprowadzki z Regina Coeli do Świętego Ildefonsa zawieruszyło się sporo dokumentów...

– Brzmi jak wymówka.

– Powiedziałbym wręcz, że jak jedna wielka ściema. Matka przełożona rzekomo nadal jest niedysponowana, chociaż odkąd ją znam, nigdy nie miała nawet kataru. To wszystko wygląda bardzo dziwnie – stwierdził Sabadelle i cmoknął językiem.

– Owszem. Miałeś na dzisiaj jakieś plany?

– Niespecjalnie.

– Świetnie, w takim razie za godzinę widzimy się na komendzie. Dobrze?

– Dobrze – odpowiedział Sabadelle i pomyślał: „Czy ta baba nigdy nie robi sobie wolnego?”.

Po rozmowie z podporucznikiem Valentina wybrała numer kaprała Camargo.

– Dzień dobry, pani porucznik.

– Dzień dobry. Mam zadanie dla ciebie, dla Torres i Zubizarrety. Za godzinę będę na komendzie, zostawię wam ostatni rachunek za telefon Jany Ongayo, może coś z niego wyciągniecie. Zgoda?

– Oczywiście.

– I jeszcze jedno: Oliver Gordon był zaręczony z niejaką Anną Nicholls, która podobno poważnie zachorowała na raka, potem wyzdrowiała, a teraz pracuje w Indiach w jakiejś organizacji pozarządowej. Potwierdźcie to wszystko, dobra?

– Postaramy się.

– Świetnie. A co z tym tetratlenkiem triołowiu? Trafiliście na jakąś pasującą firmę czy zakład? Mamy jakiś trop?

– Żadnego. To jak szukanie igły w stogu siana. Podzieliliśmy się regionami. Przed chwilą rozmawiałem z Torres: ona sprawdzi Comillas i Santillanę, Zubizarreta Santander i Torrelavegę, a ja resztę prowincji. Jeżeli coś znajdziemy, natychmiast damy ci znać.

– W porządku. Bez względu na porę, Camargo.

Kiedy się pożegnali, Valentina pomyślała, że zadzwoni do sierżanta Riveiro. Pokładała duże zaufanie w jego intuicji i doświadczeniu – często sprowadzały ją na ścieżkę, którą sama nigdy by nie podążyła. Nie chciała odbierać mu czasu z rodziną – była niedziela, a za oknem świeciło słońce – w końcu jednak z wahaniem wybrała jego numer.

– Riveiro? Dzień dobry – przywitała się, a następnie zrelacjonowała mu wydarzenia poprzedniego popołudnia i to, czym przed chwilą podzielili się z nią Oliver Gordon i podporucznik Sabadelle.

– Tak, wydaje się oczywiste, że wszystko zaczęło się od zniknięcia Ignacia Chacona, a znalezienie noworodka w Villa Marina wskrzesiło tę sprawę – stwierdził sierżant, kiedy Valentina skończyła opowiadać. – Ale na razie mamy związane ręce, musimy poczekać na wyniki z laboratorium i na rozmowę z klaryskami... Jeżeli odmówią współpracy, zaczną się przepychanki z biskupem.

– Wiem. Dlatego pomyślałam, żebyśmy spróbowali dowiedzieć się z innego źródła, co mogło spotkać Ignacia Chacona... Jeżeli po południu jesteś zajęty, rozumiem, nie przejmuj się, poproszę podporucznika albo pojadę sama.

– Dzisiaj po południu? Pojadę, gdzie będzie trzeba, żeby rozwiązać tę sprawę. Możesz na mnie liczyć. Dokąd się wybieramy?

– Jeszcze muszę się upewnić, zaraz spotykam się z podporucznikiem... Potem wykonam parę telefonów. Ale jeżeli wszystko się potwierdzi, po południu pojedziemy do Comillas.

Po południu porucznik Redondo i sierżant Riveiro wyruszyli do Comillas szosą wzdłuż wybrzeża. Po drodze praktycznie nie rozmawiali, podziwiali krajobraz. Valentina zdradziła tylko, komu złożą wizytę. Przez pół ranka ona i Sabadelle szukali tego adresu w starych aktach Gwardii Cywilnej.

W miasteczku panował duży ruch, plaża była zastawiona parasolami należącymi zarówno do turystów, jak i do miejscowych. Na miejsce dotarli dopiero przed siedemnastą.

Urokliwy domek stał niemal nad samym morzem. Wyglądem przypominał chatę rybacką, miało się ochotę zajrzeć do środka. Drzwi otworzył im jakiś chłopiec. Przedstawił się jako Eric, był wnukiem osoby, z którą przyszli porozmawiać. Poprowadził ich do skromnego saloniku z dwoma oknami: jedno wychodziło na pomost i przycumowane do niego łodzie rybackie, drugie na horyzont.

Na tle wypełnionego błękitem okna stał stary fotel w szkocką kratę, niepasujący do innych mebli w salonie, który mimo to wydawał się niezwykle przytulny. Siedziała w nim jakaś leciwa kobieta, akurat coś szyła.

– Dzień dobry, Valentina Redondo z wydziału śledczego Gwardii Cywilnej, rozmawialiśmy wcześniej przez telefon... A to mój kolega, sierżant Riveiro.

– Witam – odparła staruszka z uśmiechem. – Czekałam na państwa. Proszę usiąść. Napiją się państwo czegoś? – zapytała, zważowo podnosząc się z fotela, żeby podać im rękę.

– Nie, dziękujemy, nie chcemy zabierać pani zbyt dużo czasu.

– Ależ skąd, nie zabierają mi państwo czasu, mam go w nadmiarze. Przyjechali państwo, żeby zapytać mnie o sprawy z przeszłości, prawda? Niedługo ja sama też przejdę do przeszłości – powiedziała staruszka z pogodnym uśmiechem. – Ale na razie jeszcze trzeba się ze mną użerać.

Valentina odwzajemniła jej uśmiech.

– Dziękuję, pani Saro, że zgodziła się pani z nami spotkać. Mogę robić notatki? – zapytała, wyjmując notes z aktówki, którą miała przewieszoną przez ramię.

– Oczywiście, proszę notować wszystko, co pani zechce, chociaż nie sędzę, żebym miała cokolwiek ciekawego do powiedzenia.

Valentina spojrzała na sierżanta. Po chwili milczenia wyjaśniła powód ich wizyty:

– Pani Saro, jesteśmy tu w związku z czymś, co wydarzyło się wiele lat temu, ciekawi nas pani pogląd na tę sprawę. Niestety pani mąż, Luis

Salvador, już nie żyje.

– Tak... – powiedziała Sara, pozwalając, by jej spojrzenie zasnuł cień nostalgii i smutku. – Minęło już dziesięć lat. A ja codziennie z nim rozmawiam, jak jakaś stara wariatka. Znajduję w tym ukojenie. Chcą państwo zapytać o to, jak trafił do więzienia, prawda? Chodzi o samobójstwo Jany Ongayo? Miało z nim coś wspólnego?

– Niewykluczone.

– Nigdy nie przestała go kochać, wiem to. Widziałam, jak na niego patrzyła, kiedy któregoś dnia spotkaliśmy ją na placu. Coś państwu powiem: był czas, kiedy jej nienawidziłam.

– Tak? Dlaczego?

– Bo on też bardzo długo ją kochał, nawet kiedy już byliśmy małżeństwem – powiedziała Sara, odwracając wzrok w stronę okna. – Ale ja mu wybaczyłam. Zawsze pragnie się tego, czego nie można mieć, taka już natura człowieka. Wiem też, że w końcu o niej zapomniał. Byliśmy szczęśliwi. Mamy dwie córki i troje wnucząt, uwielbiały Luisa... Odszedł bardzo wcześnie, rak... Mimo wszystko nie mogę narzekać – podsumowała staruszka z półuśmiechem, spoglądając w stronę Valentinie w oczy. – Co chcą państwo wiedzieć?

– Chcemy wiedzieć, co opowiedział pani o dniu, w którym pojechał do Ubiarco zobaczyć się z Janą. Wie pani, po co tam był?

– Nigdy nie chciał mi tego wyjaśnić. Powiedział, że to było pożegnanie. Kiedy stamtąd wrócił, poprosił mnie o rękę.

– Ale z akt tamtej sprawy wynika... Nie byliście już wtedy od jakiegoś czasu zaręczeni?

– Nie, dopiero zaczęliśmy się spotykać, czasami odprowadzał mnie do domu, ale najczęściej spędzaliśmy czas w gronie znajomych. Nawet oficjalnie nie byliśmy parą.

– I nie zdziwiło pani, że akurat tamtego dnia zaproponował pani małżeństwo?

Staruszka przez moment się zastanawiała.

– Pewnie chciałam wierzyć, że nie ma w tym nic dziwnego. Że to nawet logiczne: poszedł pożegnać się z byłą sympatią, bo zakochał się w innej dziewczynie... Od dawna nie utrzymywali kontaktów, chociaż jakieś dwa

miesiące wcześniej odwiedził ją w Santillanie del Mar razem z jej siostrą... Nie pamiętam już dobrze, jak to było. Minęło tyle czasu...

– A co wydarzyło się potem, po powrocie Luisa z Ubiarco?

– Dwa dni później przyjechała po niego Gwardia Cywilna, przez trzy dni trzymali go w podziemiach ratusza w Ubiarco, a potem wysłali do więzienia w Santanderze. To było straszne, w miasteczku huczało od plotek. Ojciec zabronił mi wychodzić za niego za mąż, ale ja byłam do szaleństwa zakochana i nie mogłam wybić go sobie z głowy. Pobraliśmy się zaledwie trzy miesiące po tym, jak go wypuścili. Na szczęście pomógł mu kuzyn z Ubiarco, który był gwardzistą, udowodnił, że Luis nie miał nic wspólnego z tamtą sprawą. Aj, mój biedny Luisuco! Był dobrym człowiekiem, nigdy z nikim nie zadzierał, proszę mi wierzyć.

– Spokojnie, pani Saro, o nic go nie oskarżamy. Pamięta pani coś jeszcze z tamtego okresu?

– Nie bardzo – odpowiedziała staruszka powoli, jakby grzebała w pamięci. – Tylko burzę, jaka wybuchła w całej okolicy, kiedy znaleźli worek z nogami tego rozpustnika Chacona. I tę flagę z orłem! Dobrze się stało, bo dopiero wtedy ludzie przestali szeptać o moim mężu. Zaczęto podejrzewać, że chodziło o jakieś porachunki z nacjonalistami albo tymi z gór. Sama nie wiem, cała ta sprawa była bardzo dziwna.

Valentina westchnęła. Śledztwo nadal nie posunęło się naprzód.

– Pani Saro, wczoraj na pogrzebie Jany Ongayo... było bardzo dużo ludzi... Pani też przyszła?

– Nie, skąd. Po co? Nigdy nie zamieniłyśmy słowa. Ale już przestałam jej nienawidzić. W którymś momencie przeszła mi zazdrość, chociaż przyznam, że zawsze budziła moją zawiść: była taka piękna, nosiła takie ładne sukienki... i te buty! Ale mój Luis wreszcie o niej zapomniał, a ona nigdy nas nie nachodziła. Pozwoliła, żebyśmy podążali własną drogą, za co jestem jej bardzo wdzięczna. Mówiłam już państwu: widziałam, jak na niego patrzy. Zostawienie w spokoju mojego męża musiało ją dużo kosztować. Co innego jej siostra, Clara. Znałam je obie, bo przez kilka lat z rzędu przyjeżdżały do Comillas na wakacje. Były o parę lat starsze ode mnie. Ja i inne dziewczynki nazywałyśmy Clary Lucybelem.

– Przepraszam, jak...?

– Lucybelem. Była bardzo ładna, a jednocześnie strasznie zarozumiała i dziwna. Chwilami budziła w nas strach. To, jak na nas patrzyła, jak manipulowała swoją siostrą... Była zimna jak lód. Jej spojrzenie przyprawiało o dreszcze. Nie wiedzą państwo, kim jest Lucybel? – zapytała staruszka niemal ze zdziwieniem.

– Wiemy – wtrącił z powagą Riveiro, odwracając się do Valentyny, która spoglądała na niego pytająco. – Lucybel, piękne światło, najpiękniejszy anioł w służbie Boga. – Przerwał, próbując sobie przypomnieć, co czytał w podręczniku do religii swojego syna. – Lucybel to zresztą tylko jedno z jego imion.

– Imion? Czyich? – zapytała Valentina, dziwnie zaniepokojona, bo już знаła odpowiedź.

– Diabła. Anioła, który uniósł się pychą i nakłonił do buntu inne anioły... – odparł niepewnie Riveiro, zamykając oczy, jakby wysilał pamięć. – Lucybel, Lucyper, Lucyfer...

– Otóż to – potwierdziła staruszka z zadowoleniem, jednocześnie kręcąc głową. – Proszę mi wierzyć: Clara była bardzo ładną dziewczynką, ale wystarczyło na nią spojrzeć, żeby wiedzieć, że to diabeł, istne wcielenie zła.

DZIENNIK (16)

Nic, albo prawie nic, nie jest takie, na jakie wygląda. Ja także czasem daję się zwieść pozorom; daleko mi do nieomyślności. Był ktoś, kto przez bardzo długi czas mnie zwodził, udając obojętność, chociaż miał najgorętsze serce. Wyjawię ci coś zaskakującego: to David włożył flagę z orłem do worka z gnijącymi nogami don Ignacia. Aby wytłumaczyć jego postępek, przybliżyć tę tajemnicę, która pociągnęła za sobą inne, muszę ci opowiedzieć o nim. O kimże innym? Opowiem ci o Davidzie.

Kiedy David opuszczał rodzinne Hinojedo, by rozpocząć pracę w gospodarstwie hodowlanym w La Tablía, czuł pustkę z powodu samotności, a jednocześnie młodzieńczą radość z tego, że wreszcie będzie wolny, zacznie naprawdę żyć, stanie się mężczyzną. Krótkie życie zdążyło go ciężko doświadczyć: matka, brat, czerwoni polegli u podnóża Masery de Castío. Za dużo zwłok, których widok wypalił się na jego dziecięcej siatkówce. Za dużo pracy, odpowiedzialności i zmartwień jak na trzynastoletniego wyrostka.

Drogę z Hinojedo do La Tablía pokonał pieszo, niosąc swój skromny dobytek, odprowadzany przez ojca. Idąc szybkim krokiem, mogli dotrzeć tam w godzinę, ale szli prawie dwie, rozmawiając o życiu, o przyszłości, o tym, jak po wojnie wszystko się ułoży; jakby David faktycznie wyjeżdżał tylko na wakacje. Podczas tej pożegnalnej przechadzki pośród łąk wszystko przypominało im jednak, że nadal trwa wojna – twarze mijanych ludzi, atmosfera smutku, cisza, której nie przerywał nawet świergot ptaków.

Kiedy przy plaży La Concha zaczęli wspinać się na wzniesienie z latarnią morską, żeby potem skrócić w drogę na Tagle, Ubiarco i Santillanę del Mar, przy której znajdowała się La Tablía, ich oczom ukazał się najpilniej strzeżony hotel w całej Kantabrii. Chociaż mieszkali niedaleko stąd, w ostatnich miesiącach nie chodzili tą trasą – hotel stał się placówką eksterytorialną, już od prawie roku otaczało go betonowe ogrodzenie zwieńczone zwojami drutu kolczastego. Przebywali w nim cudzoziemcy, którym rząd udzielił azylu dyplomatycznego na czas

trwania tej żałosnej wojny. Hotel zamienił się w ambasadę, z której zwisały różnokolorowe flagi: szwajcarska, włoska, chilijska, argentyńska, amerykańska, brytyjska, grecka... W sztuczną, opancerzoną wieżę Babel, wzniesioną nie w Babilonie, a w Suances.

Kiedy go mijali, żołnierze Gwardii Szturmowej bezczelnie zlustrowali ich wzrokiem; wystarczył im jeden rzut oka, żeby zakwalifikować ich jako nieszkodliwych wieśniaków. Poczciwy Benigno nie zwrócił na to uwagi, ale David owszem. Zagotował się z wściekłości. Chciał, żeby patrzono na niego z szacunkiem, może nawet ze strachem. Nie widzą, że nie jest już dzieckiem? On też będzie partyzantem, żołnierzem i da nauczkę tym, którzy zniszczyli jego rodzinę, krainę jego dzieciństwa i jego wspomnienia.

Ale wszystko w swoim czasie. W jego sercu kiełkowało ziarno żalu, gniewu, nienawiści. Nie miał wątpliwości, po czyjej stronie stoi w tej wojnie. Był jednak jeszcze zbyt młody – miał przed sobą kilka lat pracy w gospodarstwie. Choć okazał się najmłodszym wyrobnikiem, nie cieszył się z tego powodu szczególnymi względami, ale traktowano go dobrze, dotrzymując warunków uzgodnionych z Benignem. Prawie codziennie rano chodził do szkoły, skończył ją w wieku czternastu lat.

Korespondował z siostrami, ale raczej sporadycznie. Nie lubił pisać, poza tym wydawało mu się, że nie ma im nic do powiedzenia. Czuł się nieswojo, jakby nie należał do żadnego miejsca, do żadnej rodziny, do żadnej wspólnoty. O jakim życiu, o jakiej przyszłości mógł marzyć? Jego małe siostrzyczki też nie miały łatwo: jedna była służącą, druga sprzątała gospodę. On tymczasem ubijał bydło i świnie, odbierał krowie porody, czyścił obory i sprzedawał mleko.

Kiedy po wojnie domowej jego siostry znów zamieszkały w Hinojedo, poczuł się trochę spokojniejszy. Jakby świat wrócił na dawne tory, jakby dopasowano przynajmniej część rozrzuconych na stole fragmentów układanki. Wydawało mu się, że w domu będą bezpieczniejsze, że znów zapanuje normalność. Kiedy tylko mógł, szedł pieszo do Hinojedo, by zanieść im trochę wieprzowiny, a czasem nawet cielęcinę.

Lubił trzymać się ze starszymi chłopakami, chociaż prawdę mówiąc, za bardzo nie miał wyjścia, bo w La Tablía nie było dzieci w jego wieku.

W niedziele wybierał się czasem do Suances i spacerował po porcie, gdzie pracował Pedro, dawny sąsiad z Hinojedo. Od tamtego mroźnego poranka w jaskini praktycznie nie rozmawiali. Teraz Pedra przeżywali Jednorękim. Nie przeszkadzało mu to, przyzwyczał się. Jak każdy rybak co ranka wypływał na połów i walczył z morzem tak, jakby nie brakowało mu dłoni. Dłoni, którą stracił w wybuchu bomby. Nawet się wtedy nie zorientował, że mu ją urwało, poczuł jedynie wyraźne, palące ciepło w ręce.

Którejś niedzieli Pedro zaprosił Davida na piwo do obskurnej portowej spelunki. Z tygodnia na tydzień dołączało do nich coraz więcej mężczyzn, inni rybacy, znajomi z Suances, a nawet kilku kolegów z gospodarstwa. Rozmawiali o polityce, o czarnym rynku, o przybływach, o kobietach, o całym tym popierdolonym życiu. To tam David znalazł ujście dla swojego żalu, gniewu, nienawiści. To tam poczuł wreszcie, że gdzieś przynależy, tam ostatecznie ukształtowała się jego tożsamość, tam wyznaczył sobie cele, które pomogły mu zrozumieć sens tego, co się wydarzyło: dlaczego on żyje, a mama i Antonio nie. Z impulsywnością właściwą nastolatkom stworzył sobie ideały, o które chciał walczyć. Nie był to zwykły bunt przeciwko systemowi, ale przemyślane stanowisko zabarwione głęboką urazą i nienawiścią do nacjonalistów.

David zaczął dążyć do realizacji literackiej, romantycznej wizji świata, w którym wygrają „dobrzy”, a przegrają „źli”. Do uniwersalnej sprawiedliwości, do równowagi.

Minęło trochę czasu.

W 1940 roku wypuszczono na wolność część republikanów. Wrócili do swoich miasteczek, swoich wsi. Ale ich życie nadal było naznaczone niepokojem, podejrzliwością i strachem. Nowe lokalne władze – lekarze, księża, falangiści – mogły utrudnić pokonanym powrót do normalności. Czasami utrudniały, czasami nie. Ci, którzy nie mogli znieść więcej bicia, uciekali w góry.

David dalej harował w gospodarstwie. Dorósł i zmęźniał. Po kryjomu spotykał się z członkami ruchu oporu wspierającymi zmuszoną do milczenia Republikę. Pomagał ukrywającym się w górach, dostarczając im mleko, śmietanę, placki i chleb, które zabierali do swoich

jaskiń. Większość partyzantów przemieszczała się w okolice Potes, rzeki Miera i Comillas, na górzyste tereny pełne przełęczy, jaskiń i szaleńców, gdzie mogli skutecznie się chować przed gwardzistami. Jednak spora grupa czerwonych ukrywała się niedaleko, na górze Mercadal w pobliżu kopalni w Reocín, wspomagana przez okolicznych mieszkańców. Z czasem wielu z nich uciekło do Francji, do Perpignan albo do Paryża.

Czas płynął dalej, grubymi, kapiącymi ciurkiem kroplami, niczym przesypujący się w klepsydrze piasek. W 1941 roku spłonął Santander. Starówka poszła z dymem, ostały się tylko budynki Banku Hiszpanii i poczty. Ludzie oplakiwali miasto. „Tylko biedacy padają pastwą płomieni”, usłyszał David w portowej gospodzie.

Wszystko to wydawało mu się niesprawiedliwe, absurdalne, piekielne. Dzięki temu, że pracował w gospodarstwie, nie chodził głodny mimo wprowadzonej po wojnie reglamentacji. Nie żył też jednak w dostatku, za którym zresztą nie tęsknił, bo nigdy go nie zaznał. Życie było takie monotonne, takie ciężkie i takie szare, że ucieczka w góry nie wydawała mu się wcale złym rozwiązaniem. Zastanawiał się, czy nie dołączyć do partyzantki, która z utęsknieniem wyczekiwała pomocy ze strony zbiegłych za granicę towarzyszy. Na pewno się tam jakoś organizują, myśleli. Ale kiedy w tym samym roku w Santanderze zginął Czuby, jeden z najbardziej znanych członków ruchu oporu, młodzi idealisci stracili nieco animuszu.

Czasami Davida nachodziły wątpliwości. Myślał, że gdyby jednak frankiści ostatecznie utrzymali władzę, mógłby mieć normalne życie. Tchórzliwe, uległe, ale normalne. W Suances była pewna dziewczyna, która bardzo mu się podobała. Nazywała się Conchita. Może wydarłby dla nich jakiś kawałek życia. Wyjechał, gdzieś daleko od Hiszpanii. Planował zaprosić ją na odpust ku czci Matki Bożej Szkaplerznej. Nie chodził na zabawy, ale wiedział, że jego siostry czasami wybierały się na potańcówki. Korzystały z życia z umiarem i w granicach przyzwoitości, choć Jana ostatnio zbyt często pokazywała się z jakimś chłopcem z Comillas. David uważał, że jest jeszcze za młoda na amory, ale zasięgnął języka o absztyfikancie i wydał mu się porządnym człowiekiem. Pracowity, osierocony przez ojca, do szaleństwa zakochany

w jego siostrze. Powinien z nią porozmawiać. Jana i Clara nie wiedziały, że ich pilnuje. Jednoręki i inni koledzy o wszystkim mu donosili.

David w końcu zakosztował ekscytującego żaru młodzieńczej miłości z Conchitą, która pozwoliła zaprosić się na tamten odpust, i spędziła z nim wiele innych popołudni, a nawet nocy. Mimo to pożegnał się z nią pośród obietnic i gorących uścisków, żeby pójść w góry i robić to, co nakazywały mu jego męskość, honor i poczucie przynależności klasowej. Może po to, żeby pomścić matkę, brata, rozbitą rodzinę. A może żeby walczyć o ideały polityczne, które uważał za sprawiedliwe, właściwe i potrzebne.

Tych, którzy zbiegli w góry zimą 1937 roku, po zakończeniu wojny, w 1939 nazywano „uciekinierami”. Tych, którzy jak David poszli w góry pod koniec 1944, określano mianem „partyzantów”. Działali podzieleni na dziesięcioosobowe oddziały. W grupie Davida był Jednoręki i republikanie wypuszczeni z więzienia w Santanderze i zakładu karnego El Dueso w Santoñi. Niektórzy z tych mężczyzn nie byli idealistami ani nawet rewolucjonistami, ale w rodzinnych wioskach spotkały ich tak brutalne represje, że woleli ukrywać się w górach, niż żyć z podkulonym ogonem.

Z powodu kradzieży i napadów nazywano ich bandytami, chociaż zrabowane pieniądze służyły sprawie – drukowali za nie ulotki propagandowe i naklejki, organizowali tajne spotkania, kupowali żywność. Źródłem prowiantu i informacji byli jednak przede wszystkim okoliczni mieszkańcy; pomagali partyzantom na taką skalę, że w końcu władze zabroniły im chodzić w góry.

Lud darzył sympatią partyzantów.

Prasa rzecz jasna publikowała wyłącznie informacje o sukcesach wojska. W Davidzie wrzała krew, bo wiadomości o ich akcjach były przekazywane z ust do ust, ale nigdy nie pojawiały się w gazetach, jakby byli niewidzialnymi duchami, bandytami bez większego znaczenia.

Dlatego tak ważną rolę odgrywała agitacja, utrzymanie zbrojnego oporu. W 1945 roku David uczestniczył w rozpowszechnianiu ulotki, którą z okazji rocznicy zamachu stanu wypuściło jedno z ugrupowań partyzanckich. Widniał na niej następujący tekst:

Młody patrioto: ty, który 18 lipca 1936 roku stanąłeś do walki ze zdrajcami Republiki, nie możesz pozostać bierny i zapomnieć o tytanicznej walce partyzantów; wzywają cię, żebyś do nich dołączył i pomógł im uwolnić Hiszpanię od tego kata Franco. 18 lipca 1945 r. Ugrupowanie partyzanckie z Santanderu.

Niedaleko Potes działał niejaki Juanín, który od 1943 roku skakał po górach niczym kantabryjski Robin Hood. Wkrótce zaczęły o nim krążyć legendy – słynął z tego, że potrafił wystrychnąć na dudka gwardzistów, ale także z pogodnego usposobienia, uczciwości i poczucia humoru. Stał się wzorem do naśladowania dla innych partyzantów, w tym dla Davida. Jednak z biegiem lat zahartowani przez góry mężczyźni – bo tym właśnie byli partyzanci – stopniowo zaczęli się rozpraszać, demobilizować, rozplýwać. W 1948 roku partyzantka nie miała już żadnego zaplecza politycznego; coraz trudniej było usprawiedliwić to, że w górach nadal ukrywa się tylu mężczyzn – a także trochę odważnych kobiet.

David też był zmęczony, miał dosyć bezowocnej walki i życia w ukryciu. Postanowił odstąpić od swoich romantycznych ideałów, od swojej żądzy zemsty. Dać sobie szansę. Miał prawie dwadzieścia cztery lata. Przyszła pora, by założyć rodzinę. Chociaż Conchita pochodziła z rodziny o lewicowych poglądach, która poparła jego walkę przeciwko reżimowi, ona również miała dość rozstań, zmiennych kolei losu i poczucia bezsilności. Życie było najeżone trudnościami. Właśnie zaczynało się lato. Postanowili uciec do Francji. David chciał jeszcze pożegnać się z ojcem i siostrami. Musiał zrobić to dyskretnie – Gwardia Cywilna polowała na niego od dwóch lat.

Kiedy powiedział ojcu, że za dwa miesiące przedrze się do Francji i tam poślubi Conchitę, Benigno rozpląkał się z powodu ulgi, jaką przyniosła jego udręczonej duszy ta wiadomość. Nareszcie. Jego syn zniknie z gór i z celownika Gwardii Cywilnej. Wszystko zaczynało się układać. Syn ożeniony i we Francji, starsza córka na służbie w Torrelavedze, młodsza – w Santillanie i w Ubiarco, gdzie właśnie przeniosła się na czas lata.

David zdziwił się, że Clary nie ma w Torrelavedze. Okazało się, że pojechała z Janą do Ubiarco, korzystając z tego, że tydzień wcześniej Ongayowie wybrali się do Urugwaju. Pomyślał, że to bardzo wspaniałomyślne z jej strony, że chce pomóc młodszej siostrze, choć musiała zajmować się rezydencją państwa także pod ich nieobecność.

David postanowił pożegnać się z siostrami. Towarzyszył mu Jednoręki, który nadal walczył w górach, ale akurat musiał na chwilę wrócić do cywilizacji, żeby udać się do dentysty – sympatyka czerwonych, który przyjmował partyzantów na zapleczu swojego gabinetu. Chociaż Gwardia Cywilna szukała Davida raczej w okolicach Reinosy i Mercadal, wolał zachować ostrożność – poszli do Ubiarco pieszo, przebrani za wieśniaków, polami i bocznymi drogami. Ponieważ dotarli późną nocą, postanowili, że prześpią się w jednej z pustych rybackich chałup stojących nieopodal Casa Azul. Wydawało się, że nigdy nie były zamieszkałe i służyły wyłącznie do przechowywania wędek, sieci i innego sprzętu.

David wpadł na pomysł, że kiedy wszyscy pójdą spać, spróbuje znaleźć pokój swoich sióstr, zakradnie się pod okno i napędzi im strachu, jak robił, gdy byli dziećmi. Razem z Jednorękiem położyli się na trawie i cierpliwie czekali, osłonięci chwastami i gęstym mrokiem. Porozmawiali, zjedli trochę chleba i sera, napili się wina, a na koniec zapalili papierosy, ciesząc się ciepłem lata budzącego się po wilgotnej wiośnie.

Wreszcie ucichł gwar towarzyszący kolacji. David i Jednoręki czekali, aż w domu zrobi się ciemno. Ale światło w jednym z pomieszczeń (nie wiedzieli, że to biblioteka) wcale nie miało zamiaru zgasnąć, ustąpić miejsca ciemności. Kiedy znudzeni rozmawianiem o polityce postanowili podejść bliżej pensjonatu, ze zdumieniem ujrzeli, jak Clara i Jana taszcą nad przepaść jakieś worki. Było ciemno, nie mieli pewności, że dobrze widzą. To na pewno one? Nie rozmawiały, nie mógł więc rozpoznać ich po głosie.

Spokojnie. Ostrożnie. Szuka nas Gwardia Cywilna. A jeżeli to nie one? Nie, to na pewno one. O Boże, Clara jest cała we krwi. Jana ma brudne ubranie, te ciemnoczerwone plamy to też krew. David w pierwszym

odruchu chciał podejść do sióstr. Jednoręki brutalnie go powstrzymał. Są przecież partyzantami. Kto wie, co się dzieje w tym domu? A jeżeli wszyscy są na nogach i ich nakryją? A jeżeli na nich doniosą? Może poza służbą są tam też jacyś goście. David ucieknie do Francji, ale Pedro tu zostanie. Chociaż on też zastanawiał się, czy nie zejść z gór, nie wiedział jeszcze, co będzie robił i gdzie osiadzie.

Uwaga. Siostry znowu poszły nad przepaść, po czym wróciły do domu. Po dłuższej chwili David i Jednoręki zobaczyli, jak zziajane wychodzą na ścieżkę. Uciekają? Nie. Zatrzymały się przy ukrytym źródle w pobliżu drogi. David nie miał już wątpliwości: jego siostry działały w tajemnicy przed paniczem i resztą służących. W przeciwnym razie umyłyby się w Casa Azul. Z całych sił powstrzymywał się, żeby do nich nie podejść. W końcu nie wytrzymał. Musiał zobaczyć, co tam się dzieje. Kiedy zaczął wstawać, żeby wyjść z kryjówki, poczuł mocny cios w głowę i połączył się z mrokiem nocy.

Kiedy pół godziny później odzyskał przytomność, Jednoręki usprawiedliwił się krótko: nie mógł pozwolić, żeby David naraził ich na niebezpieczeństwo. Bez wątpienia doszło do jakiejś krwawej zbrodni. Nie mogą się w to mieszać, mają dość własnych problemów. To już nie jest zabawa w brata, który chce powiedzieć dobranoc swoim siostrzyczkom, bo wybiera się do Paryża czy innego miasta w kraju Galów. Okazuje się, że z siostrzyczek są niezłe ziółka i wpakowały się w jakąś grubą aferę, lada moment zjawią się gwardziści i zastaną ich obydwu na miejscu zbrodni. Jana i Clara zniknęły, Jednoręki twierdził, że wróciły do domu, w którym panowały teraz cisza i spokój. David postanowił posłuchać przyjaciela i odczekać parę dni, zanim porozmawia z siostrami, żeby wyjaśnić tę sprawę. Jeszcze tej samej nocy poszli na piechotę do Hinojedo i ukryli się w domu Pedra, w dobrze zakamuflowanej piwnicy.

Wystarczyło zaczekać dzień, żeby dowiedzieć się o zniknięciu don Ignacia. Takie skandaliczne wiadomości niosą się z ust do ust lotem błyskawicy. Do zszokowanego Davida zaczęło docierać, co mogło być w workach. Tydzień później udało mu się spotkać z siostrami. Ponieważ pensjonat został czasowo zamknięty, nie musiał udawać się w tym celu

do Ubiarco – na szczęście, bo jak trafnie przepowiedział Jednoręki, w okolicach Casa Azul roіło się teraz od gwardzistów.

Nie wyjawil siostron, że tam był. Poinformował je tylko, że za kilka tygodni wyjeżdża, i wypytał o zniknięcie panicza. Zaskoczyło go opanowanie Clary, jej stanowcze odpowiedzi; kłamała z mrozącym krew w żyłach spokojem. Jana była bardziej zdenerwowana, ale od niej też nie wyciągnął żadnych informacji. Choć jej spojrzenie było twarde, a głos hardy, czuł, że gdyby ją przycisnął, w końcu by się posypała. Obie zachowywały się tak, jakby nic strasznego się nie wydarzyło, poza tym, że Jana straciła pracę. Clara już szukała jej nowej posady, zawsze pełniła rolę opiekuńczej matki. David nie miał wątpliwości, że za zniknięciem panicza stoją jego siostry. Nie miał też wątpliwości, że ten łajdak zasłużył na to, co zrobiły mu te dwie małe diablice. Nie chciał ich za bardzo wypytywać ani zdradzać, że on i Jednoręki wiedzą – a przynajmniej domyślają się – co się wydarzyło. Nie znał motywu. Zresztą nie miał on znaczenia. Któraś z nich – a może obie – poczuła się przyparta do muru i zareagowały. Sam nieraz znajdował się w takiej sytuacji, kiedy był w górach. I reagował. Takie jest życie.

Poprosił Ballestę – zaufanego przyjaciela Jednorękiego, który mieszkał w Ubiarco – żeby codziennie zaglądał na plażę. Bał się, że morze odda to, co wrzuciły do niego jego siostry, że splunie im w twarz, komplikując życie.

Tydzień przed wyjazdem do Francji dowiedział się, że morze faktycznie oddało pakunek o dość jednoznacznej zawartości. Udał się przez łąki na plażę Santa Justa, żeby go zobaczyć. Z przerażeniem zrozumiał, że jego podejrzenia były słuszne. Mimo że wszystkiego się domyślał, widok gnijących resztek przyprawił go o mdłości. Żeby odsunąć podejrzenia od sióstr i biednego chłopaka z Comillas – którego z braku dowodów właśnie wypuścili na wolność – wsadził do worka sztandar nacjonalistów znaleziony kiedyś w zwiniętych gwardzistom sakwach. Odliczył sto peset z tysiąca, które zebrał z napadów, żeby udać się do Francji z czymś więcej niż tylko z męznym sercem, i dał je chłopakowi, który znalazł worek. Żeby milczał, a jeżeli zobaczy kolejny, zatopił go głęboko w morzu. Tego nie, ten niech zostawi na plaży, niech zapytają

o niego tych skurwieli od Franco, ciekawe co powiedzą. Ponieważ średnia dniówka robotnika wynosiła trzynaście peset, chłopak zrobił dobry interes. Ale Juan Ramón Ballesta zachowałby milczenie za darmo – należał do tych rzadko spotykanych osób, które stawiają ponad wszystko honor i chęć niesienia pomocy. To, co wydarzyło się na plaży Santa Justa, zostanie tam na zawsze, a z jego ust nie wyjdzie nic poza milczeniem.

David nie osądzał sióstr. Zostawił je, żeby nieświadome jego poczynań zmagaly się ze swoimi demonami, podczas gdy on będzie zmagał się ze swoimi, z dala od nich.

Być może zadajesz sobie pytanie, skąd o tym wiem. Uwierz, dotarcie do prawdy zajęło mi dużo czasu. Potrzebna była pomoc ze strony innych. Pewnie zastanawiasz się, skąd wiem o Davidzie i o jego życiu, które od początku było nieodłączną częścią mojego. Skąd wiem, jak potoczyła się ta historia, co zrobił, czego nie zrobił, co myślał sobie młody partyzant.

Wiem to wszystko po prostu dlatego, że Jednoręki się wygadał.
I dlatego, że David był moim bratem.

Więc kiedy śmierć na człowieka przyjdzie, wówczas chyba to, co w nim śmiertelne, umiera, a to, co nieśmiertelne, całe i nie zepsute oddala się i odchodzi precz.

Platon (427 p.n.e.–347 p.n.e.)

Poniedziałek, 15 lipca.

Valentina spędziła pół nocy przed laptopem, szukając informacji i korygując swój schemat sprawy Villa Marina. Kiedy o siódmej rano wstała bez pomocy budzika, wiedziała już, kto jest mordercą, choć kilka wątków nadal pozostawało niewyjaśnionych. Telefon od podeksycytowanego podporucznika, który odebrała piętnaście minut później, potwierdził jej podejrzenia, nie wpasował jednak na swoje miejsca wszystkich elementów układanki.

O ósmej była już na komendzie. Odprawa zaczynała się dopiero za pół godziny, Valentina miała więc czas, żeby wypić drugą kawę i zadzwonić do sędziego. Chociaż Talaverze zwykle dopisywał humor, nie był zachwycony ani telefonem o tak wczesnej porze, ani jej prośbą. Poszlaki były jednak na tyle oczywiste, że zgodził się wydać nakaz, o który go poprosiła; za dwie godziny na komendę miał przyjechać sekretarz sądowy, by towarzyszyć im podczas przeszukania.

Jako pierwszy zjawił się Riveiro.

– Sierżancie, mam nowe wieści – powiedziała na jego widok Valentina, nawet się z nim nie witając.

– Co się stało?

– Sabadelle i ja zdobyliśmy informacje, które moim zdaniem pozwalają jednoznacznie wskazać zabójcę, chociaż pozostaje jeszcze kilka luźnych wątków. Po naszej wczorajszej rozmowie z wdową po Luisie Salvadorze zastanawiałam się nad czymś, co od dawna chodziło mi po głowie, a potem okazało się, że Sabadelle inną drogą doszedł w to samo miejsce. Już wyjaśniam: otóż tetratlenek triolowiu...

Puk, puk, puk.

Nie czekając na zaproszenie, drzwi gabinetu otworzył kapral, który w ostatnich dniach co ranka przerywał im naradę, i położył na biurku Valentiny kopertę.

– Zdaje się, że na to czekaliście. Przed chwilą był kurier – oznajmił z miną wskazującą na to, że ma zbyt dużo na głowie, żeby udzielać obszerniejszych wyjaśnień, po czym wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

– Przysięgam, że jeżeli będzie tak wpadał podczas każdego zebrania, uduszę go własnymi rękami – powiedziała Valentina, sięgając po kopertę, żeby sprawdzić nadawcę. – Laboratorium biologii sądowej w Madrycie. To wyniki noworodka z Villa Marina.

– Otwórz – ponaglił ją zniecierpliwiony Riveiro.

Oboje równocześnie przeczytali krótki, rzeczowy raport. Nie pozostawiał żadnych wątpliwości. To było niemożliwe, a jednak prawdziwe – potwierdzone naukowo, niepodważalne. Raz jeszcze przestudiowali sprawozdanie z laboratorium, napisane naukowym żargonem, ale zrozumiały nawet dla laików:

Każda kompletna sekwencja DNA składa się z trzech miliardów par zasad. Owe pary zasad są niepowtarzalne dla każdego człowieka, dlatego sekwencje DNA u dwóch różnych osób nigdy się nie powtarzają. Niemniej jednak sekwencja DNA badanego osobnika...

„Niemniej jednak”. Coś wyróżniało „badanego osobnika”.

...stanowi wyjątek od ogólnej reguły występujący wyłącznie w przypadku bliźniąt monozygotycznych, u których sekwencja DNA jest identyczna. Po wyszukaniu sekwencji osobnika nr 03625 w rejestrze Fénix ustalono pełną zbieżność pomiędzy DNA badanego osobnika a osobnikiem nr 7425 z rejestru Fénix.

Rejestr Fénix. Baza DNA stworzona ponad dziesięć lat wcześniej przez Gwardię Cywilną, służąca do identyfikacji zaginionych osób i zwłok o nieustalonej tożsamości albo w zaawansowanym stanie rozkładu. Był ktoś, kto poruszył niebo i ziemię, żeby znaleźć zaginioną osobę, kto szukał jej desperacko przeróżnymi kanałami – Lucía Gordon, matka Olivera, na krótko przed śmiercią przekazała hiszpańskiej Gwardii Cywilnej próbkę swojego DNA w nadziei, że jeżeli któregoś dnia znajdą zwłoki jej syna Guillerma, będą mogli je zidentyfikować i pochować. Skąd

miała wiedzieć, że ten materiał genetyczny posłuży do identyfikacji nie jej zmarłego dziecka, a siostry bliźniaczki?

DZIENNIK (17)

Muszę dokończyć opowiadanie o tym, co wydarzyło się w tamtej kuchni w listopadzie 1948 roku. Jana zaczęła krwawić, wygląda to na przedwczesny poród.

– Nie... To jeszcze nie może się zacząć. Jest za wcześnie. Za wcześnie – mamrocze, spoglądając na swój wielki brzuch, i skręca się z bólu, który niespodziewanie ją atakuje. Osuwa się po ścianie na podłogę, gdzie zbiera się już kałuża krwi.

Clara spieszy na pomoc siostrze. Ostrożnie układa ją na podłodze. Biegnie do pokoju i przynosi dwa koce i poduszkę. Czuje skurcze w żołądku. Wie, jak rodzą się dzieci – wielokrotnie widziała cielące się krowy, przeglądała też książkę medyczną z biblioteczki państwa Ongayów. Wybrała nawet aptekę, gdzie nikt jej nie znał, żeby kupić sterylną nić do podwiązania pępowiny. Ale jeszcze tam nie poszła. Jeszcze nie! Jeżeli będzie trzeba, zaciśnie ten krwawiący kikut sznurówką.

Siedmioipółmiesięczny noworodek. Przeżyje w ochronce bez matczyne mleka i ciepła?

Jana mdleje. Clara, która w najtrudniejszych sytuacjach potrafi zachować zimną krew, nie jest w stanie zapanować nad zdenerwowaniem – tym razem ma coś do stracenia. Siostra jest jedyną osobą, która pozostała jej na tym świecie. Z Davidem ostatnio praktycznie się nie spotykali, jeżeli już to ukradkiem na nieuczęszczanych drogach, a teraz od kilku miesięcy jej brat mieszka we Francji. Ojciec też ma inne życie, inną rodzinę.

– Jano! Ocknij się, na Boga! Chyba się zaczyna. Będziesz musiała przeć. Na miłość boską, ocknij się!

Jednak młodsza siostra nie reaguje. A jeżeli wykrwawi się na śmierć? Potrzebny jej lekarz. Ale bądźmy realistami, nawet gdyby mieszkały u ojca w Hinojedo, nie miałyby pieniędzy na akuszerkę, co dopiero mówić o lekarzu. Zresztą muszą utrzymać poród w tajemnicy. Nikt nie może się o tym dowiedzieć, nigdy. Pal sześć dziecko i hańbę. Ale przecież jest

jeszcze zbrodnia. Chyba każdy by się domyślił, kto jest ojcem dziecka. Skazaliby je na garotę, obydwie. Za to, co zrobiły tamtej nocy, której nie było. Którą chciały wymazać.

Clarę paraliżuje niezwykle dla niej strach. Odzyskuje jednak zimną krew i wstawia wodę. Wyparza nożyczki i sznurówki ze swoich butów. Jana wreszcie się budzi. Odkrywa, że siostra rozebrała ją od pasa w dół. Ból jest dosłownie nie do zniesienia. Ma świadomość tego, że po porodzie nie czeka jej żadna nagroda: uścisk męża, gratulacje od mamy, przyjaciółki, brata. Ani to nowe życie przebudzające się z niewinności. Clara bez przerwy wydaje jej polecenia: oddychaj szybko, oddychaj powoli. Nie. Co powiedziała? Że ma przeć? Jana prze. Przy każdym skurczu czuje, że coś się z niej wyrywa, przesuwają się w stronę światła. Wszystko dzieje się w zawrotnym tempie. Nie wyobrażała sobie, że tak wygląda poród.

Wreszcie wypycha ze swojego wnętrza nową istotę i czuje w ciele ulgę. Nie słyszy płaczu. Podnosi wzrok. Clara zawija noworodka w prześcieradła i kładzie go na podłodze na kocu. Jest bardzo skupiona. Poważna, zdecydowana.

– Co... co robisz? Z dzieckiem wszystko w porządku? – pyta Jana, dysząc z wysiłku.

Clara odpowiada dopiero po chwili.

– To była dziewczynka.

Piers Jany przeszywa mocny, ostry jak nóż ból. Była? Zamierzała oddać dziecko do adopcji, nie chciała go, mimo to zalewa ją bezbrzeżny, głęboki, szary smutek z powodu utraty czegoś, czego i tak miała nigdy nie mieć. Może jednak kochała to stworzenie – na tyle mocno, żeby je od siebie odsunąć i dać mu szansę na lepszą przyszłość. Jana czuje, że traci przytomność, kiedy jej zmysły budzi kolejna fala bólu w podbrzuszu. Dalej ma skurcze. Bolesne, w krótkich odstępach.

– O mój Boże – mówi Clara zmrożonym, zdumionym głosem. – Przygotuj się, siostrzyczko. Jest jeszcze jedno.

Pośród okrzyków bólu rodzi się drugie dziecko, także dziewczynka. Oddycha. Jest malutka, szara jak nastrój jej matki, ale żywa. Zaczyna nabierać koloru. Clara obmywa ją z miłością letnią wodą, przecina

pępowinę i zaciska ją swoją sznurówką, resztą oplata Janie nogę. Wie, że siostra musi jeszcze urodzić łożysko – będzie źle, jeżeli utkwi w środku albo pępowina zostanie wciągnięta z powrotem. Powinny cierpliwie odczekać, aż je wydali.

Owiają dziewczynkę w czyste prześcieradło i kładzie ją Janie na piersi. Od razu przestaje płakać. Cud natury. Jest taka maleńka, taka krucha. Clara mimowolnie spogląda na siostrę i czule uśmiecha się do noworodka. Okazuje się, że Jana znowu zemdlała. Myje ją, sprząta kuchnię i przeciąga tam jedno z łóżek – matka i córka powinny przebywać w ogrzewanym pomieszczeniu. Zimno i ciągnąca z zewnątrz wilgoć zabiłyby dziecko. Już wie, jak wytłumaczyć sąsiadom, że ktoś napalił w piecu: w domku trwają jeszcze roboty, zimą należy ogrzewać pomieszczenia, żeby uniknąć pleśni... Można wymyślić wiele powodów, prawda? Poza tym o tej porze roku plaża jest praktycznie pusta, nie zobaczą ich też rybacy, bo port znajduje się przy estuarium, na drugim końcu Suances.

Clara układa siostrę na łóżku. Nie wie, czy nadal nie odzyskała przytomności, czy wyczerpana wysiłkiem głęboko zasnęła. Spogląda na dziewczynkę śpiącą przy piersi Jany. Za wcześnie, żeby wiedzieć, czy będzie ładna. Za późno, żeby zapewnić jej przyszłość. Musi realizować plan, który obmyśliła. Ale dziecko urodziło się przedwcześnie, jest słabe, może powinny trochę odczekać, zanim je oddadzą? Czy Jana da radę?

Ona także powinna odkupić swoje winy. Wie, że ma sporo na sumieniu. Podchodzi do drugiego dziecka. Urodziło się martwe. Wygląda jak zniszczona lalka, matowa, śmiertelnie blada, przerażająca. Musi coś zrobić ze zwłokami. Uśmiecha się zmęczona i w myślach kpi z samej siebie: ostatnio nic tylko zmywa krew i pozbywa się trupów, szukając dla nich miejsca innego niż cmentarz. Jako klaryska będzie miała się za co modlić. Na razie jednak przyświeca jej jeden cel i robi wszystko, żeby go osiągnąć. Absolutnie wszystko. Bez wyrzutów sumienia i bez poczucia winy, kierując się logiką i dobrem rodziny.

Kiedy widzi przez okno willę, wpada na pomysł, gdzie można ukryć małe zwłoki. Zasłoniła dziewczynce twarz, nie była w stanie na nią patrzeć. Przed opuszczeniem cieplej kuchni, która teraz pachnie

noworodkiem i nadzieją, przypomina sobie o ostatnim ogniwie łączącym je z przeszłością, które mogłoby naprowadzić na ich trop. Jej siostra bezmyślnie zachowała jeden z tych bezużytecznych prezentów, które dawał jej don Ignacio, przekonana, że ma dużą wartość i kiedyś może jej się przydać. Rodzinny symbol wyrzeźbiony w błyszczącym zielonym kamieniu, którego nazwy nie pamięta, ohydny, w złym guście. Jana nosi go na szyi pod ubraniem. Clara zdejmuje wisior i wciska go między prześcieradła spowijające noworodka niczym całun. Pozbywa się w ten sposób ostatniej rzeczy łączącej jej siostrę z don Ignaciem i z Chaconami. Jana pewnie będzie na nią zła, ale znając panicza, to nie był żaden klejnot, a tania błyskotka kupiona od tubylców. Zresztą nawet gdyby miała jakąkolwiek wartość, komu by ją sprzedały? Z powodu tego głupiego wisiora mogliby powiązać je z rodziną Chaconów.

Clara zaciera ślady, dopina wszystko na ostatni guzik, żeby uwolnić siebie i siostrę od podejrzeń, od domysłów, od ciężaru przeszłości. Tylko że... Nadal nie daje jej spokoju sztandar z orłem. Jak ten kawałek materiału trafił do worka z odrąbanymi nogami don Ignacia? Długo się nad tym głowiła. Niemożliwe, żeby wpadł tam przypadkiem ani żeby znajdował się w nim już wcześniej. Na miłość boską, przecież to był zwykły worek na kartofle! No cóż, zastanowi się nad tym później, bo przecież musi być jakieś wyjaśnienie – zawsze jest.

Zdecydowanym ruchem wkłada zwłoki noworodka do kosza na drewno i przykrywa je kilkoma szczapkami, na wypadek gdyby jakiś rybak czy spacerowicz zastanawiał się, co niesie w ten zimowy dzień służąca Ongayów, idąca zdecydowanym krokiem z domku dla służby do wielkiej willi, niemego świadka i miejsca pochówku tylu tajemnic.

Koniec dzieła powinien zawsze przypominać o początku.

Joseph Joubert (1754–1824)

Wyniki badań DNA aniołka z Villa Marina przyniosły nieoczekiwany zwrot w śledztwie. Riveiro przez chwilę milczał. Noworodek okazał się siostrą bliźniaczką Lucii Gordon, matki Olivera; przy dziewczynce znaleźli symbol rodziny Chaconów; w aktach, które wygrzebał Sabadelle, wspominano, że w Ubiarco i Santillanie plotkowano o rzekomym romansie Jany Fernández i Ignacia Chacona, potwierdziła to zresztą siostra zaginionego, Dolores...

– Musimy sprawdzić, kiedy urodziła się Lucía Gordon – powiedział wreszcie, podczas gdy jego mózg układał wydarzenia w logiczną sekwencję.

– Nie ma takiej potrzeby, pamiętam datę, siedziałam nad tym tej nocy: styczeń czterdziestego dziewiątego roku. Przynajmniej tak zapisano w urzędzie stanu cywilnego. A Chacón zniknął na początku czerwca czterdziestego ósmego...

Wymienili spojrzenia. Wiedzieli, że myślą o tym samym. Zaczął Riveiro:

– No dobra, mogło być tak: Ignacio Chacón robi dziecko Janie i znika. Nie wiemy, kto go zabił, raczej nie Jana, bo zwłoki pojawiły się poćwiartowane w worku z flagą nacjonalistów... Ale na tym etapie nie wykluczam już żadnej możliwości. Mógł go załatwić brat Jany, bo facet nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za ciążę. W każdym razie znika. Żeby uniknąć wstydu, Jana rodzi dziecko w tajemnicy, w domu, który budują Ongayowie. Pewnie ukryła ją tam siostra, która w tamtym czasie u nich służyła, korzystając z tego, że państwo wybrali się akurat w interesach do Urugwaju. Jana rodzi dwie dziewczynki, jedną żywą, drugą martwą. Zakładam, że urodziła się martwa, bo raczej zabiłaby obie...

– Ukrywa martwą dziewczynkę pomiędzy cegłami jednej ze ścian, które mają zostać pokryte cementem, a żywą oddaje do adopcji... – ciągnęła Valentina, podążając tym samym tokiem rozumowania. – Jakiś czas później, nie wiemy jak, przekonuje opiekunów Villa Marina, żeby

adoptowali dziecko z ochronki prowadzonej w klasztorze Regina Coeli, gdzie dziwnym trafem odbywa nowicjat jej siostra Clara.

– Może obiecała, że odda im dom i przez resztę życia niczego im nie zabraknie... Pomyśl, że mówimy o latach po wojnie. Wygrali los na loterii. Może nawet specjalnie zatrudniła ich do pilnowania willi, bo wiedziała, że chcą mieć dzieci, a nie mogą... A ona podała im rozwiązanie na tacy, nie zdradzając prawdy; że niby robi to z dobroci serca.

– Ówczesnego męża Jany pewnie nie ucieszyło, że żona rozdaje takie prezenty. Willa przy plaży była luksusem także w tamtych czasach.

– Nie, raczej go nie ucieszyło – zgodził się Riveiro. – Ale nie zapominaj, że niedługo potem umarł... Poza tym dom nie od razu przeszedł w ręce nowych właścicieli, musiało upłynąć kilka lat. Niesamowite! Jana mogła mimo wszystko patrzeć, jak dorasta jej córka. Pewnie Pedro Salas vel Jednoręki dowiedział się o wszystkim od brata Jany, Davida Fernándeza, i zaczął ją szantażować.

– Możliwe, tyle że to miało sens kiedyś: w tamtych czasach bycie panną z dzieckiem musiało być straszne... Ale dziś? Co za różnica, że wszystko by się wydało? Lucía Gordon nie żyje już od ponad roku.

– Nie mam pojęcia. Coś nam umyka. Może Ongayowa za bardzo przejmowała się tym, co pomyślą inni. Albo bała się o swój wizerunek, była przecież biznesmenką. Albo nie chciała skrzywdzić swojej córki Clary.

Twarz Valentyny nagle spoważniała, jakby dotarło do niej coś, czego do tej pory sobie nie uzmysłowiła.

– Riveiro, mamy już motyw zbrodni. Ale nie pasuje do osoby, która moim zdaniem je popełniła.

Sierżant spojrział na nią wyczekująco.

– Nie rozumiem.

– Jana Ongayo zostawiła spory majątek. Z naszego doświadczenia wynika, że ogromna większość zbrodni jest popełniana dla pieniędzy... W tym przypadku mogłoby chodzić o spadek.

– O spadek?

– Jedyłą spadkobierczynią Jany Ongayo była dotąd jej córka, Clara Múgica. Ale gdyby wyszło na jaw, że Oliver Gordon także jest jej potomkiem, majątek zostałby podzielony na pół. Oliver to wnuk Jany, potomek w linii prostej, odziedziczyłby część należącą się jego matce. Rozumiesz?

– Chcesz powiedzieć, że Clara Múgica...?

– Nie wiem, Riveiro, nie wiem. Ale miałyby motyw. Zaraz będzie Camargo, mam nadzieję, że potwierdzi alibi Clary na czas obu zabójstw.

– Zapominasz o jednym.

– O czym?

Riveiro zrobił skupioną minę.

– Oliver Gordon dziedziczy po matce nie tylko ze strony jej matki, ale też i ojca. – Znacząco spojrział przełożonej w oczy.

Valentina początkowo z niezrozumieniem pokręciła głową, ale zaraz potem przytaknęła.

– Oczywiście! Dlatego Izan Sáenz skłamał, kiedy z nim rozmawialiśmy. Udał, że nie zna Jany Ongayo, i nie powiedział nam o jej powiązaniach z Tlalokiem. Ale o nich wiedział. Nie chciał, żebyśmy my też się dowiedzieli, bo wtedy przestałby być jedynym spadkobiercą majątku Chaconów i musiałby się nim podzielić z Oliverem. Tylko... skąd o tym wszystkim wie?

– Czuję, że to Pedro Salas, syn Jednorękiego, otworzył puszkę Pandory – odparł z namysłem Riveiro. – Kiedy odkrył prawdę, uznał, że po co ma się ograniczać do jednego źródła dochodów, skoro może mieć dwoje płatników: Janę Ongayo i Izana Sáenza. Niewykluczone, że Sáenz o niczym nie wiedział, dopóki Salas nie opowiedział mu całej tej historii. Dlatego miał przy sobie dokumenty w plastikowej teczce, uporządkowane, gotowe do pokazania, uzasadniające szantaż.

– I dlatego któreś z Ongayów albo Chaconów chciało się pozbyć Olivera... – stwierdziła z niedowierzaniem Valentina. – Ta kartka z pogrózką przed jego domem... Jana na pewno jej nie zostawiła, tego samego ranka popełniła samobójstwo. To musiał być Sáenz. Tylko kto zaatakował w szpitalu Ballestę? Ktoś próbował go uciszyć, żeby nie zdradził czegoś, co wie o zniknięciu Ignacia Chacona. Może chciał go tylko

ostrzec albo sprawdzić, czy jest na tyle pomyłony, że nikt nie potraktuje poważnie jego gadania. Wciąż nie wiem, o jaką „rodzinę lisa” mu chodziło, ale domyślam się, że tym drugim rodem, o którym mówił, są Chaconowie.

– No dobrze, a doktor Viesgo? – zapytał Riveiro.

– Nie wiem – przyznała Valentina. – Pamiętaj, że od lat leczył Janę, był jej ginekologiem. Powiedziała mi, że przez długi czas myślała, że nie może mieć dzieci... Jeżeli okaże się, że Lucía Gordon była jej córką, to znaczy, że nas okłamała: urodziła bliźniaczki, zanim pierwszy raz wyszła za męża. Skoro Viesgo był jej ginekologiem, najprawdopodobniej o tym wiedział, a kiedy w Villa Marina pojawiły się zwłoki, skojarzył fakty i pojechał z nią porozmawiać. Ale to tylko spekulacje. Poza tym nadal nie zgadza się czas: Jana nie mogła go zabić.

– Wobec tego kto?

– Jej siostra.

– Jak to jej siostra? Clara? Przecież jeszcze nawet jej nie namierzyliśmy.

– Możliwe, że namierzyliśmy. Wczoraj do późna szukałam informacji o klasztorze Regina Coeli i klaryskach, wydrukowałam sobie nawet dekalog dobrej chrześcijanki obowiązujący kandydatki, które starają się o przyjęcie do zakonu.

– Jaja sobie robisz.

– Bynajmniej. Wiesz, co odkryłam? Że nowicjat rozpoczyna się od przyjęcia habitu i wyboru nowego imienia zakonnego.

– Nowego imienia zakonnego...? Czyli...

– Czyli wygląda na to, że od początku mieliśmy Clarę Fernández pod nosem. Mając na uwadze wiek i informacje o siostrach klauzurowych z klasztoru Świętego Ildefonsa zdobyte przez Camarga i młodych, jestem przekonana, że matka przełożona, Mercedes, to tak naprawdę siostra Jany, Clara.

Riveiro zdusił okrzyk niedowierzania i oniemiały oparł ręce na biurku Valentyny.

– Nawet gdyby faktycznie była siostrą Jany, to jeszcze o niczym nie świadczy, przynajmniej jeśli chodzi o zabójstwa. Mogła nas oszukać

w sprawie Tlaloca, żeby chronić siostrę, ale od kłamstwa do postrzelenia Salasa i otrucia lekarza jest daleka droga. Zresztą nie mamy dowodów.

– Moglibyśmy je zdobyć. Test parafinowy rozstrzygnąłby, czy niedawno używała broni palnej. Pistolet, z którego strzelano do Salasa, to taki rzęch, że na pewno zostawił na skórze ślady.

– Ale przecież szwajcarski turysta widział młodą kobietę, a nie staruszkę.

– Myślałam o tym. Matce przełożonej mogła towarzyszyć zakonnica, którą poznaliśmy, kiedy byliśmy z wizytą w klasztorze. Siostra Pilar, o ile dobrze pamiętam. Ciemnowłosa, pulchna; pasuje do opisu. Warowała przy przełożonej jak pies stróżujący. Pomyśl, że jeśli Clara Fernández jest psychopatką, potrafi świetnie manipulować ludźmi. Zresztą niezależnie od wszystkiego, mamy tak mocną poszlakę, że sędzia Talavera wydał już nakaz przeszukania klasztoru.

– Jaką poszlakę?! – wykrzyknął Riveiro i usiadł przy biurku, jeszcze bardziej zdumiony.

– To właśnie chciałam powiedzieć ci wcześniej: przekłety tetratlenek triołowiu. Sabadelle wiedział, że coś mu to mówi, ale dopiero dziś w nocy temu roztrzępańcowi rozjaśniło się w głowie. Poszukał w swoich starych podręcznikach akademickich do historii sztuki i odkrył, że minia ołowiowa wykorzystywana jest przy konserwacji obrazów, by zachować oryginalną fakturę. Podobno dawniej używano wielu dziwnych substancji do mieszania barw, na przykład z żółci zwierzęcej uzyskiwało się zieleń. Zgadnij z czego otrzymywano czerwień.

– Z tetratlenku triołowiu?

– Dokładnie tak. Dam sobie rękę uciąć, że na ogromnym płótnie, które odnawiała matka przełożona, kiedy byliśmy w jej pracowni, znalazło się sporo tej substancji. Pamiętam, że obraz miał bordowe tło, ale to chyba Oliver Gordon najuważniej mu się przyjrzał.

– Czyli... to by tłumaczyło, dlaczego David Viesgo miał proszek na nogawkach spodni i na butach. Ale po co poszedł do pracowni? Po spotkaniu z Janą postanowił porozmawiać z Clarą o dziecku z Villa Marina? Wypicie zdrowych ziółek u zakonnicy wydawało mu się pewnie jak najbardziej naturalne. Kurwa mać.

– To potwierdzałoby też twoją teorię, że ktoś, albo Clara, albo jej pupilka, siostra Pilar, popchnął stopą Salasa, żeby po postrzale strącić go do wody – dodała Valentina. – Pozostaje kilka niewyjaśnionych wątków, ale chyba udało nam się rozplątać kłębek. Jeszcze dziś rano przeszukamy klasztor. Wezmę ze sobą techników, żeby pobrali próbki z pracowni.

Punktualnie o ósmej trzydzieści do gabinetu weszła reszta zespołu, przerywając ożywioną rozmowę porucznik i sierżanta próbujących odtworzyć przebieg wydarzeń. Valentina uniosła dłoń na powitanie, a kiedy wszyscy usiedli, bezzwłocznie przekazała im nowe informacje i podzieliła się wnioskami, jakie wyciągnęli ona i Riveiro.

– Clara Múgica jest niewinna – oznajmiła Marta Torres, kiedy Valentina skończyła swoją relację. – Sprawdziliśmy jej alibi. Dwoje kolegów z instytutu medycyny sądowej potwierdziło, że w dniu zabójstwa Davida Viesgo byli z nią przez cały czas, także w porze lunchu: zeszli razem do barku. Zapytaliśmy jej męża o rano, kiedy zabito Pedra Salasa, i powiedział, że rozstali się o wpół do dziewiątej, żeby pójść do pracy; potwierdził to portier z ich domu. W środę dziesiątego lipca o dwudziestej pierwszej, kiedy zaatakowano Juana Ramóna Ballestę, Múgica była na kolacji w Burger Kingu w centrum Santanderu z mężem i dwiema z jego trzech siostrzenic. Myślę, że możemy wykluczyć ją jako sprawczynię czy współniczkę.

– Cudownie – odpowiedziała Valentina, nie kryjąc ulgi. – Co jeszcze macie?

– Sprawdziliśmy Annę Nicholls, była narzeczoną Olivera Gordona – odpowiedział kapral Camargo. – Jego wersja się potwierdza. Dwa lata temu Nicholls pochopnie poinformowała na Facebooku o swoich zaręczynach.

– Zaręczynach? – zapytała odruchowo Valentina i od razu przypomniała sobie, że Oliver rzeczywiście jej o tym wspomniał.

– Tak, zamierzali się pobrać. Przez długi czas Nicholls niczego nie publikowała, po czym wrzuciła zdjęcie, na którym jest wychudzona i ma na głowie chustkę, i opisała swoje doświadczenie z rakiem. Typowa historia. Teraz prawie co tydzień publikuje jakiegoś posta, żeby zachęcić

ludzi do pomagania i zareklamować organizację pozarządową, z którą współpracuje. Nazywa się Shiva, działa w Patnie w stanie... – Camargo przerwał, żeby zajrzeć do notatek – Bihar na północy Indii.

– Dzięki – odpowiedziała Valentina. Nie dała po sobie znać, jak wielką odczuła ulgę, że Oliver jej nie okłamał. – Wiem, że była niedziela i że mieliście mało czasu, ale znaleźliście coś ciekawego na rachunku za telefon, który wam zostawiłam?

Kapral Camargo spojrział na Zubizarretę, który skinął głową.

– Tak, znaleźliśmy. Na wykazie połączeń powtarzają się głównie numery przetwórci sardeli w Santoñi i w Santanderze i jakiś numer z chilijskim kierunkowym. Sprawdziliśmy: Ongayowa prowadziła w Chile dobrze prosperujący biznes, ale nie w branży rybnej, tylko tekstylnej i odzieżowej. Jest też jedno połączenie z numerem klasztoru Świętego Ildefonsa, w piątek piątego lipca w południe, czyli nazajutrz po znalezieniu zwłok w Villa Marina. Przypuszczam, że Jana Ongayo zadzwoniła tam po przeczytaniu porannej prasy. Mamy też parę połączeń z numerami komórkowymi, ale one zajmą nam więcej czasu.

Puk, puk.

Znowu. Kolejny raz przerywają im naradę. Co, do diabła, wyprawia się na tej komendzie? Zza drzwi wychyliła się głowa funkcjonariusza, który wcześniej przyniósł im list z Madrytu.

– Przyszedł Oliver Gordon. Twierdzi, że był umówiony – oznajmił, nie przejmując się tym, że przeszkodził im w zebraniu.

Valentina westchnęła.

– Zaczekaj pięć minut i go wpuść – odpowiedziała, po czym dodała, spoglądając na sierżanta Riveiro: – Przyszedł, żebyśmy pobrali od niego próbkę DNA. Może już nie będzie potrzebna.

– Nie zaszkodzi się upewnić – odparł Riveiro. – Chociaż bardziej przydałaby nam się próbka DNA od Chaconów.

– Skoro już mowa o Chaconach: zaproście Izana Sáenza na komendę, żeby odpowiedział na kilka pytań – powiedziała Valentina, spoglądając na Camarga, Torres i Zubizarretę. – Jeżeli nie pozwoli nam pobrać DNA swojego i matki, wystąpimy o nakaz sądowy. Mam nadzieję, że nie będzie

takiej potrzeby i że kiedy znajdzie się w sali przesłuchań, zacznie śpiewać. Camargo, nie wiem, ile nam zejdzie, dlatego zostawiam to tobie.

Kapral skinął głową, podobnie jak jego młodzi pomocnicy, chociaż Marta Torres mruknęła coś pod nosem.

– Coś nie tak? – zapytała Valentina.

– Nie, po prostu pomyślałam, że potwierdza się hipoteza koła, o której rozmawialiśmy kilka dni temu. Zabójczyni znajduje się w samym jego środku, w Santillanie del Mar. To ciekawe.

Valentina przytaknęła. Jej mina wskazywała, że wcześniej na to nie wpadła. Spojrzała na podporucznika i na sierżanta.

– Pojedźcie ze mną do klasztoru Świętego Ildefonsa, zgoda?

– Zgoda – odpowiedzieli obaj jednocześnie.

– A teraz – dodała Valentina, biorąc głęboki wdech – czas powiedzieć Oliverowi Gordonowi, że zwłoki, które znalazł w piwnicy Villa Marina, to jego ciotka.

Kiedy Valentina i jej koledzy dotarli do klasztoru Świętego Ildefonsa, dzień rozwinął się już niczym błękitny wachlarz, zachęcając do spacerów i wakacyjnego relaksu. Chociaż jechali nieoznakowanymi samochodami, i tak zwracały one uwagę przechodniów – w konwoju sunęły van i cztery osobówki. Jedną podróżował sekretarz sądowy, drugą technicy kryminalistyki, a dwiema pozostałymi Valentina, Sabadelle i Riveiro. Nie mieli żadnych problemów z wejściem do klasztoru. Siostra, która otworzyła im drzwi, nawet nie poprosiła ich o nakaz; pokazali jej go z własnej inicjatywy. Wydawało się, że na nich czekała. Valentina przyjrzała się jej twarzy: była sympatyczna, serdeczna, ale – jak to u zakonnicy – bardzo blada. Postanowili, że najpierw wejdą ona, Sabadelle i Riveiro. Siostra poprowadziła ich prosto do pracowni; widać została dokładnie poinstruowana. Matka przełożona powitała ich, nie odwracając wzroku od obrazu przedstawiającego wniebowzięcie świętego Franciszka.

– Proszę wejść, czekałam na państwa. Zaraz kończę.

– Nie przyszliśmy z wizytą – wyjaśniła Valentina. – Musimy siostrę przesłuchać, albo tutaj, albo na komendzie, jak siostra woli – dodała lodowatym tonem. Nie zamierzała pozwolić jej na gierki.

– Aresztują mnie państwo? W moim wieku? Cóż za bezsensowne posunięcie – odpowiedziała ze spokojem zakonnica, nadal skupiona na płótnie.

– Proszę siostry, mamy powody podejrzewać, że naprawdę nazywa się siostra Clara Fernández. Czy tak jest?

– Nigdy temu nie zaprzeczałam. Przyjęłam imię zakonne po siostrze, która opiekowała się mną podczas nowicjatu. Pytali mnie państwo o to kiedykolwiek?

– Ma siostra rację, nie pytaliśmy. Natomiast pytaliśmy o mezoamerykański symbol znaleziony w Villa Marina. Okłamała nas siostra: doskonale siostra wiedziała, że taka podobizna widnieje na domu Chaconów w Santillanie.

– Mam obowiązek chronić rodzinę. Zawsze ją chroniałam, tak jak Tata Lis chroni swoje młode. Krew rządzi światem – odpowiedziała zakonnica. Powoli odwróciła głowę i spojrzała Valentinie prosto w oczy, lodowatym wzrokiem drapieżnika.

Tata Lis? Valentina przypomniała sobie, co mówił o rodzinie lisa Ballesta. Clara wiedziała już, że została zdemaskowana, i było jej to całkowicie obojętne. Pokazywała się im bez przebrania. Valentinie wydało się, że dostrzega w jej oczach błysk szaleństwa. Przeszywała ją wzrokiem zimnym jak lód, twardym, bezlitosnym. Valentina zaczerpnęła powietrza.

– Na pewno wie już siostra o śmierci Jany. Popełniła samobójstwo.

– *Cotidie morimur, cotidie conmutamur et tamen aeternos esse nos credimus* – odparła powoli Clara, a następnie przetłumaczyła: – Codziennie umieramy, codziennie się zmieniamy, a mimo to uważamy, że jesteśmy wieczni. Nie mogłam ochronić siostry przed jej własną słabością. Sama wybrała swoją drogę. Teraz pozostaje mi już tylko służba Bogu – powiedziała, pociągając łyk ze stojącej przy obrazie filiżanki.

Kiedy się uśmiechnęła, Riveiro poczuł, że jeżą mu się nieliczne włoski na karku. Valentina ciągnęła przesłuchanie.

– Czy do służby Bogu zalicza siostra zabójstwa Pedra Salasa i Davida Viesgo?

– Podoba mi się pani poczucie humoru. Zabójstwa? Raczej porządki. Pedro Salas był wszą, jednym z tych niewidzialnych, ale podłych ludzi, którzy żerują na słabszych. A ja bronię słabszych. Obroniłam Janę przed tym padalcem, a gdybym wiedziała wcześniej, obroniłabym ją też przed Jednorękiem.

– Gdyby wiedziała siostra wcześniej? Chodzi o szantaż?

– Chodzi o tchórzy, o ludzkie śmieci, których nikt nie sprząta z powierzchni ziemi. Jednoręki zaczął szantażować Janę po śmierci naszego brata, dziewięć lat temu. Łajdak – powiedziała Clara ze złością. – Gdyby David żył, nigdy by się nie odważył. Wygląda na to, że przed śmiercią Jednoręki podzielił się naszą małą tajemnicą ze swoim synem darmozjadem. Moja biedna Jana... odważyła się do mnie zadzwonić dopiero po tym, jak w Villa Marina znaleziono dziewczynkę.

– Wiemy. Wiemy, że zadzwoniła do siostry następnego dnia. Cóż to była za wielka tajemnica? Nawet jeżeli to wy zamordowałyście Ignacia Chacona, zbrodnia dawno uległa przedawnieniu.

– Tajemnice, które się wyjawia, przestają być tajemnicami – odparła Clara śpiewnym tonem. Teraz rzeczywiście wyglądała na wariatkę. Mierzyła ich diabolicznym spojrzeniem.

Riveiro zamierzał się wtrącić, ale Valentina powstrzymała go ruchem dłoni. Chciała wiedzieć więcej. Chciała prawdy.

– Przypuszczam, że znajdziemy broń, z której strzelano do Pedra Salasa, u siostry w celi albo gdzieś na terenie klasztoru. Mam rację?

– Ten złom to stara pamiątka, którą dawno temu pożyczyłam sobie z kolekcji Ongayów. Pistolet był bardzo nowoczesny jak na tamte czasy, miał nawet tłumik. Wzięłam go na wszelki wypadek: na samotne niewiasty czyhają przeróżne niebezpieczeństwa. Ta parszywa wesz nie chciała umierać, musiałam go popchnąć. Zemsta jest słodka, pani porucznik. Ten, kto twierdzi inaczej, kłamie. Gdybym wcześniej wiedziała, że szantażował Janę, poderżnęłabym mu gardło. Jemu i jego jednorękiemu ojcu.

– Gdzie jest siostra Pilar? To ona zawiozła siostrę na spotkanie z Salasem na falochronie w Suances, prawda? Ona siostrze pomogła. –

Valentina postanowiła zablefować, opierając się na zeznaniach Szwajcara, którego nigdy nie widziała i z którym nigdy nie rozmawiała.

Clara wahała się przez pół sekundy. Omal nie straciła opanowania, otaczającej jej aury wyższości.

– Siostry Pilar już tu nie ma. Kazałam jej odejść. Wiedziałam, że wcześniej czy później się zjawicie, a istniało niewielkie zagrożenie, że jakiś wybitny umysł albo ślepy traf powiąże ją z tą sprawą. Nie jest pani taka głupia. A to niespodzianka. Proszę mi wybaczyć, na ogół nikomu nie udaje się mnie zaskoczyć. Istoty ludzkie są takie przewidywalne.

– Istoty ludzkie...? My jesteśmy istotami ludzkimi? A siostra nie?

Clara z politowaniem spojrzała na Valentine i jej kolegów. Pociągnęła kolejny łyk z filiżanki. Nie wstając z krzesła, odwróciła się w stronę gwardzistów całym ciałem. Riveiro przyłożył prawą dłoń do wiszącego przy pasie pistoletu.

– Zawsze byłam inna niż wszyscy. Jestem istotą ludzką, a jednocześnie jestem czymś innym. Chrystus także był człowiekiem i bogiem. Po wstąpieniu do klasztoru wpatrzyłam się umysłem w zwierciadło wieczności, wzniosłam duszę do blasku chwały i przyłożyłam serce do obrazu boskiej istoty, poprzez kontemplację przemieniając się cała w obraz samego bóstwa.

– To zasady drogi duchowej klarysek, ale ich celem jest stanie się godnymi oblubienicami Pana, a nie zamienienie w bóstwo. Zinterpretowała je siostra na własny użytek – odpowiedziała Valentina z powagą, w skupieniu próbując przypomnieć sobie to, o czym czytała ubiegłej nocy.

– Jak na nadprzyrodzoną istotę skorzystała siostra z dość ziemskich metod, żeby zabić Pedra Salasa i Davida Viesgo – dodał Sabadelle, który do tej pory milczał. Nie mógł uwierzyć, kim okazała się kobieta, która tyle razy wspierała ich w śledztwach i bez której pomocy nie udałoby się rozwiązać wielu spraw dotyczących dziedzictwa kulturowego.

– No proszę, tego się nie spodziewałam – oparła spokojnie Clara. – Gwardia Cywilna stała się autorytetem w kwestii boskości. Czy zamiast rozprawy czeka mnie sobór nicejski? To mogłoby być nawet zabawne –

dodała ze zmęczonym uśmiechem, spoglądając na funkcjonariuszy z nieskrywaną pogardą.

– Jaki znowu sobór nicejski? – zapytał Riveiro, zwracając się do podporucznika.

– Zgromadzenie biskupów z czwartego wieku mające rozstrzygnąć o boskości Chrystusa... – odpowiedział Sabadelle. Nie spuszczał wzroku z Clary, która przyglądała im się z uśmiechem. – Tak zwana kontrowersja ariańska, częsty motyw malarstwa średniowiecznego.

– Męczy mnie ludzka ignorancja – oznajmiła Clara pogardliwym tonem, spoglądając na sierżanta. – Nie wiecie nawet, o co się modlicie, kim jesteście, dokąd zmierzacie. Skąd pańskim zdaniem wziął się dogmat Trójcy? Pan i pańskie dzieci nie żegnacie się w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego? – Pokręciła głową w geście wyrażającym znużenie.

Sabadelle wyjaśnił koledze jej słowa. Nadal nie odrywał wzroku od zakonnicy.

– Podczas tamtego soboru ustalono jedynie, że Chrystus jest tworem Boga, a skoro został stworzony, to nie ma boskiej natury. Żeby wszystkich zadowolić, wyniesiono Ducha Świętego na ten sam poziom co Boga i Chrystusa i tak powstał dogmat Trójcy Świętej.

Riveiro parsknął. Zaczynały go nudzić te bzdury, ale Valentina kontynuowała przesłuchanie – chciała wiedzieć więcej, odkryć, ile tylko zdoła, zanim aresztuje Clarę. Zrobiła kilka kroków naprzód i stanęła niecałe dwa metry od matki przełożonej. Zakonnica posłała jej lodowate spojrzenie.

– David Viesgo zginął we wtorek dziewiątego lipca, otruty. Przyjechał się z siostrą zobaczyć, rozmawialiście w tej pracowni. Była siostra tak miła, że poczęstowała go herbatą, tutaj albo w innym pomieszczeniu klasztoru. A ściślej rzecz biorąc, śmiercionośnym naparem z liści cisu. Doktor był taką samą „parszywą wszą” jak Salas? Naprawdę trzeba go było zabić?

– Nieustannie mnie pani zaskakuje. Wiedziałam, że odnajdziecie drogę, ale nie że tak wyraźnie zobaczycie kolor bruku. I tak szybko. Gratuluję. Pozbywając się Salasa, wyświadczyłam ogromną przysługę ludzkości. Pozbycie się doktora było podyktowane pragmatyzmem. Szkoda, był niezłym lekarzem. Ale też istotą ludzką, zresztą i tak nie zostało mu już

wiele pożytecznego życia. Kiedy wieki temu leczył Janę z powodu bezpłodności, odkrył, że kiedyś rodziła; coś jej się popsło tam w dole podczas tamtego okropnego porodu. Początkowo wszystkiemu zaprzeczyła... Moja naiwna Jana. Ale Viesgo był inteligentny, domyślił się, że uboga służąca, która wżeniła się w bogatą rodzinę, miała kiedyś bękarta. Kiedy w Villa Marina pojawiły się zwłoki, skojarzył fakty i pojechał porozmawiać z Janą; myślał, że zabiła własne dziecko i ukryła je w domu, w którym kiedyś służyła jej siostra i w którym później sama była panią.

– A tak nie było?

– Oczywiście, że nie. Moja siostra nie była morderczynią. Dziewczynka urodziła się martwa, sama włożyłam ją między cegły. Zaprawa jeszcze nie stwardniała. Potem musiałam ją tylko trochę wygładzić. Dziecko było takie maleńkie. Nie wiedziałyśmy, że w drodze jest drugie. Urodziło się żywe. Podobało nam się imię Lucía. Kiedy doktor pojechał do Jany, powiedziała mu prawdę, a potem zjawił się tutaj i zaczął mnie wypytywać, twierdził, że nie możemy dłużej ukrywać tego, co się wydarzyło, że trzeba wyprawić dziewczynce chrześcijański pogrzeb... Mówił to mnie! Zirytowała mnie jego bezczelność. Wiedziałam, że wpakuje moją siostrę w kłopoty, dlatego się go pozbyłam. To chyba logiczne. Nie rozumiem, o co tyle zamieszania. Dwóch starców mniej. I co, świat przestał się kręcić?

– Na to wygląda. Przestał się kręcić dla Jany. Przypominam siostrze, że popełniła samobójstwo – odparła Valentina surowym tonem.

– Źle zrobiła. Powinna się była domyśleć, że mnie tym zrani. Była słaba.

– Zrani? Siostrę? Może chciała, żeby przestała ją siostra chronić, zabijając innych ludzi. Nie przyszło to siostrze do głowy? Powiedziała swojej córce Clarze, że śmierć Davida Viesgo to jej wina. Czuła się odpowiedzialna za to, co siostra dla niej robiła, choć jak przypuszczam, nigdy nie kazała siostrze nikogo zabijać.

– Oczywiście, że nie kazała. To nie leżało w jej naturze. Była ambitna, ale niezbyt praktyczna. Pozwoliłaby się pożreć wilkom. Nie to, co ja. Zawsze się nią opiekowałam, w blasku słońca i z cienia. Niekiedy nawet nie wiedziała, że jej pomagam. Dzięki mnie ułożyło się jej całkiem nieźle.

Wy, istoty ludzkie, jesteście tak pełne hipokryzji, tak absurdalne, tak moralizatorskie i ckiwe... Naprawdę wierzy pani, że wiodłaby życie, jakie wiodła, bez wsparcia, którego udzielałam jej ukryta za tymi murami?

Valentina przypomniała sobie, co powiedział jej Oliver w punkcie widokowym nad plażą Los Locos, kiedy wyjaśniła mu, że psychopaci są w ciągłym ruchu: owszem, chyba że... dysponują bezpieczną kryjówką. A czy może być lepsza kryjówka niż klasztor?

– Kiedy poznałam Janę, powiedziała mi, że siostra nie żyje. Dlaczego? Czy ona też chciała siostrę chronić?

Clara wybuchnęła pustym, niemal histerycznym śmiechem, sztucznym, teatralnym.

– Chronić mnie? Mnie! Nie... Powiedzmy, że była na mnie obrażona. Zrobiłam coś, co jej się nie spodobało. Nie powinna była się o tym dowiedzieć, odsunęła się ode mnie przez tę niewinną... – urwała, szukając właściwego słowa. Kiedy już je znalazła, jej twarz wykrzywił upiorny uśmiech. – Tak, przez tę niewinną psotę. Dziwnym trafem przestała potrzebować mojej opieki, kiedy miała już u stóp cały świat. Moja słodka Jana. Sama pani widzi: byłam dla niej martwa od ponad czterdziestu lat, ale gdy tylko pojawiły się problemy, znowu poprosiła o pomoc Tatę Lisa. Więzy krwi to potężna siła. I postąpiłam tak, jak przystało na starszą siostrę: zaopiekowałam się nią. To było dla mnie oczywiste. A panią kto się opiekuje, pani porucznik?

Valentina nie dała się sprowokować. Zrobiła kolejny krok naprzód. Riveiro i Sabadelle poszli w jej ślady.

– A Juan Ramón Ballesta? Siostra Pilar pojechała do szpitala, żeby go nastraszyć?

– Rozczarowuje mnie pani. Naprawdę pani myśli, że królowa traci czas na pionka? Na zwykłego posłańca? Istoty ludzkie są szare i pospolite, ale niektóre mają w sobie odrobinę blasku: honor i zasady, a ja to szanuję... W przeciwieństwie do Jednorękiego Ballesta nigdy nie zdradził mojego brata. Raz z nim rozmawiałam, dałam mu jasno do zrozumienia, że nie powinien zakłócać spokoju rodzinie lisa, ale od razu wiedziałam,

że niepotrzebnie zawracam sobie głowę, bo to człowiek honoru. Dlaczego miałabym tracić na niego czas?

– A Oliver Gordon? Jest siostry ciotecznym wnukiem. Nie ma siostra nic wspólnego z pogrozkami i zniszczeniami dokonanymi w Villa Marina?

Clara uniosła brwi, najwyraźniej zdziwiona.

– Grozili szczeniakowi? Nie wiedziałam. Nie czytam gazet, odkąd moja piękna Jana postanowiła nas opuścić. Miło było go zobaczyć podczas waszej ostatniej wizyty: jest wierną kopią swojego dziadka – odpowiedziała z przewrotnym uśmiechem.

– Ignacia Chacona? – zapytała Valentina.

– Wie pani, co mnie dziwi? – ciągnęła Clara, nie odpowiadając na jej pytanie. – Że tak szybko się tu zjawiliście. Któremuś z sędziów udało się pominąć biskupa? Musi być niezwykle odważny, skoro postanowił zadrzeć z ubogimi zakonnicami klauzurowymi.

– Na zwłokach Pedra Salasa i Davida Viesgo znaleźliśmy ślady tetratlenku triołowiu. Minia ołowiowa, którą wykorzystuje siostra przy konserwacji *Wniebowzięcia Świętego Franciszka*, łączy oba zabójstwa z tą pracownią, a tym samym z siostrą. Dowody są jednoznaczne. Będę musiała siostrę aresztować. Proszę wysunąć ręce. Habit zasłoni kajdanki, postaramy się dyskretnie zaprowadzić siostrę do samochodu. Niech siostra wstanie.

Clara się uśmiechnęła.

– Doprowadziła was tutaj minia? Od początku wiedziałam, że nie jest pani taka głupia jak inni. Gdybym urodziła się w pani czasach, też wybrałabym taką pracę. Byłabym dobrą policjantką. Ale nie każdy ma szczęście urodzić się w złotej epoce. No nic, nasz czas się kończy. Mój czas. Podobała mi się ta ziemską wędrówka. *Fatum fatis ego perea*.

– Słucham?

– Zrzędzeniem losu zginęłam. – Clara spojrzała Valentinie w oczy, po czym, nie odwracając wzroku, pociągnęła ostatni łyk ze stojącej przy obrazie filiżanki.

Valentina błyskawicznie zrozumiała, co się dzieje.

– O kurwa! Dzwoncie po karetkę! Szybko! – krzyknęła, podbiegając do Clary i wyrywając jej z ręki filiżankę.

Staruszka już zaczęła osuwać się na podłogę. Riveiro złapał ją, zanim upadła, podczas gdy zdezorientowany Sabadelle wybierał numer pogotowia.

– Nie do wiary – szepnęła Valentina, kręcąc głową. – Truje się, odkąd tu weszliśmy, a my niczego nie zauważyliśmy. Kurwa! Jak mogłam się nie zorientować?

– Cis! Popijała przy nas napar z cisu! – wykrzyknął Riveiro.

Clara straciła przytomność. Sierżant wsadził jej palce do ust, ale nie udało mu się wywołać wymiotów. Ciało matki przełożonej zaczęło się skręcać w gwałtownych konwulsjach. Widok odzianej w habit zakonnicy konającej w bólach na tle olbrzymiego obrazu przedstawiającego wniebowzięcie świętego Franciszka był iście upiorny. Nieuchronny koniec nastąpił zaledwie dwie minuty później. Karetka jeszcze nie zdążyła przyjechać, zjawili się natomiast pozostali gwardziści. Clara, która uważała się za lepszą od prymitywnych, godnych pogardy istot ludzkich, zmarła w wieku prawie dziewięćdziesięciu lat otoczona przez nieznanym.

DZIENNIK (18)

Trafili na mój trop, wiem. Przyjdą po mnie, nieświadomi, że to ja pozwalam im się do siebie zbliżyć. Ich naiwność jest porażająca. Tobie natomiast pozwalam chłonąć moje słowa i wdychać strzępy wspomnień, ofiarowuję ci ten dziennik, żebyś zrozumiał, kim jest Tata Lis, który opiekuje się szczeniętami, krwią z jego krwi. Nie znam cię, istoto ludzka – może jesteś tą dziwną porucznik o dwukolorowych oczach i pewnym spojrzeniu, a może jedną z moich sióstr klarysek. Jest mi zupełnie obojętne, kto znajdzie i pochłonie moje wspomnienia. Pragnęłam jedynie uwolnić się od tajemnic, od tego niezbyt ciężkiego brzemienia, które mi towarzyszy. Ale nie wyciągaj mylnych wniosków – moje sumienie jest czyste. Nie tłumaczę się przed tobą. Pokazuję ci tylko, jak wielką mam władzę. Będiesz w stanie zrozumieć coś, co wykracza poza twoje czasy? Wierzę w ten cud.

Powiedzą, że byłam nikczemna, bezwzględna, diaboliczna. Zależy, jak na to patrzeć. Tylko głupcy negują pierwotny instynkt przetrwania. Czy ty nie zrobiłbyś wszystkiego – absolutnie wszystkiego – żeby ocalić siebie i bliskich, swój jedyny punkt odniesienia na tym świecie? Czy naprawdę aż takie znaczenie ma te kilka istnień usuniętych z czystego pragmatyzmu? Czyż istoty ludzkie nie są zabijane na ślepo w wojnach?

Teraz, kiedy Jana odeszła i nie mam się już kim opiekować, pozwolę, by zabrała mnie śmierć. Ale opuszczenie tego sfatygowanego ciała to tylko faza, bo mój duch jest niezniszczalny i nieśmiertelny.

Właśnie mnie powiadomiono: już tu są. Szybko im poszło, choć tak naprawdę czekam na nich całą wieczność. Tylko raz zdradziłam moją piękną, ufną Janę. Ale długo to odpokutowywałam. Może na mnie czeka. Moja biedna dziewczynka. Czy pozwoli, żebym znowu się nią zaopiekowała?

Przyszłość to nie prezent, to zdobycz.

Robert Francis Kennedy (1925–1968)

Czas mijał w błyskawicznym tempie – od samobójstwa matki przełożonej klasztoru Świętego Ildefonsa upłynęły już trzy tygodnie. Dla Olivera był to niezwykle intensywny okres. Śledztwo Gwardii Cywilnej pozwoliło mu poznać prawdę o tym, co się wydarzyło.

Izan Sáenz Chacón już w dniu aresztowania przyznał, że to on zaatakował Juana Ramóna Ballestę, ale – co przysięgł na czwórkę swoich dzieci – nie miał zamiaru go zabić. Potwierdziły się podejrzenia porucznik i sierżanta: kiedy w Villa Marina znaleziono zwłoki, Pedro Salas skontaktował się z Sáenzem i zaczął go szantażować. Gdyby opowiedział o wszystkim gwardzistom, Sáenz straciłby prawo do całego spadku. Salas był na tyle bezczelny, że postraszył Sáenza, że o sprawie wie jeszcze kilka innych osób, w tym Ballesta, którego obiecał trzymać „w ryzach”, jeżeli Sáenz będzie regularnie wypłacał mu skromną sumę. Sáenz zastanawiał się, co powinien zrobić, kiedy niespodziewane zabójstwo uwolniło go od szantażysty. Odszukał Ballestę, żeby sprawdzić, czy faktycznie wie coś, co mogłoby mu zaszkodzić. To był błąd. Bredzący od rzeczy starzec tylko go zdenerwował.

Nic dziwnego, że Izan Sáenz był taki niespokojny – od spadku zależała jego przyszłość. Agencja morska, którą kierował, była na skraju bankructwa. Złożył wniosek o ubezwłasnowolnienie matki, żeby móc swobodnie dysponować jej majątkiem jako opiekun prawny. Bezrozumny siostrzeniec Ignacia Chacona dopisał do swojej kryminalnej kartoteki jeszcze jedno przestępstwo – postanowił nastraszyć domniemanego kuzyna i skłonić go do powrotu do Anglii, żeby nie zaczął grzebać w swojej genealogii albo co gorsza nie zgłosił roszczeń do spadku. Odstawił straszną fuszerkę: gwardziści znaleźli w jego garażu kanistry po benzynie, którą oblał dom Olivera. Ponieważ wcześniej nie był karany, czekał na rozprawę w areszcie, gdzie odwiedzał go adwokat z bardzo drogiej kancelarii z Santanderu.

Clara dopuściła się znacznie więcej zbrodni, niż początkowo sądzili gwardziści. Nigdy nie odkryliby wszystkich popełnionych przez nią

okrucieństw, gdyby nie długa, zaskakująca wiadomość, którą dzień po samobójstwie ciotki otrzymała Clara Múgica. Przed śmiercią Jana wysłała do córki pocztą pożegnalny list skreślony wyraźnym, choć drżącym pismem.

Moja kochana Córeczko,

Nie czuj się winna. Nie przejmuj się tym, co będą mówili ludzie, wierz w siebie, w to, kim jesteś. To, co zamierzam zrobić, a raczej to, co już zrobiłam, zanim dostałaś ten list, dotyczy wyłącznie mnie i ani Ty, ani nikt inny nie mógł mnie przed tym powstrzymać. A przynajmniej nikt spośród żyjących.

Popełniłam w życiu wiele błędów, Córeczko. Odsunęłam Cię, żeby Cię chronić, nie rozumiejąc, że dziecko powinno cierpieć, że takie jest życie, że misja rodzica polega nie na tym, żeby oszczędzić dziecku cierpienia, ale na tym, żeby nauczyć je, jak się z nim mierzyć. Nauczyć je cierpieć. Kochałam Cię i zawsze będę Cię kochać z całego serca, nie miej co do tego żadnych wątpliwości.

Mam osiemdziesiąt pięć lat. Strasznie cierpię z powodu zwyrodnienia stawów, stopniowo staję się cieniem, którego sama nie poznaję. Podejmuję decyzję o odejściu w pełni władz umysłowych. To godne pożegnanie, ale też ucieczka. Ucieczka przed kimś chorym i przed wszystkim, co dla mnie robi, przed zniszczeniem, jakie wokół nas sieje. Powiedziałam Ci, że moja siostra Clara nie żyje. Skłamałam. Nie szukaj jej, nie zdradzaj, że wiesz o jej istnieniu. To bezwzględna manipulatorka, wystarczy, że nie spodoba jej się to, co powiesz, a będzie chciała wyrządzić Ci krzywdę.

Kiedy byłyśmy małe, bardzo ją kochałam i wpatrywałam się w nią jak w obrazek. Dorastałyśmy w ciężkich czasach; pozwoliłam się prowadzić jej pewności siebie, jej ambicjom, które uznałam za swoje własne. Nie myśl, że zrzucam na Clary swoją część winy za to, o czym Ci teraz opowiem. Wiem, że pokuta, którą odbywam od lat, jest w pełni zasłużona.

Zacznę od początku, ale spróbuję się streszczać. W młodości zakochałam się w chłopaku z Comillas. Kimś wspaniałym, ale prostym, biednym, bez perspektyw. Posłuchałam Clary i zrobiłam coś głupiego: pozwoliłam odejść miłości i uwiodłam bogatego panicza, udało mi się nawet zająć z nim

w ciążę. To miała być moja przepustka do szczęścia, do życia bez wyrzeczeń i niedostatku. Ale pewnej nocy powiedział mi, że jeżeli urodzę to dziecko, nie przyzna się do ojcostwa. Byłam w szoku. Pamiętam, że wybiegłam z jego sypialni, stanęłam w przedpokoju i wpatrywałam się przed siebie niewidzącym wzrokiem, jakbym odpłynęła. To musiało być jedno z tych omdleń, które od czasu do czasu mi się przytrafiają, tyle że tym razem utrzymałam się na nogach. Odzyskałam przytomność chyba za sprawą głuchych uderzeń, które rozlegały się za moimi plecami. Kiedy weszłam do biblioteki, panicz leżał poćwiartowany na podłodze, a moja siostra trzymała w dłoni ociekającą krwią siekiere. Wtedy pierwszy raz zamordowała człowieka, żeby mnie chronić. Pomogłam jej pozbyć się ciała. To była bez wątpienia najmroczniejsza noc w całym moim życiu.

Siostra nadal mi „pomagała”. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że jestem w ciąży, nie tylko dlatego, że byłam panną, ale też żeby nie powiązano mnie ze zniknięciem panicza ani z jego zabójstwem, kiedy dwa miesiące później pojawiła się część jego zwłok; wybaczyć, że nie wdaję się w szczegóły, są zbyt nieprzyjemne. Urodziłam bliźniaczki. Pierwsza przyszła na świat martwa, Clara ukryła jej zwłoki w piwnicy Villa Marina. Obawiam się, że nieświadomie przeprowadziłaś sekcję własnej siostry. Z całego serca Cię za to przepraszam. Drugą dziewczynkę podrzuciłyśmy do klasztoru w Santillanie del Mar, z bliska przyglądałam się, jak dorasta. Niestety rok temu zginęła w wypadku drogowym, więc już jej nie poznasz. Pamiętasz, jak w maju zeszłego roku przeleżałam miesiąc w łóżku? To nie z powodu stawów, ale tej wiadomości.

Nawet nie wiesz, jak bardzo mi przykro, że dowiadujesz się o tych okropnościach w taki sposób, ale muszę się spieszyć. Siostra latami otaczała mnie opieką, chociaż ja o tym nie wiedziałam. Albo nie chciałam wiedzieć, nie chciałam uwierzyć, że robi to, co robiła. Najpierw zamordowała narzeczoną mojego pierwszego męża, Eladia Ongayo, przemiliłą dziewczynę z Puente Viesgo. Wszyscy myśleli, że umarła z powodu zapalenia otrzewnej. W tamtych czasach sekcje zwłok przeprowadzano tylko w wyjątkowych przypadkach. Po popołudniowej herbacie i ciastkach skonała na podłodze salonu w rezydencji Ongayów w Torrelavedze. „Specjalną herbatę” przygotowała moja siostra; oczywiście był to trujący

napar. Wyeliminowała przeszkodę, żebym mogła awansować ze służącej na panią, wychodząc za mężczyznę z bogatej rodziny.

Kiedy mój mąż zrobił się uciążliwy, zaczął się ze mną o wszystko kłócić i czepiać się mojej siostry, Clara wykorzystwała jedną ze swoich nielicznych wizyt, by otruć także i jego i zwrócić mi wolność. Biedny człowiek. Gdyby był kompletnym idiotą, pożyłby znacznie dłużej.

Jak wiesz, mój drugi mąż – Twój ojciec – którego darzyłam szczerym uczuciem, zmarł na zawał serca. O ile mi wiadomo, Clary nie było w pobliżu, kiedy to się stało. Ale przyszła na pogrzeb i na dwa dni zatrzymała się w naszym domu, nawet się z Tobą bawiła. Czułam się bardzo przybita i samotna, dlatego pierwszy raz w życiu razem się upiliśmy. Kieliszek wina za kieliszkiem. Clara straciła kontrolę i wewnętrzną dyscyplinę, dzięki czemu tamtej nocy wreszcie opadła opaska, która przez tyle lat zasłaniała mi oczy.

W końcu zobaczyłam, czym naprawdę jest. Chorym potworem, niezrównoważoną, budzącą grozę istotą. Otwarcie przyznała się do zabójstwa mojego pierwszego męża i jego narzeczonej. Szydziła z ich mierności. Podejrzewałam, że ma coś na sumieniu, ale nie chciałam w to wierzyć. Zrozum, z paniczem sprawa wyglądała inaczej – kiedy się dowiedziała, że ten bałamutnik zamierza zostawić mnie na lodzie, zaślepiła ją złość... Byłam w stanie ją usprawiedliwić... Potrafiłam się z nią utożsamić.

Nie było to jej jedyne wyznanie tamtej nocy. Zdradziła coś jeszcze, coś, co wywróciło mi wnętrze i uzmysłowiło, jak bardzo obie zrujnowaliśmy sobie życie, uciekając przed cierpieniem i biedą. Pamiętasz, napisałam, że byłam zakochana w chłopaku z Comillas. Nazywał się Luis. Nazajutrz po tym, jak Clara zabiła panicza, zjawił się w jego domu. Gwardia Cywilna wsadziła go do więzienia, groziła mu garota, na szczęście kilka tygodni później udało się udowodnić, że jest niewinny, i wyszedł na wolność. Zawsze dziwiło mnie, dlaczego wtedy przyszedł, zwłaszcza że nigdy wcześniej mnie tam nie odwiedzał.

Dzięki alkoholowi płynącemu w żyłach Clary w noc po pogrzebie Twojego ojca poznałam prawdę. Poprawa mojej pozycji społecznej i wyjście z nędzy zawsze były dla niej drugorzędnym celem. Od początku chodziło jej

o Luisa, mężczyznę, z którym miałam wziąć ślub i wieść skromne życie. Powiedziała mi, że zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. Był taki przystojny, taki śniady, taki silny, taki szlachetny, błękit jego oczu spowijał wszystkie moje sny. Clara uknuła plan doskonały: kiedy zajdę w ciążę, panicz poprowadzi mnie do ołtarza i wygodnego życia, którego tak bardzo pragnęłam (albo którego ona kazała mi pragnąć, przysięgam Ci, że sama już nie wiem), Luis zaś zapomni o dziewczynie noszącej dziecko innego, a przynajmniej będzie wolny. Przez cały ten czas Clara udawała moją przyjaciółkę i współpracę – zamiast robić nam za przyzwoitkę, zostawiała nas, żebyśmy mogli być sami. A raczej ja tak myślałam, bo wyznała mi też z szaleństwem w oczach, że zazwyczaj obserwowowała z ukrycia nasze pocałunki i pieszczoty.

Pod pretekstem, że chce zanieść mi jedzenie czy ubrania, prosiła Luisa, żeby towarzyszył jej w drodze do domu, w którym służyłam. Myślałam, że wyświadcza mi przysługę, żebym mogła go zobaczyć, ale tak naprawdę to ja byłam pretekstem dla niej, żeby mogła spędzić kilka godzin z moim narzeczoną. Kiedy spoglądam wstecz, nie mogę się nadziwić, że byłam taka głupia.

Clara zjawiała się w Ubiarco w dniu poprzedzającym zabicie panicza. Nie przybyła jednak prosto z Torrelavegi. Wcześniej wybrała się do Comillas, poszła do domu Luisa i powiedziała mu, że jestem w ciąży z innym, że go nie kocham i że powinien o mnie zapomnieć. Rozebrała się przed nim, chciała dać mu to, czego ja mu odmawiałam, ale on odtrącił ją rozgniewany. Dlatego przyjechał następnego dnia – żeby zapytać, czy to prawda. Kiedy okazało się, że panicz zniknął, musiał pomyśleć, że faktycznie noszę w łonie bękarta, bo postanowił się ze mną rozstać i poinformował mnie o planowanym ślubie. Co ciekawe, wiele lat później dowiedziałam się, że zaręczył się dopiero po naszym spotkaniu, a nie przed nim. Moja niegodziwość karmi się nadzieją, że ożenił się z inną, bo czuł się zraniony, a nie dlatego, że przestał mnie kochać. Clara, wściekła i rozgoryczona, opowiedziała mi, po co pojechała wtedy do Comillas. Chciała, żebyśmy razem pośmiały się z Luisa, biednego wsioka, którym pogardziłam i który miał czelność pogardzić nią. Ale ja się nie śmiałam. Wreszcie dotarło do mnie, że przez cały czas byłam marionetką w rękach

osoby o chorym, niebezpiecznym umyśle. Clara zjawiała się w Ubiarco nie po to, żeby mi pomóc, ale żeby sprawdzić, czy wszystko idzie zgodnie z jej planem.

Zrobiłam jej straszną awanturę, podczas której wyparował z nas alkohol. Potem nie rozmawialiśmy ze sobą przez ponad czterdzieści lat. Wpadłam w depresję, odsunęłam się od wszystkich, od Ciebie także. Może po to, żeby Cię chronić. Czy ja też nie byłam potworem? Ale przyszedł moment słabości. Kiedy w ścianie Villa Marina znaleziono moje biedne dzieciątko, znów stałam się tamtą tchórzliwą Janą, która potrzebowała wskazówek i kontroli starszej siostry. Gdyby prawda wyszła na jaw, wróciłyby do mnie wszystkie demony z przeszłości, oplotły pajęczyną także Ciebie. Zadzwoiłam do Clary, jej głos podziałał na mnie jak porażenie prądem. Natychmiast zrozumiałam, że popełniłam błąd, ale Pedro Salas nie dawał mi spokoju... Dowiedział się o paniczu od swojego ojca, Jednorękiego, który szantażował mnie od śmierci Twojego wujka. Życiu czasem brak logiki: Jednoręki i David byli najlepszymi przyjaciółmi. Gdyby żył mój brat, nie odważyłby się na taką podłość. Jak wiesz, Clara rozwiązała problem... Zabiła też doktora Viesgo. Nie potrzebuję dowodów, wiem, że ona za tym stoi. Nie mogę dopuścić, żeby to trwało choćby sekundę dłużej, dlatego odchodzę, uwalniam duszę i umysł od ciężaru sumienia. Aby śmierć przestała chodzić za mną krok w krok, wreszcie sama do niej podejść.

Wcześniej jednak zdradzę Ci coś jeszcze: w tym tygodniu otrzymałam jedną z najlepszych wiadomości w całym swoim życiu. Dowiedziałam się, że przez sześćdziesiąt pięć lat żyłam w błędzie. Lucía, córka, którą urodziłam, zanim wydałam na świat Ciebie, nie została poczęta przez podłego panicza zabitego przez Clarę. Była owocem namiętności, czystej miłości, jaką darzyliśmy się ja i Luis. Widzieliśmy się dwa miesiące przed tamtą mroczną, krwawą nocą, kiedy razem z Clarą odwiedzili mnie w Santillanie. Przypadkiem zostaliśmy przez dwadzieścia minut sami, w małej spiżarni, z której Luis miał mi pomóc przynieść worek mąki. To był tylko ten jeden raz, nasz pierwszy... Jak mogłam myśleć, że moja dziewczynka jest jego dzieckiem? Może on miał wątpliwości i dlatego tamtego dnia przyjechał do Ubiarco...? Ale kiedy zobaczył mnie i moją siostrę, kiedy dowiedział się o zniknięciu panicza, pomyślał, że nie

mogliśmy stworzyć razem niczego dobrego. W tym tygodniu złożono mi niespodziewaną wizytę. Przyszła porucznik Gwardii Cywilnej w towarzystwie Olivera Gordona. Mam nadzieję, że to nie za dużo rewelacji naraz: Oliver jest synem Twojej siostry Lucii. Przynajmniej taki z tego pożytek, że zyskałaś siostrzeńca.

Kiedy przyjechali, siedziałam na swojej sofie przy oknie. Patrzyłam, jak wysiada z samochodu. Od razu to zrozumiałam. Och, Claro, nawet sobie nie wyobrażasz, jaka to była niespodzianka, jakie szczęście... Znasz to uczucie, kiedy po wielu latach ciszy nagle słyszysz przyspieszone bicie własnego serca? Oliver Gordon jest żywym odbiciem Luisa, mojego Luisa. To samo spojrzenie, ten sam niebieski kolor oczu, ten sam kształt szczęki i nosa. Oczywiście zemdlałam, wiesz, że często tak reaguję. Widziałam go na kilku zdjęciach w gazetach, ale przypominał na nich swoją matkę. Kiedy zobaczyłam go na żywo, jego ruchy, jego spojrzenie... zrozumiałam i wiem, że się nie mylę. To czarujący młody człowiek... Myślę, że powinnaś go poznać, wydał mi się bardzo sympatyczny.

Czas się pożegnać. Odchodzę z tego świata szczęśliwa, ze świadomością, że dałam życie Tobie, Lucii, Oliverowi, a także jego bratu, którego nie poznałam, że ja i Luis byliśmy rodzicami i dziadkami, razem, choć już się nie dotykaliśmy, choć już nie rozmawialiśmy, choć już się praktycznie nie znaliśmy.

Żyj swoim życiem, Córeczko. To jedyna rada, jakiej mogę Ci udzielić.

Kocham Cię, zawsze Cię kochałam, a w dni, kiedy mnie nienawidziłaś, ja kochałam Cię za nas dwie.

Mama

Absurd. Jeden wielki absurd. Izan Sáenz Chacón niepotrzebnie trafił do aresztu; zagrożenie, z którym walczył, nigdy nie istniało. Oliver Gordon nie był jego krewnym. Po prostu uciekając przed pustką, cierpieniem i niepewnością, wrócił do miejsca z dzieciństwa, w którym czuł się bezpieczny. Tyle że w tej rzekomej oazie spokoju pojawiły się drobne zwłoki noworodka, jego cioci, której istnienia nawet nie podejrzewał. Poznał też babcię, którą zaraz stracił, bo kilka dni później złożyła się w ofierze, popełniając samobójstwo. Życie odebrała sobie

także jego cioteczna babka Clara: opętana szaleństwem istota, która latami ukrywała swoje psychopatyczne skłonności. W ten sposób poznał mroczną, przerażającą stronę swojej rodziny. Choć ostatni rok nie był dla niego łatwy, radosny ani szczęśliwy, starał się zachować angielską flegmę i podchodzić do wszystkiego z cierpką ironią i czarnym humorem.

Gordon senior opuścił swoje ustronie w Szkocji, żeby spędzić tydzień w Suances. Podczas spacerów plażą La Concha ojciec i syn odnowili łączącą ich więź. Olivera odwiedziło też troje przyjaciół z Londynu: Walter i Angelina, których poznał na studiach i którzy od tamtej pory byli parą, oraz Michael, kolega z liceum, ekscentryczny muzyk obieżyświat. Ich barwna paczka często spotykała się w soboty w pubie Rose w Chelsea, gdzie między kolejnymi kuflami piwa zaczarowywali rzeczywistość. Oliver obwioził przyjaciół po Kantabrii, złożyli między innymi wizytę bogu Tlalokowi z Santillany del Mar. Michael narzekał, że Oliver nie uprzedził ich wcześniej o tym, co działo się w Villa Marina, przez co przegapili najlepszą „zabawę”.

Kiedy przyjaciele wyjechali i Oliver znowu został sam, zaczął wreszcie przetrawiać ostatnie wydarzenia, spoglądając na wszystko z perspektywy czasu. Słońce, kilka dni odpoczynku oraz towarzystwo ojca i przyjaciół dobrze mu zrobiły. Michael zagroził wręcz, że przyjedzie do Villa Marina na dłużej, żeby poszukać nowych inspiracji dla swojej muzyki.

Na razie jednak Oliver był sam. Remont willi powoli dobiegał końca. Po lekkim obiedzie usiadł na ganku ze świeżo zaparzoną kawą i wpatrywał się w plażę La Concha. Popołudnia stały się chłodniejsze, wcześniej się ściemniało. Po zmierzchu niespieszne, regularne błyski latarni z Punta del Torco oświetlały plażę, dodając jej nieco romantyczności.

– Powinieneś zamykać bramę. Jeszcze jakiś wariat pomyśli, że mógłby z łatwością oblać benzyną ganek stukniętego Anglika.

– Valentina! Jak się tu dostałaś? – wykrzyknął zaskoczony Oliver. Zerwał się z krzesła, niemal rozlewając kawę.

– Przecież mówię – odpowiedziała kpiącym tonem. – Brama była otwarta. Poważnie, powinieneś uważać. Siostra Pilar nadal jest

na wolności, nie wiadomo, jaka może z niej być wariatka.

Oliver z uśmiechem podszedł do Valentyny.

– Ta sympatyczna siostrzyczka morderczyni nic do mnie nie ma. Kiedy byliśmy w klasztorze, robiła do mnie maślane oczy. Nic dziwnego, trudno się oprzeć mojemu brytyjskiemu urokowi. Zresztą i tak pewnie już dawno jest w Rio de Janeiro... – Spojrzał Valentynie prosto w oczy. – Ale co ty tu robisz? Myślałem, że nie chcesz mnie znać, dzwoniłem na komendę, prosiłem, żeby ci przekazali... Wciąż masz mnie za pomyleńca podejrzanego o mroczne zbrodnie?

– Oczywiście, że mam cię za pomyleńca – odpowiedziała Valentina – ale jakoś nie widzę cię w roli sprawcy zbrodni. A już na pewno nie mrocznych – dodała, unosząc brew. – Byłam zajęta, wyjechałam, dlatego nie przyszłam wcześniej...

– Jasne, nie ma pośpiechu... Domyślam się, że jesteś tu w związku ze sprawą... Macie coś nowego? – zapytał Oliver już poważnym tonem.

– Tak, mamy... – Valentina spojrzała na filiżankę w jego dłoni. – Zaprosisz mnie na kawę?

– Oczywiście...

Oliver wyjął czystą filiżankę i podszedł do ekspresu. Kuchnia znajdowała się na prawo od wejścia. Drzwi były zawsze otwarte, żeby siedząc na ganku, mógł słuchać muzyki z radia albo odtwarzacza. Dotrzymywała mu towarzystwa. Leciąca akurat piosenka *On Top of the World* tamtego zespołu z Las Vegas. Pierwsze spokojne akordy przeszły w ożywioną, napawającą optymizmem melodię.

– Czyli miałaś dużo pracy w ostatnich tygodniach? – zapytał głośniejszym głosem, żeby Valentina usłyszała go z ganku.

– Można tak powiedzieć – odparła ze śmiechem porucznik. – Mam urlop, pojechałam do Galicji do rodziców... Wróciłam wykończona! A spędziłam z nimi tylko dwa tygodnie. Na szczęście zostało mi jeszcze siedem dni na odpoczynek – wyjaśniła, kiedy Oliver wrócił na ganek. – Przed moim wyjazdem mieliśmy na komendzie urwanie głowy: raporty, inne śledztwa... Ale wiedz, że rozwiązania sprawy Villa Marina pogratulowali nam pułkownik, kapitan wydziału śledczego, a nawet przedstawiciel rządu. Pełny sukces – dodała, mrużąc zielone oko.

– Wiem, czytałem o tym w gazetach – odparł Oliver. – Ale w żadnym artykule nie padły wasze nazwiska.

Valentina wybuchnęła śmiechem.

– Oczywiście, że nie... Już dawno przestaliśmy marzyć o tym, że gdziekolwiek pojawią się nasze SNI... W tej pracy nie chodzi o zbieranie pochwał w gazetach, ale o szybkie rozwiązywanie spraw.

– No tak. Co to jest SNI?

– Służbowy Numer Identyfikacyjny. Coś jakby nasze służbowe imię w postaci ciągu cyfr – wyjaśniła Valentina, pociągając łyk kawy i spoglądając Oliverowi w oczy. – Nie przyjechałam do ciebie wcześniej także dlatego, że byli tu twój ojciec i przyjaciele czy inni krewni... Nie chciałam zawracać ci głowy, dopóki nie będę miała konkretnych informacji.

– Ale skąd wiedziałaś....?

– Kapral Maza z posterunku w Suances powiedział mi, że masz gości.

Oliver pokiwał głową.

– No tak, rozmawialiśmy ostatnio kilka razy, zaglądał tu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Nie mów, że to ty go przysłałaś... – dodał rozbawiony.

Zamiast odpowiedzieć, Valentina zmieniła temat:

– Oliverze, chciałam poinformować cię o najnowszych ustaleniach i wnioskach, do jakich doprowadziło nas śledztwo w sprawie Villa Marina.

– Zaczekaj... nie mówiłaś, że nadal masz urlop?

– Mam, ale jak widzisz, jestem wydajna i skuteczna. Zresztą wisiłam ci kawę. Miałam cię zaprosić tamtego dnia, kiedy przyszedłeś na komendę, ale w końcu nic z tego nie wyszło.

– Wciąż mi ją wiesz, bo na tę zaprosiłem cię ja – odparł wesoło Oliver.

Valentina odwzajemniła jego uśmiech. Przeklęty Anglik. Czowała się przy nim jak mała dziewczynka. Zanim zeszła do Villa Marina, przechadzała się po Suances, na próżno próbując zmusić się do racjonalnego rozumowania. „Zachowaj spokój – pomyślała. – Zachowaj spokój i bądź pierdoloną księżniczką”.

– No dobrze. Jestem tu z dwóch powodów. Zacznę od pierwszego. Właśnie dostaliśmy wyniki badań DNA: potwierdzają twoje pokrewieństwo z Clarą Múgicą i Janą Ongayo, twoją babcią. Zbadaliśmy również materiał genetyczny pobrany od potomków Luisa Salvadora i też istnieje duża zgodność.

– Właśnie dostaliście wyniki? Strasznie późno!

– I tak mieliśmy szczęście. Czasami trwa to jeszcze dłużej. Wyniki badań DNA noworodka mieliśmy szybko, bo tyle się działo, że wysłaliśmy próbki do prywatnego laboratorium. Aha, analiza profili genetycznych Chaconów wykluczyła ich jako twoich krewnych.

– Czyli... mam w Comillas coś jakby kuzynów?

– Zgadza się, jesteś spokrewniony z dwiema córkami i trojgiem wnucząt Luisa Salvadora. W Santanderze masz jeszcze ciocię, Clarę Múgicę. Przyjaźnimy się... myślę, że ją polubisz... Będziesz chciał ją poznać?

– Już się poznaliśmy – odparł Oliver ku zaskoczeniu Valentiny. – Zadzwoiła do mnie jakieś dwa tygodnie temu, pojechaliśmy z tatą do Santanderu. Ona i jej mąż są bardzo sympatyczni. Powiedziałem jej, że zamierzam zrzec się spadku po Janie, który prawdopodobnie przypadnie mi w udziale. Szczerze mówiąc, czuję, że nie mam żadnego prawa do jej majątku. Umówiliśmy się na obiad w tym tygodniu. Może do nas dołączysz...? – zaproponował.

– Może... – Valentina ukryła uśmiech za już prawie pustą filiżanką. – Powiem ci jeszcze coś: udało nam się potwierdzić, że Pedro Salas dzwonił do Jany Ongayo na jej służbową komórkę. Zajął to trochę czasu, bo komórka była na kartę, a nie na abonament. W końcu dopasowaliśmy wszystkie elementy układanki, choć przyznam, że gdyby nie list, który Jana wysłała do twojej cioci, wiele wątków pozostałoby niewyjaśnionych.

– Clara dała mi go do przeczytania. To historia jak z filmu, takie rzeczy przytrafiają się tylko ludziom, których pokazują w wiadomościach telewizyjnych, a tu się okazuje, że zdarzyły się w mojej rodzinie.

– Skoro mowa o filmach... Sprawa miała taki oddźwięk medialny, że podobno zainteresowało się nią kilku producentów. Chyba największą sensację wzbudził dziennik Clary. Stanowi niezwykle cenne źródło informacji dla psychologii kryminalnej.

– Słyszałem o tym dzienniku. Sierżant Riveiro streścił mi, co w nim było, ale bez szczegółów. Chętnie bym go przeczytał. Myślisz, że to będzie możliwe? – zainteresował się Oliver.

– Raczej tak. Przyznam ci się, że sama czytałam go trzy razy. Clara zaczęła pisać dziennik po tym, jak w Villa Marina odkryto zwłoki. Na razie jest częścią materiału dowodowego, trzeba będzie poczekać, co zdecyduje sędzia Talavera; nie chce więcej przecieków do prasy. Ten dziennik jest niesamowicie wartościowym dokumentem, pozwala zajrzeć do umysłu łączącego w sobie cechy szaleństwa i psychopatii. Clara pisała go w pierwszej osobie, ale nie jako ona, tylko jakaś wyższa istota o boskich cechach. Zwracała się bezpośrednio do wyimaginowanego czytelnika, opowiadała mu o Janie i jej rodzinie, także o sobie samej, ale zawsze w trzeciej osobie. Bohaterką każdego wpisu była Jana, Clara miała chyba obsesję na jej punkcie. Z jednej strony wynosiła ją na piedestał, a z drugiej przypisywała jej zabójstwo Ignacia Chacona, jakby to Jana ponosiła winę za wszystkie okrucieństwa, których dopuściła się Clara.

– Coś podobnego powiedział mi Riveiro. Że nazywała innych istotami ludzkimi i stawiała siebie ponad nimi.

Valentina przytaknęła.

– Tak. W dodatku zostawiła dziennik na łóżku w swojej celi, chciała, żebyśmy go znaleźli. W ostatnim wpisie sugeruje wręcz, że przeczytam go ja, jako porucznik prowadząca śledztwo w tej sprawie. Wyświadczyła nam uprzejmość i położyła obok dziennika pistolet, z którego postrzeliła Pedra Salasa. W swoim mniemaniu była bardzo sprytna, czuła potrzebę, żeby nam zaimponować, pokazać, jak daleko się posunęła i jak z nas wszystkich zakpiła. Clara Fernández jest podręcznikowym przykładem tego, co w psychologii kryminalnej nazywamy ciemną triadą.

– Ciemną triadą? Znowu robi się groźnie – zażartował Oliver. – Co to takiego?

– Najbardziej skrajny rodzaj psychopatii. Łączy w sobie trzy zaburzenia osobowości o dużym nasileniu. Po pierwsze narcyzm, czyli bardzo wysokie poczucie własnej wartości: Clara stawiała się ponad zwykłymi istotami ludzkimi, jakby była bogiem. Po drugie makiawelizm,

czyli instrumentalne traktowanie innych i udawanie zachowań: trudno mi wyobrazić sobie większą manipulatorkę od twojej ciotecznej babki. – Valentina pokręciła głową. – Wiesz, że koledzy z Anglii poprosili nas o akta sprawy do swoich badań nad złożonymi zachowaniami przestępczymi?

– O kurczę – zdziwił się Oliver, dopijając kawę. – A co jest trzecim elementem ciemnej triady?

– Sama psychopatia – Valentina westchnęła, spoglądając na plażę – która sprawia, że dana osoba jest nieustraszona, okrutna i impulsywna. Te trzy przymiotniki chyba dość dobrze opisują Clarę...

– No... Może lepiej, żebym jednak nie czytał dziennika i ostatecznie zamknął ten rozdział swojego życia. Przyznam szczerze, że to wszystko brzmi zbyt strasznie – powiedział Oliver, spuszcżając wzrok. – Jest jedna rzecz, której nie wyjaśniliście – dodał z powagą.

– Tak? Jaka?

– Chodzi o moją mamę. Podobno po wizycie u klarysek pojechała do Comillas, do Jany Ongayo. Rzeczywiście się spotkały? Bardzo chcę w to wierzyć. Mój prawnik twierdzi, że tak było. Co się wydarzyło podczas tej rozmowy? Mama poznała prawdę czy odeszła z niczym?

Valentina przez chwilę się zastanawiała.

– No tak, kiedy byliśmy w Comillas, nie mogliśmy zapytać o to Jany... Nawet nie wiesz, Oliverze, jak bardzo mi przykro. Może okłamała twoją mamę tak samo jak nas. Nie wspomina o tym spotkaniu w liście pożegnalnym do Clary. Nie zawsze możemy dowiedzieć się wszystkiego o innych.

– Wiem – odparł z rezygnacją Oliver. Znów spojrzał Valentinie w oczy. – Powiedziałaś, że przysłaś tu z dwóch powodów. Pierwszy to sprawa Villa Marina. A jaki jest drugi?

– Twój ukryty port.

– Moje co?

– Kiedy pojechaliśmy razem do Comillas, opowiedziałeś mi, że w dzieciństwie bawiliście się z bratem w zatoczce, którą znali tylko miejscowi, i że teraz nie możesz jej odszukać.

– Tak, pamiętam.

– Już wiem, gdzie to jest. Nie było łatwo, ale ją znalazłam. Nie zapominaj, że pracuję w wydziale śledczym... Świetny ze mnie detektyw – dodała rozbawiona, puszczając do Olivera oko, po czym wstała i oparła się o słup ganku.

Zaskoczony Oliver wybuchnął śmiechem.

– Serio? Zadałaś sobie dla mnie tyle trudu? Co za zaszczyt. No to gdzie jest to miejsce? Przyniosę mapę, to mi pokażesz.

– O nie. Wkładaj kąpielówki i jedziemy. To niecałe pół godziny stąd, niedaleko Puerto Calderón.

– Naprawdę? Ale ty...?

– Mam pod ubraniem bikini, w samochodzie są ręczniki. I przypominam panu, panie Gordon, że nie lubię tracić czasu, nawet na urlopie.

Oliver uśmiechnął się zadowolony. Już wcześniej zauważył, że Valentina ubrała się dziś bardziej kobieco i wakacyjnie, ale czegoś takiego się po niej nie spodziewał.

– Super, przebiorę się i jedziemy, bo teraz wcześniej robi się chłodno... Jeżeli się nie spieszysz, potem zapraszam cię na kolację do jakiejś dobrej restauracji – powiedział, podchodząc do Valentiny. – Chętnie poznałbym któryś z twoich sekretów.

– Moich sekretów?

– Kobieta o dwukolorowym spojrzeniu musi mieć wiele ciekawego do powiedzenia.

Valentina wytrzymała jego wzrok przez pięć długich sekund.

– Nie urodziłam się taka, Oliverze. Kiedyś byłam... normalna – odpowiedziała łagodnym tonem, bez cienia goryczy.

Speszony Oliver zaczął się tłumaczyć:

– Przepraszam, ja...

– Nie przepraszaj. Takie rzeczy się zdarzają. – Valentina zaczerpnęła powietrza. – Zanim dam się zaprosić na jedną z tych wielkich kanapek, które tak lubisz, zadam ci pytanie... Gdybyś zaczął się z kimś spotykać, całkiem niezobowiązująco... nie przeszkadzałoby ci, że, dajmy na to, ta osoba ma pewną obsesję na punkcie porządku, pracuje do późna, nie dzwoni wtedy, kiedy powinna, musi wstawać o czwartej nad ranem,

bo akurat wynikło coś ważnego, i nosi przy sobie pistolet? Oczywiście to tylko przykład.

Oliver uśmiechnął się, chociaż Valentina miała poważną minę.

– Tak, domyślam się, że to tylko hipotetyczny przypadek. Myślę, że wytrzymałbym to piekło, pod warunkiem, że ona tolerowałaby mój sprzęt muzyczny, tony rozrzuconych książek, moją chroniczną bezsenność i mój brytyjski humor.

– Rozrzucone książki są nietolerowalne, ale można temu zaradzić dzięki dobremu rozplanowaniu. Za to brytyjski humor... – Valentina udała, że się zastanawia. – Chyba jednak nie chcę zjeść dziś z tobą kolacji.

– Nie?

– Nie. Nie w dobrej restauracji. Możemy zjeść ją tutaj, a jeśli będziesz grzeczny, jutro zrobię ci śniadanie – powiedziała Valentina, prowokująco patrząc mu w oczy. Żaden niewinny flirt: kawa na ławę.

– Będę *perfect gentleman* – odparł Oliver z uśmiechem i przysunął się bliżej Valentyny.

Nadszedł moment, w którym zniknął dzielący ich dystans. Moment wypełniony tańczącą w powietrzu muzyką.

Ich pocałunek okazał się delikatny, ciepły, naturalny, jakby od dawna było zapisane, że pocałują się właśnie na tym ganku. Nie usłyszeli komórki Olivera, która zaczęła dzwonić w domu, odcięci od świata na swojej gorącej wyspie.

Blady, wymizerowany Guillermo Gordon czuł, że po plecach spływa mu zimny pot. W końcu zdesperowany przerwał połączenie z bratem, z którym nie miał kontaktu od ponad półtora roku. W jego spojrzeniu malowało się przerażenie.

Oliver zauważył nieodebrane połączenie dopiero po kilku godzinach, w czasie których on i Valentina badali swoje ciała i obsypywali je zachłannymi pocałunkami. Wiele lat wcześniej pewien młody rybak z Comillas urzeczony obserwował z pomostu dziewczynkę o imieniu Jana rozwieszającą pranie. Patrząc na Valentynę, Oliver pomyślał to samo, co wtedy jego dziadek: przyszłość jest niezmierną.

PODZIĘKOWANIA

W pierwszej kolejności pragnę podziękować swojej agentce Cristinie Morze, inteligentnej kobiecie o promiennym uśmiechu, bez której *Ukryty port* najprawdopodobniej popadłby w zapomnienie w moim komputerze.

Dziękuję redaktorom Silvii Sesé i Juanowi Verze – gdyby nie oni, moja książka wytrąciłaby z równowagi niejednego czytelnika. Serdecznie dziękuję także wydawnictwom – hiszpańskiemu i zagranicznym – które uwierzyły w magię i potencjał *Ukrytego portu*.

Uznanie i podziękowania należą się również ekspertom, którzy z entuzjazmem i ochotą udzielali mi technicznych wskazówek, nadając kształt szkicowi nakreślonemu w mojej głowie:

Jesúsowi Pastorowi, podporucznikowi Centralnej Jednostki Operacyjnej Gwardii Cywilnej: jego spostrzeżenia oraz książka *Błogosławiony cel* były dla mnie inspiracją i drogowskazem pozwalającym zrozumieć, jak wygląda praca w tego rodzaju jednostce;

Jesúsowi Alonso, gwardziście z policji sądowej kantabryjskiej komendantury Gwardii Cywilnej w Santanderze;

Marcosowi Catalinie, kapralowi z posterunku Gwardii Cywilnej w Suances;

Pilar Guillén Navarro, dyrektorze Kantabryjskiego Instytutu Medycyny Sądowej w Santanderze.

Oczywiście jeśli bystry czytelnik dopatrzy się jakiejś astronomicznej bzdury dotyczącej medycyny sądowej czy pracy policji, to ja ponoszę pełną odpowiedzialność za wszelkie błędy, choć obawiam się, że najbardziej niesamowite rzeczy to często te najbliższe rzeczywistości.

Dziękuję swojemu mężowi, za jego spokój i cierpliwość, za bezwarunkowe wsparcie, za to, że bez zastrzeżeń uszanował moją pisarską pasję. I synowi Alanowi, który nieświadomie oddał mi wiele godzin należnego mu czasu, żebym mogła udokumentować tę historię i nadać jej kształt. Wy jesteście źródłem mojej siły i samozaparcia.

Dziękuję rodzicom, z wielu powodów, ale przede wszystkim za to, że na żadnym z etapów mojego życia nie zakwestionowali tego, że chcę pisać;

galisyjskiej i kantabryjskiej rodzinie, a zwłaszcza dziadkom, których opowieści o Kantabrii pomogły mi w naturalny i wiarygodny sposób opowiedzieć historię Jany i jej bliskich; swoim drogim przyjaciółkom Beatriz i Ruth oraz ich rodzinom, za to, że we mnie uwierzyły – co było dla mnie bardzo ważne. Dziękuję wszystkim, którzy od początku interesowali się postępami tej opowieści, a także tym, którzy zrobili to dopiero wówczas, gdy zawiąły pomyślne wiatry.

Dziękuję tym, którzy wierzą w literaturę, rozpowszechniają ją, wymyślają, wkładają w nią entuzjazm i czas, to płynne złoto, które nieubłaganie przecieka nam przez palce. Mam nadzieję, że każdemu, kto dobrnął do końca tej książki, udało się odwiedzić – nawet niechcący – swój własny, sekretny ukryty port.

CIEKAWOSTKI

Ukryty port to fikcyjna opowieść, a wszystkie postacie zostały wymyślone, choć opisywane w niej miejsca są prawdziwe: parki, miasteczka, krajobrazy... nawet lokale gastronomiczne i sklepiki; zmieniałam im nazwy, ale opisałam je tak, jak je widzę i odbieram.

W Comillas istnieją zarówno Casa del Duque, jak i pobliski park (park Güell y Martos). Dom stoi w pięknym miejscu, na wprost morza i słynnego Anioła Zagłady dłuta Josepa Llimony.

W Satillanie istnieją opisane przeze mnie uliczki, domy i wyrzeźbione na nich herby, także Tlaloc, który drwi sobie z upływu czasu dokładnie na wprost romańskiej kolegiaty Świętej Juliany, choć nie znam powodów, dla których się tam znalazł. Wy tłumaczenie podane w *Ukrytym porcie* wydaje mi się bardzo prawdopodobne.

Opis klasztoru klarysek, w tym pracowni konserwacji dzieł sztuki oraz sali z kołem, gdzie wydawane są słynne wypieki, również jest zgodny z prawdą, chociaż sama nigdy nie byłam w środku ani nie miałam kontaktu z żadną klaryską. Obawiam się, że moja wyobraźnia ubarwiła nieco mury tego zgromadzenia.

W Suances istnieją zarówno willa Olivera – nigdy nie byłam na terenie tej posesji – jak i elementy krajobrazu (w tym Pomnik Wiatrów na klifie nad plażą Los Locos), a ich opisy odpowiadają rzeczywistości i temu, jak ją postrzegam.

W Hinojedo nie sposób nie zwrócić uwagi na Maserę de Castío (której nazwa oznacza dziezę), dziwne wzgórze w kształcie szerokiego zydła. Na jego szczycie naprawdę znajdują się ukryte w zaroślach niewielkie jaskinie, w których w czasie hiszpańskiej wojny domowej okoliczni mieszkańcy chronili się przed bombardowaniami, natomiast nie wiadomo mi, by ktokolwiek tam zginął.

Historie dotyczące wojny domowej na terenie Kantabrii i północnej Hiszpanii oraz „tych z gór” są prawdziwe, przynajmniej tak wynika z dokumentów, do których dotarłam. Marina de la Vereda, Kantabryjka szpiegująca dla Francuzów, jest wytworem mojej wyobraźni, ale

opierałam się na postaci Mariny Vegi de la Iglesia urodzonej w Torrelavedze w 1923 roku, która w wieku zaledwie siedemnastu lat rozpoczęła szpiegowską karierę w ruchu Wolna Francja.

Z myślą o szczególnie dociekliwych czytelnikach na zakończenie wspomnę, że w 1953 roku młoda gospodyni z pensjonatu Las Fondas w Ubiarco zabiła, poćwiartowała i zrzuciła z klifu swojego chlebodawcę. Wakacyjny hotel nazwano później Domem Zbrodni. Już go nie ma, został zburzony w 2006 roku. Zaciekało mnie pochodzenie społeczne tej kobiety. Do dziś nie poznałam jej historii, za to odkryłam, że w tamtych czasach wiele rodzin żyjących w prawdziwej nędzy zapewniało sobie przetrwanie, wypychając córki na służbę, żeby „usidliły” bogatego panicza. Dowiedziałam się o tej dawnej zbrodni w niewiarygodnych okolicznościach, ale to, drogi Czytelniku, już zupełnie inna długa i ciekawa historia.

SPIS ROZDZIAŁÓW

LATO Obecnie

(Sierżant Riveiro zaparkował...)

Dziennik (1)

(Clara Múgica, patolożka...)

Dziennik (2)

(Oliver czekał...)

Dziennik (3)

(Notatka z „El Diario Montañés”...)

Dziennik (4)

Dziennik (5)

(Domek przy Villa Marina...)

Dziennik (6)

(Sierżant Riveiro miał...)

Dziennik (7)

(Valentina Redondo poczuła...)

Dziennik (8)

(Otrucie...)

Dziennik (9)

(Oliver Gordon obserwował...)

Dziennik (10)

(Jacobo Riveiro siedział...)

Dziennik (11)

(Rynek Santillany del Mar...)

Dziennik (12)

(Piątek, 12 lipca. 8.30 rano...)

Dziennik (13)

(Jana przez całą noc...)

(Zmierzch zapowiadał się...)

Dziennik (14)

(Sobota, 13 lipca...)

Dziennik (15)

(Niedziela, 14 lipca...)

Dziennik (16)

(Poniedziałek, 15 lipca...)

Dziennik (17)

(Wyniki badań DNA...)

Dziennik (18)

(Czas mijał...)

Podziękowania

Ciekawostki

Przypisy końcowe

PRZYPISY KOŃCOWE

- 1 K. Dutton, *Mądrość psychopatów. Lekcja życia pobrana od świętych, szpiegów i seryjnych morderców*, przeł. M. Wyrwas-Wiśniewska, Muza, Warszawa 2014, s. 14–15.
- 2 F. Pessoa, *Księga niepokoju*, przeł. M. Lipszyc, Czuły Barbarzyńca, Warszawa 2013, s. 43.
- 3 J. Ortega y Gasset, *Medytacje o „Don Kichocie”*, przeł. J. Wojcieszak, Muza, Warszawa 2008, s. 43–44.
- 4 *Adwokat diabła*, reż. T. Hackford, przeł. P. Zieliński.
- 5 *Milczenie owiec*, reż. J. Demme, przeł. E. Gałązka-Salamon.
- 6 *Podziemny krąg*, reż. D. Fincher, przeł. E. Gałązka-Salamon.
- 7 Nawiązanie do nazwy miasteczka, Santillana del Mar: *santo* – święty, *llano* – równina, *mar* – morze (przypis tłumaczki).
- 8 Biblia Tysiąclecia, Ap 9,1.11.
- 9 Platon, *Fedon*, w: *Dialogi*, t. 1, przeł. W. Witwicki, Antyk, Kęty 1999, s. 701.